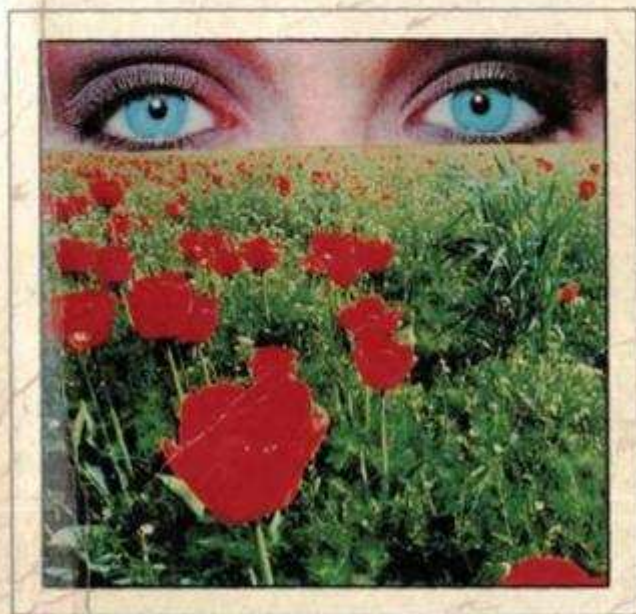


**BARBARA
TAYLOR
BRADFORD**



ZACHOWANE W PAMIĘCI

WIS

Barbara Taylor Bradford, autorka o światowej sławie, jest już dobrze znana w Polsce dzięki książkom: „Głos serca”, „Kobiety jego życia”, „Akt woli”, „Kariera Emmy Harte”, „Spadkobiercy Emmy Harte” i „Być najlepszą”.

„Zachowane w pamięci to niezapomniana opowieść o wielkich uczuciach, radościach i tragediach, których nie można wymazać z pamięci.

BARBARA TAYLOR BRADFORD



ISBN 83-85144-23-

BARBARA
TAYLOR
BRADFORD

ZACHOWANE
W
PAMIĘCI

Przełożył
Mieczysław Dutkiewicz

Warszawa 1994

Tytuł oryginału

Remember

Projekt okładki

Maciej Sadowski

Redakcja

Elżbieta Desperak

Redakcja techniczna

Bożena Wyrzykowska

Korekta

Lily Paszkowska

Copyright © 1990 The Gemmy Bradford Venture

Copyright © for the Polish édition Wydawnictwo „bis” 1994

ISBN 83-85144-33-1

Wydawnictwo „bis” Wydanie I

Objętość 14,8 ark, wyd., 26 ark, druk.

Skład Wydawnictwo „bis”

DRUK I OPRAWA

Zakłady Graficzne w Gdańsku

fax (058) 32-58-43

*Ta książka jest dla mojego męża, Roberta,
który prowadzi wspaniałą walkę i którego
kocham oraz podziwiam.*

Podziękowanie

Nadzwyczajne wyrazy podziękowania kieruję pod adresem mojej przyjaciółki z Paryża, Barbary Victor, za umożliwienie mi przeprowadzenia pewnych specjalnych badań oraz za tak wielkoduszne poświęcenie mi swojego czasu.

Część I

Towarzysze broni

Rozdział 1

Sen nie nadchodził.

Leżała w ciemnościach, usiłując uwolnić się od wszelkich myśli, które mogłyby zakłócić spokój jej ducha, ale to wydawało się niemożliwe. Jeszcze niedawno, kiedy zrzuciła z siebie ubranie i padła na łóżko, była ledwie żywa ze zmęczenia, teraz jednak wiedziała, że nie może nawet marzyć o śnie. Wszystkie zmysły były napięte do granic ostateczności; natężyła słuch, aby złowić jakikolwiek niepożądany odgłos z zewnątrz. Ale przez wyłożone pluszem ściany hotelowego apartamentu nie przedostawał się niemal żaden dźwięk. Wydawało się, że na zewnątrz panuje cisza, cisza osobliwa i jakby złowieszcza.

Tam właśnie powinnam teraz być, pomyślała. Na zewnątrz.

Niewątpliwie tam było jej miejsce, tam zresztą przebywała ustawicznie całym swoim sercem i wszystkimi myślami... wraz ze swoją ekipą: Jimmym Trainerem, kamerzystą, Luke'em Michaelsem, inżynierem do spraw dźwięku, oraz Archem Leversonem, producentem. Większość czasu spędzali zazwyczaj razem, jak przystało na

zgraną ekipę reporterską, zbierającą informacje w obcym kraju. Dzisiejszy wieczór różnił się pod tym względem od innych; po wczesnym obiedzie poczuła się tak zmęczona, ostatnie noce, prawie bezsenne, dały się jej do tego stopnia we znaki, że poczuła się bezsilna, gdy zaczęły jej opadać powieki, a Arch uparł się, aby ucieła sobie parogodzinną drzemkę. Obiecywał przy tym, że obudzi ją wystarczająco wcześniej, by zdążyła się przygotować do swego conocnego programu emitowanego do Stanów. Zdrowy rozsądek i zmęczenie zwyciężyły: dała za wygraną, tyle tylko, że i tak nie potrafiła się teraz odprężyć ani wypocząć.

Od jakiegoś czasu była spięta, wyczekująca - i raptem zrozumiała dlaczego. Rozum i instynkt, połączone z doświadczeniem, które zdobyła jako korespondent wojenny, podpowiadały jej, że wszystko rozegra się jeszcze tej nocy. Że oto nadeszła pora na sankcje, o jakich chodziły słuchy już od wielu dni.

Mimo woli wzdrygnęła się, przeszedł ją zimny dreszcz. Wiedziała, że potrafi właściwie ocenić sytuację, że jej przewidywania zazwyczaj nie mijają się z prawdą. Na samą myśl o możliwym przelewie krwi jeszcze raz zadrżała na całym ciele. A krew z całą pewnością zostałaby przełana, gdyby Armia Ludowa wystąpiła przeciw narodowi.

Wsparła się na łokciu, zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Zdecydowanym ruchem odrzuciła na bok kołdrę, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Pałała chęcią przekonania się na własne oczy, czy cokolwiek, a jeśli tak, to co, dzieje się na ulicach Pekinu.

Apartament, który zajmowała, mieścił się na czternastym piętrze hotelu, okna wychodziły na aleję Changan, znaną również jako aleja Wiecznego Pokoju, wiodącą na plac Tiananmen. Szeroką ulicę wypełniały teraz tłumy ludzi, którzy parli nieustannie do przodu, niczym pstrągi płynące w górę rzeki. Poruszali się cicho, w milczeniu; światła latarni wydobywały z mroku biel koszul i bluz, które większość Chińczyków miała na sobie.

Zdążali w stronę placu Tiananmen, tego rozległego, brukowanego prostokąta, którego początki sięgają 1651 roku, a więc wczesnego okresu dynastii Qing, i który na przestrzeni stu akrów mógł pomieścić milion ludzi. Zdążyła już pojąć, że ów plac to symboliczne serce władzy politycznej w Chinach, a w ciągu minionych wieków miały tu miejsce liczne wydarzenia, niezwykle doniosłe dla burzliwej historii tego kraju.

Skwapliwie zaczerpnęła tchu. Powietrze było czyste, całkowicie wolne od zapachu żółtego piachu, napływającego bezustannie od strony pustyni Gobi, jak również od gazu łzawiącego. Może ten lekki wiatr odganiał oba zapachy od hotelu, możliwe też, że dziś w ogóle nie użyto gazu łzawiącego. Powiodła wzrokiem po długiej alei, a potem skierowała znowu spojrzenie na zatłoczony trotuar tuż pod balkonem i na ludzi, maszerujących zdyscyplinowanie na plac. Wszystko wydawało się spokojne, nigdzie nie było też widać wojska, przynajmniej w tej chwili.

Cisza przed burzą, pomyślała przygnębiona i wróciła do pokoju.

Zapaliła resztę świateł w sypialni, przeszła czym prędzej do łazienki, spryskała twarz zimną wodą, energicznie wytarła się ręcznikiem i szybkimi, równomiernymi ruchami rozczesła puszyste blond włosy.

Twarz miała nieco szeroką, o silnym podbródku i razem klasycznych rysach, regularnych i wyrazistych. Uwagę zwracały wysoko osadzone kości policzkowe, prosty nos, ładnie wykrojone usta i czoło, które zdradzało zdecydowanie i siłę woli. Oczy, rozmieszczone szeroko pod jasnymi łukami brwi, były duże i czyste, o barwie spokojnej morskiej toni, a wszystko to tworzyło twarz nadzwyczaj atrakcyjną i fotogeniczną, z której emanowały inteligencja i poczucie humoru. Tak jak stała w tej chwili, bosą, miała pięć stóp i sześć cali wzrostu; smukła, a przy tym o zaskakująco silnej budowie ciała oraz wdzięku wiotkiej wierzby.

Nazywała się Nicole Wells, ale większość ludzi znała ją jako Nicky, natomiast rodzina, członkowie ekipy oraz najbliżsi przyjaciele zwracali się do niej przeważnie Nick.

W wielu trzydziestu sześciu lat znajdowała się u szczytu swojej kariery zawodowej jako korespondent wojenny z ramienia American Television Network - ATN z siedzibą w Nowym Jorku. Cieszyła się opinią nie tylko wspańskiego, wnikliwego reportera, ale również eksperta w dziedzinie reportażu wojennych. Spektakularne sprawozdania z najważniejszych wydarzeń na świecie przyniosły jej niekwestionowaną sławę oraz miano osoby nieustraszonej, a przed obiektywem kamery prezentowała rzadko spotykaną charyzmę. W środkach przekazu stała się prawdziwą supergwiazdą.

Odłożyła szczotkę, związała włosy w kucyk i sięgnęła do kosmetyczki po szminkę, następnie zaakcentowała wargi różem i zbliżyła twarz do lustra, strojąc miny. Dziś wyglądała bez makijażu szczególnie blado, ale nie miała teraz czasu, aby coś z tym zrobić. Zresztą była przekonana, że tego wieczoru nie wystąpi przed kamerą. Dwa

tygodnie temu, 20 maja, kiedy proklamowano stan wojenny, rząd chiński zakazał nadawania programów satelitarnych i ustawiania na placu kamer telewizyjnych. Przynajmniej na placu Tiananmen, a tam przecież znajdowało się centrum wydarzeń. Tak więc znowu miała w perspektywie realizację reportażu ze słuchawką telefoniczną w ręku.

Odwróciła się od swego odbicia w lustrze, wróciła do sypialni i spieszenie narzuciła na siebie to, co nosiła parę godzin temu: beżowe bawełniane spodnie, niebieską bawełnianą bluzeczkę i kurtkę w stylu safari z krótkimi rękawami w kolorze dobranym do spodni. Tak właśnie ubierała się zazwyczaj latem, gdy przebywała w jakimś obcym kraju, nagrywając reportaże. Zawsze zabierała ze sobą trzy identyczne kostiumy safari oraz zestaw bluzek i męskich bawełnianych koszul. W ten sposób ożywiała kolorystycznie kostiumy, a przed kamerami wyglądała bardziej interesująco.

Założyła jeszcze miękkie brązowe mokasyny i podeszła do szafy, skąd wyjęła dużą torbę na ramię z zielonej nieprzemakalnej tkaniny. Trzymała w niej to wszystko, co określała żartobliwie jako „całe moje życie”, rzadko też wychodziła bez niej. Również teraz, zgodnie ze swym zwyczajem, otworzyła torbę, aby sprawdzić, czy jej „życie” istotnie znajduje się na swoim miejscu. Paszport, legitymacja prasowa, karty kredytowe i gotówka, w tym dolary amerykańskie, dolary hongkongijskie, funty brytyjskie i miejscowe juany, klucze do jej apartamentu na Manhattanie, notatnik z adresami, niewielka kosmetyczka z pastą i szczoteczką do zębów, poza tym mydełko, przybory i zestaw do makijażu, szczoteczka do włosów i paczuszka papierowych chusteczek - wszystko porządnie

rozmieszczone w odpowiednich przegródkach wewnątrz torby. W dwóch dużych zewnętrznych kieszeniach trzymała swój telefon komórkowy, magnetofon, notatnik, długopisy, okulary do czytania, okulary słoneczne oraz maseczki lekarskie do ochrony przed gazem łzawiącym.

Dopóki torba z tą zawartością znajdowała się w zasięgu ręki, Nicky wiedziała, że poradzi sobie w każdym miejscu na świecie bez dodatkowego bagażu i - co było niezwykle ważne - wykona efektywnie swoją pracę. Dziś potrzebne jej były jedynie niektóre z tych rzeczy, wyjęła je więc i umieściła w mniejszej torbie z brązowej skóry: paszport i legitymację prasową, telefon komórkowy, okulary do czytania, notatnik i długopisy, maseczkę z gazy, trochę dolarów amerykańskich i jenów.

Zarzuciła torbę na ramię, tę większą odłożyła do szafy i wyjęła z kieszeni klucz. Wychodząc na korytarz, spojrzała na zegarek. Była dziesiąta dwadzieścia.

Właściwie pragnęła jak najprędzej znaleźć się na placu, a mimo to skierowała się jeszcze do znajdującego się na tym samym piętrze apartamentu ATN, na wypadek, gdyby Arch Leverson wrócił do hotelu zatelefonować do Nowego Jorku. Różnica czasu pomiędzy Chinami a Stanami Zjednoczonymi wynosiła trzynaście godzin, w kraju był więc teraz piątek, dziewiąta dwadzieścia rano. O tej porze Arch kontaktował się zazwyczaj z Larrym Andersonem, szefem wiadomości ATN.

Apartament często służył jako prowizoryczne biuro i również obecnie, kiedy podeszła bliżej, z wewnątrz dobiegł niewyraźnie głos kamerzysty. Zapukała lekko.

Po chwili drzwi uchyliły się, a Jimmy uśmiechnął się szeroko na jej widok. - Cześć, kochanie! - zawołał, a potem, wracając za biurko, dodał przez ramię: - Już kończę... Rozmawiam ze Stanami.

Nicky zamknęła za sobą drzwi i weszła do pokoju. Z ręką na oparciu krzesła czekała.

Mając pięćdziesiąt dwa lata Jimmy Trainer prezentował się wspaniale. Był średniego wzrostu, szczupły i zwinny, o ciemnych, nieco już szpakowatych włosach, pogodnej twarzy z rumianymi policzkami i jasnoniebieskich, błyszczących oczach. Znakomity kamerzysta, laureat niezliczonej ilości nagród, kochał swoją pracę i czuł się doskonale w ekipie Nicky. Praca stanowiła sens jego życia, mimo iż miał cudowną żonę, z którą czuł się naprawdę szczęśliwy, oraz dwoje dzieci. Podobnie jak Luke i Arch, był w pełni oddany Nicky Wells, nie wyobrażał sobie, aby istniała jakaś inna osoba, z którą pracowałoby mu się tak dobrze jak z nią. Za nią skoczyłby nawet w ogień.

Jimmy mówił do słuchawki szybko, niskim głosem, kończąc rozmowę z żoną. - Właśnie przysłała Nicky, kochanie. Muszę już iść, Jo. Obowiązki wzywają. - Przez chwilę słuchał odpowiedzi, po czym pożegnał się czule i odłożył słuchawkę. - Nie do wiary! - mruknął zwracając się do Nicky. - To najlepszy system telefoniczny, z jakim się zetknąłem! Muszę przyznać tym Chińczykom, że zainstalowali naprawdę nowoczesny sprzęt. Kiedy rozmawiałem z Joanną, miałem wrażenie, jakby znajdowała się w sąsiednim pokoju, a nie na Osiedziętej Trzeciej Ulicy...

- Jest francuski - wtrąciła Nicky. - Mam na myśli system telekomunikacji.

- Myślisz, że nie wiedziałem? Jo przesyła ci pozdrowienia.

Nicky uśmiechnęła się. - Jak ona się czuje?

- Chyba nieźle. Ale ogląda regularnie dziennik telewizyjny, słucha wiadomości radiowych i martwi się o naszą czwórkę. - Nagle zmarszczył brwi. - Ale, ale... przecież ty miałaś położyć się i odpocząć, a nie kręcić się tu i rozmyślać o kolejnym programie.

- Tak, wiem, ale nie mogłam zasnąć. Mam przecucie, że coś... nie, że wszystko wybuchnie jeszcze tej nocy. Intuicja podpowiada mi, że dojdzie do zamieszek. Prawdopodobnie około północy.

Głos miała napięty, w jej oczach czaiła się autentyczna troska i Jimmy spojrzał na nią uważniej. Niemal sześć lat współpracy z Nicky Wells nauczyły go nie lekceważyć jej intuicji. Jej osąd przeważnie pokrywał się z prawdą.

- Skoro tak twierdzisz... Wiesz, Nick, że możesz na mnie liczyć w każdej chwili. Ale przecież tam panuje głucha cisza. Jest tak spokojnie! A przynajmniej było jeszcze dwadzieścia minut temu!

Nicky rzuciła mu sceptyczne spojrzenie. - Rzeczywiście? Nic nie dzieje się na placu?

- Nic szczególnego. Dzieciaki, które rozbiły tam obóz, zaczęły wychodzić z namiotów, rozmawiać z innymi ludźmi. Można by powiedzieć, że wymieniali doświadczenia jak co wieczór. - Zamyślił się, po czym dodał: - Wiesz, dziś, widząc to wszystko, przypomniałem sobie Woodstock, tyle że bez narkotyków oczywiście. Albo jeden z tych letnich festiwali muzycznych, jakie miewamy w Nowym Jorku. Wszyscy byli bardzo zrelaksowani, usposobieni przyjaźnie wobec siebie, powiedziałbym, że na całkowitym luzie.

- To się zmieni już niedługo - oświadczyła Nicky z tłumioną porywcznością. Opadła na krzesło. - Dużo myślałam na ten temat i sądzę, że Teng Siao-Ping jest już u

kresu wytrzymałości. Od jakiegoś czasu studenci prowokują go, sprawiają mu mnóstwo kłopotów, jestem więc przekonana, że zdecyduje się wreszcie na swój ruch. Będzie to fuszerka, ale on i cały rząd spartaczyli w ogóle sprawę placu Tiananmen od samego początku. Jestem już pewna, że nie będzie miał żadnych skrupułów, po prostu wojsko otrzyma rozkaz zaatakowania studentów. - Westchnęła i zakończyła przygnębiona. - Obawiam się, Jimmy, że nie obejdzie się bez przelewu krwi.

- Och, Nick, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! - zawołał. - Teng nie posunie się tak daleko.

Nie ośmieli się. Będzie się bał opinii całego świata.

Potrząsnęła głową. - Nie, James, sadzę, że tak właśnie postąpi. I powiem ci coś jeszcze: Teng ma w nosie resztę świata i przywódców innych krajów, nie obchodzi go wcale, co o nim myślą.

Wpatrywał się w nią, zaszokowany straszliwym sensem jej słów. - Boże, przecież to niemal dzieci! - wykrzyknął wreszcie. - Są tak młodzi, pełni marzeń! I zachowują się tak spokojnie! Chcą jedynie, aby ich wysłuchano!

- Nie doczekają się tego - odparła Nicky. - Wiesz dobrze, tak samo jak ja, jak studenci nazywają Tenga i jego otoczenie: bandą starców. I mają rację.

Teng ma osiemdziesiąt pięć lat, jest o wiele za stary, aby móc zrozumieć dzisiejszy świat. Przecież on zatracił całkowicie kontakt z młodym pokoleniem, a jedyne, na czym mu zależy, to utrzymać się przy władzy. My wiemy, że żądania studentów nie są awanturnicze, bo domaganie się wolności i demokracji to nic złego, prawda?

Jimmy skinął głową, westchnął głęboko. - W porządku, a więc co teraz zamierzasz?

- Chcę tam być, chcę znaleźć się w centrum wydarzeń, kiedy już do tego dojdzie. Po to tu jesteśmy, czyż nie? Aby przekazywać relacje, wiadomości, informować resztę świata o tym, co dzieje się w Chinach, co stanie się w tę piątkową noc, drugiego czerwca 1989 roku.

- Tyle tylko, że nadal mamy olbrzymi problem, kochanie. Nie możemy filmować. Kiedy tylko zjawimy się na placu, milicja zniszczy nam kamery i cały sprzęt akustyczny. Co więcej, mogą zatrzymać nas i zabrać na przesłuchanie, tak jak uczynili to już z wieloma innymi korespondentami zagranicznymi. Mogą nas wsadzić do więzienia...

Urwał widząc, że otwierają się drzwi. Do pokoju wszedł Arch Le ver son.

Producent Nicky nie wydawał się zaskoczony jej obecnością. - A dlaczegoż mieliby nas wsadzić do więzienia? - zapytał.

- Nicky chce próbować kręcić film na placu - odparł Jimmy.

- To się nam nie uda, Nick. Nic się nie zmieniło od wczoraj. - Arch podszedł bliżej, położył dłoń na jej ramieniu i obdarzył ją ciepłym uśmiechem, który odwzajemniła.

Ubrany zawsze elegancko, bez względu na miejsce, w którym przebywał, Arch był mężczyzną wysokim i szczupłym, o surowej twarzy, przedwcześnie posiwiałych włosach i szarych oczach, które połyskiwały zza okularów w stalowej oprawie. Miał czterdzieści jeden lat i jako weteran telewizji informacyjnej zrezygnował przed trzema laty z pracy w swojej dotychczasowej sieci telewizyjnej, przechodząc do ATN, która przekonała go do siebie nie tylko niezwykle atrakcyjnym wynagrodzeniem, ale przede wszystkim ekscytującą perspektywą współpracy

z Nicky Wells. Jej dotychczasowy producent przeszedł na emeryturę i stanowisko to pozostało wolne. W całym świecie telewizyjnym nie było producenta, który nie pragnąłby przejąć serwisu informacyjnego prowadzonego przez Nicky, nie mówiąc już o jej programach dokumentalnych, które przyniosły jej olbrzymią sławę, jak również kilka nagród Emmy. Agent Archa wynegocjował dla niego korzystny kontrakt, po czym Arch przeniósł się do ATN i nigdy tego kroku nie żałował. On i Nicky przypadli sobie do gustu od pierwszej chwili. Była prawdziwą profesjonalistką, od razu też zdobyła sobie jego szacunek, jak również sympatię. Teraz podniosła na niego wzrok i mruknęła:

- Tutejszy rząd zdecyduje się z pewnością na drastyczne posunięcie. Najprawdopodobniej jeszcze dziś.

Nie odpowiedział od razu. - Rzadko się mylisz - zauważył po chwili. - I także teraz jestem skłonny zgodzić się z tobą: akcja wojskowa wydaje się nieunikniona.

- Jimmy twierdzi, że przez cały wieczór na placu było spokojnie. Czy pod tym względem coś się zmieniło? - zapytała.

- Raczej nie - odparł Arch. - Powiedziałbym nawet, że nastrój jest tam pogodny. Ale coraz częściej słyhać pogłoski o ruchach oddziałów wojskowych, widuje się je w różnych częściach Pekinu. Kiedy wszedłem do hotelu, natknąłem się na jednego faceta z ekipy CNN. Powiedział, że otrzymał te same informacje.

Usiadł za biurkiem i spojrział na nich oboje. W jego wzroku widniała troska. - Powinniśmy się przygotować na trudny weekend. Trudny pod każdym względem.

- Jestem tego pewna - mruknęła Nicky.

Jimmy powstrzymał się od komentarza, nie zareagował też na ponurą przepowiednię producenta. Zamyślony przemierzał pokój szybkim krokiem tam i z powrotem, wreszcie odezwał się do Archy: - Skoro nie możemy filmować na placu, będę musiał zrobić kilka ujęć w innych częściach miasta, tak jak to robiliśmy na początku tygodnia.

- Moim zdaniem nie powinniśmy podejmować tego ryzyka od nowa - powiedział Arch. - W Pekinie roi się od milicji, nie zrobimy nawet dwóch kroków, a już wpędzimy się w poważne tarapaty.

- Miałem na myśli taką okolicę na skraju miasta - wyjaśnił Jimmy. - Niezbyt daleko od Tiananmen. Tam będzie chyba spokojniej.

Arch ponownie potrząsnął głową. - Nie. Tam również nie będzie bezpiecznie. Dla Nick byłoby to zbyt ryzykowne, nie mam zamiaru...

- Och, daj spokój, Arch! - przerwała mu Nicky.

- Nie zapominaj, że jestem korespondentem wojennym. Od lat przebywam w różnych niebezpiecznych miejscach. Myślę, że powinniśmy pójść za radą Jimmiego...

- Nie ma mowy! - zawołał Arch tonem dosyć ostrym, jak na niego. - Powiedziałem ci już, że nie chcę tu żadnego ryzyka. Nie chcę, abyś narażała swoje życie, aby narażał się ktokolwiek z nas. Nie tu, w Chinach.

- Posłuchaj, mam już dość tych swoich relacji z placu, prowadzonych przez telefon komórkowy! - Nicky przeżywała go płomiennym wzrokiem. - I jestem przekonana, że również Nowy Jork ma dość takich programów. Proszę cię, spróbujmy chociaż raz nakręcić coś na żywo, z

kamerą, dzisiejszej nocy, obojętnie gdzie. Zdaję sobie sprawę, że nie będziemy mogli przekazać materiału do Nowego Jorku za pośrednictwem satelity, ale i tak telewizja otrzymałaby go na czas, aby nadać program w niedzielę albo w poniedziałek. - Zwróciła się do kamerzysty: - Chyba nie ma problemu z przekazaniem filmu przez kuriera, via Hongkong i Tokio, prawda?

- Kurierzy funkcjonują jak zawsze - zapewnił ją Jimmy. - Myślę, że można by cię sfilmować w twoim apartamencie, Nicky, chociaż broniłaś się przed tym... - Urwał nagle i podbiegł do okna. Wyszedł na balkon, następnie cofnął się z powrotem do pokoju i stąd obserwował przez chwilę balkon, wreszcie odwrócił się do Archa: - Wydaje mi się, że to byłoby dobre ujęcie Nicky, z Changan i Tiananmen w tle. Nie będzie mi wygodnie filmować pod tym kątem, ale warto spróbować.

Arch wyprostował się na krześle, na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Cóż, rozważaliśmy taką możliwość już przedtem kilka razy, ale nie mogliśmy się na to zdecydować. Teraz nie mamy wyboru. Tu, na balkonie, stworzymy przynajmniej wrażenie, że kręcimy reportaż na miejscu wydarzeń. A o to przecież przede wszystkim chodzi.

- Zaraz to sobie obmyślę - obiecał Jimmy.

Nicky zbliżyła się do otwartych drzwi balkonowych, wyjrzała na zewnątrz, po czym obróciła się na pięcie. - Jestem przekonana, że to dobry pomysł - powiedziała do kamerzysty. - Całkowicie popieram.

- Posłuchaj Nick - odezwał się Arch. - Obawiam się, że do dzisiejszego programu będzie musiał wystarczyć przekaz telefoniczny, nic na to nie poradzimy. Potem sfilmujemy cię na balkonie, tak aby Ameryka mogła obejrzeć cię

na żywo i w kolorze. Najpóźniej w poniedziałek.

- Zgoda. A tymczasem, o ile nie jestem ci potrzebna, przejdź się na plac. Gdzie Luke? Przy Pomniku Męczeństwa?

- Tam się rozstaliśmy. Jest z nim Clee.

- A więc tam się spotkamy, zgoda? Teraz chciałabym przejść się trochę i powęszyć, popatrzeć, co się dzieje. Pogadam z Yoyo i innymi studentami.

- Dobrze. Będziemy tam mniej więcej za godzinę - oświadczył Arch. - Teraz muszę skontaktować się ze studentem.

- A więc do zobaczenia. - Dziarskim, energicznym ruchem Nicky chwyciła torbę, zarzuciła ją na ramię i wybiegła z pokoju.

* * *

Po jej wyjściu Arch siedział jeszcze przez parę minut, rozmyślając o niej.

Zawsze gdy znajdowała się w jakiejś niebezpiecznej strefie, decydując się na ryzyko, ogarniała go natychmiast chęć, aby nakłonić ją do ostrożności, nauczył się jednak nie ulegać tej pokusie. Już w pierwszych dniach ich współpracy miał okazję przekonać się, że to bezsensowne. Niejednokrotnie przyrzekał sobie w duchu, że przestanie roztaczać nad nią swe opiekuńcze skrzydła, czynił to jednak w dalszym ciągu i nie potrafił zmienić swojej postawy. Zresztą Jimmy i Luke znajdowali się na tej samej łodzi co on i podobnie jak on troszczyli się o nią jak tylko mogli, ona zaś, balansując stale nad przepaścią, przyprowadzała ich o ból głowy.

Nie można było kwestionować jej odwagi; Nicky nie wiedziała, co to strach, wyglądało nawet na to, że ryzyko

to jej żywiół. Czasem odnosiło się wrażenie, jakby życie nie znaczyło dla niej wiele. Ale Arch wiedział, że to tylko złudzenie. Oczywiście Nicky ceni życie, jakkolwiek nieraz naraża na szwank swoje osobiste bezpieczeństwo.

Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i zapalił. Oczywiście, najważniejszy jest reportaż, tylko to się liczy i o to przede wszystkim troszczy się Nicky. Reportaż usuwał w cień inne sprawy; Arch, który sam był dziennikarzem, doceniał wagę pracy. Nicky Wells nie różniła się pod tym względem od większości korespondentów wojennych: pragnęła być zawsze w centrum wydarzeń, tam, gdzie działo się coś ekscytującego.

Nieodrodna córka swoich rodziców, pomyślał zaciągając się głęboko. Ojciec Nicky, Andrew Wells, był dawniej również korespondentem wojennym, obecnie zaś pisał artykuły dla *New York Timesa*. Nie można też było przeoczyć matki, Elise Elliot Wells; laureatka nagrody Pulitzero, niegdyś ceniona korespondentka wojenna, była również autorką znaczących książek historycznych.

Arch zastanawiał się nieraz, jak by się czuł, dorastając u boku tak znakomitej pary. Jak wyglądało dzieciństwo Nicky, podróżującej po całym świecie wraz z dwojgiem zapalonych dziennikarzy, którzy niestrudzenie szukali poczytnych tematów dla swoich redakcji, a jednocześnie uwielbiali swoją córkę. Nadal była ich oczkiem w głowie.

Kiedyś, będąc w nastroju do zwierzeń, opowiedziała mu, że ojciec zwraca się do niej Nick, gdyż zawsze pragnął mieć syna. To wyjaśniło mu wiele, pomogło mu zrozumieć jej osobowość, jej diabelską skłonność do ryzyka. Chciała być dzielnym „synem”, przypodobać się ojcu, zdobyć jego uznanie.

Nie lada orzech do zgryzienia dla małej dziewczynki, doszedł do wniosku Arch, rozgniatając niedopałek papierosa. On sam nie wyobrażał sobie w ogóle, że mógłby chcieć, aby jego córka, Rachel, stała się chłopcem. Kochał ją taką, jaka była, nie chciał, żeby zmieniła się choćby odrobinę. Stanowiła nie tylko jego dumę i radość, ale również ważną podporę psychiczną w trudnym okresie po rozwodzie z jej matką.

Co do Nicky, to z pewnością różni się znacznie od większości ludzi, chociażby dlatego, że tak dużo doświadczyła już jako młoda dziewczyna. Nie bez znaczenia był fakt posiadania tak niezwykłych rodziców. Wiele z nimi podróżowała, była wykształcona, inteligentna, zrównoważona, stanowcza i niezwykle ambitna. Przeróżająca kombinacja cech jak na młodą kobietę; do takiego przekonania doszedł już dawno temu.

Jej prywatne życie nie przedstawiało się niestety różowo, takie przynajmniej odnosił wrażenie. Ostatnio w jej życiu nie było żadnych mężczyzn, nie słyszał, aby mówiła o kimś szczególnym od czasu jej ostatniego związku, który zakończył się tak niefortunnie. A nawet tragicznie, jeśli się nad tym dobrze zastanowić. Nicky nie od razu doszła do siebie, to pewne. Ciekawe, czy jeszcze teraz cierpi, czy rana, jaka pozostała po tym okropnym epilogu, nadal boli? Nie potrafił powiedzieć, co Nicky czuła, gdyż rozmawiając z nim nigdy nie poruszała swoich spraw osobistych. Zresztą on też nie zamierzał wścibiać nosa w nie swoje problemy. Nicky strzegła żarliwie własnej prywatności, on zaś uważał, że ma do tego prawo. To, czym zajmuje się poza pracą, nie powinno mnie obchodzić. Ale co na to poradzę, że interesuje mnie jej los?

Uważał Nicky za jedną z najprzyzwoitszych istot ludzkich, jakie znał. Była uczciwa, rozważna, miła i nadzwyczaj lojalna, on zaś chciał dla niej jak najlepiej. Pragnął, aby była szczęśliwa. Ale kto, u diabła, może zaznać szczęścia na tym szalonym świecie, przyszło mu do głowy.

Westchnął, odegnał od siebie myśli o Nicky i sięgnął po słuchawkę.

Nie zdążył wykręcić numeru, kiedy dobiegł go głos Jimmy'ego:

- Arch, zanim połączysz się z Nowym Jorkiem, pojeżdż do mnie na chwilę, dobrze? Chciałbym, abyś zastąpił mi na moment Nicky.

- Oczywiście, bardzo proszę - odparł Arch. Podszedł do okna. - Ale właściwie w jakim sensie miałbym ją zastąpić?

- Stań na balkonie, tak żebym mógł już teraz ustawić odpowiednio kamerę. To zaoszczędzi mi czasu później. Kręcąc pod tym kątem mogę wykonać kilka ciekawych zbliżeń - wyjaśnił Jimmy. - A z moim teleobiektywem, jeśli usadowię się między tymi roślinami, jestem w stanie objąć wylot alei Changan i plac Tiananmen. Będziemy musieli filmować przy oświetleniu, ale na pewno damy sobie radę, Arch. Nie musisz się martwić.

- Wcale się nie martwię, James. Wiem, że dopóki ty jesteś za kamerą, wszystko jest w porządku.

Rozdział 2

Noc była niespokojna, niemal burzliwa.

Przechadzając się po alei Changan, Nicky musiała przeciskać się między innymi przechodniami. Wydawało się, że wszyscy zdążają w tym samym kierunku.

Kiedy po raz pierwszy zjawiała się w Pekinie, Cleo Donovan powiedział jej, że Chińczycy udają się na plac Tiananmen wieczorami i w weekendy na manifestacje, ale również aby uczcić jakąś szczególną okazję lub po prostu dla zabicia czasu. Wyjaśnił, że ludzie oddają się tam rozmyślaniom, oplakują śmierć bliskich, oraz że plac jest także miejscem niedzielnych spacerów.

Od niedawna stał się również miejscem demonstracji protestacyjnych.

Od kwietnia przybywali tam studenci ze wszystkich prowincji Chin na pokojowe manifestacje o wolność i demokrację. Zaczęło się od apelu ku czci Hu Jao Banga, członka rządu, człowieka o poglądach liberalnych, ulubieńca młodzieży. Nie upłynął jeszcze miesiąc od jego śmierci, oni zaś przybyli na plac, aby wyrazić żal i smutek z powodu tak bolesnej straty, jak również poparcie dla tego wszystkiego, co on reprezentował. Nieoczekiwanie uroczystość przekształciła się w bierną manifestację; jej uczestnicy zorganizowali okupację placu na siedząco, po czym rozpoczęły się strajki głodowe i samorzutne demonstracje.

Od tego czasu upłynęło ponad sześć tygodni, a studenci nadal okupowali plac - setki tysięcy młodych ludzi. Co więcej, popierali ich mieszkańcy Pekinu, którzy przynosili

im jedzenie i napoje, ciepłe okrycia, namioty i parasole. Siadali też wraz ze studentami, współczując im i dając upust własnym żalom.

W momencie, gdy doszło do pierwszych demonstracji w Pekinie, to znaczy w kwietniu, Nicky przebywała wraz ze swoją ekipą w Izraelu, gdzie przygotowywali specjalny reportaż na temat Mossadu, tamtejszej służby wywiadowczej. Ale pod koniec miesiąca, kiedy reportaż był niemal gotowy, Nicky doszła do przekonania, że powinni pojechać do Chin. W połowie maja do stolicy Chin miał przybyć z oficjalną wizytą państwową Michaił Gorbaczow, można więc było się spodziewać - biorąc pod uwagę postawę studentów - pasjonującego rozwoju wypadków. I wspomniała o tym. Dlatego zatelefonowała do szefa redakcji informacyjnej sieci ATN. „Posłuchaj, Larry, kiedy Gorbaczow zjawi się w Pekinie, studenci nie zwiną tak po prostu namiotów i nie ulotnią się - powiedziała. - Moim zdaniem, szykują się tam prawdziwe kłopoty.”

Larry Anderson nie od razu podjął decyzję, ona zaś, wykorzystując jego wahanie, nalegała: „Pomyśl tylko, Larry. Wyobrażasz już sobie, jaki to pasjonujący temat? Jak zachowają się te dzieciaki podczas wizyty Gorbaczowa? Czy będą nadal demonstrować? Czy będą sprawiać kłopoty rządowi? W jaki sposób zareaguje na to Gorbaczow? Chociaż ważniejsza byłaby odpowiedź na pytanie: Jak zareaguje w tej sytuacji rząd chiński? Co zrobią?”

To było zaledwie kilka pytań z tych, jakie zadała mu owego ranka, telefonując z Tel Awiwu. I jej słowa odniosły skutek. Po rozmowie z Archem Larry wyraził zgodę na ich podróż do Chin: Natychmiast ściągnął całą ekipę z

Bliskiego Wschodu na tygodniowy wypoczynek do Nowego Jorku, po czym wysłał odrzutowcem do Chin, dając im swoje błogosławieństwo na drogę.

Ekipa Nicky przybyła do Pekinu 9 maja. Pretekstem była mająca się rozpocząć 15 maja wizyta państwowa Michaiła Gorbaczowa, którą chcieli rzekomo relacjonować, w rzeczywistości jednak chodziło o studentów okupujących plac oraz o przewidywane przez Nicky niepokoje.

Kiedy radziecki przywódca, jego żona i świta przyjechali do Pekinu, Nicky, Arch, Jimmy i Luke byli już zakwaterowani w hotelu, wraz z co najmniej tysiącem innych korespondentów zagranicznych ze wszystkich zakątków świata.

Zgodnie z przypuszczeniami Nicky, studenci powitali Gorbaczowa jak prawdziwego bohatera, a jego trzydniowa wizyta przebiegała w atmosferze rozruchów. Demonstracje nie ustawały. Jedna z nich skupiła na placu Tiananmen milion uczestników: domagali się wszelkich praw demokratycznych, wolności słowa oraz ukrócenia korupcji w sferach rządowych. Studenci zdecydowali się na strajk okupacyjny, pozostali na placu mimo upalnego słońca, gwałtownych burz i ulewnych deszczy.

Arch dopilnował, aby Jimmy uwiecznił wszystko na filmie, dzięki czemu program Nicky, transmitowany za pośrednictwem satelity do Stanów Zjednoczonych, okazał się znakomity. W trakcie tej krótkotrwałej wizyty Gorbaczowa oraz pobytu w Pekinie dziennikarzy zagranicznych miejscowe władze przymykały na wszystko oko, pozorując tolerancję wobec studentów... i wobec przedstawicieli prasy zachodniej.

Jednak już na drugi dzień po wyjeździe Rosjan i większości dziennikarzy rząd czym prędzej wykonał swój

ruch: wprowadził stan wyjątkowy. Nicky i jej ekipa, podobnie jak kilkuset innych dziennikarzy, pozostali na miejscu. Coś niezwykłego działo się teraz w Chinach, chcieli więc być tutaj, aby relacjonować rozwój wydarzeń tworzących historię.

Teraz, owej ciepłej czerwcowej nocy, idąc w stronę placu, Nicky czuła, jak myśli kłębią się jej w głowie. Wiedziała, że oto nadciąga nieuchronny koniec, studentom zaś grozi śmierć. Może nawet zginą tysiące. Na samą myśl o tym wzdrygnęła się, zachwiała, ale niemal natychmiast wzięła się w garść. Szła dalej, zdecydowana nadal robić swoje, chociaż serce ciążyło jej jak ołów.

Będąc kronikarzem wojen, rewolucji i kataklizmów przyrody, stykała się bezustannie ze śmiercią i zniszczeniem, z bólem i cierpieniem, nigdy jednak nie przywykła do przemocy.

Przez te wszystkie lata, a zwłaszcza w ciągu trzech ostatnich, doszła do przekonania, że świat to najbardziej przerażające i okrutne z miejsc, gdzie istnieje życie. Ludzie nie byli teraz wcale bardziej cywilizowani niż w czasach średniowiecza, nadal zachowywali się równie bezwzględnie i brutalnie jak niegdyś. Jej matka twierdziła nawet, że będą tacy również w przyszłości. To proste: takie były charakterystyczne cechy człowieka.

Wszystko, co widziała i relacjonowała w swoich programach, zapadało głęboko w jej serce, nauczyła się już jednak zachowywać spokój i ukrywać swoje prawdziwe uczucia nie tylko przed tym wszystkowiedzącym obiektywem kamery telewizyjnej, ale również przed kolegami z ekipy i przed przyjaciółmi, szczególnie od czasu, kiedy Charles Devereaux potraktował ją tak okrutnie. Nawet

Clee, do którego była przywiązana wyjątkowo silnie, nie znał jej prawdziwych uczuć wobec spraw absorbujących ją w mniejszym lub większym stopniu.

Myśląc o Clee przyspieszyła kroku. Znajdował się teraz na Tiananmen, ona zaś musiała z nim porozmawiać. Miał doskonały instynkt, wszystkie wydarzenia interpretował intuicyjnie, podobnie jak ona. Co więcej, ufała w słuszność jego osądu. I tak było zawsze, od pierwszej chwili, kiedy poznali się w Libanie, skąd relacjonowali przebieg wieloletniej wojny. Przedstawiono ich sobie nazajutrz po zabójstwie premiera Rashida Karamiego, który zginął w wyniku eksplozji bomby w jego śmigłowcu. Był to rok 1987. Uświadomiła sobie raptem, że zna Clee dokładnie od dwu lat.

Prezentacji dokonał wówczas Arch Levenson. Clee był jego starym przyjacielem, wpadli na siebie w hallu hotelu Commodore w zachodniej części Bejrutu, gdzie zatrzymywali się zazwyczaj dziennikarze zagraniczni. Natychmiast umówili się na wieczór, aby pogawędzić przy kieliszku, a Arch namówił Nicky, żeby przyłączyła się do nich.

Cleeland Donovan był prawdziwą sławą, właściwie stał się już legendą. Uważano go za największego fotoreportera wojennego od czasów Roberta Capy, podobnie jak Capa charakteryzował się też niezwykłą odwagą. Zazwyczaj rzucał się w sam środek walk, chcąc uwiecznić szczególnie sugestywne i autentyczne sceny bitwy, i w ten sposób zdobył sławę. W swoim czasie zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego i zamieszkał w Paryżu, gdzie założył Image, własną agencję informacyjno-fotograficzną. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat i najwidoczniej nigdy nie żałował tego kroku. Jego zdjęcia publikowały na swoich łamach wszystkie wiodące gazety na świecie,

opublikował też kilka książek, które zawierały jego prace i szybko stały się bestsellerami. Był laureatem wielu nagród, a sądząc po tym, co opowiadał o nim Arch, cieszył się sympatią kobiet.

Nicky uśmiechnęła się mimo woli, wspominając wieczór, kiedy się poznali. Przebierała się w swoim pokoju w Commodore i machinalnie rozważała to wszystko, co do tej pory usłyszała na temat Clee Donovana. Natychmiast domyśliła się, czego się może spodziewać. Z pewnością Clee okaże się nie do zniesienia - jako człowiek zarozumiały, próżny i egocentryczny.

A jednak myliła się w jego ocenie.

Kiedy Clee wszedł do zatłoczonego baru hotelowego, zamienił parę słów z innymi korespondentami, a potem ruszył w ich stronę, pomyślała przez chwilę, że to nie on, że to po prostu jeden z przyjaciół Archa, który postanowił spędzić z nimi trochę czasu. Nie wyglądał tak imponująco jak na zdjęciach, które widziała, chociaż był dosyć przystojny; taki typowy Amerykanin. Miał miłą twarz - to było chyba najbardziej trafne określenie - otwartą i uczciwą, ciemne włosy, brązowe oczy o łagodnym wyrazie i wyraziste usta skłonne do uśmiechu oraz około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, wyglądał jednak na wyższego dzięki szczupłej i wysportowanej sylwetce.

Sympatyczny przeciętny facet, doszła do przekonania. Mimo całej tej sławy, mimo sukcesów. Usiadł obok nich, zamówił sobie drinka i wdał się z nimi w przyjacielską pogawędkę.

Już po upływie kilkunastu minut zmieniła zdanie. Określenie „przeciętny” z pewnością nie pasowało do Clee Donovana. Odznaczał się wyjątkową inteligencją,

był obdarzony dużym poczuciem humoru i naturalnym wdziękiem, któremu trudno się było oprzeć. Z zapartym tchem słuchali jego opowieści, w pełni potwierdzających krążące na jego temat opinie.

Sądziła, że jest jej rówieśnikiem, może nawet nieco młodszy, jednak Arch powiedział jej potem, że Clee jest od niej starszy o trzy lata. Była zaskoczona, tkwił w nim bowiem pewien chłopięcy urok.

Uświadomiła też sobie, już podczas tego pierwszego spotkania, że wbrew jej przypuszczeniom nie jest to człowiek zarozumiały. Był pewny siebie, to prawda, ale dotyczyło to wyłącznie spraw zawodowych i wynikało z talentu fotoreportera. Niebawem pojęła również, że praca stanowi dla Clee główny sens życia.

Tamtego wieczoru w Bejrucie oboje przypadli sobie do gustu, a w ciągu kolejnych tygodni i miesięcy ich przyjaźń rozwijała się i krzepła. Często spotykali się w tych samych ogniskach niepokojów i relacjonowali te same wydarzenia, a w takich przypadkach zawsze łączyli swoje siły.

Niekiedy los wysyłał ich w różne strony świata, ale nawet wówczas utrzymywali ze sobą łączność telefoniczną lub poprzez swoje biura, tak silna przyjaźń ich łączyła. Z czasem Nicky zaczęła traktować Clee niczym rodzzonego brata, którego nigdy nie miała. Z całą pewnością był jej bardzo dobrym przyjacielem, jej towarzyszem broni.

Rozdział 3

Cleeland Donovan siedział na jednym ze stopni okalających Pomnik Bohaterów Ludu, zwany też Pomnikiem Męczeństwa, wpatrując się w sylwetkę Bogini Demokracji. Ta dziesięciometrowej wysokości statua została wzniesiona w samym centrum placu przez studentów i ustawiona przodem do gigantycznego portretu Mao Tse Tunga, zawieszono nad placem. Białą, wyzywającą statuuę z gipsu i styropianu wykonali studenci Centralnej Akademii Sztuk Pięknych, którzy własnoręcznie i uroczysto wnieśli ją na plac.

Clee patrzył na nią, porównując ją ze Statuą Wolności: tutejsza różniła się od amerykańskiej twarzą, przypominała jednak tamtą swoją pozą, szatą udrapowaną na ciele niczym toga, jak również wzniesionymi wysoko do góry ramionami, które trzymały pochodnię wolności. Statua pekińska była szpetna, ale nie miało to znaczenia. Liczyła się symbolika.

Był na placu trzy dni temu, kiedy studenci ustawiali figurę. Wśród gromkich wiwatów odśpiewano *Międzynarodówkę*, po czym długo jeszcze rozbrzmiewały okrzyki „Niech żyje demokracja!”. Cała uroczystość była niezwykle emocjonująca i poruszyła go do głębi. Udało mu się zapełnić materiałem kilka rolek filmu, mimo iż używanie sprzętu fotograficznego na placu było zakazane; milicja zniszczyła mu już trzy aparaty. Na szczęście miał ich więcej, w tym nikona F4, którego teraz nosił na ramię pod luźną bawełnianą kurtką.

Tego dnia, kiedy statwę ustawiono na placu, pogoda sprawiła przykrą niespodziankę, przynosząc silne wiatry i ulewę. Jednak, o dziwo, następnego ranka okazało się, że bogini wyszła z tego cało, nie było nawet jednego zadrapania.

Clee wiedział, że istnienie statui irytuje władze i wywołuje ich gniew, koła zbliżone do rządu oświadczyły już zresztą, że jest to „profanacja” tak ważnego i historycznego miejsca, jakim jest plac Tiananmen.

Z drugiej strony był to dla studentów doping niezwykle pożądanym. Widok posągu Bogini Demokracji w tak istotnym pod względem strategicznym miejscu podnosił ich na duchu. Aby chronić statwę, umieścili wokół niej namioty, a grupy młodzieży gotowej przeciwstawić się wszelkim próbom usunięcia posągu z placu przebywały tam bezustannie.

A jednak rząd dopnie swego i zniszczy statwę, pomyślał Clee i westchnął ciężko.

Luke Michaels, siedzący obok niego, spojrział zdumiony. - Coś nie tak?

- Zastanawiałem się właśnie, jak długo jeszcze będzie tu stała - mruknął Clee, wskazując na statwę.

- Kto wie... - Luke wzruszył ramionami, przeczesał dłonią ciemnorude włosy i zwrócił ku niemu swą piegowatą, pełną powagi twarz. - Może zawsze?

Clee roześmiał się bez przekonania. - Moim zdaniem to kwestia najwyżej paru dni, zanim zostanie doszczętnie zniszczona. Zapewniam cię, Luke: od dziś za tydzień nie będzie już tu stała.

- Tak, może masz rację, to prawdziwy cierń w oku Tenga. I wszystkich z tej kliky. Banda Starców nie może znieść tego widoku, uznała to za prowokację. Z mojej strony było to pobożne życzenie, kiedy mówiłem, że statua

będzie może stała wiecznie. Chciałem w ten sposób złożyć hołd tym dzieciakom.

- Tu, w tym kraju, nikt nie zamierza składać im hołdu, jedynie my - przedstawiciele prasy zagranicznej. Musimy stale opowiadać całemu światu o tych młodych ludziach i ich walce, robić wszystko co w naszej mocy, aby im pomóc.

Luke skinął głową i zmienił nieco pozycję. Oparł się plecami o zimny mur, po czym zamknął oczy. Fotoreporterzy w rodzaju Clee i korespondenci tacy jak Nicky, ryzykowali własnym życiem, aby przedstawić prawdę opinii publicznej. Inspirowali też innych. Luke podziwiał zwłaszcza Nicky Wells. Stanowiła typ wspaniałego kolegi po fachu, na którym można polegać. Nie był jeszcze żonaty, nawet nie spotykał się z nikim specjalnym, ale miał nadzieję, że kiedy nadejdzie pora, znajdzie dla siebie kobietę taką jak Nicky. Emanowało z niej coś ciepłego i kojącego, była tolerancyjna wobec innych.

W jej ekipie przebywał od ponad roku i w tym czasie, pracując u jej boku, widział i nauczył się naprawdę wiele. Miał dwadzieścia siedem lat, a w telewizji działał dopiero od pięciu lat, rozumiał więc, że istnieje mnóstwo spraw, w których może być uważany za żółtodzioba. Jednak Nicky zachowywała się wobec niego od samego początku nadzwyczaj życzliwie, traktowała go nawet jak weterana. Przywiązywała dużą wagę do punktualności i nie tylko, była perfekcjonistką i czasem dawała się nieźle we znaki. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest specem w swojej dziedzinie, on zaś uczyniłby dla niej wszystko.

Życzył jej, aby natrafiła w życiu na odpowiedniego mężczyznę. Czasem sprawiała wrażenie smutnej, jej oczy przesłaniała mgła, tak jakby przypominała sobie coś

bolesnego. Na jej temat krążyły osobliwe pogłoski, zwłaszcza o mężczyźnie, którego kochała, zanim jeszcze Luke znalazł się w jej ekipie. Podobno potraktował ją okropnie. Arch i Jimmy byli w tym względzie dyskretni, nie opowiadali mu, co się stało, on natomiast nie zamierzał zadawać zbyt wielu pytań. W duchu jednak powtarzał sobie, że to nie w porządku: Nicky nie powinna być sama. Taka piękna kobieta... Doprawdy, szkoda...

- Luke! Luke!

Na dźwięk swego imienia Luke rozejrzał się dokoła i wśród ludzi tłoczących się jak zwykle wokół pomnika, kwatery głównej studentów, dostrzegł swojego kolegę, Tony'ego Marsdena, który dawał mu jakieś znaki.

Odpowiedział energicznym ruchem ręki i wstał.

- Pójdę, zobaczę o co chodzi - powiedział do Clea. - Może Tony dowiedział się o czymś, czego my jeszcze nie wiemy, może zdobył jakieś świeże informacje. Zaraz wrócę.

- Nie musisz się śpieszyć - odparł Clea i zerknął przełotnie na plac. Wiedział, że niedługo opuści Chiny; koniec zbliżał się nieuchronnie. Przygnębiony, z głową skrytą w dłoniach, rozmyślał o studentach. Byli tak bardzo przepełnieni ideałami, tak niewinni i odważni! Kiedy niemal przed sześcioma tygodniami przybył po raz pierwszy do Pekinu, dostrzegł w nich podniecenie i nadzieję. Wypowiadali elektryzujące słowa o wolności i demokracji, śpiewali swoje pieśni i przygrywali sobie na gitarach.

Dziś gitary milczały, niebawem miały też ucichnąć ich głosy. Clea wzdrygnął się. Nie chciał myśleć o ich losie, wiedział, że grozi im olbrzymie niebezpieczeństwo. Nie rozmawiał na ten temat ani z Nicky, ani z innymi. Nie

musiał; wszyscy wiedzieli, że studentom nie pozostało już wiele czasu.

Podniósł głowę i w pewnej chwili zauważył Nicky, która zbliżała się do pomnika. Podobnie jak aleja Changan, również plac Tiananmen był doskonale oświetlony, a sprawiały to liczne latarnie, każda z nich wyposażona w dziewięć lamp oprawionych w białe mleczne szkło. Odnosiło się wrażenie, jakby nadal trwał dzień. Gdyby ktoś chciał, mógłby bez trudu zająć się tu czytaniem książek.

Nicky zbliżała się do pomnika i Clee uśmiechnął się uradowany. Zszedł na dół i wybiegł jej na spotkanie, przepychając się przez tłum. - Czułem, że niedługo przyjdiesz - powiedział, witając się z nią.

Skinęła głową. - Musiałam przyjść, Clee. Instynkt podpowiada mi, że sytuacja staje się krytyczna.

- Z całą pewnością - potwierdził. Ujął ją pod ramię i odprowadził na bok. - Przejdźmy się trochę, muszę rozprostować nogi. Siedzę pod tym pomnikiem już od godziny.

- Świetnie, mnie też przyda się spacer. Może spotkamy gdzieś Yoyo. Zazwyczaj przebywa w towarzystwie Chai Ling i innych przywódców studenckich, mógł więc dowiedzieć się czegoś nowego.

- Jest w stałym kontakcie z Latającymi Tygrysami. W ciągu ostatniej godziny widziałem kilku z nich, jak pędzili na swoich maszynach - odparł Clee, mając na myśli grupę młodych motocyklistów, którzy przemierzali Pekin wzdłuż i wszerz, rozwożąc wiadomości, donosząc o ruchach wojsk i akcjach milicji; jednym słowem: pomagając studentom.

- Yoyo jest zapewne przy namiotach - powiedziała Nicky. - Może pójdziemy tam?

- Owszem, to dobry pomysł.

- A gdzie Luke? Arch mówił, że powinien teraz być z tobą.

- Właśnie przed chwilą odszedł z Tonym Marsdenem, tym facetem z BBC. Na pewno kręca w pobliżu. Jest ci potrzebny?

- Nie, po prostu byłam ciekawa. A skoro już mowa o BBC, czy nie widziałeś dziś Kate Adie?

Potrząsnął przecząco głową, na co Nicky mruknęła: - To dziwne, zazwyczaj wyprzedza mnie wszędzie o krok.

Clee zachichotał. - Twoja brytyjska konkurentka często dotrzymuje ci kroku, nieraz zostaje nieco w tyle, ale jeszcze nigdy nie zdołała cię wyprzedzić.

Nicky roześmiała się. - Dzięki za komplement, jesteś bardzo miły.

- Proszę bardzo. W każdym razie Kate przebywa także prawdopodobnie gdzieś w tłumie. Dziś roi się tam od korespondentów zagranicznych, niewątpliwie zwęszyli, co wiśi w powietrzu.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Ty też jesteś zdania, że coś się szykuje?

- Tak. Studenci i rząd weszli w impas. Ktoś musi za to zapłacić, a obawiam się, że tym kimś będą studenci, przeciw którym wystąpią duże siły.

Mimo ciepłego wieczoru Nicky zadygotała. - Gdzie masz aparat?

- Wiśi pod kurtką. Moi koledzy z Magnum i Associated Press mają zamiar zrobić to samo co ja, podobnie jak większość innych fotoreporterów.

- Clee... Tu zrobi się niebezpiecznie... już niedługo.

- Ja też tak sądzę. I zanim mnie o to poprosisz... tak, przyrzekam, że będę ostrożny. - Uśmiechnął się blade. - Tak ostrożny jak ty.

- Nigdy nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka, wbrew temu, co myśli o mnie Arch. Staram się nie wywoływać wilka z lasu.

- To jedna z naszych wspólnych cech - mruknął Clee.

- A są jeszcze inne?

- Owszem. Oboje mamy nerwy ze stali.

- Chyba tak - przyznała z uśmiechem. - I dobrze, że tak jest. W naszym zawodzie to niezbędne. Podobnie jak szósty zmysł do wyczuwania niebezpieczeństwa.

Kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Przez parę minut szli w milczeniu, a kiedy znaleźli się w pobliżu namiotów, Nicky szepnęła: - Wiesz, to miejsce naprawdę zaczęło żyć własnym życiem. Kiedy tak się patrzy na te namioty... To zupełnie jak małe miasteczko albo...

- Dzielnica slumsów - wtrącił Clee.

- Właśnie. Czy dziś też tak cuchnie jak wczoraj?

- Chyba usunęli już te śmieci, W każdym razie powietrze jest czyste.

- Wczoraj, kiedy przyszedłem tu szukając Yoyo, śmierdziało. To najodpowiedniejsze określenie. Ten odór był okropny - coś jakby zgniłe jedzenie, niemyte ciała i nie wiadomo, co jeszcze. Naprawdę, aż robiło się niedobrze.

Niebawem znaleźli się na terenie obozowiska. Powietrze było rzeczywiście wolne od wszelkich nieprzyjemnych zapachów, wyglądało na to, że ktoś posprzątał i wywiózł śmieci.

Ponownie Nicky spojrzała z podziwem na równą linię oliwkowozielonych namiotów, przestronnych i nieprzemakalnych, przysłanych z Hongkongu. Ustawiono je z niemal wojskową precyzją, a każdą grupę namiotów

oznaczono literami, rozróżniając w ten sposób poszczególne delegacje uniwersyteckie ze wszystkich prowincji Chin.

Już kilka tygodni temu odkryła, że większość studentów sypia w ciągu dnia, ponieważ do akcji przystępują nocami. Teraz namioty były przeważnie opustoszałe, jakkolwiek tu i ówdzie dostrzegła jeszcze maruderów, czyniących ostatnie przygotowania do reszty wieczoru i nocy.

Dokoła kręcili się sprzedawcy, oferując wodę sodową, lody, lemoniadę i rozmaite ciasteczka.

Clee zerknął na Nicky. - Chcesz się napić?

Potrząsnęła głową.

Młody student, Chi Yong Yu, nazwany przez innych Yoyo, stał obok swego namiotu z jakąś młodą kobietą. Oboje mieli na sobie niebieskie dżinsy i białe bawełniane koszule. Dziewczyna była urodziwa i sprawiała wrażenie rówieśniczki Yoyo, który miał dwadzieścia dwa lata. Nicky nie wiedziała, czy to jego przyjaciółka. W każdym razie wspomniał o niej niedawno w rozmowie, poinformował też, że przez parę ostatnich tygodni przebywała w Szanghaju z wizytą u swoich krewnych. Teraz oboje rozprawiali o czymś z ożywieniem, ale na widok Nicky i Clee młodzieniec pomachał do nich ręką, powiedział coś do dziewczyny i podbiegł, witając ich entuzjastycznie.

Studiował sztukę, a Nicky poznała go przypadkowo na Tiananmen, kiedy przyjechała do Pekinu. Zagadywała wówczas wielu studentów, mając nadzieję, że znajdzie wśród nich kogoś, kto rozumie po angielsku. Yoyo podszedł do niej uśmiechnięty i łamaną, lecz zrozumiałą angielszczyzną oznajmił, że bardzo chętnie pomoże jej, o ile tylko zdoła. Potem okazał się użyteczny w wielu sytuacjach; przekazywał jej rozmaite informacje, przedstawił

przywódcom studenckim takim jak Chai Ling i Wuer Kaixi, w ogóle informował ją na bieżąco o nastrojach i zamierzeniach studentów. Był nie tylko przyjaźnie nastawiony, ale również bystry, tak więc bardzo szybko polubiła go, podobnie jak reszta ekipy i Clee. Teraz martwili się o niego, niepokoił ich jego przyszły los, to, co z nim się stanie, kiedy będzie już po wszystkim.

- Nicky! - zawołał, podchodząc do niej z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Witaj, Yoyo - odparła i potrząsnęła energicznie jego dłonią. - Clee i ja szukaliśmy cię wszędzie.

- Dobry wieczór, Clee - powiedział Yoyo.

- Cześć! Coś nowego? - zapytał Clee, podając mu rękę.

Twarz młodzieńca zachmurzyła się od razu. - Złe nadchodzi. Wojsko rzuca z helikopterów gaz łzawiący. Na plac. Dziś w nocy. Macie maski? No i kierują tu żołnierzy.

- Dziś w nocy? Oddziały żołnierzy mają nadejść tu dziś w nocy? - dopytywała się Nicky.

Yoyo skinął głową. - Słyszałem, że żołnierze są ukryci w domach blisko placu. Przyjdą tu. To pewne. Złe rzeczy się dzieją. Powiecie światu, prawda?

- Oczywiście, Yoyo, informujemy o tym świat cały czas - zapewniła go Nicky. - Ale ty naprawdę myślisz, że Ludowa Armia Wyzwoleńcza otworzy ogień do ludzi?

- O tak! Tak! - Skwapliwie pokiwał głową. - Niektórzy studenci mówią: nie, to niemożliwe. Ludowa Armia Wyzwoleńcza, nasza armia, nie będzie do nas strzelać. Tak mówią niektórzy. Ale to głupcy. Armia jest bardzo posłuszna, zdyscyplinowana. Armia wykonuje rozkazy. Tak właśnie jest, wiem o tym.

Nicky wpatrywała się w niego, jej mądre, czyste oczy zdawały się przewiercać jego twarz na wylot.

- Powinieneś opuścić ten plac. Teraz, natychmiast. Dopóki to jeszcze możliwe i bezpieczne.

- Tak byłoby mądrze, prawda - przyznał Yoyo. - Ale nikt nie odejdzie stąd, Nicky. Nikt się nie zgodzi. Będzie krwawa noc.

Znowu przeszedł ją zimny dreszcz. Spojrzała znacząco na Clee, jak gdyby prosiła go o pomoc.

- A co z Chai Ling i innymi przywódcami? - zapytał Clee. - Czy oni nie mogliby namówić studentów do opuszczenia tego placu?

Yoyo wzruszył ramionami. - Nie wiem.

- Gdzie oni teraz są? - Clee nie dawał za wygraną.

- Nie widziałem ich dziś. Chcecie pić? Woda sodowa?

- Nie, dzięki - odparł Clee.

Nicky potrząsnęła tylko głową.

Chińczyk rozmyślał nad czymś przez chwilę, następnie zauważył: - Nasi stracili ducha, kiedy ogłoszono stan wyjątkowy. Studenci bardzo przygnębieni. Tak, lepiej byłoby stąd odejść. Ale oni nie zrobią tego. To nie skończy się dobrze.

- Chodź z nami - powiedziała z naciskiem Nicky. - Chodź, idziemy pod Pomnik Męczeństwa.

Weź jedną z tych tub, jakich używacie, i przekazaj studentom wiadomość. Na pewno cię posłuchają, jesteś przecież jednym z ich przywódców. Poproś ich, żeby opuścili ten plac, błagaj ich o to, jeśli to będzie konieczne. I musisz zniknąć stąd, jak oni. Jeśli ty i inni studenci uczynicie to w porę, ocalicie swoje życie. Proszę, Yoyo, zrób to. Byłby to akt dużej odwagi, gdybyś zdołał wyprowadzić studentów z placu Tiananmen. Byłby to dobry uczynek.

Wiedzioną impulsem wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu. - Proszę cię, Yoyo, nie zostawajcie tu. Ciebie i pozostałych mogłaby spotkać śmierć.

Wyglądało na to, że jej słowa dotarły wreszcie do jego świadomości. - Dobrze, przyjdę pod pomnik. Niedługo. Przeprowadzę Mai, moją przyjaciółkę. Idź, Nicky. Ja niedługo przyjdę. Obiecuję.

- Będziemy na ciebie czekać, ale śpiesz się, Yoyo. Zostało mało czasu.

* * *

Kiedy Nicky i Clee doszli do Pomnika Męczeństwa, zastali tam Luke'a, który czekał na nich. Nicky opowiedziała mu o Yoyo, przekazała też informację o oddziałach żołnierzy, które miały nadciągnąć jeszcze w nocy albo nad ranem.

- Jezu! - chwycił się za głowę Luke. - Jeśli naprawdę do tego dojdzie, te dzieciaki nie mają najmniejszej szansy!

- W tej chwili wyrażają protest na siedząco - oświadczyła Nicky. - Skupili się na stosunkowo małej przestrzeni, jeśli porównać ją z ogromem całego placu, opustoszałego teraz w trzech czwartych. Jeśli wojsko nadejdzie od drugiej strony, będzie musiało przejść do nich przez tę większą część terenu.

- To prawda - mruknął Luke.

- Miejmy nadzieję, że Yoyo zdoła namówić studentów do opuszczenia placu, zanim do tego dojdzie - powiedział Clee.

Nicky milczała, jej twarz wyrażała niepokój. Po chwili odetchnęła z ulgą. - Już idzie, dzięki Bogu. Możemy podsadzić go na pomnik, niech stanie tam z tubą i przynajmniej ostrzeże innych.

Yoyo i Mai podeszli bliżej, trzymając się za ręce.

- Oto moja przyjaciółka, Mai. Jej angielski nie jest za bardzo dobry.

- To nic - odparła Nicky, uśmiechając się ciepło.

Obserwowała dziewczynę nieco zaskoczona. Kiedy widziała ją trochę wcześniej, nie dostrzegła, jak jest piękna. Mai miała śliczne rysy, czarne, migdałowe oczy, ogromne na słodkiej, niewinnej twarzyczce i długie czarne, połyskliwe włosy. Była drobna i smukła, wszystko w niej było delikatne. Przywodziła na myśl uroczą małą lalkę.

Nicky wyciągnęła rękę. - Cieszę się, że mogę cię poznać, Mai.

Dziewczyna nieśmiało odwzajemniła uśmiech, prezentując nieskazitelnie białe zęby. Ucisnęła dłoń Nicky zdumiewająco mocno i szepnęła:

- Haj!

Następnie podała rękę obu mężczyznom, najwyraźniej oczarowanym jej urodą. Nicky spojrzała na Yoyo. - Masz tubę?

- Niepotrzebna. Ja nie przemawiam. Chai Ling będzie przemawiać. Potem.

- Widziałeś się z nią? - zapytała Nicky. Jej głos przybrał raptem ostre brzmienie.

- Tak, koło Bogini. Chai Ling weźmie tubę, powie studentom, żeby szli do domu. Obiecała.

- Miejmy nadzieję, że dotrzyma obietnicy - mruknął Clee.

Usiedli na stopniach okalających pomnik, czekając na Archa i Jimmy'ego. Jak również - taką mieli nadzieję - na Chai Ling, studentkę ostatniego roku psychologii na Uniwersytecie Pekinińskim, która była niekwestionowanym przywódcą studentów i demonstrantów z placu Tiananmen.

* * *

Była prawie pierwsza w nocy 3 czerwca, kiedy zjawili się wreszcie Arch i Jimmy. Wbiegli na plac zziębnięci, a Nicky natychmiast zwróciła uwagę na ich zatroskane twarze.

- Co się stało?! - zawołała, patrząc badawczo to na jednego, to na drugiego.

Arch łapał jeszcze przez chwilę oddech, wreszcie wykrztusił: - Wojsko! Nadchodzi aleją Changan! Szliśmy właśnie na plac i nagle zobaczyliśmy ich...

- Zatrzymał ich tłum ludzi - przerwał mu Jimmy.

- Jak to? - zdumiała się Nicky.

- Mieszkańcy Pekinu utworzyli żywą barykadę. Z siebie samych. Barykadę z ludzi. Żeby nie dopuścić żołnierzy na plac! - wyjaśniał Jimmy.

- To ci dopiero! - wykrzyknął Luke.

Clee nie czekał na dalsze wyjaśnienia, to samo Nicky. Jednocześnie zerwali się z miejsc i pobiegli co sił w stronę Bramy Tiananmen, wychodzącej na aleję Changan. Tuż za nimi biegł Yoyo, trzymając za rękę Mai, a za nimi Luke, który niebawem dogonił Clee i Nicky. Arch i Jimmy stali jeszcze przez parę sekund, aby odpocząć chociaż trochę, potem i oni poszli za innymi.

Nicky i Clee pierwsi dotarli do tłumów wypełniających całą aleję Changan i w tej samej chwili zostali rozdzieleni przez kłębiące się masy ludzi.

Nigdy dotąd Nicky nie widziała czegoś podobnego. To, co powiedział Jimmy, było prawdą - ludzie rzeczywiście stworzyli żywą tamę, nie pozwalali żołnierzom przejść dalej, zatrzymali ich dosłownie własnymi ciałami. W pewnej chwili dostrzegła, że nawet spychają ich do tyłu! I w ogóle - cóż to za żołnierze? Przecież to dzieciaki,

pomyślała zaskoczona. Naprawdę dzieciaki; wyglądali na młodszych niż studenci!

Nie zastanawiając się nad swoim bezpieczeństwem, Nicky złączyła się z tłumem, poczęła przepychać się do przodu. Musiała być bliżej centrum wydarzeń. Wkrótce uświadomiła sobie, że wcale nie musi się przeciskać; wystarczy dać się bezwolnie ponieść z prądem w tłumie, który parł właśnie tam, gdzie chciała dotrzeć. Kilkakrotnie popchnięta przez innych, niemal upadła na ulicę. W pewnej chwili, czując, że nie powstrzyma naporu z tyłu, wyciągnęła rękę i rozpaczliwie uchwyciła się ramienia idącego przed nią mężczyzny. Odwrócił się ku niej, jakby zagniewany, ale potem czym prędzej pomógł jej odzyskać równowagę. Jakaś młoda kobieta uczepiła się jej kurtki i tak, jakby złączeni, wszyscy sunęli przed siebie, zbliżając się do żołnierzy. Ludzie napierali ze wszystkich stron i Nicky modliła się w duchu, aby nie upaść i nie dać się stratować.

Czuła, że narasta w niej panika, przeszła ją myśl, że może zostać zmiażdżona, i w tym momencie poczuła czyjąś rękę, która gwałtownie pociągnęła ją za łokieć. Zerknęła przez ramię i dostrzegła Archa.

- Dziękuję - odetchnęła z ulgą. Usiłując przekrzyczeć gwar, zawołała: - Żołnierze wyglądają na nieuzbrojonych. - I na śmiertelnie przerażonych.

Wśród gniewnych okrzyków pekińczycy przesuwali się do przodu zwartą, kłębiącą się masą. Byli teraz niczym potężna fala przyływu, z którą dryfowali Nicky i Arch.

Tuż przed nimi wyrósł raptem mur żołnierzy, z których żaden zdawał się nie mieć więcej niż osiemnaście lat. Ludzie popychali ich, wymyślali im machając rękoma

i Nicky zrozumiała, że rozjuszeni mieszkańcy Pekinu strofują ich, tak jakby mieli przed sobą własnych synów. Większość żołnierzy zgubiła już szyk, potęgując ogólne zamieszanie. Wielu z nich załamało się i płakało jak małe dzieci.

Nicky przylgnęła do Archa. - Oni nie mają w ogóle pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi! - zawołała.

- Na to wygląda - odparł i objął ją w pól, aby uchronić ją przed tłumem.

Powiodła dokoła wzrokiem i dostrzegła Jimmy'ego, który przeciskał się w ich kierunku.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak zdołał ich odnaleźć. Zjawił się jakby znikąd, chwycił ją za rękę i zawołał: - Chodźmy, musimy wydostać się stąd!

Przy użyciu siły obaj z Archem zdołali wypchnąć Nicky z tłumy i w końcu znaleźli się na poboczu ulicy. Zdyszani stanęli pod jednym z drzew rosnących przy szerokiej alei Changan i odetchnęli z ulgą. Kiedy otrzępywali ubrania, Arch zauważył:

- Sądząc po wyglądzie tych żołnierzy, groziło nam raczej stratowanie przez cywilów, niż śmierć od kul.

- Powinniśmy zostać tu trochę i popatrzeć, co się będzie działo - zaproponowała Nicky.

- Coś takiego! - zawołał zdumiony Jimmy. - To zupełnie do ciebie niepodobne! Odkąd to stoisz na uboczu jako widz? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Ale masz rację, musimy zachować ostrożność. Być teraz w środku tego tłumy to tak, jakby stanąć naprzeciw pędzącego stada spłoszonych bawołów. Zresztą popatrzcie, cóż to za armia! Mają menażki i plecaki, ale żadnej broni! - Pokręcił głową, jakby sam w to nie wierzył.

- Przecież mówiłam, że oni nie są uzbrojeni - przypomniała mu Nicky.

Kilka minut później dołączył do nich Clee. Włosy miał zmierzwione, rozerwaną kurtkę, nie odniósł jednak żadnych obrażeń. Przytrzymał ręką nikona, zawieszono go na szyi, w jego ciemnych oczach płonęły iskierki triumfu.

- Zrobiłem trochę wspaniałych ujęć - oświadczył.

- Czy nie ryzykujesz zbyt wiele, afiszując się z aparatem? - zapytał Jimmy, zerkając na nikona. - Mogli przecież zerwać ci go z szyi i zniszczyć.

- Nie w tym tłumie, ci ludzie są po mojej stronie. Po NASZEJ stronie. Oni właśnie chcą, żeby robić zdjęcia, powtarzają w kółko: powiedzcie światu, powiedzcie światu.

- Ale milicja... - zaczął Arch i umilkł. - No tak, w okolicy nie ma chyba w ogóle milicji - mruknął.

- Raczej nie - odparł Clee. - W każdym razie nie w tej chwili.

- Może powinienem pójść po kamery, spróbować nagrać z Nicky coś na żywo - zaproponował Jimmy, spoglądając na Archa. - Mogłoby się nam udać.

- Nie - głos Archa nie dopuszczał sprzeciwu.

- Pofilmujemy później z balkonu, Jimmy. Tak jak zaplanowaliśmy. A ja przeprowadzę narrację telefoniczną - powiedziała Nicky. Wiedziała, że kiedy Arch decyduje się na zachowanie środków ostrożności, dyskusja z nim nie ma sensu. Nie po raz pierwszy znajdowali się razem w sytuacji podobnej do tej, balansując nad przepaścią, nigdy jednak Arch nie mrugnął nawet okiem, ani słowem nie wspominał o niebezpieczeństwie. Tymczasem tu, w Pekinie, nawoływał bez przerwy do rozważy, od pierwszej chwili. Nie mogła zrozumieć dlaczego, postanowiła już

wcześniej, że zapyta go o to, jednak z tym mogła jeszcze trochę poczekać. Teraz nie pora na to. Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem Luke'a, ale nie dostrzegła go nigdzie. Nie było też Yoyo i Mai. Zniknęli gdzieś wśród tego mrowia ludzi wypełniających aleję.

Dopiero po chwili zauważyła Luke'a i odetchnęła z ulgą. U jego boku szli Yoyo i Mai. Dziewczyna utykała, najwidoczniej coś jej się stało w nogę. Yoyo podtrzymywał ją troskliwie.

- Co się stało? - zapytała Nicky, kiedy podbiegła do nich bliżej.

- Nic takiego - odparł Yoyo. - Ktoś stanął jej na nodze. Wszystko okay.

Nicky objęła dziewczynę w pół i cała czwórka dołączyła do reszty.

- To cud, że oprócz Mai nikomu z nas nic się nie stało - szepnął Nicky Luke. - Wszystko w porządku, prawda?

- Tak, Luke, dziękuję.

Usiedli pod drzewem, aby ochłonać trochę i wypocząć. Wiał lekki wiatr, powietrze było ciepłe, niemal duszne i Nicky oraz Clee zdjęli kurtki. Arch poczęstował wszystkich papierosami, ale zapalił jedynie Yoyo.

Nicky przechyliła się ku niemu. - Dowiedziałeś się czegoś? Skąd wzięły się te oddziały wojska? Co się w ogóle dzieje?

Yoyo zaciągnął się łapczywie. - Żołnierze przybyli z daleka - odparł po chwili. - Spoza Pekinu. Maszerowali wiele godzin. Myśleli na początku, że to manewry, tak powiedzieli im dowódcy. Potem powiedzieli im, że trzeba uspokoić wichrzycieli. Oni nie rozumieli tego, bali się. To młodzi chłopcy. Ludzie pouczali ich, mówili, żeby nie

robić studentom krzywdy. Żołnierze nie znają Pekinu, nie wiedzą nawet tam u siebie, gdzie to jest. Oni nie będą walczyć, Nicky. Za bardzo się boją.

- Dzięki Bogu i za to! - zawołała Nicky.

- A gdzie helikoptery? - zapytał Clee, obserwując z uwagą nocne niebo.

- Teraz nie latają - odparł Yoyo z przekonaniem. - Nie ma gazu łzawiącego.

Przez chwilę panowało milczenie, przerwane w końcu przez Nicky: - Ludowa Armia Wyzwoleńcza przybyła do Pekinu, aby stłumić demonstrację studencką, a tymczasem sama została pokonana przez tutejszych mieszkańców. Nie oddano nawet jednego strzału.

Właśnie tymi słowami rozpoczęła kilka godzin później swoją conocną korespondencję informacyjną dla Stanów Zjednoczonych.

* * *

Sobotni poranek wstał pogodny i słoneczny.

Młodzi żołnierze, całkowicie zdezorientowani i przygnębieni, rozpoczęli odwrót z alei Changan. Pekinńczycy natomiast udali się do domów lub do swoich miejsc pracy. Studenci powrócili do namiotów na wytęskniony odpoczynek i nad Changan oraz placem Tiananmen nastął spokój. Raptem zapanowały znowu porządek i normalność: na to przynajmniej wyglądało.

Jednak Nicky była przekonana, że to jedynie pozory, że rozwiązanie problemu zostało tylko odroczone - i to nie na długo. Najwyżej na kilkanaście godzin. Przewidywała, że rząd chiński zastosuje teraz twardą politykę, obarczając całą winą studentów, jakkolwiek to mieszkańcy

miasta stawiali opór oddziałom wojska, nie dopuszczając ich na plac. I, stosownie do sytuacji, tym razem należało się liczyć z użyciem przez władze większej siły i przemocy.

Po kilkugodzinnej drzemce i przygotowaniu kolejnej audycji Nicky spędziła na placu niemal cały dzień, kręcąc się tu i tam. Wszechobecne napięcie i lęk, które wyczuwała swoim nieomylnym instynktem, świadczyły o tym, jak pozorny jest spokój. Obawy te wypowiedziała na głos, kiedy w sobotnie popołudnie siedziała wraz z Clee w restauracji hotelowej Western Dining Room. Nachylając się nad stolikiem, dodała: - Rozprawa z demonstrantami wisi nadal w powietrzu. Jestem tego pewna.

- Ja również - poparł Clee i upił łyk kawy. Odstawił filiżankę, po czym zauważył nieco przyciszonym głosem: - Rząd pragnie obecnie za wszelką cenę usunąć te dzieciaki z placu. Z każdą chwilą traci prestiż na Zachodzie i nie potrafi tego znieść. Powiem ci coś jeszcze, Nick. Jeśli do tego dojdzie, stanie się to bardzo szybko. W poniedziałek będzie już po wszystkim, a skutki okażą się straszliwe. Aresztowania, rozprawy sądowe, represje i Bóg wie, co jeszcze.

- Martwię się o Yoyo - przyznała Nicky. - Znalazł się w samym sercu wydarzeń i jest jednym z przywódców. Byłoby dobrze wywieźć go z Pekinu.

- Możemy to zrobić - zapewnił ją Clee. - I tak się składa, że wyjęłaś mi te słowa z ust. Właśnie rozmyślałem o tym, żeby dać mu pieniądze na bilet lotniczy do Hongkongu. Mógłby polecieć z nami, kiedy przyjdzie na to pora, a tam zadecyduje sam, co chciałby robić dalej.

- Złożę się z tobą na ten bilet.
- To zbyt uczciwe... - zaczął, ale widząc wyraz jej twarzy, dokończył: - W porządku, niech i tak będzie.
- Jest jeszcze jeden problem.
- Jaki?
- Mai. Yoyo nie wyjedzie bez niej z Pekinu.
- A więc damy mu tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na dwa bilety. Nie mógłbym żyć potem ze świadomością, że zostawiłem tych dwoje bez pomocy. Ty też byś nie mogła, Nicky, wiem o tym. Na pewno Arch i reszta myślą tak samo. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Niech Mai poleci z nami, czemu nie? W gromadzie różniej.

Nicky spojrzała na niego. - Dobry z ciebie człowiek, Clee Donovan - powiedziała.

- Z ciebie również, Nicky Wells. - Umilkł na chwilę, a potem zapytał: - Dokąd zamierzasz się udać, kiedy już stąd wyjedziemy?

- Stąd oczywiście do Hongkongu, następnie do Nowego Jorku. A ty?

- Wracam do Paryża. Ale pod koniec miesiąca przylecę chyba do Nowego Jorku. Kiedy zadzwoniłem w nocy, a raczej dziś nad ranem, do mego biura, Jean-Claude zaproponował mi pracę tym razem dla magazynu *Life*, gdybym miał na to ochotę. I chyba przyjmę tę propozycję. Nie mam nic przeciw temu, aby znaleźć się na kilka tygodni znowu w Stanach.

- Chodźmy już - poprosiła Nicky. - Wracajmy na plac, zobaczymy, co się dzieje. Kiedy nie ma mnie tam zbyt długo, zacznę się denerwować.

Rozdział 4

Masakra rozpoczęła się tuż po dziesiątej wieczorem, w sobotę.

Nicky i Clee oraz Yoyo i Mai stali w tym czasie w pobliżu Pomnika Męczeństwa. Z tłumem licznych dziennikarzy, głównie Amerykanów i Brytyjczyków, który otaczał pomnik, mieszała się także Arch, Jimmy i Luke. Porównywano notatki, usiłując przewidzieć, co stanie się w najbliższej przyszłości.

Nicky szeptała do Yoyo z naciskiem i powagą. Starła się, aby jej słowa brzmiały przekonująco, jak to tylko możliwe.

- Proszę cię, Yoyo, weź te pieniądze. Wiem, jaki jesteś ambitny, ale to naprawdę nie pora na kierowanie się dumą. Musisz zachować rozsądek. Posłuchaj, my nalegamy, żebyś wziął od nas te trzy tysiące dolarów. Dzięki nim ty i Mai wydostaniecie się z Pekinu. Naszym zdaniem powinniście opuścić to miasto już jutro, bez względu na dalszy rozwój sytuacji. Na bilety złożyliśmy się wszyscy, cała nasza piątka. Chcemy ci pomóc... W końcu ty też nam pomogłeś. Za bardzo nam jesteś bliski, abyśmy pozwolili ci tu zostać.

- To za dużo pieniędzy - odparł Yoyo. - Dziękuję, ale nie. - Przez chwilę kręcił głową. - Clee, jesteś wspaniałym facet. Wy wszyscy jesteście wspaniali. Ale ja nie mogę brać tych pieniędzy.

- Daj spokój, Yoyo, nie bądź taki uparty - odezwała się Nicky. - Proszę, weź pieniądze, jeśli nie dla własnego dobra, to dla Mai. Pomyśl o niej, o jej bezpieczeństwie.

Młody Chińczyk ponownie pokręcił głową.

Clee postanowił uprościć sprawę i przejąć inicjatywę. - Już wiem, co zrobię - oznajmił stanowczo. - Pójdę kupić dwa bilety lotnicze, dla ciebie i Mai. Zrobię to jutro...

- Za dużo pieniędzy, Clee - przerwał mu Yoyo. Umilkł i w jego głosie zabrzmiała nagle obca nuta, kiedy dodał po chwili. - Okay, pomyślę... - Znowu umilkł i przechylił głowę, nasłuchując z uwagą, po czym zerknął zaniepokojony na Nicky. - Co to, strzelają?

- Tak - odparła. Zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z Clee, a ten bez słowa ruszył przed siebie. Pobiegła za nim; taki obrót sprawy nie pozwalał im myśleć o niczym innym.

Strzały usłyszeli wszyscy zgromadzeni w bezpośrednim sąsiedztwie pomnika; korespondenci, fotoreporterzy i operatorzy telewizyjni nie tracąc czasu puścili się pędem za Clee i Nicky, na przełaj przez plac, w stronę alei Changan.

W ogólnym zamieszaniu i chaosie Nicky straciła niewątpliwie Clee z oczu. Szeroką ulicę wypełniały teraz pojazdy opancerzone sunące ze złowieszczym warkotem, żołnierze uzbrojeni byli w karabiny bojowe AK-47; nie ulegało wątpliwości, że wojsko zdąży na plac Tiananmen i otrzymało rozkaz wdrzeć się tam szturmem, o ile to będzie konieczne. Już wcześniej krążyły pogłoski o dyspozycji wydanej dowódcom wojskowym przez Tenga: „Należy zdobyć plac za wszelką cenę”. Nicky była przekonana, że tym razem wojsko spełni rozkaz.

Swoje mordercze intencje zademonstrowało zresztą już wcześniej, po południu; w zachodniej części placu, tuż obok Hali Ludowej, żołnierze pobili demonstrantów, którzy usiłowali zagrozić im drogę. Jak dotąd, nie

oddano wprawdzie żadnych strzałów, w znacznym stopniu dopuszczono się jednak przemocy, a w pewnym momencie żołnierze użyli nawet gazów łzawiących. Ludzie, rozjuszeni takim postępowaniem, obrzucili ich kamieniami i ceglami, co sprawiło, że w ruch poszły pałki gumowe, studzące protesty.

Owa potyczka była jedynie wstępem do tego, co działo się teraz. Doświadczenie, nabyte przez lata pracy, jak również wiedza o związanych z tą sytuacją politykach, podpowiadały Nicky oraz Clee, że w ciągu dwudziestu czterech godzin dojdzie do drastycznej kulminacji wydarzeń.

Nieoczekiwanie żołnierze, którzy jeszcze przed chwilą oddawali strzały w powietrze, wycelowali w tłum, w studentów tłoczących się na chodnikach, i otworzyli ogień. Z niedowierzaniem, jakby osłupiała, Nicky patrzyła na demonstrantów, którzy wyjąc niczym zranione zwierzęta, parli przed siebie i dawali upust przepelniającej ich serca wściekłości: chwytali wszystko, co wpadło im w ręce - kamienie z bruku, cegły, kawałki żeliwnych rur - po czym ciskali tym w żołnierzy. Odpowiadały im mordercze strzały z karabinów. Ludzie, trafiani przez pociski, padali na ziemię, krzyczeli ze strachu.

Rozpoczęła się rzeź.

Nicky stała jak sparaliżowana, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu, wstrząśnięta tym, co rozgrywało się na jej oczach. Jakaś kobieta, która znalazła się przy niej, ścisnęła ją za rękę i zawołała po angielsku: - Armia Ludowa zabija nas... cywilów! To mordercy! Łajdaki!

- Proszę tu nie stać! Niech pani wraca do domu! - poradziła jej Nicky. - Tu jest bardzo niebezpiecznie. Niechże pani WRACA DO DOMU!

Jednak kobieta pokręciła tylko głową, pozostała na swoim miejscu.

Warkot śmigłowców, które krążyły w górze, skłonił Nicky do podniesienia głowy i spojrzenia na mroczne niebo. Przypomniała sobie słowa Yoya o gazie łzawiącym, zrzucałym przez pilotów. Drżącymi dłońmi otworzyła torbę, wyciągnęła z niej jedną z masek chirurgicznych i wsunęła ją sobie do kieszeni, aby mieć ją w razie potrzeby pod ręką.

Aleja Changan przekształciła się w pole bitwy. Jezdnię wypełniały teraz sunące nieprzerwanie czołgi i samochody z żołnierzami uzbrojonymi w broń maszynową.

Boże, pomóż studentom, powtarzała w duchu Nicky, oddalając się przezornie od ulicy.

Tu i ówdzie pojawiły się płomienie. Palily się już przewrócone autobusy, wykorzystane przez demonstrantów do tworzenia barykad, jak również pojazdy wojskowe, puszczane z dymem przez rozjuszonych pekińczyków; pomarańczowe i czerwone słupy ognia wznosiły się ku niebu. Tak musi wyglądać piekło, pomyślała Nicky.

Ze zdumieniem spostrzegła, że ze stojących przy ulicy domów w dalszym ciągu wychodzą ludzie z zamiarem stawienia czoła żołnierzom. Używali przy tym wszelkiej dostępnej broni, wszystkiego, co mogło się przydać. Niektórzy prócz kamieni zdołali zaopatrzyć się nawet w „koktajle Mołotowa”, rzucane teraz na czołgi i inne pojazdy opancerzone. Odgłosy strzelaniny przybierały na sile, ciepłe nocne powietrze przesycone było coraz bardziej zapachem krwi.

Nicky poczuła nagle, że ogarniają ją mdłości. Raz po raz kulila się, słysząc nad głową świst pocisków,

uświadomiła sobie, że dla własnego dobra powinna jak najprędzej wrócić do hotelu.

Na zatłoczonej ulicy zaturkotał niewielki wóz, na którym leżeli ranni mężczyzna i kobieta. W tłumie posypały się przekleństwa, ludzie poczęli znowu wygrażać żołnierzom zaciśniętymi pięściami, ci natomiast odpowiadali jak poprzednio, ogniem. Nicky padła na ziemię w obawie przed zbłąkanymi pociskami; tuż obok niej eksplodował granat z gazem łzawiącym. Czym prędzej wydobyła z kieszeni ciekłą maseczkę i przyłożyła ją sobie do ust i nosa, mimo to już po chwili porwał ją atak kaszlu. Z trudem podniosła się i przebiegła pod drzewa ocieniające chodnik, gdzie oparła się o pień jednego z nich. Pokaszując i chwytając łapczywie oddech, sięgnęła do kieszeni po chusteczki i otarła łzawiące uporczywie oczy.

Ulicą zbliżał się oddział liczący około sześćdziesięciu żołnierzy; szli z nastawionymi bagnietami. Nicky pomyślała jeszcze, że jednak nie przewidywała aż tak tragicznego obrotu wydarzeń, a potem z ulgą dostrzegła o kilka metrów od siebie Archa; niezdecydowanie kręcił się tu i tam, jak gdyby rozglądał się za nią.

- Arch, Arch! Tu jestem! - zawołała i podbiegła do niego.

Obrócił się ku niej, wyciągnął obie ręce. - Nicky! Jesteś cała i zdrowa!

- Ty też, Arch!

- Czy widziałaś kiedyś coś podobnego? - zapytał ponuro. - Zabijają niewinnych cywilów, aleja jest wypełniona do tego stopnia czołgami i samochodami wojskowymi, że karetki pogotowia nie mogą się przedostać, aby udzielić pomocy rannym!

- To okrutne i nieludzkie - odparła.

Zgięci wpół przebiegli część ulicy pod osłoną drzew i wrócili na plac Tiananmen.

* * *

Kiedy dotarli na miejsce, Nicky uderzył osobliwy spokój panujący dokoła. Atmosfera wydawała się pogodna, ale fakt ten potęgował jeszcze bardziej niesamowite wrażenie.

Zwolnili kroku. Pod Pomnikiem Męczeństwa zebrała się już spora grupa dziennikarzy i fotoreporterów. Ich twarze, podobnie jak miny Nicky i Archa, wyrażały szok.

Yoyo i Mai stali nie opodal w otoczeniu kilku studentów. Nicky podeszła do nich i odciągnęła ich na bok.

- Sama nie wiem, co powiedzieć na ten rozlew krwi, ale wiem przynajmniej, co musicie zrobić. - W jej głosie zabrzmiało zdecydowanie. Otworzyła torbę, wyciągnęła z niej kopertę z banknotami i wręczyła ją Chińczykowi. - Weź to, Yoyo.

Patrzył na nią zaskoczony. - Ale Clee mówił, on kupi bilety...

- Nie sprzeczasz się ze mną, proszę cię, weź te pieniądze - przerwała mu Nicky. - Jutro będzie jeszcze gorzej niż dziś, a ja poczuje się lepiej wiedząc, że możecie opłacić sobie podróż. Jeśli zdarzy się cokolwiek, co nas rozdzieli, albo my będziemy zmuszeni opuścić Pekin bez was, zróbcie wszystko, aby dostać się do Hongkongu. Zatrzymamy się w hotelu Mandarin, tam nas znajdziecie.

Yoyo kiwnął głową i wsunął kopertę do kieszeni spodni. - Dzięki - powiedział. - Rozumiem. Mam paszport, Mai też. Wszystko będzie w porządku, Nicky.

- Mam nadzieję. - Nicky rozejrzała się dokoła, spojrzała znowu na młodych ludzi. - Co się działo tu, na placu?

- Niewiele. Bardzo spokojnie. Wuer Kaixi przemawiała. Mówiła, że rząd jest przeciw narodowi. Że Chińczycy muszą się poświęcić. Dla lepszego jutra.

Nicky potrząsnęła głową. - Nie można dopuścić do tego, aby studenci stawiali opór wojsku. Jeśli zostaniecie, musicie zachowywać się spokojnie.

- Tak - kiwnął głową. - Rozumiem. Chai Ling też tak mówi.

- Ona również przemawiała?

- Tak. Ona jest za biernym protestem, na siedząco. Tak radziła studentom. Żeby nie stawiali oporu żołnierzom.

Przez dłuższą chwilę przesywała go poważnym wzrokiem, wreszcie powiedziała: - Posłuchaj, Yoyo, te oddziały to nie młodzi żołnierze jak wczoraj. Tym razem rząd wysłał tu zaprawionych w walce weteranów.

- Może to Dwudziesta Siódma Armia. Oni są twardzi, źli. Ale ty się nie martw, wszystko będzie dobrze.

- Nie mogę się nie martwić - szepnęła.

- Są już tu ludzie ze związków zawodowych. Oni będą bronić studentów - zapewnił ją Yoyo.

- Wolalabym, abyście sami zadbali o siebie, opuszczając ten plac. - Ale mówiąc to, wiedziała doskonale, że Yoyo i Mai zostaną tu aż do końca, że Yoyo nie da za wygraną, mimo iż w przeciwieństwie do swojej przyjaciółki zdaje sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Jak większość młodzieży na placu, również oni oboje byli jeszcze pod wieloma względami bardzo naiwni.

Podbiegł do nich Clee, zdyszany, ze zmierzwionymi włosami.

- To okropne... brak mi słów... naprawdę...

Dotknęła palcem aparatu, który wisiał na jego piersi.

- Jak widzę, nie odebrali ci go.

- Są zbyt zajęci strzelaniem do bezbronnych ludzi, aby przejmować się aparatem fotograficznym!

Podszedł do Nicky, otoczył ją ramieniem. - Jimmy i Luke posiedzą teraz trochę w hotelu. Wracaj z nimi, Nick. Nie możesz przecież stać tu cały czas.

- Tak, masz rację - przyznała. - I tak muszę sporządzić parę notatek do mojego programu, przygotować się do emisji. Ale przyjdę tu znowu. Mniej więcej za godzinę.

- Nie śpiesz się za bardzo - odparł Arch. - Zapewniam cię, że ta awantura nie skończy się przed rankiem.

Rozdział 5

W ciągu następnych godzin Nicky, podobnie jak większość korespondentów zagranicznych, zjawiała się kilkakrotnie na placu, aby ocenić sytuację.

Wokoło panował straszliwy rozgardiasz. Wszędzie roilo się od żołnierzy, jednak demonstranci nie rezygnowali. Odnosiło się nawet wrażenie, jakby tłum gęstniał. Aleję Changan wypełniały przewrócone pojazdy i porzucone rowery, tu i ówdzie mrok rozjaśniały płomienie: to

rozczarowani i rozjuszeni pekińczycy niezmordowanie podpalali czołgi i transportery opancerzone.

Również w bezpośrednim sąsiedztwie hotelu trwał chaos. Na każdym kroku widać było stopy rannych, umierających i zabitych, wokół nich uwijali się zdezorientowani, zapłakani ludzie, którzy starali się znaleźć jakiś sposób, aby możliwie jak najprędzej przewieźć ofiary do szpitali i kostnic. Używali w tym celu wszelkiego rodzaju noszy; najbardziej prowizoryczne, jakie w tym zamieszaniu dostrzegła Nicky, zrobione były z drzwi wyrwanych z jakiejś budki telefonicznej. Coraz więcej autobusów służyło za ambulanse, podobnie jak wózki, nawet riksze. Rannych przewożono głównie do szpitala Xiehe, znajdującego się w pobliżu alei Changan, tuż za hotelem Pekin.

Z całym tym zamieszaniem kontrastował plac Tiananmen; takie przynajmniej wrażenie odniosła Nicky, kiedy rankiem 4 czerwca, o trzeciej czterdzieści pięć, zjawiała się tam i rozejrzała dokoła, zdumiona panującym spokojem. Jednak po paru minutach wyczuła wiszące w powietrzu napięcie, wszechobecny strach.

Na placu znajdowali się żołnierze, zajęli stanowiska na jego przeciwległym, odległym krańcu.

Stali w pobliżu statui Bogini Demokracji, spoglądali na zgromadzonych demonstrantów z bronią w ręku, którzy byli gotowi użyć przeciw cywilom, gdyby padł taki rozkaz, a na ich zimnych twarzach malowało się okrucieństwo.

W pobliżu pomnika Nicky spotkała Clee, który poinformował ją, że na dachu Muzeum Historii Chin, znajdującego się w południowej części placu, ustawiono karabiny maszynowe.

- Nie tracą czasu, prawda? - zapytała z przekąsem. W pewnej chwili dostrzegła pod pomnikiem grupkę studentów, piszących coś pilnie, i pociągnęła Clee za rękaw. - Co oni robią? - zainteresowała się.

Westchnął ciężko. - Yoyo powiedział mi, że każdy z nich musi sporządzić swoją ostatnią wolę.

Nicky poczuła, że zbiera się jej na płacz. Czym prędzej odwróciła się w drugą stronę, aby ukryć łzy. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, zwłaszcza teraz, w tej sytuacji.

Clee, którego uwagi nie uszła jej reakcja, otoczył ją ramieniem. - To parszywy świat, w jakim żyjemy, Nick. Powinnaś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- Och, Clee... Są rzeczy, z którymi ciężko się pogodzić.

- To prawda.

Uśmiechnęła się niewesoło i zauważyła: - Cóż, nasza praca polega na tym, aby przekazywać prawdę całemu światu. Gdzie Yoyo?

- Przed chwilą rozmawiał z Archem. Ten piosenkarz, Hou Deijan, i paru przywódców młodzieżowych przemawiali niedawno, namawiali studentów, aby spokojnie opuścili plac. - Urwał nagle, kiedy nieoczekiwanie wszystkie światła pogasły. Zapanowała ciemność.

- Co się dzieje? - zawołała Nicky.

- Obawiam się, że nadeszło najgorsze - odparł Clee. - Przecież wszystkie latarnie nie zepsuły się jednocześnie, ktoś musiał je wyłączyć.

Zainstalowane na pomniku głośniki zachrypiały, rozległ się czyjś głos, a potem zabrzmiały dźwięki melodii.

- To *Międzynarodówka!*. - zdumiał się Clee. - Jezu

Chryste, chciałbym wiedzieć, co te dzieciaki zamierzają teraz zrobić?

- Mam nadzieję, że opuścić plac - odparła Nicky.

Ale wsłuchując się w słowa znanego hymnu klasy robotniczej, uświadomiła sobie, jak płonne są jej oczekiwania. Nawet w tym mroku widziała wyraźnie, że studenci po prostu siedzą bez ruchu, dumni ze swej niezłomnej postawy. Kiedy pieśń dobiegła końca, nadano ją ponownie, a potem jeszcze raz i jeszcze przez około dwadzieścia minut.

Co jakiś czas Nicky i Cleo porozumiewali się przyciszonymi głosami z innymi dziennikarzami; w każdej chwili spodziewali się rozpoczęcia ataku wojskowego. Upłynęło jednak jeszcze pół godziny i nic się nie działo, a potem raptownie zapłonęły reflektory ustawione przed Halą Ludową, zalewając tę część placu oślepiającym światłem.

Niemal jednocześnie głośniki odezwały się ponownie, zabrzmiały jakieś wypowiedzi, których sensu Nicky i Cleo nie zdołali niestety zrozumieć i które wyjaśnił im stojący w pobliżu korespondent prasy brytyjskiej: - Przywódcy namawiają studentów do opuszczenia placu. Powtarzają w kółko to samo: „Idźcie stąd, w przeciwnym razie zostanieie zabici”.

- Nicky, sфотографuję tych mówców przy mikrofonie - powiedział Cleo. - I oczywiście Chai Ling.

* * *

Przez kilka następnych minut Nicky kręciła się wokół pomnika, z nadzieją obserwując zgromadzonych ludzi. Nigdzie nie widziała Yoyo i Mai ani innych studentów, których zdołała już poznać, zaczęła więc wierzyć, że jednak opuścili plac.

Głośniki milczały teraz, nastąpiła kolejna chwila ciszy, potem znowu rozległ się czyjś głos.

Nicky ruszyła przed siebie, aby jeszcze raz obejść cały pomnik. Zdumiona dostrzegła, że młodzi demonstranci jeden po drugim wstają ze swych miejsc na cokole pomnika i odchodzą. Po twarzach wielu z nich spływały łzy; mieli pełną świadomość faktu, że przegrali tę pokojową walkę o wolność i demokrację, że zatriumfowała nad nimi przemoc wojskowa, a niewinni ludzie zapłacili za to własnym życiem. Ale przynajmniej uratuję teraz życie kilku z nich, pomyślała.

Powoli wstawał świt, niebo pojaśniało, wypełniło się przenikliwym, niemal niesamowitym blaskiem. Nicky zerknęła na zegarek. Już po piątej, najwyższy czas, aby opuścić plac. Westchnęła przygnębiona i skierowała się w stronę alei Changan. Postanowiła wrócić do hotelu, przygotować tekst relacji oraz materiał filmowy, wziąć prysznic, umalować się trochę i przebrać. Zdecydowali już z Archem, że najpierw sfilmują trochę scen z balkonu hotelowego i wyślą je do Stanów pocztą kurierską. O ósmej piętnaście miała zająć się przekazem telefonicznym na żywo dla wieczornych wiadomości.

Nie odeszła jeszcze daleko, kiedy przypomniała sobie o małej płóciennej torbie podróżnej, którą Yoyo trzymał w swoim namiocie. Kiedyś powiedział jej, że przechowuje w niej między innymi najważniejsze dokumenty. Czy był tam również jego paszport? A może Yoyo wrócił się po niego?

Zatrzymała się, po czym walcząc z naporem ludzi, którzy coraz tłumniej opuszczali plac, skierowała się z powrotem ku namiotom. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że na plac przybywa coraz więcej żołnierzy. Przerażona

odniosła wrażenie, jakby można było już ich spotkać na każdym kroku, i raptem usłyszała złowróżbny turkot czołgów i pojazdów opancerzonych, sunących po bruku.

Korespondenci wojenni nie muszą odznaczać się wielką odwagą. Ich zadanie polega na zdobyciu wiadomości i bezpiecznym wydostaniu się z pola walki; tę wiedzę wpoił jej ojciec. Jednak obecnie myślała przede wszystkim o jednym: odnaleźć Yoyo i Mai! Rozglądając się po wyludnionym obozowisku kręciła się w kółko i wołała raz po raz: - Yoyo! Mai!

Z kilku namiotów wyjrzały twarze tych, którzy zostali, i Nicky ostrzegła ich: - Uciekajcie! Nadjeżdżają czołgi! - W tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że tamci mogą przecież nie znać angielskiego, zaczęła więc wymachiwać energicznie rękoma, wołając przy tym: - Uciekać! Uciekać! - Modliła się w duchu, aby zrozumieli, o co jej chodzi. A potem puściła się pędem w środek pomiędzy namioty.

Dostrzegli siebie wzajemnie dokładnie w tym samym momencie: Yoyo i Mai wyłonili się zza namiotu, kiedy Nicky obchodziła go z drugiej strony. Oboje mieli na sobie kurtki, a Yoyo trzymał płócienną torbę.

- Zapomniałem - wyjaśnił Yoyo, unosząc nieco torbę. - Tu mam paszport.

- Chodźcie! - zawołała Nicky. - Żołnierze szykują się do ataku, wszyscy uciekają z namiotów. - Odwróciła się, gotowa do odwrotu.

- Tędy! Szybko! - powiedział Yoyo. Biegiem skierował się między namiotami, wąskim przejściem, które prowadziło na otwartą przestrzeń, na północ od Pomnika Męczeństwa.

Szeregi żołnierzy zbliżały się w błyskawicznym tempie, za nimi nadjeżdżały czołgi i pojazdy opancerzone, gotowe

zmiażdżyć wszystko, co stanęło im na drodze.

Nicky skręciła w prawo. - Za mną! - krzyknęła, po czym skierowała się w stronę pomnika i alei Changan.

Serce podeszło jej ze strachu do gardła, kiedy dobiegł ją z tyłu odgłos strzelaniny. Zerknęła za siebie przez ramię, upewniła się, że Yoyo i Mai biegną też za nią, i przyspieszyła kroku, aby utrzymać dotychczasową odległość od szeregów żołnierzy. Łoskot i chrzęst nadjeżdżających pojazdów oraz terkot karabinów napełniały lękiem.

Kątem oka dostrzegła kilku ostatnich studentów, którzy podobnie jak oni starali się opuścić plac jak najszybciej.

- Nicky! Nicky!

Obejrzała się za siebie i przerażona ujrzała, że Mai leży na bruku. Yoyo klęczał tuż obok. Nicky zawróciła, podbiegła do nich. - Co się stało?

Na twarzy Yoyo malowało się oszołomienie. - Mai trafiona.

Nicky opadła na kolana, ogarnęła spojrzeniem krwawiące ramię dziewczyny, delikatnie przesunęła dłonią po jej policzku. Mai otworzyła oczy, zamrugnęła i zamknęła je z powrotem. Nicky wsunęła rękę pod jej plecy, chcąc ją podnieść, ale kiedy dziewczyna jęknęła, czym prędzej ułożyła ją z powrotem na ziemi. Na dłoni poczuła coś mokrego, a kiedy opuściła wzrok, zauważyła na nich krew. Serce ścisnęło jej się boleśnie. Wyglądało na to, że Mai została trafiona nie tylko w ramię. Otarła sobie dłonie o spodnie, wyprostowała się i rozejrzała dokoła.

Czołgi były coraz bliżej, gnały z ogłuszającym rykiem silników. Nie było ani chwili do stracenia. Nicky przeniosła

wzrok na Yoyo. - Prędeż! Chwyć Mai za nogi, ja wezmę ją pod pachy, przeniesiemy ją za pomnik.

W tej samej chwili ktoś bezceremonialnie odsunął ją na bok, niemal brutalnie, a potem usłyszała głos Clee, który krzyknął: - Szybko, Nick! Rusz się, Yoyo, nadjeżdżają czołgi!

Wokół rozbrzmiewały wołania przerażonych, rozpanikowanych ludzi. Nicky poderwała się na równe nogi, podążała za Clee, który biegł skulony z Mai w ramionach. Tuż za nimi pędził Yoyo. W chwilę później po miejscu, gdzie przedtem leżała na bruku Mai, przetoczyły się czołgi i ciężkie pojazdy wojskowe.

Nie wszyscy jednak zdołali umknąć w porę.

Schronili się za Pomnikiem Męczeństwa, gdzie wydawało się względnie bezpiecznie, przynajmniej na razie; tu nie było widać żadnych żołnierzy. Clee ułożył Mai na ziemi, Nicky przysiadła tuż obok na kamiennych stopniach cokołu. Kiedy Clee zajął miejsce przy niej, szepnęła: - Dziękuję. Uratowałeś mi życie.

Ujął ją pod brodę, zmuszając, aby odchyliła nieco głowę do tyłu, i zatopił w niej wzrok. Milczał. Na jego twarzy dojrzała osobliwy wyraz, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała.

- Musimy zanieść Mai do szpitala - mruknął po chwili. Zdjął z szyi aparat i zawiesił go Nicky przez głowę. - Pilnuj go dobrze, chyba udało mi się zrobić parę naprawę dobrych zdjęć. - Nachylił się i wziął Mai na ręce.

Przy Bramie Tiananmen zatrzymali się i jeszcze raz zerknęli za siebie, na plac.

Nie było już Bogini Demokracji; statua została obalona przez czołg i zmiażdżona na proch.

Podobnie zrównano z ziemią wszystkie namioty. Nicky pomyślała nagle z lękiem o tamtych ostatnich studentach, na jakich się natknęła; miała nadzieję, że zdołali uciec z placu zanim doszło do masakry. Pobieгла za Yoyo i Clee, daremnie walcząc z przemożną falą przygnębienia.

* * *

Aleję Changan wypełniały czołgi i oddziały żołnierzy; zabici i ranni leżeli w kałużach krwi, pomiędzy nimi krzątali się pekińczycy, starając się pomóc w miarę możliwości.

Nicky i Yoyo podążali przodem, torując drogę Clee, który nadal niósł na rękach dziewczynę.

Dotarli niemal do hotelu Pekin, kiedy Yoyo zawołał: - Patrzcie! Flaga Czerwonego Krzyża na autobusie 38. Ambulans! Oni zawiozą Mai do szpitala Xiehe!

Clee kiwnął głową i przyśpieszył kroku. Dałby wiele, żeby tylko lekarzom udało się uratować raną dziewczynę.

* * *

Nicky stała w przydzielonym ekipie ATN apartamencie hotelu Pekin, koncentrując się na tym, co miała przekazać widzom. Tu, w Chinach, był teraz niedzielny poranek. Ósma piętnaście. W Nowym Jorku była dwiętnasta piętnaście, sobota.

Trzymała w ręku słuchawkę telefonu komórkowego i mówiła wyraźnie, spokojnie, bez wahania. Kończyła właśnie swoją wstrząsającą relację z wydarzeń, jakie na jej oczach miały miejsce na placu Tiananmen, a jej ostatnie słowa zabrzmiały szczególnie dramatycznie:

„Mao Tse Tung powiedział niegdyś, że władza polityczna wyrasta w oparciu o lufy broni palnej. Ludowa Armia Wyzwoleńcza skierowała dziś swą broń na zwykłych obywateli, na studentów. Na niewinnych ludzi. Na ludzi bezbronnych. To była masakra. Żołnierze dopuścili się jej na rozkaz przywódców kraju, którzy robią wszystko, aby utrzymać się przy władzy. Wydaje się, że Mao Tse Tung powiedział prawdę. Przynajmniej w odniesieniu do sytuacji w Chinach. - Umilkła na moment, po czym dodała: - Żegna się z wami Nicky Wells z Pekinu.”

W słuchawce usłyszała głos Mike'a Fowlera, koordynatora ATN: - Dzięki, Nicky, za tę niezwykłą relację z Pekinu. A teraz, proszę państwa, powracamy do wiadomości z Europy Wschodniej...

Nicky odłożyła słuchawkę i spojrzała na Archa, który siedział przy biurku, przysłuchując się przekazowi.

Uśmiechnął się, skinął kilkakrotnie głową, a potem pokazał jej zaciśniętą pięść ze wzniesionym do góry kciukiem na znak, że dobrze się spisała.

Połączył się z redaktorem działu wiadomości, Joe Speigtem, który przebywał właśnie w nowojorskiej siedzibie ATN. - Film wyślemy za godzinę - poinformował rozpromieniony. - Powinieneś dostać go jutro wieczorem. Okay. Ciao. - Odłożył słuchawkę i podszedł do Nicky. - Podobało im się, wiesz? Byłaś wspaniała.

- To jedna z twoich najlepszych relacji z Pekinu - potwierdził Jimmy. - Ale film, jaki właśnie nakręciliśmy, jest jeszcze lepszy.

- Też tak uważam - odezwał się Luke.

- Dziękuję wam, chłopcy - zawołała Nicky z uśmiechem. Ich pochwała znaczyła dla niej wiele, ponieważ wiedziała, że zawsze mówią to, co myślą, i nie zawahaliby

się przed krytyką, gdyby w którymś z programów obniżyła swój dotychczasowy poziom.

Ktoś zapukał do drzwi, a kiedy Luke je otworzył, do środka wszedł Clee. Wyglądał okropnie, nie krył przygnębienia i Nicky domyśliła się prawdy, zanim wypowiedział pierwsze słowo; odgadła to z wyrazu jego ciemnych oczu.

- Mai nie żyje - szepnął apatycznie. - Nie mogli już jej uratować. Próbowali, ale straciła zbyt wiele krwi.

- Biedna dziewczyna! - zawołał Jimmy.

Luke opadł ciężko na krzesło, twarz Archa wyrażała głęboki ból.

Nicky podeszła do Clee. Czowała, jak mocno drżą jej nogi.

- Chodź, Clee, usiądź i spróbuj się odprężyć - powiedziała. - Zaraz podam ci kawy.

Clee wyciągnął rękę, otarł łzy, które nie wiadomo kiedy zagościły na jej twarzy. - W tym, że płaczesz, nie ma nic złego, wiesz?

- Tak. - Odetchnęła głęboko. - Co z Yoyo?

- Jest załamany, ale cały i zdrowy.

- Gdzie jest teraz?

- W szpitalu Xiehe, załatwia formalności związane z przewiezieniem ciała Mai do jej rodziców, do domu. Mieszkają na przedmieściu Pekinu.

Odniosła nagle wrażenie, jak gdyby zabrakło jej słów. Milczała.

Clee objął ją wpół, a gdy podeszli do sofy i usiedli na niej, powiedział bardzo cicho: - My, dziennikarze, stykamy się niemal codziennie z wojną, ze śmiercią i tragedią. Dla nas to chleb powszedni. Stajemy się twardzi, myślimy też, że jesteśmy odporni na wszystko. Ale tak naprawdę nikt z nas nie wyzbył się wrażliwości, Nicky. Nawet ty.

Część II

Kochankowie

Rozdział 6

Była to ojczyzna Cezanne'a, ojczyzna van Gogha. Tak powiedział jej Cleo. I miał rację.

Kolory z palet tamtych artystów były kolorami tutejszych dni, kolorami prowansalskiej ziemi i prowansalskiego nieba: soczyste rdzawe brązy i palone sjeny, terakota wpadająca w pomarańcz i morelę, róż i brzoskwinia złamane zdecydowaną żółcią i roziskrzonym złotem, jak również cała gama lazurów i zieleni, tak ostrych i połyskliwych, że przywodziły na myśl błyszczącą emalię. A wszystko to było uwypuklone przez łagodny złocisty blask, jak gdyby skąpane w gorących promieniach prowansalskiego słońca.

Od pierwszej chwili, kiedy Nicky znalazła się w Prowansji, czuła się oczarowana pięknem krajobrazu, który otaczał farmę należącą do Cleo. Nie było dnia, żeby z zapartym tchem nie zachwycała się takim czy innym widokiem. Wydawało się, że w południowo-wschodnim zakątku Francji natura odsłania przed nią stale coraz to nowe ze swoich niekończących się uroków.

Owego wczesnego popołudnia siedziała tuż przy wyłożonym białymi kafelkami basenie w cieniu platanu,

popijając sok z cytryny i oddając się marzeniom. W pewnej chwili omal nie roześmiała się na głos do samej siebie. Przyjechała tu z oporami, teraz jednak uświadomiła sobie, że za nic na świecie nie chciałaby być pozbawiona tej krótkiej chwili wytchnienia pomiędzy relacjami z najprzeróżniejszych tragedii.

Odczuwała głęboką wdzięczność wobec Clee za to, że udzielił jej gościny w domu, który traktował zawsze jak swoje bardzo prywatne zacisze; wiedziała, że do tej pory zaprosił do siebie naprawdę niewiele osób. Ten gest odczytała jako jeden z przejawów jego sympatii; Clee miał po prostu na względzie jej dobro.

Pomysł jej pobytu w Prowansji narodził się przed trzema tygodniami w Hongkongu, kiedy oboje kończyli obiad w hotelu Mandaryn. Ni stąd, ni zowąd, jak gdyby czując, że jest szczególnie zmęczona, Clee zaproponował jej: - Przyjedź na moją farmę na południu Francji, Nick. Co do mnie, zawsze tam wypoczywam. Jestem pewny, że ty też się odprężysz. To miłe miejsce.

W pierwszej chwili odmówiła. Akurat w tym momencie Francja nie odpowiadała jej za bardzo, mimo iż w przeszłości kilkakrotnie przypadła jej do gustu i czuła się tam jak w domu. Jednak od paru lat kraj ten kojarzył się jej z bolesnymi wspomnieniami.

Niemal przed trzema laty pojechała do Antibes wraz ze swym narzeczonym, Charlesem Devereaux, mężczyzną, którego bardzo kochała i którego zamierzała poślubić. I tam właśnie, nieoczekiwanie i bez najmniejszego powodu, przerwał ich związek w sposób jak najbardziej brutalny i bezwzględny. Bez żadnych wyjaśnień. Stało się to zaledwie kilka miesięcy po ich sielankowej podróży na Lazurowe Wybrzeże.

Charlesa Devereaux nie spotkała już nigdy.

Właśnie z tego powodu nie chciała znaleźć się znowu tam, gdzie spędziła ze swym byłym narzeczonym ostatnie szczęśliwe chwile. Bywały momenty, kiedy przepelniało ją wciąż żywe poczucie krzywdy, wtedy wstrząsał nią niepohamowany gniew. Oddała się całkowicie pracy, odrzuciła na bok niepożądane wspomnienia.

Oczywiście Clee nie miał o tym wszystkim najmniejszego pojęcia, nalegał więc, nie pozwalając na odrzucenie zaproszenia. Tuż przed wyjazdem z Hongkongu do Paryża oświadczył: - Niestety, nie będzie mnie w domu w tym czasie, Nicky, ale moja gospodyni zaopiekuje się tobą z całego serca. Proszę cię, pojedź tam. - Na jego chłopięcej twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiech, kiedy dodał: - Rozpieści cię, a ja gwarantuję, że ją pokochasz. Amelia to dusza nie człowiek. Posłuchaj, farma jest przepięknie położona. To kraina artystów, w tych stronach tworzyli Cézanne i van Gogh. Wiem, że odprężysz się tam i wypoczniesz. Nie odmawiaj mi, proszę. Musisz zadbać o siebie, zapewnić sobie parę tygodni spokoju po tym koszmarze w Pekinie.

Wzruszona zmiękła trochę i obiecała mu, że przemysli jego ofertę. Zrobiła to w Nowym Jorku. Co jakiś czas, nawet częściej niż się tego spodziewała, nawiedzały ją myśli o farmie Clee we Francji i o chwilach wytchnienia, na jakie mogłaby tam liczyć.

W krótkich przerwach pomiędzy filmowaniem i przygotowywaniem specjalnego wydania programu telewizyjnego o wydarzeniach na placu Tiananmen biła się z myślami, nie mogąc się zdecydować: pojechać czy nie?

Nie potrafiła podjąć decyzji o kupnie biletu lotniczego i spakowaniu swych rzeczy do torby.

W końcu pomógł jej Arch. Kiedy program telewizyjny był już zapięty na ostatni guzik, powiedział jej, że wygląda wręcz okropnie, gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. „Wykończona”, tak to określił. - Na razie nie będziemy kręcić żadnych programów specjalnych, a tobie przydałby się porządny wypoczynek - powiedział. - Zrób sobie przerwę, dopóki to możliwe, Nick. Naprawdę to ci jest potrzebne.

Kiedy mruknęła, że może wydarzy się w tym czasie coś wstrząsającego, Arch roześmiał się i przyrzekł, że jeśli wybuchnie gdzieś wojna, sprowadzi ją natychmiast, nawet z najdalszego zakątka kuli ziemskiej.

Ona również się roześmiała, zaprotestowała jednak: - Wiem, że wcale nie wyglądam tak źle, jak mówisz, Arch. Z pewnością przesadzasz.

Odpowiedział jej bez ogródek: - Wyglądasz koszmarnie, Nick. Możesz mi wierzyć.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i musiała w duchu przyznać mu rację, zwłaszcza gdy przyjrzała się dokładnie twarzy, niezwykle bladej, wynędzniałej, o podkrążonych oczach. Nawet włosy sprawiały wrażenie martwych. Jej niepokój wzrósł jeszcze bardziej, kiedy uświadomiła sobie, jak zmatowiały jej oczy, zazwyczaj roziskrzone i niebieskie, a dziś nawet jakby tracące kolor.

Wiedziała wprawdzie, że umiejętny makijaż jest w stanie zatuszować pewne mankamenty w wyglądzie, tak aby nie demaskowała ich kamera, ale owego popołudnia zrozumiała jednocześnie, że postąpiłaby niemądrze, rezygnując z wypoczynku. Zwłaszcza iż należało jej się sporo zaległego urlopu. Czula się ostatnio wyzuta z sił, osłabiona psychicznie, a teraz najwidoczniej zaczęli

dostrzegać to inni. I tak po krótkim namyśle odłożyła na bok lustro, zatelefonowała do paryskiego biura Clee, po czym oświadczyła, że chętnie skorzysta z propozycji, o ile jest nadal aktualna, i przyjedzie do Prowansji. Clee nie krył radości.

- To wspaniale, Nick! - zawołał. Nawet przez słuchawkę wyczuła jego podniecenie. - Jutro lecę do Moskwy, mam wykonać serię zdjęć Gorbaczowa dla *Paris Match*, ale Jean-Claude dopilnuje, aby ktoś wyjechał po ciebie do Marsylii i przywiózł na farmę. Ty masz tylko dostać się do Marsylii przez Paryż albo Niceę. No i powiadomić Jean-Claude'a, kiedy i o której będziesz. Zadzwoń do ciebie z Moskwy spytać jak się czujesz, kiedy już rozgościsz się u mnie w domu.

Jeszcze przed upływem czterdziestu ośmiu godzin leciała nad Atlantykiem z szybkością ponaddźwiękową jako pasażerka francuskiego concorde. Trzy godziny i czterdzieści pięć minut po starcie wylądowała w Paryżu, przemocowała w Plaza-Athénée, swoim ulubionym hotelu, a nazajutrz rano udała się samolotem z Orly do Marsylii.

Jean-Claude, szef biura Clee, powiadomił ją już wcześniej, że na lotnisku będzie na nią czekał kierowca z samochodem.

- Na pewno go pani pozna - obiecał. - Będzie trzymał w ręku tabliczkę z pani nazwiskiem.

I rzeczywiście: kiedy wysiadła z samolotu i przeszła do hali bagażowej, szofer był już na miejscu. Przedstawił się jako Etienne, był bardzo miły, rozmowny, a podczas jazdy w głąb Prowansji zabawiał ją dosyć fantastycznymi opowieściami, które wiązały się z folklorem regionu, przy

czym podawał więcej faktów niż była w stanie zapamiętać.

Choć władała biegle językiem francuskim, jako że młodość spędziła wraz z rodzicami w Paryżu, musiała uznać w pierwszej chwili, że akcent prowansalski jest dla niej zbyt trudny. Na szczęście zorientowała się dość szybko, że Etienne dodaje do wielu wyrazów literę „g”, wymawiając na przykład „bien” jako „bieng”, a kiedy już osłuchiwała się z tą nieco odmienną, dosyć gardłową i spiesznią wymową, doszła do przekonania, że nie ma problemu z rozumieniem tego, co mówi jej przewodnik.

Zorientowała się również, że krajobraz, który mijali w drodze do Aix-en-Provence, oddalając się od Marsylii, różni się zdecydowanie od tego, jaki' poznała na Lazurowym Wybrzeżu. Jej rodzice byli frankofilami, tak więc jeszcze jako dziecko jeździła z nimi często do wielu znanych miejscowości nadmorskich na wakacje lub krótkie wycieczki. Matka i ojciec uwielbiali zwłaszcza Beaulieu-sur-Mer, Cannes i Monte Carlo. A potem, w październiku 1986 roku, spędziła jeszcze owe dwa niezwykle tygodnie w Antibes wraz z Charlesem Devereaux, który następnie zniknął z jej życia na zawsze.

Ale ta część Prowansji, dokąd zaprosił ją Clee, stanowiła dla niej krainę nieznaną, nie wywoływała żadnych przykrych wspomnień. Uświadomiła sobie ten fakt jeszcze w trakcie podróży i natychmiast poczuła się lepiej, w czym pomogła jej wyśmienita wentylacja w luksusowym wnętrzu mercedesa.

Mijali malownicze równiny, przeplatane pagórkami i wzgórzami, interesująca miasteczka otoczone krajobrazem jak z bajki i urocze wioski położone wysoko, jak gdyby sięgały rozległego, nieskazitelnie błękitnego nieba. Wiele pól i górskich stoków porastała lawenda, a ciemne

winnice i bujne sady owocowe rozciągały się na mile. Ten piękny żyzny krajobraz urozmaicały tu i ówdzie fantazyjnie uformowane drzewa oliwkowe i wyniosłe czarne cyprysy, które rysowały się wyraźnie na tle widnokregu niczym nieruchome postaci wartowników.

* * *

Farma należąca do Clee leżała w departamencie o nazwie Bouches-du-Rhone, pomiędzy starym miasteczkiem uniwersyteckim Aix-en-Provence i Saint-Rémy, łącząc się niemal z soczystozielonym pogórzem Lubéron, jedną z krain górskich Prowansji.

Farma była większa niż spodziewała się tego Nicky, sprawiała przy tym wrażenie zadbanej mimo niewątpliwie starego rodowodu. Wyglądała naprawdę pięknie w promieniach przedwieczornego słońca, które zdawały się zapalać czerwone dachówki i oblewały ciepłym miodowym blaskiem blade kamienne ściany. Dom stał przy końcu długiej prostej alejki obramowanej cyprysami, a jego białe frontowe drzwi rzucały się w oczy już z daleka.

Etienne zatrzymał wreszcie samochód i zawołał: - *Eh, voila!* - wskazując przy tym szerokim gestem na farmę. Następnie uśmiechnął się z triumfem, jak gdyby dowiedzenie Nicky na miejsce było wielkim osiągnięciem.

Gospodyni domu, Amelia, oraz jej mąż, Guillaume, czekali już na stopniach, witając gościa z ciepłymi uśmiechami, po czym Guillaume wyjął z samochodu bagaż i przeniósł go z pomocą szofera, który nie dał się prosić, aby wstąpić do kuchni na *pastis*.

Amelia, promieniejąc na twarzy, wprowadziła Nicky do domu i uparła się, że oprowadzi ją od razu po wszystkich pomieszczeniach.

Zaczęły od kuchni, najwidoczniej ulubionego miejsca Amelii; nie ulegało wątpliwości, że jest z niej dumna. Kuchnia była obszerna, pomalowana na biało, z ciemnymi belkami na suficie i podłogą wyłożoną terakotą. Ścianę na wprost drzwi zdobił masywny kominek, do którego przylegał duży piec. Pod trzema oknami zainstalowane były marmurowe blaty, na których stały teraz płaskie wiklinowe kosze, wypełnione produktami z okolicznych pól: w jednym leżały jabłka, pomarańcze, gruszki, śliwki, brzoskwinie, morele, wiśnie i winogrona, inny zawierał warzywa: marchew, kapustę ziemniaki, fasolę, karczochy i groch. Z belki pod sufitem zwisały sznury cebuli, czosnku oraz ziół prowansalskich, a całe pomieszczenie przesycone było miłym zapachem majeranku, rozmarynu i tymianku.

Pośrodku kuchni stał okrągły stół nakryty pasiastym, czerwono-białym obrusem harmonizującym ze schludnymi firankami w oknach. Uwagę przyciągał zabytkowy stojak z kutego żelaza ozdobiony mosiądzem i obwieszony najprzeróżniejszymi mosiężnymi garnkami i kubkami, które połyskiwały i mieniły się w promieniach słońca, a półki na przeciwległej ścianie prezentowały barwne wyroby z ceramiki, talerze, wazy oraz podwójnej wielkości filiżanki do kawy i podstawki.

Kuchnia łączyła się bezpośrednio z jadalnią, a wrażenie to potęgowały wizualnie identyczne płytki terakoty, którymi wyłożona była podłoga, ten sam biały kolor ścian, jak również ciemnobrązowe belki na suficie. W jadalni był duży staroświecki kominek i piec z zapasem

drewna na opał. Okna dostarczały światła z zewnątrz, a długi dębowy stół, krzesła z wysokimi oparciami i ozdobnie rzeźbiony kredens wносиły do tego domu specyficzną wiejską atmosferę. Nad stołem wisiał czarny rustykalny żyrandol, a w mosiężnych lichtarzach tkwiły białe grube świece. Duże wazony z kwiatami pośrodku stołu i na kredensie wносиły nieco żywszych barw do raczej skromnie urządzonego pomieszczenia.

Amelia śpieszyła już dalej, wypchnęła gościa do głównego hallu i otworzyła drzwi do niedużego saloniku. Na podłodze lśniły kremowe kafelki, ściany były utrzymane w łagodnej tonacji żółtego masła, a przed małym kominkiem stały przodem do siebie dwie sofy wyściełane kremowym sukniem. W pobliżu stały stoliki okolicznościowe, natomiast zabytkowe komody rozmieszczone po obu stronach kominka ozdobione były dwiema wysokimi lampami z ceramiki. Na stoliku pod oknem leżały najświeższe wydania magazynów z różnych części świata, wśród nich *Life*, *Paris Match*, *Time* i *Newsweek*.

- Teraz pójdziemy na górę - zaproponowała Amelia, kierując się z powrotem w stronę hallu. Nicky posłusznie udała się za nią szerokimi kręconymi schodami i zatrzymała się na podeście, znajdującym się pomiędzy biblioteką i głównym salonem. Oba pokoje były pomalowane na biało, wyposażone w kominki, a jasną klepkę pokrywały jednolite marokańskie dywany.

Salon umeblowany był w stylu prowansalskim, sofy i krzesła współgrały z całością dzięki obiciom w kolorach kremowym, kawy z mlekiem i karmelu, kwiaty - podobnie jak w poprzednich pomieszczeniach - ożywiały wszystkie barwy. Nicky natomiast znalazła się natychmiast pod

wrażeniem przestronności, powietrza i światła. Poczula, że ogarnia ją wspaniałe uczucie spokoju.

W bibliotece, oprócz książek i dwóch miękkich sof wyściełanych tkaniną w kolorze melona, znajdował się również kącik audiowizualny, wyposażony w sprzęt najnowszej generacji: telewizor o dużym ekranie, magnetowid i odtwarzacz kompaktowy. Nieco wyżej, na półkach, były umieszczone głośniki stereofoniczne.

- To pokój *monsieur* Clee. Myślę, że tu czuje się najlepiej - poinformowała Amelia, kiwając przyjaźnie głową. Wskazała palcem na sufit: - Jeszcze jedno piętro, *mademoiselle*. *Allons!*

Wyszły ponownie na podest i białymi, węższymi tym razem schodkami wspięły się na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie.

Apartament Nicky mieścił się tuż pod okapem. Składał się z łazienki, sypialni i uroczo urządzonego saloniku, w którym znowu dominowały biel, beż i karmel, podstawowe kolory tego domu. Salon ozdobiły wytworne meble ustawione pod ścianami, a w sypialni przyciągała oko zabytkowa szafa i komoda. Nawet pobieżne spojrzenie pozwalało się zorientować, że wszystko urządzone tu z wielką dbałością i troską o wygodę.

- Przyniosę pani bagaże - powiedziała Amelia, kiedy otworzyła już szafę i wysunęła szuflady w komodzie. - Jeśli mogłabym coś dla pani zrobić, *mademoiselle* Nicky, proszę mi o tym koniecznie powiedzieć. *Monsieur* Clee gniewałby się na mnie, gdybym nie zajęła się panią jak należy.

- Dziękuję bardzo, Amelio - uśmiechnęła się Nicky. - Jestem pewna, że nie trzeba mi nic więcej. I... dzięki za oprowadzenie mnie po domu.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność - odparła Amelia. Odwzajemniła uśmiech i zniknęła za drzwiami.

* * *

Już po czterech dniach Nicky poczuła się wypoczęta. Farma i okolice oddziaływały na nią kojąco, sypiała teraz lepiej niż poprzednio; spokojna atmosfera, która otaczała ją na każdym kroku, pomogła jej odprężyć się całkowicie.

Dni upływały powoli, leniwie, bez napięć. Nicky nie zajmowała się niczym skomplikowanym, ograniczała się do niedalekich spacerów po polach i zagajnikach, pływała też w basenie. Świeże powietrze, ruch oraz znakomita kuchnia Amelii działały pokrzepiająco. Wieczorami czytała, słuchała muzyki albo też oglądała w bibliotece francuską telewizję. Przywiązana od dawna do dzienników telewizyjnych, machinalnie przełączała na kanał CNN.

Guillaume wyjaśnił jej, że Clee zdecydował się niedawno na zainstalowanie telewizji kablowej, aby móc odbierać ten amerykański program informacyjny. - To mu potrzebne do jego pracy, *mademoiselle* - dodał, ona zaś odwróciła się natychmiast, aby ukryć uśmiech rozbawienia.

Teraz usiadła wygodniej na sofie, sięgnęła po szklanczkę z sokiem cytrynowym i upiła spory łyk, delektując się cierpkim smakiem. Był ostatni tydzień czerwca, upał dawał już o sobie znać, ale zachowywał jeszcze umiar. Przed śniadaniem Amelia poinformowała ją, że w tej części Prowansji najtrudniejszymi do zniesienia miesiącami letnimi są lipiec i sierpień. Określiła je nawet jako „zabójcze”. Następnie wspomniała nieoczekiwanie o mistralu,

suchym wietrze północnym, który potrafił rozszaleć się nawet w lecie, siejąc na swej drodze straszliwe spustoszenie. Pędził z przerażającym świstem na południe przez całą dolinę Rodanu i często stanowił pierwsze poważne ostrzeżenie przed złą pogodą. Amelia, podobnie jak większość Prowansalczyków, wiązała z mistralem mnóstwo problemów i kłopotów.

- Od tego mogą oszaleć zwierzęta. I ludzie - dodała ze smutkiem, dolewając do filiżanki Nicky kawy. - Mistral powoduje migrenę. I grypę. I ból zębów. I bóle w uchu. A zimą ten okropny wiatr potrafi nieraz wiać przez trzy tygodnie, dewastując posiadłości. Wyrywa drzewa z korzeniami, strąca dachówki! *Quel vent!* - Charakterystycznym dla Galijczyków gestem wzruszyła ramionami i pobiegła do kuchni, aby napełnić znowu dzbanek kawą i podgrzać dla Nicky jeszcze trochę mleka.

Zgodnie z przewidywaniami Clee, Nicky polubiła Amelię. Gospodyni była niska, krępa i zapewne dysponowała dużą siłą fizyczną. Reprezentowała bez wątpienia typ południowy. Czarne włosy nosiła zaczesane do tyłu i upięte w kok, oczy przywodziły na myśl czarne oliwki, a całości dopełniała orzechowa karnacja skóry. Stale uśmiechnięta i pogodna, zawsze w dobrym humorze, przelatywała przez dom niczym trąba powietrzna albo nawet mistral, robiąc to wszystko, co należało do jej rozlicznych obowiązków. Sprzątała, czyściła i prasowała, piekła chleb, ciasta i placki z konfiturami, przyrządzała wyśmienite posiłki i komponowała piękne bukiety kwiatów oraz dekoracyjne kosze z owocami, których pełno było w całym domu.

Również Guillaume był typowym Prowansalczykiem. Miał śniadą twarz, ogorzałą od słońca i wiatru, kruczoczarne

włosy przyprószone siwizną i miłe oczy często roziskrzone dobrym humorem. Średniego wzrostu, silnie zbudowany, wykonywał każdą pracę z takim samym wigorem i entuzjazmem jak jego żona.

Zamiatał całe obejście, łącznie z tarasem i patio, dbał o czystość basenu, opiekował się ogrodem i sadem, jak również niewielką winnicą, która tuż za domem zajmowała powierzchnię około pięciu akrów. Guillaume dokonywał oprysków, przycinał gałęzie, zbierał owoce, korzystając z pomocy Amelii i wynajętych sąsiadów, rozlewał wino i butelkował je. - Część przeznaczona jest na sprzedaż. Część zatrzymujemy dla siebie. I dla *monsieur* Clee, *naturellement* - wyjaśnił Nicky, kiedy oprowadzał ją po posiadłości.

Amelia i Guillaume mieli syna, François, który studiował na paryskiej Sorbonie i z którego byli nadzwyczaj dumni; Nicky nasłuchiwała się o nim wiele od zakochanej w nim do szaleństwa matki. Ich obie córki, Paulette i Marie, były zamężne, mieszkały na wsi i czasem pomagały na farmie, kiedy Clee podejmował specjalnych gości.

Pierwszego wieczoru jej pobytu w tym domu Clee zadzwonił do niej z Moskwy i w trakcie rozmowy określili Amelię i Guillaume'a jako sól ziemi. Teraz wiedziała już, co miał na myśli. Byli mu oddani bez reszty, dbali o farmę i ziemię, jak gdyby to wszystko należało do nich. Dom, w którym mieszkali, przylegał do głównego dworku, a wejść doń można było przez drzwi z kuchni. Zbudowany również z miejscowych kamieni, utrzymany był, podobnie jak cała farma, w jasnobezowej tonacji, miał takie same czerwone dachówki, grube drewniane okiennice i nieskazitelnie białe lśniące drzwi.

Oba domy widziała teraz z basenu, gdzie siedziała, i odnosiła wrażenie, jak gdyby wyrastały z ziemi, jak gdyby były jej nieodłączną częścią. I w pewnym sensie nie odbiegało to od prawdy. Farma i jej zabudowania miały już sto pięćdziesiąt lat, dowiedziała się o tym od Guillaume'a, i wyglądały tak, jakby tkwiły tu zawsze.

Nicky uświadomiła sobie, że fascynuje ją wszystko na tej farmie, że z coraz większą ochotą przebywa na wsi, na łonie natury. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego Clee kocha swą farmę, mimo iż nie może przyjeżdżać tu tak często, jak by sobie tego życzył. W ciągu dwóch lat, odkąd go znała, kilkakrotnie opowiadał jej o tym miejscu i każdorazowo, gdy tematem ich rozmowy był jego dom w Prowansji, głos lekko mu się zmieniał. Teraz nie dziwiła się temu. Na tym burzliwym świecie był to rzeczywiście szczególny zakątek, pełen piękna i spokoju.

* * *

Pozostała na zewnątrz niemal do szóstej, rozkoszując się schyłkiem dnia, podczas gdy słońce kryło się z wolna za łańcuch ciemnych, odległych wzgórz. Potem wzięła okulary, podniosła książkę i krok za krokiem udała się ogrodową ścieżką do domu.

Wchodząc na drugie piętro, gdzie mieściły się jej pokoje, rozmyślała o Yoyo. Zdarzało jej się to codziennie. Nie miała pojęcia, gdzie on się obecnie znajduje, i z tego powodu dręczył ją niepokój. Szukała go wraz z Clee w Pekinie przed odlotem do Hongkongu, ale na próżno. Po prostu zniknął. Podobnie jak większość innych przywódców

młodzieży. „Zszedł do podziemia”, powiedział jej wreszcie Clee, ona zaś miała nadzieję, że to prawda. Że zdołał uniknąć aresztowania.

Spędzili w Hongkongu kilka dni, łudząc się, że Yoyo da w końcu o sobie znać, tak się jednak nie stało. Nie pozostało im więc nic innego, jak wyjechać.

Jedyną pociechą dla Nicky była świadomość, że Yoyo wie, gdzie może ich znaleźć. Od razu na początku znajomości dała mu swoją wizytówkę, podobnie jak Arch i Clee. Mogła tylko żywić nadzieję, że nadal je ma i dzięki pieniądzom, jakie od nich otrzymał, jest w stanie wyostać się z Chin.

Kiedyś pomyślała nawet, że mogłaby napisać do niego na adres Akademii Sztuk Pięknych, ale natychmiast porzuciła ten zamiar. Wiedziała, że list od dziennikarki z Zachodu może wpędzić go w poważne tarapaty. Poczta w Chinach podlegała obecnie bez wątpienia cenzurze, a taki list byłby w stanie kosztować go wolność. Nawet życie.

Nicky westchnęła ciężko, pchnęła drzwi do swojego pokoju i weszła, usiłując odegnać od siebie pełne obaw myśli o Yoyo. Teraz pozostała jej tylko modlitwa o jego bezpieczeństwo i o to, aby udało mu się uciec na Zachód.

Rozdział 7

Krzyk sprawił, że koszmar rozwiął się w jednej chwili.

Dźwięk odbił się echem od ścian sypialni, zdawał się przenikać jej mózg, niemal tak, jakby to ona krzyczała.

Nicky poderwała się raptownie i usiadła na łóżku, całkowicie przytomna. Twarz i ramiona miała okryte potem. Przez chwilę nasłuchiwała, mrużąc oczy, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności.

Jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał ją teraz, było ciche tykanie zegara na nocnym stoliku. Za oknem szeleściły liście drzew, ocierając się raz po raz o szyby.

A może rzeczywiście to ona krzyknęła na głos, przerażona jakąś marą? Ona czy ktoś inny? Ktoś na zewnątrz domu? Nie była tego pewna, wyszła więc z łóżka, zbliżyła się do okna i wyjrzała przez nie.

Niebo było ciemne, bezchmurne. Księżyc w pełni wisiał wysoko nad starą stajnią, okrywając srebrzystą poświatą cały dziedziniec przed domem, oświetlając przede wszystkim drzewo cyprysowe, starą taczkę wypełnioną kwiatami, ławeczkę w ogrodzie oraz schodki wiodące w dół, do sadu. Nigdzie jednak nie dostrzegła nikogo, nigdzie nie było żywej duszy. A więc to ona musiała krzyczeć...

Przeszedł ją dreszcz, choć noc była wyjątkowo ciepła. Odwróciła się od okna i wróciła do łóżka. Cóż to mógł być za koszmar, który zbudził ją i wydobył z niej ten krzyk? Położyła się, okryła szczelnie gołe ramiona i zamknęła oczy, próbując zasnąć.

Ale sen nie nadchodził, tak więc gdy upłynęło pół godziny, dała za wygraną, wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie bawełniany szlafroczek i zeszła do biblioteki. Tam zapaliła światło, włączyła telewizor i wtuliła się w kąty sofy. Skoro i tak nie była w stanie zasnąć, mogła przynajmniej obejrzeć serwis informacyjny CNN.

Kiedy część dotycząca spraw międzynarodowych dobiegła końca i rozpoczął się program o farmerach amerykańskich na środkowym wschodzie Stanów, Nicky oddała się rozmyśleniom. Mimo woli skoncentrowała się na koszmarze, który wyrwał ją niedawno ze snu, koszmarze okropnym i tak wyrazistym, że nadal dominował w jej umyśle. Jego główną postacią był Clee, pamiętała dokładnie każdy szczegół tego snu.

Znajdowała się na rozległej bezludnej pustyni. Było ciepło, przyjemnie i nie odczuwała lęku, mimo iż wokół siebie nie mogła dostrzec żywej duszy. Czuliła się szczęśliwa. Wspięła się na piaszczystą wydmy, a kiedy stanęła na jej szczycie i spojrzała w dół, dostrzegła oazę. Uświadomiła sobie, że jest spragniona, zbiegła więc po zboczu i poczęła łapczywie pić wodę, nabierając ją dłońmi, dopóki nie zorientowała się, że woda jest zmieszana z krwią. Prerażona, odskoczyła w tył i raptem wzrok jej padł na pognieciony magazyn, umazany błotem i krwią. Był to egzemplarz *Life*. Nicky podniosła go, zaczęła przeglądać strona po stronie i nagle natknęła się na zdjęcie Clee. Podpis głosił, że Clee nie żyje - że zginął w wyniku ostrzału podczas zdobywania materiału dla magazynu, nie informował jednak, gdzie to się stało ani kiedy, na gazecie nie było też żadnej daty. Nicky poczuła, że ogarnia ją groza, zadrżała na całym ciele, mimo iż pustynne słońce

prążyło dotkliwie. Wstała i poczęła biec przed siebie, rozglądając się za Clee. Była przekonana, że on znajduje się gdzieś w pobliżu. Żywy.

Kreśliła się to tu, to tam, a kiedy upłynęło parę godzin, zorientowała się, że nie jest już na pustyni. Miała na sobie grube zimowe ubranie, a dzień zapowiadał się mroźny. Co krok natykała się na ciała martwych ludzi i krwawe ślady wojny i zniszczenia. Z tumanów mgły wyłonił się Clee: podszedł do niej i wziął ją za rękę. Pomógł jej, kiedy stąpała ostrożnie ponad zwłokami, a potem ujrzeli w odłali jeepa. „Spójrz, Nick! - zawołał Clee. - Podwiozą nas!” I natychmiast skoczył do przodu. Pobiegła za nim, ale w pewnej chwili potknęła się i upadła, a kiedy wstała, jego już nie było. Strach ścisnął jej serce, ale natychmiast wzięła się w garść i zaczęła szukać go w płątaniu martwych ciał żołnierzy. Niestety, nie mogła go odnaleźć.

Nieruchome zwłoki zaściełały ziemię na przestrzeni wielu mil, wszędzie panowała głucha cisza i Nicky poczęła się zastanawiać, czy to przypadkiem nie koniec świata. Nieco dalej zauważyła dwa ciała, które leżały niemal stykając się ze sobą. Podbiegła bliżej, a kiedy obróciła je tak, aby ujrzeć ich zimne martwe twarze i zorientować się, czy nie ma tu Clee, wstrząśnięta cofnęła się o krok: przed nią leżeli Yoyo i Charles Devereaux.

Odwróciła się i zaczęła uciekać z tego miejsca w popłochu, potykając się o zabitych żołnierzy. W pewnym momencie spojrzała na swoje dłonie i ubranie: były powalane ciepłą lepką krwią. Przeszła ją trwoga, ciało okryło się potem, ale kiedy przyszło jej do głowy, że może nie znajdzie już Clee ani sama nie wydostanie się z tego okropnego miejsca, dotarła do krańca pola bitwy.

Teraz spacerowała po białej piaszczystej plaży. Pod palmą stał jeep; ten sam, który dojrzała wcześniej. W środku nie było nikogo. Nicky powiodła wzrokiem po ciemnej toni morza. Niedaleko stąd ktoś kąpał się wśród fal. Czyżby to był Clee? Pomachał do niej ręką. Tak, to on! Więc jednak żyje! Wbiegła do wody. Była lodowato zimna, ale dziwnie gęsta, jak olej, tak że trudno było w niej pływać. Dopiero po chwili zorientowała się, że morze nie jest tu niebieskie, lecz czerwone. Tworzyła je krew.

Clee wyciągnął do niej rękę. Chciała ją pochwycić, ale nagle jej ciało zaczęło zanurzać się w wodzie i niebawem zniknęło w odmętach...

Sen skończył się właśnie w tym miejscu, ona zaś zbudziła się z krzykiem. To był rzeczywiście jej krzyk, teraz już była tego pewna.

Wzdrygnęła się, na rękach wystąpiła jej gęsia skórka. Owinęła się szczelniej szlafrokiem, ale wrażenie chłodu nie ustępowało. Wstała, podeszła do barku, przebiegła wzrokiem butelki, po czym sięgnęła po „Marc de Bourgogne”.

Coś nieokreślonego odżyło w jej pamięci, po chwili jednak przypomniała sobie tę etykietkę. Oczywiście, to jeden z gatunków brandy, jakie Charles importował z Francji. Odstawiła butelkę na srebrną tacę, ale niemal natychmiast podniosła ją ponownie, nalała sobie kieliszek, upiła łyk, po czym podeszła wolnym krokiem do sofy.

Nie знаła się zbyt dobrze na snach, wiedziała jednak, że senny koszmar to po prostu ujawnienie wrażeń zakodowanych w podświadomości. Kiedyś, parę lat temu, matka powiedziała jej, że sny człowieka wyrażają jego lęki, że to, co przeraża go najbardziej, daje o sobie znać we śnie, gdy odzywa się podświadomość. I dlatego nie

musiała teraz zastanawiać się długo nad objaśnieniem swego snu. Wiedziała doskonale, co oznaczał: bała się, że Yoyo nie żyje, martwiła się też o Clee, który jako korespondent wojenny ryzykował stale własnym życiem i w każdej chwili mógł zostać zabity.

To zupełnie zrozumiała, powiedziała sobie w duchu, upijając kolejny łyk brandy. Obaj mężczyźni absorbowali ostatnio często jej myśli. Ale dlaczego we śnie pojawił się Charles Devereaux? Może dlatego, że przebywała obecnie we Francji, dokąd kiedyś podróżowała wraz z nimi i dokąd przyjeżdżał często, aby zakupić wino dla swojej firmy importowej... i gdzie spędzili razem tamte dwa pamiętne tygodnie...

Im dłużej rozmyślała na ten temat, tym wyraźniej dostrzegała prawdę: ci trzej mężczyźni przyśnili jej się dlatego, że każdy z nich na swój sposób ją trapił. Naprawdę martwiła się o nich.

Rozdział 8

Clee wpatrywał się z zainteresowaniem w negatywy, które wisiały podświetlone w jego paryskim biurze. Po kilku minutach odwrócił się do Jean-Claude'a Roche, kierującego działalnością jego agencji fotograficznej Image, i skinął głową: - Myślę, że trafiłeś na właściwego, Jean-Claude. Te zdjęcia są dobre, cholernie dobre. Umów

tego faceta ze mną i sprowadź go tu, im prędzej, tym lepiej. Przyda nam się jeszcze jeden dobry fotograf, pracy mamy przecież coraz więcej, nieraz nawet za dużo. Jean-Claude wyglądał na zadowolonego. - Marc Villier jest naprawdę doskonały, Clee. To bystry gość, agresywny, ale jednocześnie wrażliwy. I ma wprawne oko, jak ty. Z pewnością polubisz go, jest... jakby to powiedzieć... bardzo sympatyczny.

- Doskonale. Te zdjęcia zapowiadają, że będzie wykonywał dobrą robotę. Chciałbyś może omówić ze mną jeszcze inne sprawy?

Jean-Claude potrząsnął głową. - Nie. Mam wszystko pod kontrolą. Zlecenie leży u ciebie na biurku. Wszyscy mają rozplanowane zajęcia na kilka najbliższych tygodni. Wszyscy prócz ciebie. Zorganizowałem pracę tak, żebyś był teraz wolny.

- Wspaniale. Po Pekinie i Moskwie przyda mi się trochę wypoczynku! - Na twarzy Clee odmalowała się ulga. Odwrócił się, zebrał negatywy z podświetlarki i podał je Jean-Claude'owi, który podziękował, wsunął je do dużej koperty, po czym zapowiedział: - Zadzwoń do Marca i poproszę, żeby wpadł tu jutro rano na rozmowę. Odpowiada ci to?

- Jasne. A przy okazji: na jakim etapie znajduje się nasze zlecenie dla *Life*?

- Będziesz im potrzebny mniej więcej przez trzy tygodnie, na przełomie lipca i sierpnia. Chcieliby, żebyś poleciał do Waszyngtonu i przede wszystkim sfotografował prezydenta i panią Bush. Na tym zależy im najbardziej.

- Tak, mogę to zrozumieć. Kongres obraduje przez cały lipiec, a Bush prawdopodobnie wyjedzie w sierpniu albo do Camp David, albo do Kennebunkport. Czy wiadomo już kim zajmę się potem, po prezydencie?

- Jeszcze mi tego nie powiedzieli. Ale chcieliby, żebyś przygotował dla nich kilka specjalnych reportaży. Obiecałem im, że powiadomię ich jak najszybciej o dacie twego przyjazdu. Muszą uzgodnić to z Białym Domem. A więc, kiedy tam polecisz?

- Myślę, że czternastego. - Clee podszedł do zaśmieczonego najprzeróżniejszymi papierami biurka i usiadł za nim. - Zapytaj Marca Villiera, czy mógłby przyjść z samego rana, między siódmą trzydzieści a ósmą.

- Dobrze. - Jean-Claude skierował się do wyjścia, ale przed drzwiami przystanął i spojrzął na Clee. - Z tym nie będzie żadnego problemu, Marc przyjdzie o takiej porze, jaka będzie ci na rękę. Przede wszystkim zależy mu na tym, aby pracować z tobą, Clee. Jesteś jego idolem.

Clee uśmiechnął się tylko, pozostawił tę uwagę bez komentarzy. Wiedział doskonale, co to znaczy mieć idola.

Machinalnie spojrzął na zdjęcie Roberta Cappy, wiszące na ścianie pośród innych i - jak zwykle w takich chwilach - ogarnął go smutek. Żałował w życiu tylko jednego: że nigdy nie spotkał się z Capą. Po prostu urodził się za późno, a tragiczna śmierć Cappy nastąpiła przedwcześnie.

Po chwili opuścił wzrok na papiery leżące na biurku i począł przeglądać je niedbale, pobieżnie, zgodnie ze swym zwyczajem. Papierkowa robota nigdy nie była jego mocną stroną, nudziła go. Zgarnął listy na jeden stos i na liście, który leżał na wierzchu, wypisał w poprzek: „Luizo, proszę, zajmij się tym wszystkim wedle twego uznania” i zostawił całą korespondencję na następny dzień dla swojej sekretarki.

Zerknął na zegarek. Dochodziła szósta. Jeśli miał odwołać obiad ze swymi przyjaciółmi, Henry i Florence Devonami, musiał to zrobić natychmiast. Henry, pisarz, pracował w paryskim biurze *Time*. Clee wystukał jego bezpośredni numer telefonu. Sygnał w słuchawce rozbrzmiewał przez dłuższą chwilę, wreszcie odezwał się głos Henry'ego z wyraźnym bostońskim akcentem:

- *Allo, oui?*

- Hank, tu Clee.

- Clee! Nie mów tylko, że odwołujesz spotkanie!

- Muszę, Hank. Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale nie mam innego wyjścia.

- Fio zaprosiła tę modelkę od Lacroix, nie pamiętam jej imienia. Zachwycająca dziewczyna. Chyba nie chcesz, aby ominęła cię taka okazja, prawda?

- Najwyższy czas, abyście przestali wyřęcać mnie w sprawach sercowych! - zawołał Clee jakby zniecierpliwiony, ale potem roześmiał się i dodał:

- Naprawdę nie mogę dziś do was przyjść. Muszę się z kimś spotkać i jest to sprawa dużej wagi.

- Nie wątpię w to. Znając cię, podejrzewam, że chodzi o nagłą i atrakcyjną randkę.

Ignorując tę uwagę, Clee zauważył rzeczowo:

- Fio jest zazwyczaj przezorna i zaprasza na wszelki wypadek wielu kawalerów, tak więc jestem pewien, że ta dama od Lacroix nie będzie mogła narzekać na brak zainteresowania ze strony mężczyzn.

- To prawda. Ale, z drugiej strony, Fio chciała, abyś ty spędził dziś wieczór z tą dziewczyną.

- Dobrze, ale innym razem. Dziś jestem zajęty. A może zjedlibyśmy jutro razem lunch?

- Nic z tego. Lecę do Nicei. Pracuję obecnie nad sztuką o rodzie Grimaldich z Monaco i muszę przeprowadzić kilka wywiadów w Monte Carlo.

- A więc zadzwoń, kiedy wrócisz. Wtedy się umówimy.
 - Zgoda. Wiesz, Clee...
 - Słucham cię, Hank?
 - Będzie nam dziś ciebie brak.
 - I wzajemnie. Przepróż w moim imieniu Fio, ucałuj ją ode mnie. - Odwiesił słuchawkę i pomyślał, że z samego rana musi wysłać Florence ładne kwiaty. Jeszcze raz podniósł słuchawkę i wystukał kolejny numer. Natychmiast odezwał się kobiecy głos.
 - To ty, Mei? - zapytał.
 - Witaj, Clee. Czy stało się coś złego?
 - Nie, nic złego, tylko... Mei, ja...
 - Chcesz odwołać nasze dzisiejsze spotkanie.
 - Posłuchaj, kochanie, bardzo mi przykro, ale w mieście jest pewien amerykański wydawca i chciał...
 - Zobaczyć się z tobą koniecznie dziś wieczorem, bo jutro, skoro świt, wraca do siebie, a wasze spotkanie miałoby olbrzymie znaczenie dla agencji - dokończyła za niego, jak gdyby znała już te słowa na pamięć.
 - Zgadłaś.
 - To może wpadniesz do mnie potem?
 - Będzie za późna pora.
 - Mnie to nie przeszkadza.
- Nastąpiła chwila milczenia, wreszcie Clee powiedział: - Co do mnie, wołałbym się zobaczyć z tobą w weekend, Mei. O ile będziesz miała czas. Moglibyśmy wybrać się gdzieś dalej na obiad. Co ty na to?
- W słuchawce rozległo się ciche westchnienie.
- No dobrze, niech i tak będzie - powiedziała w końcu.
 - Ale naprawdę nie wiem, Cleelandzie Donovan, dlaczego

pozwalam ci na to wszystko. Innym facetom nie uszłoby to płazem.

- Co by nie uszło im płazem?
- Takie wykręty.
- Czy jesteście umówieni na sobotni wieczór?
- Wiesz dobrze, że tak, Clee.
- Zadzwoń do ciebie jutro i jeszcze raz przepraszam,

że tak wyszło.

Pożegnał się i odłożył słuchawkę. Jutro wyśle Mei kwiaty, postanowił w duchu, sadowiąc się wygodniej w fotelu i zamykając oczy.

Fakt, że odwołał wizytę u Fio i Hanka oraz spotkanie z Mei, sprawiał mu ulgę, mimo że musiał uciec się do niewinnych wprawdzie, ale ewidentnych kłamstw. W rzeczywistości nie miał też żadnego służbowego spotkania, ale nie był w nastroju ani do przyjęcia w większym gronie, ani do obiadu sam na sam z Melanie Lowe, mimo że była kobietą inteligentną i atrakcyjną i że naprawdę ją lubił. Wolał spędzić ten wieczór w samotności, chciał przemyśleć sobie wiele spraw. Dlatego też ucieszył się, kiedy dowiedział się od Jean-Claude'a, że ma teraz kilka wolnych dni, że przed wyjazdem do Stanów, gdzie czekała go praca dla *Life*, będzie mógł odpocząć.

W przyszłym tygodniu chciał też skoncentrować się na pewnych sprawach osobistych, które wymagały zastanowienia. Zwłaszcza nad jedną z nich głowił się już od paru tygodni.

Otworzył oczy, wstał, założył marynarkę, po czym podszedł do drzwi.

Na moment zatrzymał się jeszcze i skierował wzrok na portret Capy. Ze wszystkich jego zdjęć, czy to w mundurze wojskowym, czy też w ubraniu cywilnym, to lubił najbardziej. Capa był na nim z Davidem Seymourem, a zdjęcie

zostało zrobione na zasypianym liśćmi paryskim placu, na początku lat pięćdziesiątych. Obaj przyjaciele siedzieli na metalowych krzesłach w kawiarnianym ogródku, Capa miał na sobie nieprzemakalny płaszcz; w kąciaku jego ust tkwił papieros. Oczy patrzyły figlarnie, uśmiechał się lekko. Jedną dłoń trzymał na kolanie - i ta dłoń zawsze fascynowała Clee. Dłoń o długich, zwinnych palcach. Capa wyglądał na tym zdjęciu wyjątkowo korzystnie; wyraziste męskie rysy, gęste brwi i włosy, ciemne przenikliwe oczy, pełne usta - to wszystko czyniło z niego mężczyznę nadzwyczaj przystojnego.

Capa posiadał legendarny już wdzięk i czarującą osobowość; Clee nie dziwił się wcale, dlaczego Ingrid Bergman i wiele innych kobiet straciło dla niego głowę i zakochało się w nim po uszy.

Wszystko, co Clee przeczytał kiedykolwiek na temat Capy, potwierdzało męstwo i odwagę tego fotografa, jak również jego życzliwe podejście do innych ludzi. Kiedyś brytyjski magazyn *Picture Post* zamieścił zdjęcie Capy opatrując je podpisem: „Największy fotoreporter wojenny na świecie”. Określenie to może było przesadą, ale Capa swój zawód okupił życiem.

Zginął 25 maja 1945 roku, kiedy wszedł na minę przeciwołogową na niewielkim trawiastym zboczu w odległości pięciu kilometrów od Doungiton, podczas francuskiej wojny o Indochiny.

Miał wtedy czterdzieści jeden lat. O dwa lata starszy niż jestem teraz, uświadomił sobie Clee, rozmyślając o własnej śmiertelności i o tym, jak ulotne jest życie.

W 1955 roku magazyn *Life* i amerykański Overseas Press Club ustanowiły nagrodę imienia Roberta Capy dla „najlepszego fotoreportera, który wykaże się za granicą odwagą i inicjatywą.”

Clee zdobył ją dzięki fotoreportażom z ogarniętego wojną Libanu i ze wszystkiego, co miał, tę właśnie nagrodę cenił najbardziej. Nadeszła do niego w pudełku wyszycianym niebieskim aksamitem i stała teraz na półce tuż obok zdjęcia Capy, oddzielona od innych międzynarodowych nagród, które Clee otrzymał w uznaniu swej znakomitej pracy.

Przez chwilę Clee wpatrywał się w nią, zastanawiając się nie po raz pierwszy, dlaczego czuje się tak bardzo związany z człowiekiem, którego nigdy nie poznał osobiście, a którego brak odczuwał tak boleśnie, jak gdyby był to jego najbliższy przyjaciel. Dziwne, ale nie mógł temu zaprzeczyć: Capa, fotoreporter, który nie żył już od dłuższego czasu, wpłynął na jego życie jak nikt inny.

Na korytarzu rozległ się głos Jean-Claude'a. Clee odegnał wszelkie rozmyślania o Capie i wyszedł z pokoju, aby upewnić się, czy wszystko w porządku. - Hej, chłopcy, co się stało? - zapytał podchodząc do Jean-Claude'a, który rozgorączkowany dyskutował o czymś z Michele Belmondem, współwłaścicielem agencji i zarazem utalentowanym i odważnym fotoreporterem.

- *Rien* - odparł Michel i mrugnął do Clee.

- Ma rację, to naprawdę nic takiego - uśmiechnął się Jean-Claude. - Po prostu omawialiśmy zalety różnych restauracji, zastanawialiśmy się, dokąd wybrać się na obiad ze Steve'em - wyjaśnił, mając na myśli współwłaściciela Image.

- Wymieńcie restauracje, jakie wchodzi w rachubę - powiedział Clee. - Może ja oddam decydujący głos.

Rozdział 9

Kiedy Clee opuścił wreszcie biuro Image przy rue de Berri, zaczął zapadać zmierzch. Była to pora dnia, gdy niebo okrywa się półcieniem, nie jest jednak jeszcze czarne.

Idąc w stronę Champs-Élysées, Clee podniósł głowę i spojrzał w górę. Dziś niebo przybrało barwę granatową, niemal pawią, miało też łagodny, lecz wyrazisty blask, jak gdyby coś podświetlało je z drugiej strony.

Magiczna godzina, pomyślał Clee; tego właśnie terminu filmowcy używali w odniesieniu do pory dnia szczególnie korzystnej dla kręcenia scen specjalnych, z efektami.

Przy Champs-Élysées przystanął i spojrzał na długą szeroką aleję, koncentrując wzrok na widocznym w oddali Łuku Triumfalnym. Na jego szczycie wisiała trójkolorowa flaga narodowa Francji, oświetlona reflektorami. Powiewała na wietrze i w tym momencie wyglądała szczególnie imponująco. Clee przyznał w duchu, że Łuk Triumfalny przedstawia sobą widok naprawdę porywający, chociaż od jakiegoś czasu cały Paryż prezentował się w ten sposób. Wiele zabytkowych budowli odnawiano pieczołowicie, przygotowując je w ten sposób do obchodów dwóchsetlecia, które miały odbyć się jeszcze w tym roku.

Clee skręcił w lewo. Po całym dniu spędzonym w biurze spacer po Champs-Élysées sprawiał mu szczególną przyjemność, a Paryż pomagał mu odprężyć się lepiej niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie.

To było jego miasto. Po raz pierwszy przebywał tu mając osiemnaście lat i zakochał się w Paryżu natychmiast. Od pierwszego wejrzenia. Już wcześniej marzył o tej wycieczce ze względu na Capę, który mieszkał w stolicy Francji od wielu lat i tu w 1947 roku założył wraz z Davidem Seymourem i Henri Cartier-Bressonem agencję fotograficzną Magnum. Capę Clee uznał za swego bohatera już jako piętnastoletni młodzieniec, w 1965 roku. Mieszkał wówczas w Nowym Jorku, przeczytał w magazynie fotograficznym artykuł o zmarłym fotoreporterze i odtąd szukał z zapalem wszystkiego, co napisano kiedykolwiek na temat Capy.

Clee zaczął fotografować, kiedy miał dziewięć lat. Posługiwał się prostym aparatem, który rodzice podarowali mu na urodziny, ale już wtedy jego zdjęcia zwracały uwagę i zdradzały niepospolity talent. Zarówno rodzice, jak również siostry, Joan i Kelly, zgodzili się być jego ofiarami i pozwali mu cierpliwie o różnych porach dnia i nocy oraz podczas uroczystości rodzinnych.

Obdarzony wrodzonym talentem, inteligentny, wrażliwy i spostrzegawczy, Cleo był samoukiem. Fotografowanie stało się jego pasją, treścią całego życia i nawet potem, kiedy z nastolatka przekształcił się w mężczyznę, nic nie zmieniło się pod tym względem.

Był rok 1968, kiedy Cleo odkrył Paryż i natychmiast uległ urokowi tego miasta. Owego lata podjął decyzję, że pewnego dnia tu zamieszka, zaś do Nowego Jorku powrócił z postanowieniem, że w przyszłości będzie wielkim fotografem. Chciał zostać drugim Robertem Capa, o ile to w ogóle było możliwe.

W tym czasie pracował w ciemni laboratorium fotograficznego na Manhattanie, wytrzymał tam jednak jeszcze

tylko kolejny rok. Dzięki koneksjom ojca zatrudnił się jako młodszy fotograf w *New York Post*, gdzie bardzo szybko zwrócił na siebie uwagę doskonałymi pracami.

W tym samym okresie zapisał się do szkoły wieczorowej i niemal codziennie uczył się języka francuskiego, co -jak wiedział - było niezbędne, o ile miał zrealizować swoje plany i zamieszkać w Paryżu. Kiedy ukończył dwadzieścia jeden lat, władał już biegle tym językiem, był również fotografem o niebo lepszym od wielu weteranów w tym zawodzie.

W 1971 roku objął dobrą posadę w *The New York Times*, ale w wieku dwudziestu trzech lat rozstał się z tą gazetą. Postanowił nie wiązać się ściśle z żadną redakcją; wolał objeżdżać jako fotoreporter całą Europę i współpracować z licznymi magazynami amerykańskimi oraz angielskimi.

Oczywiście osiadł w Paryżu, a dwa lata później, kiedy ukończył dwadzieścia pięć lat, założył Image. Na wspólników wybrał sobie dwóch innych fotografów, zatrudnił trzech pomocników do pracy w ciemni, sekretarkę oraz Jean-Claude'a, który koordynował działalność agencji. Jego wspólnikami byli Michel Bellond, Francuz, oraz Steve Carvelli, Amerykanin włoskiego pochodzenia. Niepełna rok po utworzeniu Image, czwartym i ostatnim wspólnikiem został Peter Naylor z Londynu.

Od samego początku Image stała się dobrze prosperującą i szybko pnącą się do góry firmą, która oferowała wysokie honoraria znakomitym fotografom i zdobywała ważne nagrody za swą działalność. Po czternastu latach jej pozycja była nadal silna, do czego przyczyniła się praca czterech nietuzinkowych wspólników. Była to jedna z najbardziej prestiżowych agencji fotograficznych na świecie.

Clee zdawał sobie sprawę, jak bardzo rozczarował rodzinę, emigrując ze Stanów i osiedlając się w Paryżu. Ubolewał nad tym, jednak nie zamierzał tego zmieniać. Było to jego życie i chciał ukształtować je po swojemu. W początkowym okresie rodzice i siostry odwiedzali go w Paryżu stosunkowo często, a i on, przebywając w Nowym Jorku, spotykał się z nimi, kiedy tylko mógł.

Mimo iż zawiódł ojca i wbrew jego życzeniu nie zdecydował się na uczelnię, wybierając za to świat fotografii, obaj pozostali dobrymi przyjaciółmi. Edward Donovan, jego ojciec, z pochodzenia Irlandczyk, człowiek o analitycznym umyśle, elokwentny i rozprawiający z niezwykłą swadą, był wziętym adwokatem na Manhattanie, uznanym ekspertem prawa karnego. Zmarł nieoczekiwanie na atak serca w 1981 roku, a Clee, podobnie jak matka i siostry, odczuł tę stratę bardzo boleśnie. Ted Donovan był domatorem, oddanym mężem i kochającym ojcem.

Clee odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że matka zdołała względnie szybko dojść do siebie. W dużym stopniu zawdzięczała to potomstwu swych córek. Joan i Kelly były już w tym czasie zamężne i Donovanowie mieli trzy wnuczki i wnuka. Właśnie one stały się dla Marty Donovan sednem życia.

Rozmyślając o matce, Clee machinalnie zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i podał kierowcy swój adres. Jeszcze w ten weekend musi zadzwonić do niej i powiedzieć, że pod koniec lipca będzie w Nowym Jorku. Tak więc będą mogli się spotkać. Z pewnością matka się ucieszy, tak jak on. Przez wszystkie te minione lata pozostawali ze sobą w bliskim kontakcie. Wiedział, że matka martwi się o niego, zwłaszcza gdy on przebywa w rejonach objętych działaniami wojennymi.

Niebawem taksówka skręciła w rue Jacob w szóstej dzielnicy, tej uroczej części Paryża, znanej jako Dzielnica Łacińska. Tu właśnie, w eleganckiej zabytkowej kamienicy, na czwartym piętrze mieszkał Clee.

* * *

Clee siedział na sofie w salonie, światła były przygaszone, z odtwarzacza dobiegały przyciszone, dyskretne dźwięki muzyki Mozarta, on zaś sączył piwo, rozmyślając o swoim życiu osobistym.

Nicole Wells. To imię i nazwisko powtarzał sobie w duchu kilkakrotnie. Musiał przyznać, że ta kobieta stała się dla niego problemem, problemem, który nie dawał mu spokoju.

Przez dwa lata byli dla siebie *compains* - kompanami w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. W Pekinie ocalił jej życie. A potem coś w nim uległo przemianie.

Przestał myśleć o niej jak o koledze po fachu. Była kobietą - i to właśnie w niej dostrzegł. Uświadomił to sobie w momencie, gdy na widok nadjeżdżających czołgów odciągnął ją na bok, na cokół Pomnika Męczeństwa na placu Tiananmen, i tam objął ramieniem. Był wówczas tak bardzo uradowany, że nie stało jej się nic złego, iż przez chwilę odniósł wrażenie, jakby opuściły go wszystkie siły. Nieznane mu dotąd emocje owładnęły nim do tego stopnia, że nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa. Nicky podziękowała mu, on zaś spojrział w te jej chłodne, cudownie niebieskie oczy i raptem zbudziło się w nim uczucie, którego nie zdołał zrozumieć w pełni.

Potem, kiedy już opuścił Hongkong, starał się usilnie

odpędzić od siebie to uczucie, ale bez powodzenia. Sytuacja wytrącała go z równowagi i zarazem niepokoiła, choć zaczynał rozumieć jej podłoże. Od jakiegoś czasu czuł się coraz bardziej związany z Nicky, właściwie oboje odnosili się do siebie niczym siostra i brat. Teraz uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że nie potrafi dłużej traktować jej w ten sposób, nie wiedział też, jak ma sobie poradzić z tym problemem.

Przede wszystkim nie miał ochoty na poważny związek z jakąkolwiek kobietą, wolał bowiem unikać zobowiązań, które mogłyby uczynić z niego człowieka żonatego, a nawet ojca. Był przekonany, że ze względu na duże ryzyko, jakie niósł ze sobą jego zawód, postąpiłby nieuczciwie decydując się na założenie rodziny. Poza tym nie był gotów jeszcze zrezygnować z życia pełnego podróży i emocji, na razie rozkoszował się wolnością. Jeśli miał być uczciwy, musiał określić siebie jako zatwardziałego kawalera.

Do tego wszystkiego dochodziła osoba Nicky. Była jak wymarzona na przyjaciela, nie potrafił jednak wyobrazić jej sobie w roli kochanki. Była zbyt skomplikowana, miała zbyt zawiłą osobowość. No i jeszcze problemy natury racjonalnej: mieszkali daleko od siebie, dzielił ich cały ocean, a poza tym ona była teraz gwiazdą telewizji amerykańskiej. Reasumując, trudno było dopatrzeć się tu czynników, które sprzyjałyby nawiązaniu harmonijnego romansu.

Istniały również inne obiekcje. Clee był przekonany, że Nicole Wells rozgrywa swoje życie na wielu polach bitwy: konfliktów militarnych, wydarzeń politycznych oraz własnych problemów związanych z niedawnym zawodem miłosnym.

Nie mógł też oprzeć się wrażeniu, że Nicky jest nadal zakochana w Charlesie Devereaux, choć nigdy nie wspomniała mu o tym ani słowem.

W całą sprawę wtajemniczył go za to Arch Leverson, dzięki czemu znał dość dobrze przebieg tamtych wydarzeń. Jego zdaniem, które podzielał w pełni Arch, Charles Devereaux postąpił jak ostatni łajdak. A tak wspaniałe kobiety jak Nicky nie musiały być zdane na mężczyznę tego pokroju, choć często trafiały akurat na tych niewłaściwych.

Zegar na białym marmurowym obramowaniu komin-ka wybił dziewiątą i Clee drgnął zaskoczony: zorientował się, że odkąd wrócił do domu z biura, przez cały czas rozmyślał o Nicky.

Co, u diabła, mam z nią zrobić?

Zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem, potem jednak uświadomił sobie, że nie musi wcale nic robić. Przecież Nicky nie miała pojęcia o tym nowym dziwnym uczuciu, które zrodziło się w nim nie wiedzieć czemu. Jeśli wykaże odpowiednio dużo sprytu i nie zdradzi się przed nią, ona pozostanie w nieświadomości. To bardzo proste, wystarczy traktować ją nadal jak kumpla. Położenie jest kłopotliwe, ale takie rozwiązanie wydaje się idealne. A przy tym jedyne. Musi zachowywać się wobec niej dokładnie tak jak dotychczas, a wszystko będzie w porządku.

Zadowolony, że w końcu znalazł wyjście z sytuacji, która dręczyła go od chwili opuszczenia Pekinu, Clee wstał, przeszedł do kuchni, wyjął z lodówki kolejną butelkę piwa i otworzył ją.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Clee przybiegł czym prędzej do salonu i podniósł słuchawkę.

- Halo, słucham?

- Cześć, Clee, to ja.

- Nicky! - Na dźwięk jej głosu ogarnęła go radość, radość tak olbrzymia, że poczuł się tym zaskoczony. Opadł ciężko na najbliższe krzesło.

- Co słyhać w Prowansji? - zapytał głucho, zadowolony, że dzielą ich teraz setki mil i że Nicky nie może dojrzeć jego reakcji.

- Jest bardzo spokojnie, ale to właśnie dobrze - odparła. - Świeci słońce, wszędzie panuje cisza. Miałaś rację, Clee, to było mi naprawdę potrzebne. Podoba mi się twoja farma. Jest po prostu piękna. I tak tu wszędzie wygodnie. Wspaniale ją urządziłaś.

Jego milczenie zaniepokoiło ją. Czym prędzej dodała: - Mam nadzieję, że nie zadzwoniłam w nieodpowiedniej chwili.

- Nie, nie - zapewnił skwapliwie, odzyskując wreszcie głos. Odchrząknął. - Bardzo się cieszę, że podoba ci się mój dom, Nick. Moja siostra, Joan, będzie zachwycona, kiedy jej o tym powiem. To ona nadzorowała odnawianie farmy.

- A ja myślałam już, że masz jakieś ukryte zdolności! - Roześmiała się gardłowo, on zaś po raz pierwszy uznał, że jej śmiech brzmi niezwykle erotycznie.

- Jak długo zamierzasz pozostać w Prowansji? - mruknął.

- Jeszcze nie wiem. Właściwie myślałam jedynie o tygodniu, ale może spędziłabym tu trochę więcej czasu. Clee, zastanawiałam się, czy nie mógłbyś przylecieć tu na parę dni. Dotrzyмай mi towarzystwa, oczywiście o ile nie masz czegoś lepszego do roboty.

- Chętnie bym przyleciał, Nicky, ale jestem zawałony robotą. Agencja dba o to, żebym nie mógł narzekać na bezczynność.

- Och!

- Posłuchaj, właśnie załatwiam pewną sprawę. Zadzwoń do ciebie trochę później - obiecał Clee. - Chyba, że zamierzasz iść wcześniej spać.

- Nie, w porządku. Zadzwoń, kiedy będziesz mógł. Na razie.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdołał coś dodać, on zaś pomyślał z żalem, że może zachował się zbyt obcesowo. Nie mógł jednak inaczej. Odkąd jego rozmyślenia o Nicky przybrały zabarwienie erotyczne, czuł się wobec niej skrępowany, uzmysłowił to sobie zwłaszcza przed chwilą, rozmawiając z nią przez telefon.

Pod wieloma względami była zaskakującą kobietą. Dwa lata temu w Bejrucie, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, przyszło mu do głowy, że ma przed sobą kobietę o najbardziej klasycznym wyglądzie, jaki można sobie wyobrazić - piękną, elegancką nawet w tym znoszonym kostiumie safari i nadzwyczaj fotogeniczną. W myśli określił ją jako współczesną Grace Kelly; z niej również emanowała powaga i chłód, odstręczające może niektórych mężczyzn, chociaż on sam był pewny, że pod tą powłoką kryje się dużo ciepła. Z czasem utwierdził się w przekonaniu, że z natury Nicky jest osobą głęboko romantyczną i namiętną, ale z winy Devereaux, który zranił ją tak boleśnie, zamienia się w bryłę lodu, kiedy na horyzoncie pojawia się mężczyzna.

Wszystko to nie miało dla niego większego znaczenia do tej pory, byli bowiem dla siebie tylko kumplami i nie łączyło ich nic więcej. Poza tym wtedy, kiedy spotkali się w Bejrucie, był związany z inną kobietą i Nicky nie interesowała go jako ewentualna kochanka.

Teraz sprawy miały się inaczej, jego uwagę przykuwało wszystko, co dotyczyło jej osoby. Ale to nie jest w

porządku, skarcił się w duchu, muszę traktować ją wyłącznie jako dobrą znajomą.

Zerwał się z miejsca, wszedł do kuchni, oderwał część świeżej bagietki, leżącej na stole, i zrobił sobie kanapkę. Chrapiąc ją i popijając co parę chwil piwem zaczął krążyć niespokojnie od ściany do ściany, jednak choć starał się usilnie wymazać Nicky Wells z pamięci choćby na jakiś czas, nie mógł przestać o niej myśleć.

* * *

O dziewiątej zadzwonił do niej. Gawędzili jakieś dwadzieścia minut; najpierw opowiedział jej o Marku Villierze i planowanej na rano rozmowie z nim, poinformował ją również o rychłej podróży do Stanów, gdzie miał pracować dla *Life*. Jak zwykle nie zapomnieli też o Yoyo, od którego nadal nie nadeszła żadna wiadomość.

Kiedy rozmowa dobiegła już końca, Clee powiedział z żalem: - Naprawdę bardzo mi przykro, Nicky, ale nie mogę teraz przyjechać na farmę. Chętnie poleżałbym trochę na słońcu i odprężył się w twoim towarzystwie, ale wzywają mnie obowiązki. Jestem zawałony pracą.

- Trudno, nie przejmuj się tym - odparła pogodnie. - Potrafię to zrozumieć, naprawdę.

Ale on, odkładając słuchawkę, nie był pewny, czy rozumie samego siebie.

Jeszcze przez chwilę siedział nieruchomy, z dłonią na aparacie. Najbliższe dni oznaczały dla niego jedynie rozmowę kwalifikacyjną z Villierem jutro z samego rana oraz randkę z Mei w sobotni wieczór. W rzeczywistości mógłby sobie pozwolić na spędzenie dłuższego weekendu w Prowansji.

Westchnął na myśl o Mei. Stale odwoływał ich spotkania, to z tego powodu, to z tamtego... Wiedział, że nie postępuje wobec niej fair. Ale to właśnie świadczyło wymownie o tym, jakie naprawdę były ich stosunki. Mei była urocza, ale swoich uczuć do niej nie mógłby nazwać głębokimi. Jeśli miał być szczery, musiałby przyznać, że Melanie Lowe jest kobietą, którą po prostu lubi, nic poza tym. I że to nigdy się nie zmieni.

Powrócił myślami do Prowansji. Nie było żadnego powodu, który miałby przeszkodzić mu w wyjeździe na farmę. Żadnego istotnego powodu. Chociaż nie, to nieprawda. Powód istniał, i to bardzo ważny. Nicky Wells.

Zdażył już zapomnieć o decyzji, jaką niedawno podjął - utrzymywać swoje stosunki z Nicky w takim kształcie jak dotychczas: a więc platonicznym. Nie zamierzał tego zmieniać. Nie zamierzał również spędzać tego weekendu na farmie. Po co demaskować się w chwili, kiedy jego słabość wobec niej mogłaby wyjść na jaw? Lepiej zapamiętać nad uczuciami, zaczekać aż osłabną.

W tym tygodniu spotka się z Mei. I będzie spotykać się z nią dopóty, dopóki oboje będą pragnęli tego związku. Mei odpowiadała mu. Była urocza, czuła i nie wymagała wiele. Co więcej, lubił jej towarzystwo, jej poczucie humoru, jej pogodę ducha i inteligencję.

Nicky natomiast pozostanie jego towarzyszem broni. Przeżyli razem tak wiele, choć nie współpracowali ze sobą. Trudno mu było wyobrazić sobie kogoś innego, kto byłby równie wspaniałym kumplem, wiedział też, że nie wolno mu zrobić żadnego kroku, który naraziłby na szwank ich przyjaźń. Przyjaźń, na której mu naprawdę zależało.

Rozdział 10

- Wszystko, co powiedział Guillaume, jest prawdą, *mademoiselle* Nicky - zapewniała Amelia, kilkakrotnie kiwając z naciskiem głową. - Niebawem zrobi się piekielnie gorąco. Nie do zniesienia. Nie jest to odpowiedni dzień na spacer po Arles! - Zerknęła na niebo i powtórzyła: - Piekielnie gorąco, *oui*.

Nicky zadarła głowę do góry, podążyła wzrokiem za spojrzeniem Amelii. Niebo było jaskrawoniebieskie, niemal drażniło oczy. Nicky założyła okulary słoneczne.

- Jeśli sądzisz, że nie powinnam tam jechać, to nie pojedę - mruknęła. Polegała na zdaniu tej pary: Amelia i Guillaume znali się doskonale na wszystkim, co dotyczyło Prowansji, w tym również na pogodzie. Przez cały tydzień, który tu spędziła, nie udzielili jej ani jednej błędnej informacji.

- Za gorąco, by włączyć się po mieście - mówiła dalej Amelia, podkreślając swoją opinię wymownym gestem ręki. - Lepiej zostać tu. Posiedzieć w cieniu pod drzewem. Popływać w basenie. Skorzystać z chłodu. Tylko w ten sposób można spędzić taki dzień jak ten, *mademoiselle* Nicky.

- Zastosuję się do tej rady, Amelio - uśmiechnęła się Nicky. - Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę.

Był piątkowy poranek, dochodziła ósma. Obie kobiety stały pośrodku trawnika, który rozciągał się od tarasu z boku domu aż do basenu w pobliżu ogrodu. Słońce płonęło intensywnie na błękitnym, oślepiającym czystym

niebie, powietrze już teraz, o tak wczesnej porze, wibrowało z żaru. Wszystko trwało w bezruchu, nie poruszało się ani jedno źdźbło trawy, nie drgnął nawet jeden liść. Ptaki, wyjątkowo dziś milczące, znalazły schronienie przed upałem w zielonych konarach drzew, pośród zielonych gałęzi.

Amelia wygładziła swój świeży, nieskazitelnie biały fartuszek, zerknęła na Nicky i zapytała: - Na co miałyby pani ochotę na lunch?

Nicky parsknęła śmiechem. - Amelio! Przecież dopiero co zjadłam śniadanie! Musisz zaprzestać karmić mnie w ten sposób! Zaczynam już się czuć jak kaczka, którą się tuczy na święta.

Amelia pokręciła z dezaprobatą głową. - Ależ *mademoiselle* Nicky! - wykrzyknęła. - Przecież pani jest za chuda! - Otoczyła ramionami swoje pełne, prowansalskie ciało, poklepała się po bokach, następnie mrugnęła porozumiewawczo i zauważyła: - Mężczyzna lubi poczuć trochę ciała, *n'est-ce-pas?*

- Może masz rację - roześmiała się Nicky. - Ale bardzo cię proszę, nie podawaj na lunch niczego ciężkiego. W taki upał nie chce się nawet jeść.

- Przygotuję lunch jak wymarzony na taką pogodę - obiecała Amelia. - Wczoraj Guillaume kupił na wsi wspaniałe melony, z Cavailloun. To najlepsze melony w całej Francji, *mademoiselle*. Tak słodkie jak miód. Mmmmm... - Pocałowała czubki palców, jakby już teraz delektowała się smakiem owoców, po czym dodała: - Tak więc rozpoczniemy od mrożonych melonów, potem będzie zwykajna sałatka nicejska, a na deser lody waniliowe.

- Dziękuję, to brzmi bardzo apetycznie. Ale proszę bez lodów, Amelio. Wolałabym mrożoną herbatę.

- Jak pani sobie życzy, *mademoiselle* Nicky.
- Amelia znów obdarzyła ją ciepłym uśmiechem. —
Proszę mi wybaczyć, pójdę już do kuchni. Czeka mnie
masa pracy. No i muszę obmyśleć jeszcze coś na dzisiejszy
obiad. Tak, wiem, nic tuczącego.
- Mówiąc to, wbiegła już po schodkach na taras, a po
chwili zniknęła za drzwiami domu.

Nicky spoglądała na nią nieco rozbawiona, potrząsając
głową. Amelia najwidoczniej uparła się, aby podkarmić ją
na tyle, na ile tylko będzie to możliwe... Odwróciła się i
wąską, wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką, która
przecinała bujną zieloną murawę, skierowała się w stronę
basenu, przylegającego do boku ogrodu.

Ogród był umiejętnie, ze smakiem wkomponowany w
krajobraz; z otoczeniem harmonizował również basen,
ulożony w prostokącie trawnika, zaledwie o kilka me-
trów od niewielkiego zagajnika, gdzie kwiaty pod drze-
wami, zasadzone bez ścisłego planu, na chybił trafił,
sprawiały wrażenie, jak gdyby rosły tu dziko. Tu właśnie
Guillaume ustawił staroświeckie krzesła i niskie stoliki
okolicznościowe. Robił to każdego ranka ku uciechu Nic-
ky, która zdążyła się już przekonać, że w całym ogrodzie
nie ma chłodniejszego miejsca niż to; drzewa przepusz-
czały lekki wiaterek, a miły, orzeźwiający chłód sprzyjał
czytaniu.

Uśmiechnęła się w duchu podchodząc do zagajnika.
Amelia krzątała się wokół niej i matkowała przez cały
tydzień; podobnie jak Guillaume, była w tym niezmor-
dowana. Dbając o jej wypoczynek, oboje rozpieszczali ją
do granic możliwości - do tego stopnia, że po tym tygo-
dniu spędzonym właściwie samotnie Nicky zaczęła czuć
się nieco znudzona.

Powiedziała nawet o tym matce wczoraj wieczorem, kiedy zatelefonowała do niej do Nowego Jorku, ale w słuchawce rozległ się okrzyk zdumienia: - Dobry Boże, kochanie, jak można nudzić się w Prowansji! Tyle tam można zwiedzić i zrobić! Zresztą, najwyższy czas, żebyś uszatkowała się choćby na moment. Po prostu, żeby złapać tchu. Nigdzie nie potrafisz zagrześć miejsca, ciągle tylko włączysz się po świecie, aby znaleźć jakiś sensacyjny materiał na reportaż.

Oszołomiona tą krytyką Nicky wyjąkała: - Ależ mam... że też właśnie ty mówisz mi coś takiego! Przecież postępowałaś tak samo, kiedy byłaś w moim wieku. Co więcej, wciągnęłaś mnie w to!

Chcąc nie chcąc, matka roześmiała się. - Celny strzał. Ale mówiąc prawdę, kochanie, twój ojciec i ja chcielibyśmy, abyś trochę zwolniła. Od dziesięciu lat przygotowujesz relacje z przebiegu różnych wojen, powstań i rewolucji, jesteś w samym gąszczu wszelkich możliwych kataklizmów, można cię spotykać w najodleglejszych zakątkach ziemi. I kiedy tak sięgam pamięcią wstecz, zawsze lękałam się o ciebie, wiedząc, jak wiele ryzykujesz... - Urwała i nastąpiła teraz chwila milczenia, którą przerwała Nicky.

- Mam... - szepnęła łagodnie. - Czy chcesz powiedzieć, że ty i tata życzyście sobie, abym zrezygnowała z korespondencji wojennych?

- Oczywiście nie o to chodzi - zaprzeczyła skwapliwie matka. - Ani twój ojciec, ani ja nie zamierzamy ingerować w twoje życie czy karierę zawodową. Wiem jednak, jak wyczerpujący tryb życia prowadzisz. I niebezpieczny.

Nicky roześmiała się lekko. - Nie zapominaj, mam, że mam swojego anioła stróża.

Eliza Wells wołała zignorować tę uwagę. Zaproponowała, aby Nicky, o ile ma już dosyć Francji, przyjechała

na resztę urlopu do Nowego Jorku. - I zawsze, kiedy tylko będziesz chciała, możesz nas odwiedzić w Connecticut. Będziemy tam do końca lata, a chyba nie muszę cię zapewniać, jak bardzo ucieszyłaby nas twoja wizyta.

Omawiały ten temat jeszcze przez kilka minut i w końcu Nicky obiecała, że po powrocie do Stanów spędzi jakiś czas z rodzicami na wsi.

Byli sobie bardzo bliscy: matka, ojciec i ona - i więź ta trwała, odkąd Nicky mogła sięgnąć pamięcią. Była jedynaczką i chwilami odczuwała ciężar odpowiedzialności, jaka spadała na nią z tego powodu. Po dziecku, które jest jedynakiem, rodzice spodziewają się, że przewyższy ich we wszystkim, w nim lokują wszystkie swoje nadzieje.

Rodzice Nicky nigdy nie wysuwali wobec niej żadnych bezpodstawnych żądań, kochali ją w nie mniejszym stopniu niż ona ich; wzorowała się na nich i jednocześnie czuła w nich oparcie we wszystkim, co robiła. Doceniała ich cudowną postawę, zwłaszcza w okresie, gdy z powodu Charlesa Devereaux przeżywała kryzys.

Czym prędzej odrzuciła od siebie myśli o Charlesie. Nie miała najmniejszego zamiaru wspominać kogoś, kto sprawił jej ból, niezależnie od tego, kiedy to się stało.

Podeszła do basenu, położyła książkę na jednym ze stolików, zdjęła luźną bawełnianą koszulę, którą narzuciła na swój czarny kostium bikini, po czym usiadła na krześle.

Poprzez zielony baldachim z gałęzi drzew i liści, uformowany nad jej głową, sączył się przyćmiony blask promieni słonecznych. Nicky wyciągnęła przed siebie długie, smukłe nogi, zamknęła oczy i przez chwilę oddała się rozmyślaniom, które koncentrowały się teraz wyłącznie

na rodzicach. Wiedziała, że intryguje ich swoim zachowaniem: odkąd zakończył się jej związek z Devereaux, nie zaangażowała się poważnie z żadnym mężczyzną. Przez jakiś czas sądzili, że ich córka ma przez niego złamane serce, musiała więc wyjaśnić im, że wcale tak nie jest. I powiedziała prawdę. Powód, dla którego w jej życiu nie pojawił się potem nikt szczególny, był bardzo prosty: nie spotkała nikogo, kto wzbudziłby jej zainteresowanie, przynajmniej na dłużej.

Pewnego dnia mój księżę nadejdzie, pomyślała. Kiedy nie będę się tego spodziewała. I wówczas będzie to jak olśnienie, tak właśnie powinno być. Poczuję nagle, że nogi mam jak z waty, serce zacznie bić jak oszalałe... i takie tam bzdury! Roześmiała się w duchu.

Właściwie nie czuła się nieszczęśliwa. Kariera przebiegała pomyślnie, praca sprawiała jej przyjemność, kiedy tylko chciała, mogła rozkoszować się życiem rodzinnym u boku matki i ojca, miała też kilka bliskich przyjaciółek, z którymi była naprawdę zżyta. Oczywiście liczył się również Cleeland Donovan, którego uważała za przyjaciela. Był wobec niej troskliwy, opiekuńczy, znajomość z nim znaczyła dla niej wiele.

Raptem uświadomiła sobie, jak bardzo rozczarował ją fakt, że Clee nie spędzi z nią tego weekendu. Chętnie spotkałaby się z nim, lubiła przebywać w jego towarzystwie, a zwłaszcza byłoby to przyjemne w tym zaciszu. Do tej pory, ilekroć byli razem, odbywało się to w rejonie działań wojennych albo innych katastrof. Taka sytuacja oznaczała szczególne napięcie, koncentrację całej uwagi na tym, aby zdobyć jak najlepszy materiał bez względu na

warunki. Musieli również radzić sobie jakoś z oporem wewnętrznym wobec wydarzeń, których byli świadkami, oraz ze strachem, rodzącym się nieraz, gdy załamywała się ich odporność psychiczna.

Byłaby to rzeczywiście wspaniała odmiana, gdyby mogli spędzić ten weekend razem, razem zaznać relaksu. Niestety, Clee nie mógł oderwać się od pracy, a może nie chciał. Może też miał inne towarzystwo.

Teraz, kiedy przemyślała sobie wszystko dokładnie, pomysł kilkudniowej wizyty u matki i ojca w New Milford wydał jej się dosyć nęcący. Jeśli opuści farmę w poniedziałek rano, pojedzie do Marsylii, a stamtąd bezpośrednio do Paryża, mogłaby polecieć concordem we wtorek rano do Nowego Jorku, a w środę po południu pojechać do Connecticut. Porozmawia potem z Guillaume'em, aby zamówił dla niej samochód i sprowadził tego kierowcę, Etienne'a.

Podjąwszy decyzję Nicky wyjęła z kieszeni koszuli okulary do czytania i wzięła ze stolika książkę. Była to napisana przez Richarda Whelana biografia Roberta Capy, na którą natknęła się w bibliotece. Lektura zafascynowała ją od samego początku. Teraz rozumiała już, dlaczego Clee interesował się tak bardzo osobą Capy.

Zaczęła i wkrótce historia życia słynnego fotoreportera wciągnęła ją całkowicie. Upłynęła jedna godzina, potem druga.

Po pewnym czasie w ogrodzie zjawiała się Amelia; sunęła ostrożnie ścieżką, niosąc w ręku tacę.

- *Eh, voila!* - zawołała, kiedy stanęła przy krześle Nicky. - Przyrządziłam trochę świeżej lemoniady, wiem, jak bardzo pani smakuje. - Podniosła dzbanek i napełniła szklanke.

- Dziękuję, Amelio. - Nicky wzięła szklanke i upiła łyk.
- To właśnie było mi potrzebne. Robi się coraz goręcej.
- *Oui*. Proszę uważać, słońce może okazać się niebezpieczne - ostrzegła ją Amelia i szybkim krokiem wróciła do domu.

* * *

Nicky podniosła wzrok znad książki dokładnie w tej chwili, gdy Clee znalazł się w połowie ścieżki do basenu.

Przystanął, uśmiechając się do niej i Nicky niemal natychmiast odwzajemniła uśmiech, uszczęśliwiona. Odrzuciła książkę na bok i skoczyła na równe nogi.

- Clee! Skąd się tu wzięłeś! - zawołała i puściła się pędem ku niemu. Objęła go oburącz, przez chwilę trwali tak w uścisku, po czym wróciła z nim nad basen.

- Jak ci się udało oderwać od pracy? - zapytała.

- Jean-Claude przetasował zlecenia, moje zadania przekazał innym - skłamał Clee. - Uznał, że jestem zbyt zmęczony i że potrzebny mi odpoczynek. I tak przyleciałem wczoraj wieczorem ostatnim samolotem z Paryża do Marsylii. Było już za późno, żeby wybrać się tu samochodem, poza tym nie chciałem robić zamieszania w środku nocy. Zostałem więc w hotelu, a rano przyjechał po mnie Etienne i przywiózł tutaj.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę! To cudownie, że jesteś! - Nicky nie potrafiła ukryć radości. - Czułam się już trochę samotnie.

Spojrzał na nią i skinął głową, ale nie odpowiedział.

Nicky mówiła dalej: - Chciałam pojechać dziś do Arles, ale Amelia przekonała mnie, że ze względu na upał powinnam zostać w domu... - Urwała nagle i potrząsnęła głową, kiedy uświadomiła sobie prawdę. - Ona wiedziała, że przyjedziesz! To dlatego nie przestawała straszyć mnie pogodą! Nie chciała, abym pojechała do miasta!

- Prawdę mówiąc, wcale nie przesadzała z tą pogodą, w mieście rzeczywiście nie można wytrzymać o tej porze roku - odparł Cleo. - Ale przyznaję, że Amelia wiedziała o moim przyjeździe. Wczoraj rozmawiałem z nią przez telefon, przykazałem jednak, żeby nic nie mówiła. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- I zrobiłeś! - Roześmiała się, opadła na krzesło, podniosła na niego wzrok. - Dlaczego się nie rozbierasz?

Zaskoczony wpatrywał się w nią przez chwilę. - Co takiego?

- Wyglądasz na zgrzanego, to miałam na myśli. Nie sądzisz, że poczułbyś się o wiele lepiej w kąpielówkach?

- Tak. Tak, oczywiście. Zaraz pójde się przebrać. Po tak długiej podróży potrzebne mi są dwie rzeczy: kąpiel w basenie i kieliszek zimnego szampana. Za chwilę przyniosę butelkę Dom Pérignon.

Rozdział 11

- Pomyśl tylko, Nicky, miałem dopiero cztery lata, kiedy Capa zginął w Wietnamie podczas wojny francuskiej o Indochiny - powiedział Clee. Urwał. Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, po czym dodał cicho: - To jedyny człowiek, co do którego bardzo żałuję, że nie mogłem poznać go osobiście.

Nicky milczała.

Takim samym jak przedtem cichym głosem Clee mówił dalej: - Szkoda, że nigdy się z nim nie spotkałem, że nie byliśmy przyjaciółmi. Wielka szkoda. Rozumiesz, o co mi chodzi? - Roześmiał się nieco zakłopotany, a potem mruknął: - Z pewnością uważasz, że jestem trochę stuknięty?

- Nie, wyjaśniłeś to wszystko bardzo przekonująco. Tkwi w tobie smutek, poczucie żalu, że przyszedłeś na świat za późno, aby móc poznać kogoś, kto wiele dla ciebie znaczy.

- Tak.

- Capa był nie tylko znakomitym fotoreporterem, ale również fascynującym człowiekiem. W biografii, którą przeczytałam, przytoczona jest wypowiedź Ewy Arnold, fotografa, która twierdzi, że Capa był mężczyzną błyskotliwym i pełnym wdzięku, że kiedy wchodził do jakiegoś pomieszczenia, wszystkim wydawało się, że zapalono dodatkowe światła. Mówi, że chciało się być przy nim, uczestniczyć w tym samym, w czym on uczestniczył, zakosztować jego zapału i werwy. Był osobą wyjątkowo... charyzmatyczną. Tak, to odpowiednie określenie, Clee. I jedyne właściwe.

- Przypominam sobie tę biografię, też ją czytałem. W książce Whelana znalazłem również doskonałą charakterystykę Capy wypowiedzianą przez Irwina Shawa.

- Tak, wiem. - Nicky uśmiechnęła się do niego. - Capa z pewnością wydał ci się zachwycający już wtedy, kiedy dorastałeś. Jego życie przedstawiało się tak ekscytująco i burzliwie!

- Rzeczywiście tak było - przyznał Clee. - Ale prawdę mówiąc, zacząłem marzyć o robieniu zdjęć na polach bitwy, zanim jeszcze usłyszałem o Capie. Z drugiej strony jednak, to on inspirował mnie w wielu sytuacjach. - Clee poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i zapytał: - A ty kiedy postanowiłaś zostać korespondentką wojenną?

- Kiedy byłem jeszcze mała, podobnie jak ty. Mam teraz wrażenie, że chciałam pójść z ojcem w zawody.

- Naprawdę myślisz, że chodziło tylko o to? Czy dziś, po tych wszystkich latach, nadal masz taką motywację?

- Och, nie, teraz nie. Robię to, co robię, bo chcę informować o wydarzeniach historycznych na bieżąco, chcę być ich świadkiem, zdawać z nich relację jak najdokładniej i najrzetelniej. Chcę przekazywać ludziom wiadomości tak uczciwie, jak to tylko możliwe.

- A więc działamy właściwie z tych samych pobudek. Mam tylko nadzieję, że moje fotografie są tak samo rzetelne jak twoje programy informacyjne.

- Z pewnością tak. - Spojrzała nań pytającym wzrokiem. - Jak myślisz, czy kiedyś zrezygnujesz z tej pracy?

- Wątpię. - Wzruszył ramionami, na jego twarzy zarysował się nikły uśmiech. - Cóż, kto wie, może pewnego

dnia, kiedy będę już za stary na uchylanie się przed pociskami. A ty?

- Ze mną jest tak samo. Dziwna sprawa z tym lękiem, nie sądzisz? Pod tym względem jesteśmy, do siebie podobni. Ani ty, ani ja nigdy nie odczuwamy strachu... To odzywa się w nas dopiero po zakończeniu akcji. Ciekawe, czy wszyscy dziennikarze odczuwają w ten sposób?

- Chyba nie. Niektórych strach dopada w trakcie pracy, innych zaczyna dręczyć, kiedy jest już po wszystkim - tak jak nas. Joe Glass z londyńskiej *Sunday Times* powiedział mi pewnego razu, kiedy byliśmy razem w Libanie, że po każdej ryzykownej misji w strefie wojennej odczuwa natychmiast ogromne zmęczenie. Co do nas, Nick, możemy uważać się właściwie za szczęściarzy, bo my ulegamy takim emocjom dopiero dużo, dużo później.

- Moim zdaniem, Clee, bierzesz zwykle na siebie zbyt duże ryzyko.

- Ale jest to ryzyko skalkulowane. Zresztą ty nie postępujesz inaczej.

- Nie masz racji. Jestem o wiele bardziej ostrożna niż ty, wbrew temu, co ty i Arch o tym sądzą.

- Chciałbym w to wierzyć.

Na twarzy Nicky pojawił się wyraz głębokiej zadumy, a po chwili powiedziała powoli: - W Pekinie złamaliśmy naszą żelazną zasadę, prawda?

Zaskoczony zmarszczył brwi. - Co masz na myśli?

- Zaangażowaliśmy się emocjonalnie, chodzi mi o Yoyo. A takie postępowanie może okazać się niebezpieczne. Kiedy robimy program o jakimś wydarzeniu politycznym, nie powinniśmy kierować się uczuciami. Należy pozostawać wtedy na uboczu, zachowywać rezerwę, wtedy istnieje szansa, że wykonamy nasze zadanie jak należy.

- Czasem to bardzo trudne, nie angażować się i patrzeć na wszystko z odległej perspektywy - odparł natychmiast Clee. - Ani ty, ani ja nie jesteśmy tacy gruboskórni, prawda? Posłuchaj, Arch i reszta ekipy czuli wobec Yoyo dokładnie to samo, co my. Czy można było pozostać obojętnym? Przecież to jeszcze dzieciak, ktoś naprawdę wyjątkowy, nie sądzisz?

- Tak, to prawda.

Nicky oparła się wygodniej o sofę, zerknęła na Clee, a potem, po krótkiej chwili milczenia, zapytała cicho: - Jak myślisz, co się z nim stało? Chyba nie przypuszczasz, że... zginął?

- Nie. Mam wrażenie, że Yoyo ukrywa się gdzieś, że zszedł do podziemia. Mówiłem ci to już wiele razy i powtarzam znowu. Zobaczysz, że Yoyo odezwie się, zapewne prędzej niż się tego spodziewamy.

- Nie mówisz tak tylko po to, żeby mnie pocieszyć? - upewniła się, nie spuszczać z niego wzroku.

- Oczywiście, że nie - odparł zdecydowanie. Przechylił się ku niej, najwyraźniej przejęty tym, co miał jej do powiedzenia. - Yoyo jest bystry, pełen inicjatywy, niezwykle zaradny. Na pewno uda mu się wydostać z Chin, wierzę w niego.

Wstał i podszedł do drzwi biblioteki, w której siedzieli. - Chciałbym ci coś pokazać. Zaraz wrócę.

* * *

Wyszedł, ona zaś zamknęła oczy, rozmyślając o Yoyo. Clee mówił z takim przekonaniem, że przyjęła jego punkt widzenia. Zresztą nie miała innego wyjścia; musiała mieć nadzieję, że Yoyo zdoła przedostać się za granicę, do Nowego Jorku, Paryża albo do Hongkongu. Podczas pożegnania

powiedziała mu, że jeśli znajdzie się w jakiejś kolonii brytyjskiej i będzie potrzebował pomocy, ma natychmiast zatelefonować do kogoś z nich, oni zaś zareagują od razu; ona, Clee lub Arch.

Nicky otworzyła oczy, usiadła prosto, sięgnęła po kieliszek i upiła łyk. Po co martwić się zawczasu? - upominała się w duchu, odsuwając na bok myśli o Yoyo.

Rozejrzała się dokoła, zachwycona przytulnym nastrojeniem pomieszczenia. Teraz rozumiała już, dlaczego jest to ulubiony pokój Clee. Ona również czuła się tu wspaniale. Atmosfera tego pokoju działała na nią kojąco, była niczym cudowny balsam.

Utrzymana w jasnych kolorach, głównie w białym i kremowym, zmąconych gdzieniegdzie odcieniami melona i terakoty, biblioteka była ozdobiona licznymi wazonami z kwiatami oraz wysokimi pojemnikami z liściastymi gałązkami. Na sięgających sufitu półkach stały setki książek, a na stolikach leżały ilustrowane czasopisma oraz albumy. Ściany obwieszane były fotografiami wykonanymi przez Clee, zapewne tymi, które lubił najbardziej, a nad olbrzymim kominkiem widniała kolekcja eterycznych akwareli pędzla miejscowego artysty. Pokój urządzono najwyraźniej z myślą o relaksie, czytaniu, słuchaniu muzyki oraz oglądaniu programów telewizyjnych i filmów.

Dziś mieli kolejny dzień upalnej pogody, było duszno nie do zniesienia. Na szczęście dwa duże wentylatory zainstalowane na suficie - nazwała je w duchu wiatraczkami z Casablanki - dostarczały nieco chłodniejszego powietrza, a teraz, kiedy słońce znalazło się na zachodzie, zrobiło się przyjemniej. Za oknami blask letniego słońca gasł coraz szybciej, z minuty na minutę, a niebo ciemniało, przybierając barwę intensywnego granatu. Był niedzielny wieczór,

dochodziła ósma trzydzieści. Nieco wcześniej Cleo zasugerował, aby zjedli posiłek w bibliotece i obejrzeliby jakiś stary film z kasyty. Propozycja przypadła jej do gustu.

Kiedy przebiegała pamięcią ten weekend, odniosła wrażenie, jakby upłynął w mgnieniu oka. Przez resztę piątku, po tym nieoczekiwanym pojawieniu się Cleo, spacerowali po farmie, gawędząc, śmiejąc się, dzieląc się wspomnieniami i nowinkami. Potem Cleo zwrócił jej uwagę na coś dziwnego, ale zgodnego z prawdą: w ciągu tych dwóch lat ich znajomości był to pierwszy raz, kiedy oboje mieli okazję spędzić razem beztrudnie kilka chwil i porozmawiać spokojnie o tym, co ich akurat interesowało.

W sobotę zrobiło się trochę chłodniej i Cleo, wykorzystując to, zawiózł ją do Arles.

- Ale nie spodziewaj się, że ujrzysz dużo miejsc, w których przebywał van Gogh - ostrzegł ją w drodze. - Z tych związanych z jego pobytami w Prowansji nie zachowało się wiele. Rozebrano nawet dom, w którym mieszkał z Gauguinem. Jest jednak Aleja Sarkofagów, którą namalował tak pięknie. Możemy ją zwiedzić. No i jeszcze oczywiście pola, olbrzymie pola słoneczników, na które chadzał, zbierając całe kiście, aby patrzeć na nie i malować martwą naturę. Właśnie teraz pewnie kwitną.

Arles, jak niebawem przekonała się Nicky, było miejscowością naprawdę urzekającą, prastarą, jakby z innego świata. Cleo zaprowadził ją do najbardziej zabytkowej części, którą obejrzała z zapartym tchem. Jej ojciec zawsze twierdził, że widzi w córce idealną turystkę, dociekliwą, uważną, żądną wielu informacji.

Starówka w Arles była pełna rozpadających się ruin z czasów Imperium Rzymskiego, obok których wznosiły się solidne budowle średniowieczne, liczne pomniki i muzea. Nicky nie posiadała się zê szczęścia na widok tylu zabytków, czuła się w swoim żywiole, Clee natomiast obserwował ją zadowolony, ciesząc się jej radością.

Przechadzka po starówce trwała parę godzin, a potem udali się na późny lunch do uroczego bistra, które Clee znał bardzo dobrze. Właściciele restauracji, *madame* Yvonne i *monsieur* Louis, powitali go niezwykle serdecznie, nawet wylewnie, i posadzili ich przy stoliku, który Clee uznał za najlepszy. Natychmiast złożył też zamówienie, wyręczając przy tym Nicky; wybrał potrawy typowe dla tego regionu, nie omieszkał zarazem wyjaśnić, co kryje się pod ich nazwami i zapewnić, że są smaczne. Namówił ją również na *pastis*, popularny w tych stronach napój, rodzaj aperitif-u o smaku anyżku i mlecznej barwie, zwłaszcza po zmieszaniu z odrobiną wody.

Po lunchu spacerowali po nowszej części Arles, oglądając wystawy sklepów. W księgarni Nicky kupiła garść widokówek, które postanowiła wysłać do Archa, chłopców z ekipy i do przyjaciół w Nowym Jorku, Clee natomiast wybrał dla siebie kilkanaście czasopism i gazet. Następnie udali się wolnym krokiem do samochodu.

Było już późne popołudnie, kiedy wyruszyli w drogę powrotną. Jechali bez pośpiechu. W domu wypili na tarasie chłodzonego szampana, a nieco później zjedli lekką kolację; Amelia podała ją w ogrodzie.

Dziś Amelia i Guillaume wyjechali z samego rana na ślub siostrzenicy do Marsylii. Choć Nicky polubiła Amelię, była zadowolona, że zyska dzięki temu chwilę

wytchnienia od jej posiłków, nawet tych najbardziej smakowitych i kuszących. Clee nie skomentował nawet słowem, kiedy podziękowała za kurczaka na zimno, rybę, bukiet warzyw i parę innych potraw, przygotowanych przez Amelię na lunch, a przyrzędziła sobie w zamian niewielką sałatkę z pomidorów, którą zjadła z kawałkiem ułamanej chrupiącej bagietki.

Nicky upiła kolejny łyk, wspominając dzisiejszy dzień. Razem z Clee oddali się rozkosznej beczynności, głównie z powodu zabójczego upału. Cały ranek spędzili przy basenie, w cieniu drzew, czytając gazety i czasopisma, po południu przeszli tu, do biblioteki, aby posłuchać kilku arii z *Toski* w wykonaniu Kiri Te Kanawy, z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyrekcją sir George'a Solti.

Nicky podkułiła nogi pod siebie, sadowiąc się wygodnie na szerokiej sofie i zamknęła oczy. Muzyka Pucciniego i srebrzysty głos pani Kiri pozwoliły jej przenieść się na chwilę w inny świat. Tak, przyznała w duchu, to był naprawdę szczególny dzień, szczególny pod wieloma względami.

* * *

Drzwi otworzyły się, a do środka wszedł Clee. W ręku trzymał dwie duże teki. Przystanął przed długim stołem i oznajmił: - Nie mówiłem ci jeszcze o tym, ale zamierzam opublikować album fotograficzny o Pekinie, o placu Tiananmen. Chciałby pokazać ci kilka zdjęć.

- Och, Clee, to wspaniale, chętnie je obejrzę - zawołała, zeskakując z sofy, po czym podeszła do stołu.

Odsunął na bok gazety, wyjął zdjęcia z pierwszej teczki i rozłożył je na blacie. Niektóre z nich były kolorowe, inne czarno-białe.

Nicky mimo woli wstrzymała oddech; fotografie były tak sugestywne, że natychmiast powróciła myślami do tamtego placu. Odżyły w niej raptem wspomnienia owych burzliwych, pełnych napięcia dni, które doprowadziły do krwawej masakry.

Uświadomiła sobie, jak bystre oko ma Clee, jak trafne i pełne autentyzmu są fotografie. Każde ujęcie miało w sobie coś intymnego, a ludzie sprawiali wrażenie żywych i naturalnych.

- Są nadzwyczajne, Clee - powiedziała z prawdziwym zachwytem. - Kiedy na nie patrzę, mam wrażenie, jakby przemawiały do mnie. Nie można przejść obok nich obojętnie.

Jej słowa przywołały na jego twarz przelotny miły uśmiech. Otworzył drugą tekę. - Te mają charakter bardziej prywatny - wyjaśnił. Ułożył je na stole i spojrzał na Nicky, oczekując jej reakcji.

Ona zaś milczała, oglądając siebie na placu Tiananmen i w innych miejscach Pekinu. Na niektórych zdjęciach była z Archem i członkami ekipy, na innych z Yoyo, albo z Yoyo i Mai. Dostrzegła również Yoyo z przywódcami młodzieży, Yoyo z Mai. Wszystkie te fotografie natychmiast przywiodły jej na pamięć sceny tak znajome, tak wzruszające, że stała ze ściśniętym gardłem, chłonąc wzrokiem to Pomnik Męczeństwa, to namioty, to znów statwę Bogini Demokracji i aleję Changan.

- Och, Clee, to zdumiewające! - zawołała wreszcie. - Takie zdjęcia potrafią wypowiedzieć więcej niż tysiące słów! I nie jest to żaden frazes, to prawda!

- Chyba tak - odparł, prezentując ostatni komplet zdjęć. I znów ogarnęły ją wspomnienia. Oto do rozległego

placu Tiananmen zbliża się kolumna czołgów i pojazdów opancerzonych; aleja Changan, po której maszerują żołnierze o zimnych, nieprzejednanych twarzach, z karabinami oznaczającymi śmierć dla ich własnych rodaków; mieszkańcy Pekinu, stojący na barykadach, gniewni, zdeperowani, wygrażają pięściami żołnierzom Ludowej Armii Wyzwoleńczej i starają się ocalić życie studentom, którzy stanowią przyszłość Chin; wielkie białe transparenty powiewają na wietrze, widać na nich studenckie hasła o wolności i demokracji, wypisane dużymi literami farbą w kolorze krwi.

I wreszcie studenci, trafieni kulami albo rozjechani przez czołgi, leżący martwi albo w agonii, w kałużach krwi. Znowu poczuła zapach kordy tu, znowu usłyszała ostry terkot broni maszynowej i złowieszczy chrzęst gąsienic czołgów, toczących się po bruku. A potem te okrzyki trwogi! Przeszedł ją dreszcz, poczuła łyzy cisnące się do oczu i przytknęła dłoń do ust. Odwróciła się do Clee, w tej samej chwili zorientowała się jednak, że nie może wydobyć z siebie nawet jednego słowa.

Clee dojrzał łyzy na jej twarzy, wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie. - Nie denerwuj się - poprosił niepewnym głosem.

Przez cały weekend był świadomy jej obecności, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wiedział doskonale, że właśnie popełnił błąd, biorąc ją w ramiona. Zapach jej perfum wypełnił mu nozdrza, jej ciało, ciepłe, rozedrgane i żywe, przylegało do jego ciała.

Niechętnie wypuścił ją z objęć. Jeszcze nigdy Nicky nie wydała mu się tak śliczna jak teraz. Jej skóra miała złocistobrązowy odcień, blond włosy po tym tygodniu spędzonym w Prowansji były naznaczone przez słońce,

oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zwykle. Musiał przywołać resztki siły woli, aby nie zamknąć jej znowu w ramionach.

- Tego właśnie chcesz, prawda? - zapytała.

- To znaczy: czego? - odparł zaskoczony. Czyżby czytała w jego myślach?

- Żeby twoje zdjęcia wytrącały z równowagi. Wszystkich, którzy je oglądają. Żeby poruszały, wzruszały, budziły trwogę, grozę i gniew.

- Tak, myślę, że tak - przyznał.

- I osiągniesz ten cel. Zdjęcia są rzeczywiście oszałamiające, mam wrażenie, jakbym dostała solidnego kopniaka w żołądek. Album okaże się z pewnością sensacją.

- Taką mam nadzieję, kochanie. - Wstrzymał oddech. Ostatnie słowo wyrwało mu się z ust, nie chciał wypowiedzieć go na głos. Na szczęście Nicky nie zareagowała na nie, tak jakby go nie dosłyszała.

Zaczął chować fotografie z powrotem do tek, a Nicky pomogła mu. W pewnej chwili znieruchomiał. - Wiesz, Nicky... - powiedział. - Zadbam o podpisy pod zdjęciami, z tym nie będzie kłopotu, ale ta książka wymaga jeszcze takiego naprawdę dobrego tekstu na pierwszych stronach. Czegoś w rodzaju wstępu. Tak sobie pomyślałem... Wiesz, jesteś wspaniałą pisarką, trudno o kogoś lepszego. Czy zgodziłabyś się to zrobić, współpracować ze mną?

Jego propozycja zaskoczyła ją do tego stopnia, że nie zdołała ukryć zdumienia. - Ja... sama nie wiem - odparła wreszcie z wahaniem.

- Nikt nie nadaje się do tego lepiej od ciebie, Nick. Byłaś tam razem ze mną, widziałas to wszystko na własne oczy, odczuwałaś dokładnie to samo, co ja. Gdybyś napisała ten tekst, miałby z pewnością odpowiedni klimat, tak

żeby mógł podeprzeć zdjęcia. Proszę cię, zgódź się.

- A więc dobrze, zgadzam się.

- Hej, to wspaniale! - Znowu ogarnęło go pragnienie, aby ją objąć, ale opanował się w ostatniej chwili. Zamiast tego, powiedział: - Stworzymy doskonałą spółkę.

Nicky podeszła do stolika i podniosła swój kieliszek. - Myślę, że powinniśmy to oblać.

Clee wziął kieliszek, trącił się z nią. - A więc... za naszą współpracę!

- Za naszą współpracę! - powtórzyła.

Upili łyk, po czym Clee zapytał: - Co byś powiedziała na to, żebyśmy popływali trochę przed kolacją?

- Czemu nie? - odparła z uśmiechem.

Rozdział 12

Płynąc na plecach zbliżała się do niego.

- Och, Clee, jak cudownie! - zawołała. - Myślałam, że woda będzie bardzo nagrzana, jak w wannie, ale wcale taka nie jest.

- Bo wiatr ochłodził wszystko - odparł.

Nicky w milczeniu podpłynęła do brzegu basenu, gdzie Clee chwycił oddech po kilku szybkich skokach. Jedną ręką trzymała się drabinki, drugą odgarnęła do tyłu mokre włosy i roześmiała się cicho, jakby do siebie samej, potrząsając jednocześnie głową.

- Dlaczego się śmiejesz?
- Właśnie tak sobie myślałam, że czasem ludzie zapominają o tym, jak cudowne mogą być te najprostsze w życiu rzeczy, wspanialsze od innych.
- Wiem dobrze, co masz na myśli - powiedział i powiódł wzrokiem po ogrodzie. Przedtem, gdy wyszli z domu, zapalił małe lampy ukryte w listowiu; teraz ich blady srebrzysty blask padał na krzewy, drzewa i kwiaty. Dzięki niezwykłym umiejętnościom jego siostry lampki rozmieszczone były w taki sposób, aby oświetlenie sprawiało wrażenie naturalnego. Ogród wyglądał dokładnie tak, jak za dnia, a zachód słońca potęgował jeszcze bardziej jego piękno.

W górze niebo ponownie zmieniło barwę: fioletowy róż i ametyst ściemniały do granatu. Zapadał zmierzch. Ogród pogrążył się w głębokiej ciszy, przerywanej jedynie przez szum drzew i nikły plusk wody, kiedy uderzała o brzegi basenu. Powietrze było rześkie, chłodniejsze niż za dnia, przesycone zapachem kapryfolium rosnącego tuż przy starym kamiennym ogrodzeniu.

Clee nabrał głęboko powietrza i spojrzał na Nicky. - Czy istnieje miejsce, gdzie bardziej niż tu moglibyśmy nacieszyć się swoim towarzystwem?

- Nie, tu jest rzeczywiście jak w raju - odparła. - A weekend był cudowny, od początku do końca. Piękny był też ten ostatni dzień.

- Ale to przecież nie jest jeszcze zakończenie, mamy przed sobą cały wieczór... - Zerknął na zegarek. - Dopiero wpół do dziesiątej. Możemy tu zostać, jak długo masz na to ochotę, nie musimy wstawać z samego rana. Nie czekają nas jutro żadne pilne zajęcia.

- Dzięki Bogu - zachichotała cicho. - Muszę przyznać, że ten urlop był mi potrzebny. Nie miałam czegoś takiego

od prawie trzech lat, musisz to wiedzieć. Jestem ci bardzo wdzięczna za zaproszenie i za to, że przyjechałeś tu na weekend. To było... no, po prostu cudowne, Clee. Jesteś dla mnie taki dobry, jak prawdziwy, wspaniały przyjaciel.

Dotknęła dłonią jego ramienia, on zaś pochwycił natchmiast jej rękę i uściskał mocno. W następnej chwili, nie panując dłużej nad sobą, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Początkowo napotkał opór, potem jednak poddała się z wahaniem. Jej ciało zwiotczało, uległe wargi rozchyliły się. I nagle wyrwała się z objęć, zmierzyla go przeciągłym, pełnym wyrzutu wzrokiem.

Nie wiedział, co oznacza jej mina. Zbity z tropu, znów ujął jej rękę. Mówił teraz porywczo, jednym tchem: - Nie odsuwaj się ode mnie, Nicky. Od tamtego czasu w Pekinie stałaś się dla mnie kimś specjalnym, coś się zmieniło. Nie wiem nawet, jak to powiedzieć.

W milczeniu uwolniła rękę z jego uścisku, odpłynęła w drugi koniec basenu.

Popłynął do brzegu, wyszedł z wody i zbliżył się do Nicky, która przystanęła pod drzewami.

Odwróciła się od niego, jej ciało drżało na lekkim wietrze.

Sięgnął po duży ręcznik plażowy, który leżał na krześle, i owinął ją nim troskliwie. - Cała drżysz z zimna - powiedział. - Nicky...

Dopiero teraz obróciła się ku niemu i spojrzała mu prosto w oczy, nadal jednak milczała.

Stali tak bez ruchu, wpatrując się w siebie, jakby pod wpływem zaklęcia, którego nie można cofnąć.

Wydawało mu się, że jej niebieskie oczy przeszywają go na wylot, podświadomie poczuł ochotę, by umknąć

przed tym wzrokiem, zabrakło mu jednak siły, aby spojrzeć w inną stronę. Boże, jak bardzo jej pragnę, pomyślał. Chciał wziąć ją w ramiona, kochać się z nią, posiadać ją całkowicie i zarazem znaleźć się w jej władaniu. A jednak nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Był jak sparaliżowany, coś dławiło go w gardle.

To ona pierwsza przerwała milczenie. - Clee... och... Clee... - szepnęła. A potem znowu umilkła, jakby bała się dokończyć swą myśl.

Potem niejeden raz przypominał sobie ton jej głosu, jakim w tym momencie wypowiedziała jego imię. Tak mogła mówić jedynie kobieta owładnięta pragnieniem i tęsknotą.

- Nicky, kochanie! - zawołał ochryple. Zrobił szybki ruch w jej stronę, ale ona, nie czekając na to, rzuciła mu się w ramiona.

Objął ją mocno, przygarnął do siebie. Na piersi czuł gwałtowne bicie jej serca, jakby zsynchronizowane z biciem jego serca. Pocałował ją namiętnie, niemal brutalnie, tak jak pragnął tego od dawna, ona zaś odpowiedziała żarliwie. Jej wargi były miękkie i uległe, a kiedy musnął je językiem, rozchyliły się natychmiast. Jego język wtargnął do jej ust, zetknął się z jej językiem, znieruchomiał i splótł się z nim ponownie.

Objęła go za szyję, zanurzyła dłonie w jego włosach, a potem przesunęła je na ramiona i plecy. Dotyk jej palców, silny i zarazem delikatny, zachwyił go; przytulił ją do siebie jeszcze mocniej, jego zaborcze ręce powędrowały w dół jej pleców, sprawiły, że jej ciało przylgnęło do niego, stopiło się z nim w jedno.

Nicky przywarła do Clee ze wszystkich sił, ogarnięta żądzą podobnie jak on. Świat wirował jej przed oczyma, nogi uginały się w kolanach, drżała na całym ciele, kiedy

wtulala się w niego kurczowo, on zaś musnął ustami dołek na jej szyi, pocałował go delikatnie, zsunął ręcznik z jej ramion i okrył je w zamian czułymi pocałunkami.

Po chwili wypuścił ją z objęć, ujął jej twarz w obie dłonie i zjrzał głęboko w oczy. Mimo mroku wyczytał z jej twarzy gorące pragnienie, odgadł, że Nicky czuje do niego to samo, co on wobec niej, i to jeszcze podsycało płonący w nim ogień.

Wziął ją za rękę, poprowadził do ławeczki, delikatnie posadził ją na niej i sam usiadł tuż obok. A potem nakrył ustami jej wargi, walcząc najpierw z ręcznikiem, następnie z górą jej kostiumu i nagle zapięcie na plecach ustąpiło, on zaś odrzucił stanik na bok, uwalniając jej piersi. Objął je oburącz i obsypał pocałunkami jedną, później drugą.

- Clee.

W jednej chwili znieruchomiał, spojrzał na nią.

- Nicky?

- Boję się - szepnęła cicho, niemal niedosłyszalnie.

- Mnie?

- Nie.

- A więc siebie? - zapytał łagodnie. Wyciągnął rękę i delikatnie musnął jej policzek czubkami palców.

- Boję się...Bierze mnie lęk na myśl o tym, że miałabym się kochać. To było tak dawno temu...

- Wszystko będzie w porządku. - Znowu wziął ją w ramiona. - Zaufaj mi - wyszeptał w jej włosy. - Zaufaj mi.

Puścił ją, wstał i podał jej obie ręce, a następnie pociągnął do góry. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Chodźmy tam - powiedział, wskazując na zagajnik.

* * *

Clee rozpostarł ręczniki na trawie, po czym oboje rozebrali się i położyli pod drzewami.

Nicky dygotała na całym ciele, żądza mieszała się ze strachem. Bała się, że może go rozczarować, że nie sprosta jego oczekiwaniom. Tak, chodziło właśnie o to, teraz rozumiała to doskonale. Pragnęła, aby obezwładniające ją napięcie ustąpiło wreszcie, chciała, aby jej ciało odprężyło się. Odwróciła głowę do Clee, dotknęła dłonią jego twarzy, utkwiała w nim intensywny wzrok.

Uśmiechnął się. Odżyła w nim nadzieja, że uspokoi jej objawy. Był to ten sam chłopięcy uśmiech, jaki ujrziała na jego twarzy wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy w barze w Zachodnim Bejrucie, i jaki widywała u niego potem od czasu do czasu, dziś jednak poruszył jej serce. Znowu poczuła napływ żądzy i jednocześnie przyszła jej do głowy dziwna myśl.

Czy to możliwe, że przez dwa ostatnie lata kochała Clee nie wiedząc o tym? Czy z tego właśnie powodu nie potrafiła zainteresować się poważnie żadnym innym mężczyzną?

Clee wsparł się na łokciu, nachylił nad nią, zaczął pieścić jej piersi. Dotknął ustami najpierw jednej, całując sutek, a kiedy stwardniał i wyprężył się pod jego wargami, przesunął je na drugą pierś, całując ją dokładnie w ten sam sposób. Z gardła Nicky wydarł się stłumiony jęk. Otoczyła go ramionami, jej palce z wolna przesuwały się po jego łopatkach, aż wreszcie spoczęły na lędźwiach.

Clee uniósł głowę i pocałował ją namiętnie. Pochłaniając ją ustami, nie przestawał pieścić piersi, wreszcie jego dłonie zawędrowały na jej płaski brzuch i na uda, gdzie

poczęły dotykać i muskać jedwabistą skórę, aż napięcie w niej ustąpiło.

Jeszcze chwila i jej ciało zwiotczało, stało się uległe, podatne na jego dotknięcia. Wówczas przesunął się tak, że oparł głowę na jej brzuchu i sunąc po nim ustami zanurzył dłoń między uda. Lekko, delikatnie pieścił ją i badał, poznając tajniki jej ciała, aż wreszcie otworzyła się przed jego dłonią i ustami, niczym kwiat, który rozkwita w ciepłych promieniach słońca. Delektując się jej jedwabistym dotykiem poczuł, że ogarnia go płomień żądz. Musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, aby nie osiąść jej natychmiast.

Nicky skierowała na niego zamglony wzrok, przesunęła dłonie na jego ramiona i znowu zamknęła oczy. Dotyk jego silnych, delikatnych rąk przyprawiał ją o dreszcz rozkoszy i zawrót głowy. Przedtem padli sobie w ramiona tak nieoczekiwanie, tak raptownie, że nadal wszystko w niej wibrowało. A mimo to wiedziała, że to, co robią, jest właściwe. Była o tym głęboko przekonana. Udało mu się rozbudzić jej zmysły, doprowadzić do granicy ekstazy. Owładnięta rosnącym podnieceniem, co zawdzięczała jemu, poddała się całkowicie, rozpływając się i rozsypując w nicość, podczas gdy on całował ją i dotykał z taką pewnością siebie i tak umiejętnie, jak gdyby robił to z nią już od wieków.

Rozsunął jej nogi, zgiął je w kolanach, wsunął dłonie pod pośladki i znowu przywarł do niej ustami, ale tym razem muskał ją tak delikatnie, że niemal tego nie czuła. Raz po raz przeszywały ją rozkoszne dreszcze, wreszcie zadrżała bezwiednie i szepnęła: - Och, Clee, nie przerywaj, proszę, nie przerywaj!

Uniósł głowę, spojrział na nią, nachylił się ponownie i jeszcze raz poczuła na sobie jego usta i dłonie, czułe, delikatne i wprawne. Jej podniecenie rosło nadal, on zaś, tym bardziej rozogniony, pomyślał, że za chwilę eksploduje. Płonął cały, pragnąc znaleźć się w niej, ale przecież ona dała mu do zrozumienia, że trwa od dłuższego czasu w celibacie, postanowił więc obdarzyć ją pełnią rozkoszy, upewnić się, że jest naprawdę odprężona i gotowa na jego przyjęcie.

Znowu wykrzyknęła głośno jego imię, zacisnęła dłonie kurczowo na jego ramionach, drżała coraz silniej. Jej żądza była niczym nadzwyczajny afrodyzjak, musiał doprowadzić ją teraz szybko do orgazmu, tak aby ją wreszcie osiąść i zarazem oddać się jej.

W tej samej chwili, kiedy jej dreszcze nasiliły się, przybierając formę głębokiego spazmu, Clee wyprostował się i wszedł w nią jednym ruchem, tak gwałtownie, że oboje jęknęli.

Nicky przywarła do niego całym ciałem, oplótła nogami, wykrzyknęła: - Clee, och, Clee, o mój Boże! - Złączyli się ustami i poczęli poruszać się zgodnie, odnajdując natychmiast swój rytm.

W miarę jak narastało w nich napięcie, Clee poruszał się coraz gwałtowniej, z coraz większą pasją, wdzierał się w nią coraz głębiej, ona zaś, zatracając się w tym samym stopniu co on, wygięła się w łuk, złączona z nim w jedno.

Nagle Clee znieruchomiał, uniósł się nieco i utkwiał w niej wzrok.

Otworzyła oczy, odwzajemniła spojrzenie; dostrzegł w nim nieme pytanie.

- Jesteś piękna, Nicky.

- Och, Clee...

Przeszywał ją nadal wzrokiem. Wpatrywali się w siebie jak zahipnotyzowani, podobnie jak chwilę wcześniej,

urzeczeni sobą, pragnąc zajrzeć sobie w serca, w rozum i duszę.

To nie jest jedynie pożądanie, to nie tylko seks, pomyślał Clee. Ale Bóg mi świadkiem, że z nią przeżywam to wszystko silniej niż mógłbym przeżyć z jakąkolwiek inną kobietą.

Kocham ją.

I na tym to wszystko polega. Kocham Nicky. Kocham ją, odkąd znaleźliśmy się w Pekinie.

Kiedy zaś Nicky spojrzała mu w te ciemne błyszczące oczy, zaczęła rozumieć jedno: czekała na niego od miesięcy, chciała, żeby zjawił się w jej życiu jako kochanek, uświadomiła to sobie jednak dopiero teraz. I w taki oto sposób uwolniłam się wreszcie od Charlesa, przyszło jej do głowy. Może znowu będę zdolna do miłości - może moim ukochanym będzie teraz Cleeland Donovan.

A Clee począł poruszać się od nowa, najpierw powoli, wielbiąc ją wzrokiem. Otworzyła przed nim ramiona, on zaś znów pochłaniał jej usta i język. Ich ciała uderzały o siebie w rytmie narzuconym przez niego, a potem Clee przyspieszył jeszcze bardziej.

Ogarnęła ją nagle fala żaru; wtedy przywarła do niego jeszcze szczelniej, wpijając się paznokciami w jego ramiona i szepcząc raz po raz jego imię. Poczul ciepło jej ciała i wtargnął jeszcze głębiej, poruszając się coraz szybciej. - Chodź, kochanie! - zawołał. - Stań się częścią mnie! - Usłuchała go, kiedy zaś wytrysnął w nią, złączyli się rzeczywiście, stali się jednością.

Szepcząc jej imię słyszał, jak ona wykrzykuje jego; wspólnie wzbijali się wyżej i wyżej. Aż stał się lekki jak piórko i unosił się teraz po nieskazitelnie błękitnym niebie w kolorze jej oczu. Unosił się w bezkresie, trzymając ją w ramionach, jak gdyby nigdy już nie zamierzał jej

wypuścić. I rzeczywiście nie miał takiego zamiaru. Była jego miłością. Jego jedyną miłością. W jego życiu nie było dotąd kobiety takiej jak ta. I nie będzie w przyszłości innej. Została stworzona dla niego, tak jak on został stworzony dla niej, gdyż takie było ich przeznaczenie.

Otworzył w końcu oczy i spojrzał na nią.

W tym porośłym drzewami zakątku ogrodu panował półmrok, ale dzięki ukrytym w górze, w gęstwinie liści, małym lampkom widział wyraźnie jej twarz: zarumienioną, rozpromienioną szczęściem. Jej oczy, zogromniałe teraz i bardzo, bardzo niebieskie, wpatrywały się w niego z niezwykłym natężeniem.

Dostrzegł w nich coś, czego nie widział dotąd. Czy było to uwielbienie? Czyżby czuła to samo co on? Z pewnością tak - przecież to, co przeżyli przed chwilą, nie było jednostronne.

- Nicky... - zaczął, zanim jednak zdążył wypowiedzieć kolejne słowo, przyłożyła mu palec do ust.

- Nic nie mów, Clee.

- Ale ja...

- Ciii - szepnęła i przyciągnęła jego twarz do swojej. Pocałowała go delikatnie, czule, następnie objęła go oburącz i przytuliła do siebie. Czuła, jak wstępuje w nią spokój - po raz pierwszy, odkąd Charles Devereaux zniknął z jej życia.

Rozdział 13

- *Eh, voilà, mademoiselle!* Oto nasz amerykański piknik - powiedział Clee, kładąc na stoliku pośrodku biblioteki dużą drewnianą tacę. Uśmiechnął się niewyraźnie i dodał: - Obawiam się, że nie można wymagać ode mnie niczego lepszego.

Nicky zeskoczyła z sofy, podeszła do niskiego stolika i usadowiła się na obszernych poduszkach, ułożonych przez Clee wcześniej na podłodze. Obrzuciła wzrokiem posiłek, jaki przygotował, i roześmiała się wesoło.

- Och, Clee, cudownie! Nie mogłeś utrafić lepiej w mój gust! Masło orzechowe i to „Skippy”, mój ulubiony gatunek. Galaretka z winogron, kanapki z sałatką z tuńczyka i z bekonem, sałata i pomidory z ryżem, marynowane ogórki, do tego majonez.

Skąd to wszystko wzięłeś? A zwłaszcza ryżowe pieczywo?

Clee uśmiechnął się. - Ryż wyjąłem z zamrażarki. Włożyły go tam moje siostry, kiedy były tu z wizytą. Przywożą mi też inne produkty amerykańskie, takie, które nie zawsze są dostępne we francuskich sklepach. Amelia wrzuca to od razu do zamrażarki, przede wszystkim pieczywo ryżowe i torebki z bajgielkami, reszta idzie do spiżarni. A teraz... - wziął puszkę dietetycznej coli i otworzył ją. - Co byś powiedziała na to, żeby uporać się z tym wszystkim?

- Wspaniały pomysł. Ale chodź tu i usiądź przy mnie. - Poklepała zachęcającym gestem poduszkę, która leżała tuż obok.

- Za chwilę. Najpierw nastawię jakiś film. - Podeszedł do półki z kasetami i zapytał: - Na jaki się w końcu zdecydowałaś?

- Tytuł brzmi *Odnajdę cię gdzieś*, a Clark Gable i Lana Turner grają w nim role korespondentów zagranicznych, którzy... zbierają materiał w jakimś kraju i tam zakochują się w sobie.

- Aha! - wykrzyknął, a twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. - Trudno o bardziej odpowiedni. Sam nie wybrałbym lepszego.

Kiedy na ekranie telewizora pojawiły się pierwsze sceny filmu, Clee usiadł obok Nicky, nachylił się ku niej, pocałował ją w czubek nosa, potem wziął sobie kanapkę z tuńczykiem i usadowił się wygodniej.

W trakcie filmu wybuchali często śmiechem. Pochodził z 1942 roku i w pewnym sensie był mało realistyczny. Tkwiło w nim coś słodkiego, niewinnego i to sprawiało, że oboje, będąc doświadczonymi reporterami, właściwie już weteranami w tej dziedzinie, uznali go za zbyt staroświecki.

- Wiesz, Nick, według mnie to prawdziwa szmira - mruknął w pewnej chwili Clee, zerkając na nią kątem oka.

- Wiem. Tak jak większość starych filmów.

- Ale nie *Casablanca*. Ten film wytrzymał doskonale próbę czasu.

- Masz rację, ale i ten jest chwilami całkiem przekonujący, zwłaszcza kiedy na ekranie zjawia się Gable. - Ten legendarny gwiazdor był jej ulubionym aktorem, a kiedy w kilka sekund później powiedział: „Nie wydrukuję niczego, dopóki nie usłyszę tego dwukrotnie i nie zobaczę trzy razy na własne oczy”, Nicky oznajmiła: - Od tej pory będzie to również moje motto!

Udając zrozpaczonego, skierował wzrok na sufit.

- Nie śmiej się! - zawołała natychmiast Nicky. - Musisz przyznać, że Gable odtwarza tu postać wspaniałego dziennikarza, błyskotliwego i odważnego. Jest naprawdę cudowny.

- Tak, masz rację. - Odwrócił się do niej i musnął wargami jej usta. - Ty też jesteś cudowna.

Kiedy film dobiegł końca. Clee ułożył z powrotem na tacy szklanki i talerze. - Chcesz obejrzyć jeszcze jeden film, czy wolisz zejść na dół i napić się kawy na tarasie?

- Kawa na tarasie to świetny pomysł - odparła Nicky.

Przy kuchennym stoliku czekali, aż zaparzy się kawa, a Clee, obierając jabłko i podając jej drobne cząstki, powiedział: - W połowie lipca przyjadę do Nowego Jorku. W Waszyngtonie zrobię serię zdjęć prezydenta i jego żony dla *Life*. W Nowym Jorku pozostanę do początku sierpnia. Jak myślisz, czy wtedy moglibyśmy popracować razem nad tym albumem?

- Tak, oczywiście, zrobię to bardzo chętnie. Ja też będę w tym czasie w Stanach, chyba że gdzieś wybuchnie wojna...

- Ale w takim razie - przerwał jej Clee - będziemy wspólnie relacjonować jej przebieg.

Kiwnęła głową. - Chyba tak. W każdym razie Arch i ja będziemy przez cały lipiec i sierpień pracować nad specjalnym wydaniem reportażu. Zapewne napiszę scenariusz i zajmę się przygotowaniem całości. Ale to nie przeszkodzi mi w pracy nad albumem. Czy obmyśliłeś już tytuł?

- Nie, jeszcze nie. Jeśli masz jakąś propozycję, chętnie ją przyjmę. Ale teraz chodźmy już na taras, ta kawa pachnie wspaniale.

* * *

Siedzieli na tarasie w milczeniu, delektując się spokojem i pięknem otoczenia. Było już dobrze po północy. Rozległe sklepienie nieba wyglądało jak czarny aksamit usiany drobnymi cekinami. Całość ozdobił księżyc w pełni, a lekki wiatr szeleścił w gałęziach drzew i przynosił woń kapryfolium.

Clee i Nicky zdążyli już pojąć, że rozmowa nie zawsze jest potrzebna, a milczenie może mieć równie silną wymowę co słowa. W ciągu zaledwie kilku godzin ich wzajemny stosunek uległ radykalnej i nieodwracalnej zmianie, mimo to zachowywali się wobec siebie swobodnie i naturalnie. Może nawet w większym stopniu niż dotychczas.

W pewnym momencie Clee ujął jej rękę i szepnął bardzo cicho: - Dobrze nam ze sobą, Nicky, wiesz o tym, prawda?

- Tak, wiem - odpowiedziała. Siedziała tak z głową wspartą o jego ramię i czuła się wspaniale.

Clee objął ją wpół, przytulił do siebie. Co z nami będzie? - pomyślał. Dokąd zaprowadzi nas ten wieczór? Nie miał pojęcia, jak to się zakończy, widział jednak, że wtedy, gdy uratował jej życie w Pekinie, zakochał się w niej. A może kochał ją już o wiele wcześniej, tylko że uświadomił to sobie dopiero, kiedy omal jej nie utracił.

Nicky zaś była zachwycona faktem, że ich intymny kontakt został nawiązany w tak naturalny sposób. Była też zachwycona samą sobą. Nie kochała się z żadnym mężczyzną, odkąd Charles Devereaux zniknął z jej życia, a przez dwa ostatnie lata stworzyła dla siebie mnóstwo barier! Na szczęście Clee obalił je wszystkie. Cieszyła się, że jest przy nim. Dzięki niemu wszelkie problemy stały

się proste i łatwe, zdołał nawet rozbudzić w niej namiętność w takim stopniu, że jeszcze teraz nie posiadała się ze zdumienia. Uśmiechnęła się w ciemności. Clee sprawił, że znowu poczuła się kobietą.

* * *

Dużo później, kiedy wkładali już brudne naczynia do zmywarki, Clee zapytał: - Jak długo zostaniesz tu ze mną, Nicky?

Wzruszyła nieznacznie ramionami. - Dostosuję się do twoich planów.

- A więc dobrze - odparł zadowolony. - Cały ten tydzień.

- Och, Clee, zupełnie zapomniałam... Za tydzień muszę być na Manhattanie, bo w poniedziałek od samego rana wracam do pracy w telewizji.

- Och! - Zrobił strapioną minę, ale natychmiast rozpromienił się. - Wiesz co, polecimy do Paryża w czwartek wieczorem. Spędzisz ze mną w hotelu dwa dni, a w niedzielę rano odwiozę cię na lotnisko i polecisz concordem do Stanów. Czy to ci odpowiada?

- Jeszcze jak.

- A mnie odpowiada, że jesteś ze mną. - Odstawił na bok talerz, który trzymał w ręku, podszedł do niej i wziął ją w ramiona. - Nie wiem, czy zdałaś już sobie z tego sprawę, ale ty i ja zmarnowaliśmy mnóstwo czasu.

- Dwa lata, jeśli mamy określić to dokładnie.

- Zamierzam to nadrobić.

- Naprawdę?

- Możesz być tego pewna. - Przyłgął ustami do jej warg w długim namiętym pocałunku, a potem wziął ją za rękę i poprowadził po schodach na górę, do swojej sypialni.

Rozdział 14

Trzymając się za ręce, przechadzali się wolnym krokiem aleją Mirabeau, główną ulicą zabytkowego miasta uniwersyteckiego Aix-en-Provence.

Nicky nie przestawała rozglądać się dokoła; miała wrażenie, że jest to jedna z najpiękniejszych alei, jakie kiedykolwiek widziała na własne oczy - długa, szeroka, z czterema rzędami wysokich majestatycznych platanów, których gałęzie spletały się w górze, tworząc nad głowami rozległe podłużne sklepienie. To było tak, jak gdyby szli w zielonym tunelu z listowia, zdającym się nie mieć końca, gdyż ciągnął się na przestrzeni co najmniej pięciuset metrów. Bliżej centrum pomiędzy drzewami wznosiły się dziewiętnastowieczne fontanny, z których tryskała kryształicznie czysta woda, lśniąca w rozproszonych promieniach porannego słońca. Po słonecznej stronie mieściły się kawiarenki, po drugiej natomiast, okrytej cieniem, stały zabytkowe, imponujące budowle; wiele z nich stanowiło prywatne rezydencje.

- Clee, jak tu pięknie! - zawołała Nicky, odwracając się do niego. Na jej twarzy malował się niekłamany zachwyt.

- Prawda? Wiedziałem, że będziesz pod wrażeniem, ten widok działa na każdego. A moim zdaniem, ze wszystkich głównych ulic miejskich na całym świecie ta jest najładniejsza. Nie sposób odmówić jej określonej elegancji - to wzajemne oddziaływanie na siebie architektury, drzew i fontann, to wspaniałe zagospodarowanie przestrzeni... A wiosną i latem efekt jest szczególnie znakomity.

- Umilkł na chwilę, uśmiechnął się. - Wybierzmy sobie teraz jakąś kawiarenkę. Posiedzimy przy kawie, a potem zapuścimy się w uliczki starówki, żebyś mogła odwiedzić kilka tutejszych sklepików.

- Clee, nie musisz robić ze mną zakupów - odparła szybko. - Może wolałbyś poszperać w księgarni, kiedy ja będę kupować prezenty?

- Nic z tego, pójdę z tobą. - Uścisnął mocniej jej dłoń i spojrzał na nią z tym swoim dobrze już znanym chłopcym uśmiechem. - Przez trzy najbliższe dni nie spuszczę cię z oka nawet na chwilę. Chcę się tobą nasycić, skarbie.

Roześmiała się. - Już dawno nie słyszałam tak czułego słówka pod swoim adresem. Ale moja mama zwracała się do mnie w ten sposób, kiedy byłam mała.

- To normalne, moja tak samo - powiedział Clee i skierował się ku pełnej życia kawiarni w pobliżu Fontaine de la Rotonde; dużej fontanny górującej nad zachodnim wejściem na aleję. Taras kawiarni był pełen młodych ludzi, ładnych dziewcząt i przystojnych młodzieńców, zapewne studentów uniwersytetu, ale tu i ówdzie dało się zauważyć wolne stoliki, również pod oknami osłoniętymi od słońca markizami, z dala od ulicznego zgiełku.

Właśnie jeden z takich stolików wybrał Clee. Kiedy usiedli, zaproponował: - Odpoczniemy tu w cieniu i popatrzymy sobie na świat. Bardzo lubię francuskie kawiarenki, są tak wesołe, a jednocześnie panuje w nich dosyć intymna atmosfera.

- Zdjął okulary słoneczne, przytulił ją do siebie i pocałował delikatnie w usta. - Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak. - Uśmiechnęła się, spojrzała mu prosto w oczy.

Zjawił się już kelner i Cleo zamówił dwie filiżanki *café au lait*, kiedy zaś zostali znowu sami, spojrzał na nią z uwagą. - Podobała mi się większość tytułów albumu, jakie napisałaś mi wczoraj, ale najbardziej *Dzieci pekińskiej wiosny*. Chętnie wykorzystam go do naszej książki, Nick.

- Będzie mi bardzo miło. - Jej radość była aż nadto widoczna. Potem dodała: - Tak się składa, że i mnie ten tytuł podoba się najbardziej.

Nachylił się ku niej i ponownie musnął ustami jej wargi. - Teraz, kiedy mamy już tytuł, jesteśmy naprawdę współnikami, kochanie.

- Biorąc pod uwagę te wspaniałe zdjęcia, które zrobiłaś, mógłbyś się obejść bez współnika, Cleo. Mój tekst ma tu drugorzędne znaczenie. Ostatecznie jest to album fotograficzny.

- To prawda, ale moim zdaniem również wstęp jest piekielnie ważny. Ma nie tylko podkreślić moje zdjęcia, ale także wyjaśnić, jakie są Chiny, jak wygląda ich polityka, jakie jest tło wydarzeń, które doprowadziły do demonstracji na placu Tiananmen, a następnie do tej straszliwej masakry. Myślę, że mnóstwo ludzi nie orientuje się, o co tam właściwie chodziło.

- Tak, wiem o tym. W niedzielę, kiedy będę leciała do Stanów, porobię trochę notatek. Ale zanim naprawdę zasiądę do pisania wstępu, będę musiała poczytać trochę materiałów. Wiesz, przyszło mi do głowy... - Urwała na widok kelnera, który przyniósł kawę.

- *Merci* - podziękowali oboje zgodnym chórem, po czym Nicky mówiła dalej: - Chciałam powiedzieć, że myślałam już o naszej wspólnej pracy nad albumem i przyszło mi do głowy, że może chciałbyś spędzić parę tygodni w New Milford, u moich rodziców, kiedy przyłecisz do

Nowego Jorku. Kilka lat temu ojciec urządził pracownię obok domu, po drugiej stronie trawnika. Moim zdaniem to wspaniałe miejsce. Moglibyśmy rozłożyć tam wszystko, wiesz, rozmieścić odpowiednio zdjęcia, nawet zająć się paginacją. Poza tym nie musielibyśmy zdejmować tego wszystkiego ze stołów, robiąc przerwę nawet na tydzień. Nikt by niczego nie ruszył.

- To brzmi zachęcająco, ale co z twoimi rodzicami? Nie korzystają z pracowni, żeby coś napisać?

Nicky potrząsnęła głową i zachichotała. - Kiedy tata urządził pracownię, robił to z myślą o mojej matce; chciał jej sprawić prezent. Myślał, że będzie tam pracowała. Trudno o lepsze miejsce, jest przestronne, ciche, spokojne...

- A ona nie chciała?

- Nie. Może w pracowni było zbyt spokojnie. W każdym razie matka pracowała tam tylko przez miesiąc. Potem przeprowadziła się z powrotem do domu, do małego pokoiku obok ich sypialni. Powiedziała tacie, że czuje się lepiej pisząc w pokoju, z którego korzystała wiele lat. Jestem pewna, że to prawda, ale znając moją matkę wiem również, że lubi przebywać w domu, być w centrum tego, co tam się dzieje. Myślę, że nawet gdyby tylko ogród dzielił ją od samego ojca, od gospodyni, telefonów i różnych spraw domowych, czułaby się samotna, pisząc z dala od tego wszystkiego swoje długie, zawile książki.

- A ojciec? On również nie bywa w pracowni?

- Niezbyt często. Chyba woli przebywać w pobliżu mojej matki i tak jak ona uczestniczyć w sprawach domu. Dlatego swego pióra, a raczej komputera, używa w bibliotece. Tam właśnie pisuje artykuły i dzięki temu znajduje

się stale blisko kuchni, dokąd w każdej chwili może wpaść na filiżankę kawy lub herbaty, pogawędzić z Annie, ich gospodynią, albo z Bertem, ogrodnikiem. A mówię to wszystko po to, żebyś wiedział, że możemy urządzić się tam na jakiś czas, o ile masz na to ochotę.

- A twoi rodzice nie będą mieli nic przeciw temu?

- Oczywiście, że nie! Muszę ci powiedzieć, że od czasu spotkania z tobą w Paryżu w zeszłym roku bardzo cię polubili.

- A ich córka?

Nicky zdjęła okulary słoneczne, spojrzała na niego przeciągle, badawczo. Jej głos zabrzmiał nieśmiało, kiedy zapytała:

- Co: ich córka?

- Czy ona też polubiła mnie tak bardzo?

- O, tak.

- I dobrze robi.

- Ona zdecydowanie... bezgranicznie... polubiła Cleelanda Donovana.

Clee nachylił się nad stolikiem i ujął jej dłoń.

- Te ostatnie dni były naprawdę wspaniałe, Nick. Nigdy nie czułem się tak jak teraz... Chciałem ci o czymś powiedzieć... o nas obojgu... o tym, co do ciebie czuję, kochanie, i...

- Proszę, nic już nie mów, Clee - przerwała głosem równie niskim co jego. - Nie teraz, jeszcze nie teraz, błagam. - Delikatnie uwolniła dłoń, wyprostowała się na krześle. Twarz miała bardzo poważną.

- Dlaczego nie teraz? - zapytał zdumiony.

Nicky milczała przez chwilę. - Chciałabym... - zaczęła wreszcie - abyśmy... aby to rozwijało się powoli... Nie chcę, żebyś... żeby któreś z nas powiedziało coś, czego moglibyśmy potem żałować, coś, na temat czego moglibyśmy potem zmienić zdanie. Chciałabym, abyś był

absolutnie pewny, zanim powiesz mi cokolwiek. I ja też chcę być pewna tego, co czuję. Co czuję do ciebie.

- Ależ ja jestem pewny... - zaczął i natychmiast umilkł. Zorientował się, że Nicky nie chce się wiązać zbyt wcześnie, że fiasko jej poprzedniego związku nauczyło ją ostrożności. - Wiem, co czujesz, Nicky. I masz rację, jasne, że masz rację. Wiem, jak bardzo zranił cię Charles Devereaux. - Ostatnie słowa wymknęły mu się z ust, zanim zastanowił się nad nimi. Mógłby kazać uciąć sobie język! Zirytowany na samego siebie, zakłopotany wpatrywał się w nią, jak gdyby prosił o wybaczenie.

Ona również patrzyła na niego jak skamieniała, jej twarz, z której zniknęło ożywienie, była teraz nieruchoma, zamknięta. W milczeniu odwróciła wzrok.

Clee pochwycił jej dłoń, uścisnął mocno. Gorączkowo rozmyślał o tym, jak naprawić swój błąd. Zachował się niezdarnie, idiotycznie, rozdrapał jej rany. Domyślił się tego natychmiast, nie musiała mu nic mówić. Wyczytał to z jej twarzy w tej samej chwili, kiedy odezwał się tak niefortunnie.

- Nick, spójrz na mnie.

Powoli obróciła się twarzą ku niemu, znowu zatopiła w nim wzrok.

- Jest mi bardzo przykro - zaczął ją przeproszać. - Naprawdę szalenie mi przykro. Nie powinienem był wymieniać tego imienia.

- Nie szkodzi - odparła po chwili. Zmusiła się nawet do uśmiechu. - Wszystko w porządku. Po prostu nie lubię o nim mówić. Za każdym razem, kiedy zaczynałam o nim rozmawiać, odżywały przykre wspomnienia. W każdym razie rozmowa o nim nie ma żadnego sensu. On należy już do przeszłości. Wolę myśleć o przyszłości.

- I masz pod tym względem całkowitą rację. - Ode-
tchnął głęboko. Dałby wiele, aby ta niezręczna sytuacja
minęła jak najszybciej.

- Clee, proszę, nie rób takiej zatroskanej miny. To
normalne, że wymienileś nazwisko Charlesa. Przecież był
moim narzeczonym.

- Mimo to uważam, że zachowałem się jak słoń w
składzie porcelany.

- Wcale nie. - Jej śliczne oczy odzyskały swój zwykły
blask. Uśmiechnęła się, podniosła filiżankę i upiła łyk. -
Kawa ostygła zupełnie - powiedziała rzeczowo. - Może
zamówimy jeszcze raz gorącą?

Clee skinął na kelnera, złożył zamówienie, a potem
zwrócił się do Nicky. - Mówiłaś, że chcesz kupić dla matki
trochę tkanin prowansalskich. Znam odpowiedni sklep,
tuż obok, w starej części miasta. Jeśli chcesz, prześlą na-
wet materiał do Stanów, pod adresem, który im podasz.

- Wspaniale.

Zaczęła wyliczać mu prezenty, które sobie obmyśliła,
on zaś zauważył z ulgą, że jej głos brzmi znowu całkiem
normalnie. Ta świadomość pomogła mu się odprężyć.

Wkrótce wyszli z kawiarni i skręcili w stronę starej
części miasta, usytuowanej na tyłach alei Mirabeau. Spa-
cerowali wąskimi, ciasnymi uliczkami, przystawali przed
witrynami eleganckich butików, jak również przed wy-
stawami starszych sklepów, gdzie sprzedawano likiery,
sery, wyroby miejscowych rzemieślników i wyszukane
stroje prowansalskie. Clee zaprowadził Nicky do pracow-
ni Fouque, gdzie powstawały *santons*. Te drobne figurki,
lepione z gliny lub ciasta i przepięknie malowane na ja-
skrawe kolory, wyglądały jak żywe i Nicky zdecydowała się
kupić dla ojca całą kolekcję. Clee przedstawił ją Paulowi

Fouque, jednemu z wielkich mistrzów sztuki tworzenia *santons*, a potem jakieś piętnaście minut przyglądali się jego pracy. Następnie poszli do cukierni, aby kupić *calissons*, miejscowe cukierki nadziewane masą migdałową, przysmak Amelii, jak twierdził Clee. Nicky postanowiła kupić dla niej całe pudełko tych słodczy i podarować je razem z jedwabnym szalikiem, który wybrała dla niej poprzedniego dnia, kiedy Clee zawiózł ją do Saint-Rémy.

Nieco później weszli do sklepu Souleiado, gdzie Nicky zdecydowała się na kilka sztuk pięknych tkanin o barwnych tradycyjnych wzorach prowansalskich i poprosiła o przesłanie ich do Nowego Jorku, pod adresem jej matki. Kupiła też dla znajomych notatniki oprawione w podobne materiały, fartuszki i inne prezenty, ale te drobiazgi wzięła już ze sobą.

Potem znowu przechadzali się po wąskich brukowanych kamieniami uliczkach, wstępując do najprzeróżniejszych sklepików, nieraz tylko po to, aby rzucić okiem na wnętrze i zakosztować tutejszej atmosfery. W jednym z nich Nicky dokupiła olejek lawendowy, torebki z lawendą i paczkowane zioła prowansalskie. W pewnej chwili odwróciła się do Clee. - Jak wiesz, mogłabym kupić to wszystko w Nowym Jorku - powiedziała z uśmiechem. - U Bloomingdale'a. Identyczne towary. Ale to zupełnie co innego przywieźć je stąd.

- Tak, masz rację - przyznał, odbierając od sklepikarza torbę z zakupami. - A teraz - dodał, kiedy wyszli na ulicę - pokażę ci plac d'Albertas, warto go zobaczyć. Potem wrócimy na farmę na lunch.

- Boże, znowu jedzenie - jęknęła z udanym przerażeniem.

Trzymając ją za rękę, Clee skręcił w stronę zabytkowego placu. - Skoro już mówimy o posiłku, wiedz, że poprosiłem Amelię, aby przygotowała naprawdę lekki lunch, po prostu zieloną sałatę, kurczaka na zimno i owoce. A na obiad zabiorę cię w specjalne miejsce.

- To znaczy? - rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- To taka znana restauracja, przychodzą tam ludzie z różnych stron, przyjeżdżają z całego świata. Lokal jest bardzo elegancki, Nicky. Jeśli nie zabrałaś ze sobą sukni, to kupmy ją lepiej od razu tu, dokoła jest pełno szykownych butików.

- Nie muszę się o to martwić, Clee, wzięłam ze sobą parę jedwabnych sukni. I perły, na wszelki wypadek. Możesz pokazać się ze mną wszędzie.

* * *

Sypialnia Clee była zacieniona i przytulna, drewniane okiennice osłaniały pokój przed jaskrawym popołudniowym słońcem, wentylator zainstalowany na suficie dostarczał przyjemnego chłodu.

Oboje leżeli na łóżku, przytuleni do siebie, odpoczywając po szaleńczym uniesieniu miłosnym. Clee przeprowadził ją tu po lunchu. Twierdził, że powinni ochłodzić trochę po męczącym dniu, ale już po kilku minutach doszło do tego, co było nieuniknione. Zaczął całować ją i pieścić, ona zaś zareagowała na to gorliwie, jak zwykle, gdy tylko czuła na sobie jego dłonie. Czym prędzej pomogli sobie wzajemnie zrzucić ubrania, a kiedy byli już nadzy, gwałtownie przyciągnął ją do siebie i znowu ogarnęła ich płomienna ekstaza, jak już kilkakrotnie przedtem.

Teraz trwali w bezruchu, a Nicky przyszło do głowy, że stała się rzecz dziwna: oto znali się od dwóch lat i nigdy nie pomyśleli o tym, żeby zostać kochankami, natomiast przez kilka ostatnich dni nie mogli się sobą nasycić, nie potrafili powstrzymać dłoni, kiedy tylko zostawali sami.

Przekręciła lekko głowę na poduszce i spojrzała na Clee. Leżał na wznak, podobnie jak ona, z zamkniętymi oczyma; gęste, ciemne rzęsy odbijały się od opalonej twarzy. Szybko zdobył opaleniznę; wystarczyło mu parę dni na farmie. Całe jego ciało miało ten złocistobrązowy odcień, jedynie poniżej brzucha, tam gdzie nosił kąpielówki, widniał teraz biały trójkąt.

Uśpiona twarz sprawiała wrażenie bardzo łagodnej, szerokie, pełne usta kusily. Owładnięta nagłym impulsem wyciągnęła rękę, aby ich dotknąć, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili, nie chcąc go budzić.

Cleeland Dono van. Powtórzyła w duchu jego imię i nazwisko. Był wspaniałym człowiekiem, porządnym, na wskroś przyzwoitym. Uczciwym, rzetelnym i miłym. I godnym zaufania. Jej matka określała takich ludzi mianem „niezawodny”. Cleeland Donovan był niewątpliwie człowiekiem niezawodnym.

Od samego początku znajomości uważała go za swojego najbliższego przyjaciela, kochała go jak brata. Teraz był jej kochankiem. Połączył ich seks, ale znajdowali się na najlepszej drodze do tego, by łączyło ich uczucie. A może to już się stało? Nie była pewna, co ich czeka, co się z nimi stanie, jak długo pozostaną razem, wiedziała jednak, że może ufać mu bezgranicznie. Może nawet powierzyć mu własne życie, czego dowód miała już w Pekinie. Był typem odważnego, niezawodnego i silnego mężczyzny,

czuła się przy nim bezpieczna i tak było zawsze, od pierwszej chwili, gdy go poznała.

Zupełnie nieoczekiwanie Clee otworzył oczy i napotkał jej wzrok. Objął ją i przygarnął do siebie, wtulił twarz w jej szyję, po czym wyszeptał do ucha: - Miałaś taką zadumaną minę, kiedy na ciebie spojrzałem. O czym myślałaś?

- Wyobraź sobie, że o tobie.

- Aha... rozumiem. A konkretnie, co o mnie myślałaś?

- Doszłam do przekonania, że jesteś niezawodny. W ten sposób moja mama określa ludzi, których ceni.

- Czyżbyś w tak określony sposób chciała mi dać do zrozumienia, że mnie cenisz? - zapytał i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Chciałbym, abyś czuła do mnie coś więcej niż tylko uznanie.

- Przecież tak właśnie jest - zaprotestowała.

- Czuję do ciebie bardzo wiele... - Urwała, cofnęła się o krok i spojrzała mu w ciemnobrązowe oczy, w których tańczyły teraz figlarne ogniki.

- Ach, ty! - zawołała, kładąc mu dłoń na piersi i usiłując bez przekonania odepchnąć od siebie.

- Zastawiłeś na mnie pułapkę, chciałeś, żebym powiedziała ci coś, czego wołałabym jeszcze nie mówić, nie teraz!

- Kto, ja? Nigdy! - Uśmiechnął się i znowu zamknął ją w ramionach. Poglaskał ją delikatnie po włosach, przesunął dłonie w dół, na plecy, odnalazł ustami jej usta i wpił się w nie łapczywie.

Pieścił ją powoli, ją zaś w jednej chwili ogarnął płomień. Przeszyło ją gorące pragnienie, mimo że kochali się zaledwie przed paroma godzinami.

Marzyła teraz o tym, żeby poczuć, jak bardzo jest

twardy, żeby połączyć się z nim i zarazem stać się jego częścią.

Jak gdyby czytając w jej myślach, znalazł się nagle nad nią, wspierając się rękoma z obu stron jej ciała. Spojrzał jej w oczy, a ona wyciągnęła dłoń, aby go dotknąć. Jej palce leciutko obrysowały linię jego ust, nie spuszczała z niego wzroku.

Odwzajemnił spojrzenie, jak gdyby chciał zachować ją taką w pamięci już na zawsze, a potem wszedł w nią tak gwałtownie jak owej nocy w ogrodzie, kiedy kochali się po raz pierwszy. Z jej ust wydarł się okrzyk zaskoczenia i zarazem bólu, ale on, ignorując to, poruszał się coraz szybciej, z coraz większą pasją, aż ból ustąpił, ona zaś otworzyła się przed nim. Wezbrała w niej fala rozkoszy, krzyknęła chrapliwie, oplotła go ramionami i nogami, przyciągając ku sobie. Jej oddech mieszał się z jego oddechem, ciało uderzało o ciało.

Clee pocałował ją znów, niemal brutalnie, i nagle wygiął się w łuk, jęcząc jak w udęcie. - Kocham cię, Nicky! - zawołał. - Kocham cię. - Poczula jego wytrysk i w tym momencie pomyślała: A ja właśnie zakochuję się w tobie. Nie była jednak w stanie wypowiedzieć tych słów na głos, milczała więc trzymając go mocno w ramionach, podczas gdy on opadł na nią i zanurzył twarz w jej włosach.

Rozdział 15

Clee przystanął w progu biblioteki i oparł się o framugę, kierując wzrok na Nicky.

- Cześć - powitała go z uśmiechem i podeszła bliżej.

Miała na sobie suknię z okrągłym dekoltem i bez ramiączek, o luźnym kroju, z fałdami biegnącymi od krezy w dół, o niebieskiej barwie ostróżek, która doskonale harmonizowała z jej pięknymi oczami. Przy najdrobniejszym ruchu lekki jedwab obracał się wokół niej niczym powiewny obłoczek. Szyję zdobił sznur pereł, takie same kolczyki w uszach kontrastowały uroczo z karnacją skóry; złocista opalenizna, złociste włosy i lśniące oczy sprawiały wrażenie, jakby dzisiejszego wieczoru otaczał ją jakiś niezwykle blask.

Kiedy stanęła przed nim, dostrzegł u niej coś jeszcze: wewnętrzny płomień kobiety, która dopiero co doznała spełnienia w miłości i jednocześnie obdarzyła miłością. Emanowała z niej subtelna, lecz nieomylna aura erotyzmu, widoczna w kwitnących rumieńcach na twarzy, w dojrzałych rysach ust, jak również w oczach, które wyrażały wiedzę i doświadczenie. Takie znamiona nie pozostawiały żadnej wątpliwości i zapewne byłyby zrozumiałe dla każdego mężczyzny.

- Wyglądasz wspaniale, Nicky! - zawołał Clee. Ujął ją pod rękę i musnął wargami policzek.

- Ty też niczego sobie - odparła, patrząc na niego z uznaniem. Potrafiła docenić gustowną garderobę mężczyzny: sportową marynarkę w kolorze kremowym,

wytworną koszulę o tej samej barwie, która podkreślała jego opaleniznę, elegancki krawat z rubinowego jedwabiu, dobrze skrojone czarne spodnie i czarne mokasyny, lśniące niczym lakierki. Zlustrowała go dokładnie wzrokiem pełnym aprobaty, po czym dodała: - Prawdę mówiąc, wyglądasz bardzo apetycznie, można by cię schrupać.

- Zostawmy to na później - odparł żartem i zachichotał. - A teraz lepiej już chodźmy. Zdobycie stolika kosztowało mnie wiele trudu, nie chciałbym go teraz stracić.

Kilka minut później Cleo wyprowadził wóz sprzed domu i ruszył alejką.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Nicky. - Zachowujesz się bardzo tajemniczo.

- Naprawdę? Nie miałem takiego zamiaru. - Zerknął na nią kątem oka, potem znowu skoncentrował się na drodze. - Jedziemy do Les Baux - wyjaśnił. - To takie miasteczko niedaleko stąd, tuż za Saint-Rémy. Restauracja nazywa się L'Oustau de Baumanière, jest wyjątkowo urocza, a jedzenie podają tam wyśmienite. Wiem, nie musisz mi tego powtarzać po raz setny, że tyle, co tu zjadłaś, wystarczyłoby do końca życia, ale w restauracji nie musisz jeść dużo, Nicky. Po prostu popróbuj tych potraw. Zresztą zabieram cię tam z dwóch powodów: miejsce jest jedyne w swoim rodzaju, a po drugie dziś mamy uroczystość.

- Naprawdę? Co świętujemy? - Zmieniła pozycję na siedzeniu, aby widzieć go lepiej; przesunęła się bliżej drzwiczek i oparła się ramieniem o szybę.

- Świętujemy naszą książkę, do której mamy już tytuł. I jeszcze parę innych spraw.

- Na przykład jakich?

- Powiem ci później.

Włączył odtwarzacz i w samochodzie rozległy się dźwięki *Błękitnej rapsodii* Gershwina. Jechali w milczeniu, wsłuchując się w melodię i jak zwykle rozkoszując się spokojem oraz świadomością, że są razem.

Ale w pewnym momencie, kiedy przejeżdżali poprzez Saint-Rémy, Nicky powiedziała: - Jeśli chodzi o Les Baux, coś mi się przypomina... Moja matka wspominała coś na ten temat w jednej ze swoich książek, nie pamiętam tylko dokładnie, co i w jakiej książce.

- Les Baux jest bardzo stare - wyjaśnił Cleo. - To miasto pamięta jeszcze czasy feudalne, ma setki lat, jest położone na skale i góruje nad paroma kotlinami w tym rejonie. Dziś są to głównie ruiny, można by rzec: wymarłe miasto, nadal jednak może imponować swą aurą; było za to sławne w czasach średniowiecza, od jedenastego wieku do piętnastego, kiedy ziemiami tymi władał ród książęcy de Baux. Byli to władcy krwiożerczy i agresywni, okrutni i twardzi, roztoczyli jednak opiekę nad trubadurami...

- Właśnie! - zawołała Nicky. - Teraz już sobie przypominam! Trubadurzy! Moja matka wymieniła Les Baux w książce o Eleonorze Akwitańskiej, poruszała tam sprawę patronatu nad Bernardem de Ventadour, jednym z najsłynniejszych trubadurów. W Les Baux narodził się szacunek wobec damy i zachwyt dla jej urody. Tu właśnie pierwsi trubadurzy zaczęli pisać, śpiewać i grać na lutniach.

- Dokładnie tak było - odparł Cleo. - A sława fortecy Baux wiązała się głównie z kultem miłości dworskiej i rycerskiej wobec kobiet.

- Tak bardzo się cieszę, Cleo, że zwiedzimy to miejsce. Kiedy wrócę do Nowego Jorku i opowiem o wszystkim matce, będzie zachwycona.

- Nie zamierzam pokazywać ci fortecy i ruin jeszcze dziś - powiedział Cleo, zerkając na nią ukradkiem. - To nie takie proste, choćby ze względu na męczącą wspinaczkę. Na tych wysokich obcasach nie dałabyś rady.

Roześmiała się. - W porządku, tego wieczoru nie zależy mi tak bardzo na wycieczkach krajoznawczych czy też wchodzeniu na duże wysokości.

* * *

Niedługo potem Cleo zatrzymał się przed restauracją L'Oustau de Baumanière, u podnóża białej ściany skalnej w dolnej części Les Baux.

Zaparkował samochód i wprowadził Nicky do środka, gdzie oboje zostali powitani bardzo serdecznie. Szef sali, który najwidoczniej znał Cleo, zaproponował, że poda im aperitif na tarasie, a dziesięć minut później Cleo uniósł swój kieliszek szampana, trącił nim kieliszek Nicky i szepnął: - Za ciebie, najdroższa Nicky.

- I za ciebie, Cleo. - Uśmiechnęła się, upiła łyk musującego trunku, po czym poprosiła: - A teraz powiedz mi, co jeszcze świętujemy oprócz książki.

Wyciągnął rękę i nakrył nią jej dłoń.

- Świętujemy to, że zdołaliśmy przeżyć, że jesteśmy razem, że jak dotąd wszystko w życiu układa nam się po naszej myśli i - co najważniejsze - że jesteśmy nie tylko przyjaciółmi, ale również kochankami.

- Och, Cleo, to cudowne, co mówisz i co świętujemy. Mamy szczęście, prawda? Większość ludzi nie osiąga tak wiele.

- Niestety, to prawda.

- I jestem ci bardzo wdzięczna, że przywiozłeś mnie tutaj. - Rozejrzała się dokoła, powiodła wzrokiem po tarasie przybranym kwiatami, po soczyście zielonym ogrodzie oraz po pięknie rozkwitłych drzewach, które rosły pod białymi nawisami skalnymi. - To naprawdę cudowne miejsce, Clee...

- Usiadła wygodniej na krześle, spojrzała na niego badawczo. - A co do trubadurów i ich pieśni miłosnych, zaczynam być zdania, sądząc po twoich słowach, że jesteś z natury romantykiem, bez względu na to, jak bardzo chciałbyś zataić ten fakt.

- Wcale nie mam zamiaru zatajać, przynajmniej nie wobec ciebie. Chyba masz rację, jestem w pewnym stopniu romantykiem - przyznał Clee z niewyraźnym uśmiechem. Nagle spoważniał, opuścił wzrok na swój kieliszek i zamyślił się.

Nicky nachyliła się do przodu. - Co» się stało? - zapytała. - Czy coś złego?

Potrząsnął głową. - Nie, nie, oczywiście że nie. - Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę. - Dziś powiedziałem ci coś, ale ponieważ stało się to w chwili miłosnego uniesienia, mogłaś sobie pomyśleć, że nie mówiłem tego szczerze. A tak nie jest, naprawdę... Powtórzę więc, nawet jeśli nie chcesz wysłuchać tego po raz drugi... - Umilkł, po czym oświadczył: - Kocham cię, Nicky.

Wlepiała w niego wzrok, jej oczy były teraz ogromne i lśniły niezwykłym blaskiem. Nie wątpiła w szczerść Clee; nie potrafiłby jej oszukiwać, nawet gdyby chciał. - Clee... - zaczęła i natychmiast urwała.

- Nie musisz mówić, że mnie kochasz, Nicky. Może darzysz mnie tym uczuciem, może nie. Mamy mnóstwo czasu, aby przekonać się, jak jest naprawdę. Pewnego dnia powiesz mi, co do mnie czujesz - kiedy już poznasz

samą siebie. Ale tymczasem chciałem, żebyś wiedziała, że cię kocham. Mówię to tu i teraz, gdy nie jesteśmy w łóżku. Kocham cię od dawna, tylko że nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jej usta rozchyliły się; najwidoczniej chciała coś powiedzieć.

Potrząsnął głową. - Ani słowa, Nicky, nie teraz. To zbyt wcześnie.

- Ale ja chcę mówić. - Zawahała się, wreszcie zaczęła wyjaśniać szeptem: - Żywię wobec ciebie uczucia wszelkiego rodzaju, Clee, wzbudzasz we mnie napięcie. - Chciała już wyznać, że ma wrażenie, jakby i ona go pokochała, jednak rozmyśliła się w ostatniej chwili. W zamian powiedziała:

- I kocham cię jak najlepszego przyjaciela...

- Wiem. - Uścisnął jej dłoń. - Nie rób takiej strapionej miny.

Roześmiała się. - Nawet nie wiedziałam, że taką zrobiłam. - Westchnęła lekko. - Ostatnie dni były... wręcz cudowne, Clee, nie można określić tego w inny sposób. - Po jej twarzy przemknął wyraz zadumy.

- Tak mi smutno, że już dobiegają końca.

- To wcale nie jest koniec. Jutro spędzimy razem wieczór w Paryżu, będziemy tam jeszcze przez piątek i sobotę, a do Stanów lecisz w niedzielę. - Delikatnie muskał jej ramię, kreśląc czubkiem palca drobne misterne wzory. - Trzy pełne dni i noce, nie licząc tego wieczoru. - Nachylił się nad nią, pocałował w koniuszek nosa. - I przez cały ten czas będziemy się kochać... oczywiście o ile pozwolą na to okoliczności i otoczenie.

Rozdział 16

Wnętrze restauracji było nie mniej fascynujące niż wystrój zewnętrzny.

Sklepienie łukowe u góry, kamienne ściany i taka sama podłoga przywodziły na myśl średniowieczne komnaty. Wrażenie to potęgowały krzesła z wysokim oparciem, pokryte niebieskim i złocistym brokatem, antyki prowansalskie z ciemnego drewna i zawieszzone pod sufitem lampy podobne do latarni. Ładne obrusy, kwieciste i wielobarwne, zdobiły stoliki, na których stały trójramienne srebrne kandelabry i wazon z kwiatami.

Ponieważ Clee zamówił obiad, gdy siedzieli na tarasie popijając szampana, teraz otrzymali przystawki niemal natychmiast po zajęciu miejsc. Nicky wybrała melona, Clee natomiast zdecydował się na specjalność kuchni: rawioli z truflami i porami. Od razu też zaczął nalegać, aby Nicky spróbowała trochę.

- Tylko jednego - prosił. - Są naprawdę wyśmienite, po prostu rozpływają się w ustach. - Nadział jednego pieczywa na widelec i podsunął jej do ust, karmiąc jak małe dziecko. Podczas gdy przełykała, jego ciemne oczy wpatrywały się w nią z miłością.

- Rzeczywiście doskonały - przyznała, po czym nabrała łyżeczką cząstkę słodkiego soczystego melona z Cavaillon, o których Amelia twierdziła uparcie, że nie ma smaczniejszych w całej Francji. Uznała teraz, że opinia Amelii nie jest wcale przesadą.

W oczekiwaniu na główne danie Clee zabawiał ją rozmową na temat książki i rozmaitych sekwencji zdjęciowych, które obmyślał od czasu powrotu z Pekinu. - Co o tym sądzisz? - zapytał w pewnej chwili, odchylając się do tyłu.

- Brzmi wspaniale, a zresztą ty znasz się na tym najlepiej, Clee, naprawdę. Ta książka nie będzie twoją pierwszą, podczas gdy ja jestem pod tym względem nowicjuską, teraz zaś piszę jedynie wstęp.

- Słowo „jedynie” jest tu nie na miejscu, wstęp ma znaczenie nie mniejsze niż zdjęcia.

- Nie zgadzam się z tobą. Ale to miłe, że tak mówisz.

- Myślałem o tym, aby zadedykować książkę Yoyo i Mai. Co byś na to powiedziała?

- Och, Clee, to wspaniały pomysł! A skoro już o tym mowa... Wiesz, mam wrażenie... i to od jakiegoś czasu... że Yoyo żyje. I że uda mu się wydostać poza granice Chin.

- Musimy w to wierzyć.

Do stolika podszedł kelner, ponownie napełnił kieliszki białym winem, które wybrali na początek.

- Wyborne wino, prawda, *monsieur* Donovan? - zapytał.

- Doskonale. Ale Puligny-Montrachet piłem już przedtem. Polecił mi je pan ostatnim razem, kiedy tu byłem.

- To prawda - potwierdził kelner z grzecznym uśmiechem na twarzy.

- Mam nadzieję, że wino ci smakuje, Nicky - powiedział Clee. - Zamówiłem je, bo jest na tyle wyraziste, by zmierzyć się z najbardziej nawet aromatycznym daniem, a dorada, którą wybraliśmy, jest podawana w mocnym sosie pomarańczowym i z wieloma przyprawami. W każdym

razie wydaje mi się, że Chardonnay pasuje tu znakomicie.
- Obrócił butelkę etykietką do siebie i studiował ją przez chwilę.

- To nie byle jaka firma... Clos du Vieux Château, Labouré-Roi, ze znanej na całym świecie Chardonnay, miejscowości na Cote d'Or, gdzie nie uprawiają innego gatunku winogron.

Nicky wpatrywała się w niego w milczeniu, oszołomiona jego wiedzą na temat win. Wreszcie odzyskała głos. - Nie wiedziałam wcale, że jesteś koneserem win!

- Dobry Boże, wcale nie jestem koneserem!

- Zerknął na nią i wyjaśnił: - Nawet nie znam się na tym za dobrze. Po prostu lubię dobre wina, a ponieważ mieszkam we Francji, postanowiłem dowiedzieć się co nieco o najlepszych winnicach. Przecież nie mogę ograniczać się stale do tego sikacza, który wyrabiamy na farmie. - Zmarszczył brwi. - O co chodzi, Nick? Masz taką dziwną minę.

Wzdrygnęła się i roześmiała nerwowo. - Nie, to nic takiego. Po prostu miałam takie zabawne złudzenie, jak gdybym słyszała już kiedyś dokładnie te same słowa. Ale to oczywiście niemożliwe.

- Nie, nigdy jeszcze nie rozprawialiśmy o winach.

To prawda, ale za to Charles nie przestawał mówić na ten temat, pomyślała. Podniosła kieliszek i upiła łyk Puligny-Montrachet. - Bardzo mi smakuje, Clee. Jest rzeczywiście doskonałe.

Przy stoliku zjawilo się kilku kelnerów, którzy podali główne danie. Zachowywali się niezwykle uroczyście, przestrzegając każdego szczegółu rytuału, a Nicky, która napotkała spojrzenie Clee, mrugnęła znacząco. Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

W końcu oboje zostali sami, zanim jednak zajęli się rybą, Clee zauważył: - Twoja mina powiedziała mi więcej, niż zdołałyby to zrobić tysiące słów. Jak ci smakuje dorada?

- Znakomita, dziękuję. To moja ulubiona potrawa. Jadałam ją jeszcze jako dziecko, kiedy rodzice zabierali mnie na południe Francji. A ryba nie tuczy.

- Czy zostałąbyś ze mną, gdybym obiecał, że nie będę karmił cię niczym innym jak tylko chlebem i wodą? - zapytał. Jego głos brzmiał żartobliwie, ale w oczach czaiła się powaga.

Nicky dostrzegła ją i skinęła głową. - Zostałabym, Clee...

Odłożył na bok widelec. - Co będziesz robić we wrześniu?

- Dlaczego pytasz?

- Powiedziałas mi przedtem, że w telewizji należy ci się masa urlopu, pomyślałem więc, że może chciałabyś wrócić tu we wrześniu. Na farmę, żeby pobyć trochę ze mną. Mam zamiar odpocząć trochę na jesieni, o tej porze roku jest tu naprawdę pięknie. Nie ma już lipcowych i sierpniowych turystów, wszędzie panuje błogi spokój.

- Chętnie bym przyjechała, o ile uda mi się skończyć scenariusz do specjalnego wydania mojego programu.

- Postaraj się.

- Obiecuję. Przez resztę lipca i sierpnia będę harowała jak wół.

- Dajesz słowo?

- Tak.

- Przypomnę ci o tym w odpowiednim czasie, bądź tego pewna. - Nachylił się do jej ucha i powiedział półgłosem: - Nie obracaj się, tylko słuchaj. Obok siedzi kobieta,

która nie spuszcza z ciebie oka, odkąd tu przyszła. Mam wrażenie, że cię zna.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo pożera cię wzrokiem, a przed chwilą powiedziała coś do mężczyzny, który jej towarzyszy, on zaś bardzo dyskretnie zerknął na ciebie. A poza tym, mimo iż zajmują się rozmową i jedzeniem, ona raz po raz spogląda na ciebie.

- Może widziała mnie na ekranie, może lubi moje programy. Czy to Amerykanka?

- Nie sądzę. Wygląda mi na Angielkę. Tak, to typowa Angielka, a facet też jest chyba Anglikiem. O, teraz ona rozmawia z kelnerem, możesz na nią spojrzeć.

Nicky nieznacznie przekręciła głowę w bok, spojrzała na tamtą kobietę i z wrażenia aż wstrzymała oddech. Chciała odwrócić się z powrotem do Clee, kiedy kobieta znowu skierowała na nią wzrok.

Dwie pary niebieskich oczu zetknęły się ze sobą i trwały tak przez chwilę w bezruchu.

Potem kobieta uśmiechnęła się, na jej twarzy odmalowała się radość.

Nicky odwzajemniła uśmiech, uniosła dłoń w geście powitania.

Kobieta szepnęła coś do swego towarzysza, a ten odwrócił się na krześle i spojrzał rozpromieniony na Nicky.

- To moi starzy znajomi - wyjaśniła Nicky. - Muszę podejść do nich na chwilę i zamienić kilka słów. Wybacz, że cię opuszczę. Niedługo wrócę.

Wstała i ruszyła przez salę w stronę tamtej pary. Ciekawe kim oni są, pomyślał Clee. Głos Nicky był jakiś dziwny, pełen napięcia. Wygląda na to, że spotkanie z

tymi ludźmi jest dla niej czymś w rodzaju wstrząsu... Usiadł z powrotem na krześle, zaintrygowany takim obrotem sprawy.

- Anno, to cudownie, że cię widzę - powiedziała Nicky, podchodząc do stolika.

- Ja też się cieszę, kochanie - odparła Anna, wstając natychmiast. Uściskały się, a chwilę potem w podobny sposób przywitał się z Nicky towarzysz Anny. - Wyglądasz wspaniale, moja droga, jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem, jeśli wolno mi to zauważyć.

- Och, dziękuję, Filipie, ty również prezentujesz się doskonale. Tak jak i ty, Anno. Ale nie stójcie tak, proszę. Usiądźcie oboje.

Poczekala, aż usiądą, po czym oparła się o krzesło Anny i nieco nachyliła. - Z pewnością uważasz, że zachowałam się niegrzecznie, bo od dawna nie kontaktowałam się z tobą, tym bardziej że nie mam żadnego wytłumaczenia; chyba tylko takie, że bez przerwy jeżdżę po świecie. Taką mam pracę.

- Kochanie, nie musisz mnie przeproszać, doskonale to rozumiem. Wiem, że jesteś bardzo zajęta, takie prowadzisz życie. Muszę przyznać, że brakowało mi naszych rozmów telefonicznych, nawet bardzo. Ale, jak już powiedziałam, zdaję sobie sprawę, że prowadzisz teraz inne życie. - Podniosła wzrok na Nicky, uśmiechnęła się lekko. Obie kobiety wymieniły przeciągłe spojrzenia, najwiśdoczniej rozumiały się doskonale, po czym Anna zapytała: - Kim jest ten niezwykle przystojny mężczyzna, z którym siedziałaś, Nicky?

- To stary przyjaciel, kolega po fachu, Cleeland Donovan.

- Ten słynny fotoreporter wojenny?! - wykrzyknął Filip.

- Tak.
- Świetny facet. Mam kilka jego książek, a niedawno widziałem niektóre ze zdjęć, jakie zrobił w Pekinie. Są niesamowite.
- Zapewne w *Paris Match* - odgadła Nicky.
- Byliśmy tam razem, kiedy przygotowywaliśmy relacje z rozruchów studenckich.
- To było okropne - mruknął Filip. - A zakończyło się wyjątkowo tragicznie.
- Tak, aż trudno uwierzyć, że władza może sięgnąć do tak krwawych środków - przytaknęła Nicky, a zwracając się do Anny, zapytała: - Spędzacie tu urlop?
- Mhm. Przebywamy razem z przyjaciółmi Filipa w Tarascón, niedaleko Saint-Rémy. Ty też wypoczywasz?
- Nicky kiwnęła głową. - Clee ma farmę pomiędzy Saint-Rémy i Aix, piękny stary wiejski dworek. Jestem tam od tygodnia, zbieram siły, a Clee przyjechał na weekend. Pobyt w Chinach dał się nam obojgu we znaki.
- Mogę to sobie wyobrazić - mruknęła Anna.
- Chciałabym, abyś któregoś dnia odwiedziła nas w Tarascón razem ze swoim przyjacielem. Przyjedziesz?
- To bardzo miłe, że nas zapraszasz, Anno, ale niestety w poniedziałek wracam do Nowego Jorku. A jutro lecę do Paryża.
- Wielka szkoda, byłoby sympatycznie spotkać się... - Anna położyła dłoń na ramieniu Nicky.
- Tęskniłam za tobą.
- Och, Anno, wiem, ja też za tobą tęskniłam, a poza tym to moja wina. Nie zadbałam jak należy o utrzymanie kontaktu między nami.
- Anna uśmiechnęła się, ale zachowała milczenie.

- Może potem napijemy się razem kawy? - zaproponował Filip.

- Jesteśmy już po obiedzie, Filipie, a wy z Anną zaczynacie dopiero. - Uśmiechnęła się z zalem i wyjaśniła: - Jutro muszę wstać skoro świt. Jadę do Marsylii, a stamtąd pierwszym samolotem lecę do Paryża.

- *C'est dommage* - mruknął, a w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie nie mniejsze od tego, jakie wyraziła Anna.

Nicky pożegnała się z nimi serdecznie i wróciła do swego stolika. - Wybacz mi, myślałam, że nie zajmie mi to wiele czasu.

- Kto to?

- Moi przyjaciele z Anglii.

- Czy ta kobieta to twoja krewna?

- Nie, skąd ci to przyszło do głowy? - Zdumiona, uniosła brwi.

- Jesteście do siebie podobne. Takie same blond włosy, niebieskie oczy, nawet rysy twarzy.

- Och, doprawdy? - Nicky powiedziała to z wyraźnym pośpiechem, jak gdyby pomysł Clee nie przypadł jej do gustu.

- Spędzają tu urlop?

Skinęła głową. - Tak, u swoich przyjaciół w Tarascón.

- Ostatnio przyjeżdża tu mnóstwo Anglików. Zresztą paryżanie zjawiają się również. Prowansja staje się coraz bardziej popularna, mam tylko nadzieję, że nie opanują jej ci najbogatsi.

- Wiem, co masz na myśli - przerwała mu Nicky. - Tacy ludzie naprawdę potrafią wszystko zniszczyć.

Wbrew oczekiwaniom Clee, nie wspominała już ani słowem o swoich przyjaciółach, w milczeniu sączyła tylko

wino. - Może masz ochotę na deser? - zapytał w końcu. - To jedyna rzecz, jakiej nie zamówiłem, kiedy siedzieliśmy na tarasie. Tutejsza specjalność to *crepés*. Ale są też inne możliwości.

- Nie, dziękuję, Clee. Napiałabym się po prostu kawy.

- Ja chyba też. - Złożył zamówienie, a potem obserwował Nicky przez dłuższą chwilę. Nie rozumiał dokładnie, na czym to polega, ale czuł, że zaszła w niej jakaś zmiana. Wprawdzie starała się zachowywać tak jak na początku wieczoru, on jednak dostrzegł pewną subtelną, trudną do określenia różnicę.

Przekonany, że ma to związek z ową parą Anglików, powiedział: - Ta kobieta odnosiła się do ciebie bardzo serdecznie, Nicky. Najwidoczniej cię lubi.

- Tak, to prawda.

- Kim oni są? Chodzi mi o ich imiona.

- Filip i Anna.

- Czym on się zajmuje?

- Pracuje w Whitehall. Wiesz, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ma tam jakąś ważną funkcję, ale nie potrafię dokładnie powiedzieć jaką.

- Skąd ich znasz? - nie dawał za wygraną.

- Poznałam ich przez moich rodziców. Ojciec zna Filipa od wielu lat. Ale dlaczego tak bardzo się nimi interesujesz?

Wzruszył ramionami. - Sam nie wiem. Może dlatego, że jesteście do siebie podobne, a może, bo zauważyłem, że ona cię lubi. Kiedy rozmawialiście, odniosłem wrażenie, że i ona znaczy dla ciebie dużo, że darzysz ją sympatią.

- Owszem, na swój sposób.

Podano już kawę, a kelner zapytał, czy życzą sobie koniaku albo innego trunku. Nicky potrząsnęła głową.

- Nie, dziękujemy - powiedział Clee.

Kiedy zostali sami, Nicky nachyliła się do Clee. - Nie mówiłam ci jeszcze nic o moim specjalnym wydaniu programu. Postanowiłam zatytułować go *Dekada destrukcji*. Arch wolałby chyba inny tytuł, ale ja nie zamierzam ustępować. Moim zdaniem jest idealny do tego, co chcę pokazać.

- A co chcesz pokazać? - zapytał Clee i natychmiast uśmiechnął się do niej. - No tak, powinienem się domyślić. Ostatnie lata, które obfitowały w wojny, powstania i rewolucje, czy tak?

- Mniej więcej. Od tego chcę rozpocząć, ale potem przejdę od razu do lat dziewięćdziesiątych i do pewnego rodzaju prognozy. Chodzi o to, czego się można spodziewać w najbliższych latach, w okresie od 1990 roku do 2000. I to jest właśnie ta dekada, którą chcę się zająć. Dekada destrukcji.

- Dlaczego Arch nie chce zaakceptować tego tytułu?

- On sam nie widzi w tym nic złego, obawia się jednak, że kierownictwo telewizji stanie okoniem, że uznają ten tytuł za zbyt deprymujący.

- Rzeczywiście mogą tak pomyśleć. Ale przecież nie jesteś byle kim, twoja opinia też coś znaczy.

- Tylko trochę. Mniej więcej tyle - odparła, pokazując drobną przestrzeń między palcem wskazującym i kciukiem. - Nie wiesz, do czego zdolni są szefowie telewizji.

- Sądziłem, że zamierzasz zrobić program o młodych żołnierzach, tych dzieciakach, którzy na naszych oczach walczyli w Kambodży, Iranie i w innych zakątkach kuli

ziemskiej - mruknął Clee. - Dzieciakach, które przelewają krew za swoje rządy.

- Zrobię i o nich, ale dopiero na wiosnę.

Jeszcze przez chwilę rozprawiali o obu programach, które planowała na najbliższą przyszłość, i w końcu Clee doszedł do przekonania, że musiała go ponieść fantazja, skoro dostrzegł przedtem w Nicky jakąś zmianę; teraz nie widział w niej nic odbiegającego od normy.

Nieco później, kiedy wychodzili z restauracji, Nicky - chcąc nie chcąc - zatrzymała się przy stoliku, gdzie siedzieli jej przyjaciele, i dokonała prezentacji: - Anno, chciałabym przedstawić ci Clee. Clee, to jest Anna.

Podali sobie ręce, a kiedy Angielka uśmiechnęła się do niego, Clee doszedł do przekonania, że ma przed sobą jedną z najładniejszych kobiet na ziemi. Uświadomił też sobie, że wcale nie jest podobna do Nicky; po prostu obie miały ten sam jasny odcień włosów.

- Pozwól, Filipie, to jest Clee - kontynuowała Nicky i Clee wypuścił dłoń Anny, aby przywitać się z jej towarzyszem.

- Wielka szkoda, że nie możecie odwiedzić nas w Tarascón - powiedziała Anna. - Ale może spotkamy się znowu któregoś dnia.

- Z przyjemnością - odparł Clee.

- Życzę kolejnych sukcesów - zwrócił się do niego Filip. - Jestem pańskim gorącym wielbicielem. To znaczy pańskich wspaniałych zdjęć.

- Dziękuję - powiedział Clee. Chciał już zaproponować, aby usiąść potem we czwórkę na tarasie i napić się czegoś po posiłku, ale Nicky wzięła go pod rękę, ścisnęła mu ramię i odciągnęła na bok.

- To cudownie, że się spotkaliśmy, ale naprawdę musimy już iść. - Uśmiechnęła się jakby z ubolewaniem do

Anny i Filipa, po czym dodała: - Czeka mnie jeszcze pakowanie.

- Oczywiście - odparła Anna. - Szczęśliwej podróży, kochanie.

* * *

Podchodząc do samochodu, Clee zauważył: - To naprawdę piękna kobieta, ale z daleka wydawała się bardziej podobna do ciebie. Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak brzmi ich nazwisko.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie Nicky szepnęła: - Oni nie są małżeństwem. Mężczyzna nazywa się Filip Rawlings.

- A Anna?

Nicky odchrząknęła, aby odzyskać głos. - To Anna Devereaux... lady Anna Devereaux.

Clee stanął jak wryty. - Jest spokrewniona z Charlesem? - zapytał, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

- Tak.

- Siostra?

- Nie. Matka.

- Jak to? Wygląda tak młodo!

- Ma pięćdziesiąt osiem lat. A Charlesa urodziła w wieku osiemnastu lat.

- A gdzie jej mąż?

- Nie żyje. Już od wielu lat.

- A więc Filip jest jej przyjacielem?

- Zgadza się.

- Widać, że ona bardzo cię lubi, Nick. Ale o tym mówiłem ci już przedtem.

- Tak - odparła cicho. - Traktowała mnie jak własną córkę, której los jej poskąpił.

Clee nie odpowiedział. Otworzył samochód, pomógł Nicky wsiąść do środka, a kiedy ruszyli w stronę Saint-Rémy,

przykazał sobie w duchu, że nie będzie zadawał więcej pytań na temat Anny Devereaux. Zdał sobie sprawę, jak bardzo Nicky jest drażliwa na punkcie Charlesa, i nie chciał budzić w niej żalu.

Nicky była milcząca w trakcie jazdy, wydawało się, że myślami jest gdzieś bardzo daleko.

Clee zerkał na nią ukradkiem co jakiś czas. Jej twarz zdradzała niezwykle napięcie; dostrzegał to nawet teraz, gdy patrzył na jej profil. Chcąc rozładować sytuację, wsunął kasetę do odtwarzacza, a kiedy rozległy się dźwięki muzyki, skoncentrował się na obserwacji drogi.

Po chwili Nicky oparła głowę o szybę i zamknęła oczy. Trudno było się zorientować, czy naprawdę usnęła, czy też tylko pozoruje drzemkę.

Clee prowadził w milczeniu, żal ściszał mu serce. Wieszczór, który zaczął się tak wspaniale i tak pomyślnie, zupełnie nieoczekiwanie nie udał się. Co więcej, czuł, że ogarnia go jakiś nieokreślony gniew, który potęguje smutek jeszcze bardziej, i wiedział, że spowodowała to zmiana w nastroju Nicky, a raczej to, co tę zmianę wywołało. Los sprawił, że akurat dziś stanęła jej przed oczyma przeszłość. Stanęła wyraźnie jak żywa. Clee przeklinał w duchu Charlesa Devereaux. Ten człowiek zdawał się być obdarzony niesamowitą mocą zjawiania się w najmniej oczekiwanym momencie, aby prześladować Nicky. Teraz dręczył tym samym również jego.

Rozdział 17

- To jeden z najlepszych scenariuszy, jakie dotychczas napisałaś, Nick - oświadczył Arch, podając jej przez biurko maszynopis.

- Cieszę się, że tak uważasz - odparła, nie kryjąc zadowolenia. - Ale pamiętajmy o pomocy, jakiej udzielili mi Ellen, Sam i Wilma. Nie mówiąc już o tobie. Ten scenariusz to efekt pracy całego zespołu.

Arch potrząsnął głową. - Nie zgadzam się z tym. Pomniejszasz swoją rolę. W scenariuszu widoczny jest twój styl, a kiedy go pisałaś, byłaś w szczytowej formie. To nie ulega wątpliwości.

- Dziękuję - uśmiechnęła się.

- Nawiasem mówiąc, ruszymy teraz błyskawicznie do przodu - zapewnił ją Arch. - Tak jak mówiłaś, znaleźliśmy w archiwum sporo materiału. Program będzie znakomity, Nick, niezwykle sugestywny. - Nachylił się ku niej. - Posłuchaj, wprowadziłem trochę zmian, naprawdę drobnych. Może chciałabyś rzucić na nie okiem? Są na stronach szóstej, dwudziestej i czterdziestej pierwszej.

Przebiegła wzrokiem poprawki, jak również objaśnienia na marginesach, po czym spojrzała znowu na Archa i skinęła głową. - Udało ci się uwypuklić jeszcze bardziej to, co chciałam powiedzieć. Dzięki, Arch. Twoje poprawki były potrzebne. Teraz można przystąpić do realizacji, scenariusz jest gotowy.

- Słusznie, skoro aprobujesz poprawki, oddam tekst do przepisania.

Nicky oddała mu maszynopis i przy okazji poruszyła sprawę, która nie dawała jej spokoju. - Myślę, że rozmawiałeś już

z naszym czcigodnym szefem działu informacyjnego o...
tytule?

- Oczywiście. Larry jest z nami. Uznał, że *Dekada destrukcji* to wspaniały tytuł, że oddaje znakomicie sens programu, i będzie go forsował, tak więc nie musisz się tym martwić. W każdym razie wiesz, że Larry nie jest przeciwnikiem terapii szokowej. Jego zdaniem widzowie przepadają za widokiem nieszczęść i katastrof na ekranie, a ja skłonny jestem podzielić to zdanie.

- A więc wygląda na to, że wszystko w porządku? - zapytała Nicky. - Czy to właśnie starasz się mi powiedzieć?

- Jasne! Mam również zgodę Larry'ego na twój kolejny program, ten o umundurowanych dzieciakach, którzy strzelają do swoich rodaków. Masz już jakiś pomysł na tytuł?

- Tytuł roboczy brzmi: *Niewiniątka z bronią w ręku*.
Co o tym sądzisz?

- To niezłe, Nicky, naprawdę niezłe. - Arch odchylił się do tyłu, jego twarz przybrała wyraz zadumy. Po chwili spojrzął na nią badawczo.

- Co się stało? - zapytała natychmiast. - Czy coś jest nie tak?

- Ależ nie, wręcz przeciwnie. Wszystko w porządku. Chodzi o to, Nick, że Larry chciałby przesunąć cię w przyszłym roku na inne miejsce, ukierunkować cię trochę inaczej. Będzie jeszcze z tobą rozmawiał na ten temat.

- Co to znaczy: ukierunkować inaczej? - zapytała ostro, zaniepokojona.

- Przyszło mu do głowy, że mogłabyś zająć się dla odmiany trochę lżejszą tematyką niż...

- Zaraz, zaraz! - przerwała mu w pół zdania.

- Zawsze robiłam programy o ważnych wydarzeniach

politycznych i wojnach! O co tu chodzi? Czyżby Larry chciał mnie odsunąć od funkcji głównego korespondenta wojennego?

- Nie, skądże znowu, to wcale nie o to chodzi! Uspokój się i posłuchaj. Tylko nie ekscytuj się od razu, zgoda?

- Zgoda. Strzelaj. Zamieniam się w słuch.

- Larry mówił jedynie o wydaniach specjalnych twoich programów, to wszystko. Pomyślał sobie, że po *Dekadzie*, której emisję planuje na listopad, i po tym reportażu o dzieciakach w mundurach i z bronią w ręku, zaplanowanym na przyszły rok, chciałabyś może jakiejś odmiany. Mogłaby to być seria wywiadów z przywódcami mocarstw światowych... z naszym prezydentem, z panią Thatcher, z Gorbaczowem... Co byś na to powiedziała?

- Jeszcze nie jestem pewna, ale do rozmowy z Larrym przemyślałam sobie wszystko. - Wzruszyła ramionami. - Może byłoby to dość interesujące...

- W twoim głosie nie usłyszałem entuzjazmu.

- Mój ton może być mylący, Arch, nie daj mu się zwieść. Zaintrygowałeś mnie tym pomysłem, nawet bardzo. Ale znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że muszę mieć określony punkt widzenia, tak traktuję moje programy. To nie mogą być żadne mdłe historyjki, jakieś przelewanie z pustego w próżne. Nie mam też nic przeciw zmianom. Wprost przeciwnie, lubię je.

- Wiem o tym. Larry zna cię dobrze i z pewnością porozumie się z tobą i ze mną, zanim wysunie konkretną propozycję. - Uśmiechnął się szeroko. - Możesz nawet przeprowadzać wywiady z gwiazdoramii filmu, jeśli masz na to ochotę.

Nicky potrząsnęła głową z uśmiechem. - Nie, pięknie dziękuję. Nie zamierzam konkurować z Barbarą Walters.

W tym, co robi, jest najlepsza, wszyscy o tym wiedzą.

- Ale Barbara przeprowadza wywiady również ze znanymi politykami. Czasem prezentuje naprawdę interesujący kalejdoskop sław. Może warto by się zastanowić nad tego rodzaju programami. Nie zapominajmy, że jej programy zdobywają bardzo wysokie notowania. Powiedziałbym nawet, że znakomite.

- Przecież mówię, że jest w tym najlepsza. A ja nie chcę być na drugim miejscu, w jej cieniu. Pozostanę więc przy mojej formule programu, ale uprzedzam, że mam już parę własnych pomysłów. - Wyprostowała się na krześle, westchnęła cicho. - Mówiąc szczerze, Arch, przydałaby mi się jakaś odmiana. Czuję się trochę przemęczona po tym Pekinie. Tak jakby się coś we mnie wypaliło.

- Wiem o tym, Nick. I takie też sprawiałaś wrażenie. Wydaje mi się, że w czerwcu w każdym z nas coś się wypaliło. - Umilkł na chwilę, po czym zauważył: - Ale teraz wyglądasz już lepiej. Myślę, że pobyt w Prowansji wyszedł ci na dobre. No i oczywiście towarzystwo Clee.

- Tak, spędziłam ten czas wspaniale. - W głosie Nicky zabrzmiała nuta szczęścia. - I on jest wspaniały.

- Czyżbym słyszał już bicie dzwonów weselnych?

- Och, Arch!

- Hej, Nick, przecież rozmawiasz ze mną! Z Archem Levensonem! Znam Cleelanda Donovana od dawna i mogę cię zapewnić, że ten facet szaleje za tobą. Ma to wypisane na twarzy, uwierz mi. W ubiegłym tygodniu jedliśmy razem obiad przy Dwudziestej Pierwszej i wtedy przekonałem się, jak bardzo mu na tobie zależy. - Spojrzał jej w oczy. - Trudno mi uwierzyć, że nie czujesz tego samego, co on.

Zawahała się. - Owszem, bardzo go lubię - przyznała w końcu. Jej głos zabrzmiał teraz dziwnie nieśmiało. - Ale to jeszcze nie oznacza wesela. - Zerwała się i podeszła do okna, gdzie stała przez chwilę, wyglądając na zewnątrz, z nieobecny wyrazem twarzy.

Była środa, druga dekada sierpnia, poranek zapowiadał piękny dzień. Nicky spojrzała na błękitne, nieskazitelnie czyste niebo, wolne od chmur, potem na wieżowce na Manhattanie, które połyskiwały w promieniach słońca. Jaki to niezwykły widok, pomyślała mimo woli. Miało z czterdziestego dziewiątego piętra gmachu sieci telewizyjnej ATN. Jej zdaniem na całym świecie nie było drugiego takiego miejsca jak to; wiedziała, że niezależnie od tego gdzie mieszka, zawsze będzie się czuła nowojorkczanką. Tu się urodziła, tu spędziła większość swego życia. To było jej miasto. Tak jak w pewnym sensie Paryż, z którym wiązały się radosne wspomnienia z dzieciństwa. Tam mogłaby teraz zamieszkać bez żadnych oporów wewnętrznych...

Odwróciła się i oparta plecami o szeroki parapet okienny spojrzała na Archa. Odetchnęła głęboko i cicho, chłodnym tonem zapytała: - Arch, czyżbyś martwił się, że mogłabym poślubić Clea i przenieść się do Paryża?

- Do diabła, nie! Nicky, skąd ci to przyszło do głowy? - zawołał głosem, w którym dała się słyszeć nuta oburzenia.

- Gdybyś jednak obawiał się właśnie tego, nie zapominaj, że podpisałam umowę z ATN i nie zamierzam jej łamać. Nigdy. Nie pozwoliliby mi też na to mój agent. A w każdym razie - mówiła dalej, nie pozwalając mu dojść do słowa - moje życie osobiste nie będzie miało wpływu na

moją pracę zawodową. Kocham ją i nie zrezygnuję z niej. To bardzo ważny element mojego życia, zawsze tak było. Odkąd skończyłam studia, jestem dziennikarką, wiesz przecież o tym. Mam to już we krwi i bez tego nie byłabym sobą.

Arch odepchnął krzesło do tyłu i wstał; na jego twarzy malowała się niezwykła powaga. Wolnym krokiem podszedł do niej, oparł dłonie na jej ramionach. - Obchodzisz mnie tylko ty. I to, co stanie się z tobą. Chcę, żebyś była szczęśliwa. I jeśli Clee jest odpowiednim facetem, jeśli uważasz że ułożyłabyś sobie z nim szczęśliwe życie, to nie przepuszczaj okazji, ja ci to mówię. Posłuchaj, kochanie, życie jest zbyt krótkie, trudne i bolesne, aby odrzucać szansę przejścia przez nie z przyzwoitym facetem. Na miłość boską, chwyć tę szansę, nie marnuj jej. I nie oglądaj się na nic ani na nikogo. Tylko na siebie.

Bez słowa przytuliła się do niego, poruszona jego troską, po czym odsunęła się trochę i uśmiechnęła.

- Dziękuję, Arch. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy twoja przyjaźń i moralne poparcie, jakie mi zawsze dawałeś. Zresztą nadal mi dajesz. - Odchrząknęła zakłopotana i dodała: - A Clee to rzeczywiście wspaniały facet, prawda?

- Jeszcze jak! Nie znam porządniejszego mężczyzny niż Cleeland Donovan. Jak powiedziałyby moja mama, to prawdziwy *mensch*.

Trzymając go za rękę, podeszła razem z nim do sofy i tam usiedli obok siebie.

- Muszę przyznać - wyznała po chwili - że miałam pewne obawy. Lękałam się, że może nie uda mi się pogodzić tego wszystkiego... mojej pracy zawodowej i Clee, i przeprowadzki do Paryża, gdybyśmy postanowili wreszcie się pobrać. Ale jeśli mam być szczerą, nawet mi tego nie zaproponował.

- Daj mu choćby małą szansę, a z pewnością to zrobi.
- Nie jestem tego taka pewna jak ty, Arch. Clee nie przepada za osiadłym trybem życia i ma ku temu powody. On...

- Znam te powody - przerwał jej trochę zniecierpliwiony. - Mówił mi o nich wiele razy. Nie chciałby narażać swojej żony i rodziny na smutek i ból, gdyby miał zginąć podczas wykonywania obowiązków, a z drugiej strony nie potrafi zrezygnować z tego pełnego wyzwania, emocji i niebezpieczeństw zawodu fotoreportera wojennego. Czy to właśnie chciałaś mi przed chwilą powiedzieć?

- Tak.

Roześmiał się. - Clee mówił o tym wszystkim tak lekko, zanim wkroczyłaś w jego życie - a przynajmniej, zanim związałaś się z nim. Moim zdaniem, on nie był do tej pory nigdy zakochany tak naprawdę, po uszy. Ale teraz wszystko uległo zmianie, bo zakochał się w tobie, Nicky. Uwierz mi. On kocha cię bardzo mocno. Wiem o tym, bo znam tego człowieka na wskroś. I powiem ci coś jeszcze: Clee byłby gotów wyrzucić dla ciebie swoje życie do góry nogami.

Nicky przysłuchiwała się uważnie jego wywodom, ale teraz pokręciła głową i przygryzała w zamyśleniu wargę. - Och, sama już nie wiem... - Znowu umilkła, a po chwili zawołała: - W każdym razie Clee jest zagorzałym kawalerem! Wiesz, podobnie jak był nim Robert Capa.

- Szczerze mówiąc, zorientowałem się już dawno, że Clee wzoruje się w życiu na Bobie Capie. Ale nie jestem pewien, czy tak jest nadal. - Arch pokręcił w zadumie głową. - Capa był niewątpliwie jego idolem jeszcze w czasach dzieciństwa i Clee zawsze dążył do tego, aby dorównać mu

jako fotoreporter. Zwłaszcza tam, gdzie toczą się jakieś konflikty zbrojne. Wydaje mi się jednak, że to naśladownictwo przebiega jedynie na powierzchni, nie dociera zaś głębiej, do jego duszy.

- Może masz rację.

- Posłuchaj, Nick: Clee i Capa to dwa różne światy i dwie odmienne epoki. Naprawdę wierzę w to, że Clee założy rodzinę, poślubi jednak tylko taką kobietę, którą uzna za odpowiednią dla siebie. Moim zdaniem taką kobietą jesteś właśnie ty.

Nicky zachowała milczenie.

- Powiedz mi szczerze, kochanie - poprosił Arch. - Jakbyś zareagowała, gdyby Clee zaproponował ci małżeństwo?

- Nie jestem pewna - odparła Nicky. - Mówię to teraz zupełnie szczerze: po prostu nie jestem jeszcze pewna.

- Jeśli martwisz się o pracę w telewizji, to niepotrzebnie. Jakoś to załatwimy. Kontrakt zobowiązuje cię do przygotowania dwóch do czterech programów w ciągu roku. Wywiążesz się z tego bez trudu przebywając poza Nowym Jorkiem, na przykład w Paryżu albo gdzie indziej. Zastanów się nad tym: to właśnie robisz cały czas, obmyślasz tematykę programów relacjonując codzienne wydarzenia. Musiałabyś więc tylko zaplanować program, a potem przylecieć do nas na dwa, trzy tygodnie, najwyżej na miesiąc, aby zająć się jego realizacją. To wszystko.

- Tak, wiem, Arch, zdaję sobie z tego sprawę. Ale jestem również korespondentem wojennym tej sieci telewizyjnej. W jaki sposób mogłabym pogodzić tę funkcję z przesiadywaniem w Paryżu?

- Hmm, no cóż... nad tym musiałbym się jeszcze dobrze zastanowić, przedyskutować to i owo z tobą, twoim agentem, Larrym Andersonem i z Joe Speigthem. Z całą pewnością firma nie chciałaby cię utracić, tak więc kierownictwo będzie skłonne... pójść ci na rękę. Nie zapomnij również, że ATN dysponuje dużym przedstawicielstwem w Paryżu, nie wiem więc czemu nie mogłabyś pracować w tamtym biurze, gdyby to było konieczne.

- Moim zdaniem, to propozycja godna rozważenia - przyznała.

- Ty i Clee moglibyście wspólnie relacjonować rozmaite konflikty zbrojne. Pod tym względem masz większe kompetencje niż mnóstwo innych kobiet. I również Clee nie musiałby w tej sytuacji poświęcać dla ciebie swojej kariery.

- To prawda. Ale wiesz, Arch? Czasem zastanawiam się, czy rzeczywiście mam pracować do końca życia jako korespondent wojenny.

Nawet jeśli te słowa zaskoczyły Archa, nie okazał tego. Skinął jedynie głową. - Zgadza się - mruknął. - Każdego z nas nachodzą takie chwile refleksji. Kto jak kto, ale ty na pewno napatrzyłaś się przez ostatnie osiem lat do diabła i trochę na te wszystkie wojny i rewolucje. Przyjdzie też dzień, kiedy Clee poczuje przesyt, mimo iż teraz jest nadal pełen zapału do pracy. Kiedy widziało się tyle śmierci na własne oczy, co my, człowiek zaczyna odczuwać wrażenie, jakby coś w nim wypaliło się do cna. I nie ma w tym nic niezwykłego. Chciałbym jednak udzielić ci pewnej rady... - Przez chwilę mierzył ją wnikliwym wzrokiem, po czym dokończył: - Wstrzymaj się na razie z wszelkimi opiniami, nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji dotyczących pracy zawodowej.

- Dobrze... Zaczekam z tym.
- Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą pomówić.

- Słucham.

- Wiem, że unikasz wszelkich rozmów o Charlesie Devereaux, ale... o ile dobrze pamiętam, nie zamierzałaś rezygnować z kariery zawodowej po ślubie z nim. Nie myślałaś także o przeniesieniu się do Londynu. A więc, w jaki sposób chciałaś to wszystko urządzić?

- Charles miał otworzyć tu, w Nowym Jorku, filię swojej firmy importującej wina. W takim układzie spędzałby tu większość czasu. Niekiedy oczywiście leciałby do Europy zakupić wina. Mówił, że zatrzyma biuro i mieszkanie w Londynie. Można więc powiedzieć, że przemierzalibyśmy Atlantyk tam i z powrotem.

- Rozumiem. Ale z Clee sprawa przedstawia się zapewne trochę inaczej, przynajmniej ze względu na jego agencję fotograficzną. Chociaż, z drugiej strony... mógłby otworzyć biuro Image w Nowym Jorku, nie sądzisz? Może nawet osiedlić się tu na dobre?

- Niczego nie można wykluczyć - przyznała Nicky i wzruszyła nieznacznie ramionami. - Ale czy Clee zdecydowałby się na to, tego nie wiem.

Arch pokiwał głową. Miał na języku jeszcze masę innych pytań, postanowił jednak zadać je przy innej okazji. Nie było to nic pilnego.

Sadowiąc się znowu w kącie sofy, zauważył: - Przed odlotem do Paryża Cleo powiedział mi, że spędzisz z nim wrzesień na farmie. To bardzo dobrze, kochanie. W ciągu ostatnich lat nie wykorzystawałaś należycie urlopu.

Wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła mu dłoń. - Okazuje mi wiele troski. Dziękuję.

- Rzeczywiście, znaczysz dla mnie wiele - przyznał. - Nawet nie wiesz, jak wiele. - Zerknął na zegarek. - Popatrz, zbliża się pora lunchu! - wykrzyknął. - Zamówiłem stolik w twoim ulubionym lokalu, w „Czterech porach roku”. Chodźmy już. Po drodze wstąpię do Hildy, przekażę jej scenariusz, aby oddała do przepisania.

Podnieśli się z miejsc.

- Ja jej dam ten scenariusz, Arch - zaproponowała Nicky. - I tak muszę wpaść jeszcze do biura po torbę i inne drobiazgi. - Wzięła scenariusz z biurka i dodała: - A jeśli nie będę ci potrzebna po południu, wolałabym nie wracać już dziś do pracy. Chyba, że chciałbyś omówić ze mną jakieś sprawy dotyczące programu.

- Nie, nie, daję ci wolne. I tak za dużo pracujesz.

- To samo powtarzają mi stale rodzice. - Nicky uśmiechnęła się do niego. - Zapominają przy tym, że przed kilkoma laty sami zaszczepili mi zamiłowanie do tej pracy. I w dalszym ciągu dają mi określony przykład.

- Skoro już mowa o twoich rodzicach... Doszły mnie słuchy, że przepadają za Clee nie mniej niż Clee za tobą.

- A kto ci to powiedział? Z pewnością Clee!

Arch roześmiał się tylko.

- Ale jest w tym sporo prawdy - kontynuowała Nicky. - Kiedy byliśmy w Connecticut, pracując nad albumem, pomiędzy nim a moimi rodzicami panowała idealna harmonia. Uważają, że Clee jest... no, po prostu cudowny.

Arch znowu się roześmiał. - Mówiłem ci już raz i powtarzam teraz: Clee jest ulubieńcem wszystkich, którzy poznają go bliżej. Uwielbiają go.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać, przy byle okazji wysłuchuję od rodziców pochwały na jego temat. -

Nicky stała już przy drzwiach. - Zabiorę swoje rzeczy i uprzedzę Annette, że nie wracam po lunchu do biura. A my spotkamy się wkrótce przy windzie, zgoda? - Dobrze, daję ci pięć minut.

Rozdział 18

Po lunchu w „Czterech porach roku” Nicky udała się na zakupy. Wybrała dla siebie kilka par bawełnianych spodni i zestaw białych bluzek, trzy letnie sukienki oraz rozmaite rzeczy, które mogły okazać się przydatne we wrześnie w Prowansji. Potem wolnym krokiem spacerowała po mieście, kierując się do swego mieszkania. Znajdowało się na Sutton Place, jego okna wychodziły na East River i część Manhattanu.

Było duszne, upalne popołudnie i mimo lekkiego kostiumu z przewiewnej bawełny Nicky już wkrótce poczuła się lepka od potu. Odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie dotarła do budynku, w którym mieszkała, i weszła do nieco ciemnego chłodnego hallu.

Wyjęła ze skrzynki korespondencję i wjechała windą na najwyższe piętro, gdzie mieściło się jej królestwo. Gertruda, służąca, która przychodziła tu codziennie, pozamykała przed wyjściem wszystkie żaluzje i włączyła wentylację, w mieszkaniu panował więc teraz cudowny chłód i cień; prawdziwy raj w porównaniu z rozżarzonymi ulicami Manhattanu, po których przechadzała się przez jakiś czas.

Nicky zostawiła torby z zakupami od Bergsdorfa w sypialni urządzonej w tonacji morskiej zieleni, po czym przeszła przez hall do kuchni. Z lodówki wyjęła butelkę wody sodowej, nalała sobie szklankę, wypila łączywie i wróciła do sypialni. Zdjęła letni, szykowny biało-czarny kostium, powiesiła go w obszernej, pełniącej rolę szafy pakamerze i narzuciła na siebie jeden z luźnych bawełnianych kaftanów, które kupiła przed paroma laty w Maroku.

Kilka minut później siedziała już za biurkiem w pokoju, który przeznaczyla na bibliotekę. Roztaczał się stąd wspaniały widok na Empire State Building, wieżowiec Chryslera i na inne drapacze chmur, tworzące las strzelistych ścian, które rozciągały się od centrum miasta aż do bliźniaczych wież na Manhattan Island.

Nicky upiła kolejny łyk, spojrzała na zegar w kształcie karety zdobiący biurko w wiktoriańskim stylu i zaskoczona uniosła brwi: dochodziła już szósta! Otworzyła skoroszyt z napisem *Dzieci pekińskiej wiosny* i przejrzała początek wstępu do albumu Clee. Annette, jej sekretarka, przesłała mu ten tekst pocztą kurierską kilka dni temu, a dziś z samego rana Clee zatelefonował do niej z Paryża, aby powiedzieć, że jest wręcz zachwycony. Pochwała ucieszyła ją, tym bardziej że bez porozumienia z nim skróciła wstęp, on zaś najwyraźniej zaakceptował to. Napisała zaledwie pięćdziesiąt stron maszynopisu, ale - według słów Clee - zawarła na nich wszystko. Tekst okazał się zwięzły, mimo to nie stracił nic ze swego posłania. „Wolę nawet, że jest krótki, a przy tym znakomity, niż miałby być długi i nudny”, dodał Clee na zakończenie rozmowy.

Nicky włożyła skoroszyt do szuflady w biurku i zajęła się przeglądaniem korespondencji, którą zabrała z sypialni.

Nie znalazła w niej nic ważnego - kilka rachunków, wido-
kówki od przyjaciół przebywających na letnim wypo-
czynku oraz list od prawnika dotyczący działalności jej
własnej firmy o nazwie Nickwell. Również w tym liście
nie doszukała się niczego istotnego ani pilnego, tak więc
zostawiła całą korespondencję na czarnej japońskiej tac-
ce z laki, aby zająć się tymi sprawami innego dnia.

Z pustą szklanką przeszła z powrotem do kuchni, ale
w drodze przystanęła na chwilę w hallu, aby rzucić okiem
na salon. Był naprawdę prześliczny, nikt nie mógłby te-
mu zaprzeczyć. Przestronny, z dużym oknem, które rów-
nież wychodziło na centrum miasta, cieszył oko cennymi
angielskimi meblami i jasnymi barwami. Nicky, dekoru-
jąc go, zdecydowała się na rozmaite odcienie kolorów
brzoskwiniowego i morelowego, na delikatny seledyn i
błękit, a efekt tego wyboru uwidaczniał się zwłaszcza po
zapadnięciu zmroku; pomieszczenie staowało się wówczas
szczególnie ciepłe i przytulne.

Nicky kochała swoje mieszkanie, które zdawało się
sięgać nieba. Wypełnione światłem, przewiewne, dawało
jej zawsze miłe schronienie, o każdej porze dnia i nocy,
bez względu na pogodę; gdy dopisywała, było słoneczne i
wprawiało w dobry nastrój, nastrajało refleksyjnie pod-
czas burzy, a o zmroku staowało się nieodłączną częścią tej
bajkowej krainy, jaką był Manhattan rozjaśniony świa-
tłami w tysiącach okien.

Rodzice namówili ją do kupna tego mieszkania przed
czterema laty i teraz nie żałowała tego kroku. Był to jej
prawdziwy dom, coś w rodzaju schronienia, gdzie zawsze
znajdowała chwilę wytchnienia pomiędzy kolejnymi po-
dróżami służbowymi.

Weszła do kuchni, naląła sobie szklanke wody sodowej i wróciła do biblioteki, gdzie opadła na sofę, położyła nogi wygodnie na stoliku, po czym oddała się rozmyślaniom o Clee i ich związku, o tym wszystkim, co powiedział jej Arch w biurze oraz podczas lunchu.

W jego ustach wszystko wyglądało na nieskomplikowane, ale jej zdaniem zbyt upraszczał całą sytuację. Nadal nie była pewna, czy zdoła pogodzić małżeństwo z Clee, życie w Paryżu i pracę dla telewizji amerykańskiej, która wymaga przecież przebywania w Nowym Jorku, przynajmniej co jakiś czas.

O tak, na pewno ci się to uda, usłyszała nagle cichy głos dochodzący z głębi serca.

Może rzeczywiście potrafię tego dokonać, pomyślała i roześmiała się na głos. Podobnie jak większość nowoczesnych młodych kobiet, pragnęła wszystkiego, ale miała również konkretne, szczególne marzenia. Czyżby spełnienie ich było możliwe?

A co się stanie, jeśli Clee po ślubie zapragnie dziecka? Czy i ona chciałaby tego samego? Bywały dni, kiedy wydawało jej się, że tak, ale czasem miała zgoła odmienne wrażenie, zwłaszcza gdy rozmyślała o wydarzeniach, które sama relacjonowała. Jaki jest sens, aby wydawać dziecko na tak niespokojny, tak okrutny świat? Taki zamiar mógłby mieć tylko człowiek szalony!

Jej matka, historyk z wykształcenia, mawiała, że świat zawsze był takim parszywym miejscem, od niepamiętnych czasów.

- Nie wolno ci kierować się tego typu przesłankami - powiedziała niedawno. - Gdyby ludzie na przestrzeni wieków mieli obiekcje podobne do twoich i postanowili nie rodzić dzieci ze względu na zło panujące na świecie, rasa ludzka przestałaby istnieć.

No cóż, matka jest niewątpliwie kobietą mądrą, wie co mówi. A jednak... Nicky zmusiła się, by nie myśleć o tym, westchnęła ciężko. Z głową opartą o poduszki na sofie zamknęła oczy i sięgnęła pamięcią w przeszłość, ważąc w myślach własne życie.

Ale tak naprawdę wszystko sprowadzało się głównie do jej uczuć wobec Clee. W tym przypadku istotnie zaangażowała się emocjonalnie, a jej namiętność obaliła wszelkie tamy. Ale czy rzeczywiście była zakochana? Na tyle, by rozpocząć nowe życie? Życie u boku Clee, już na zawsze? Czy nie było to tylko zauroczenie? Nie miała wyrobionego zdania na ten temat. W każdym razie Clee dwukrotnie wyznał jej miłość, w łóżku i w restauracji w Les Baux, ale potem nie powtórzył tych słów. Co więcej: nie wspomniał ani razu o małżeństwie. A ona? Czy pragnie go poślubić? Nie wiem, po prostu nie wiem, odpowiedziała sobie w myślach.

Poprawiła się na sofie i otworzyła oczy, zirytowana na samą siebie. Dlaczego tak jest, że doznaje jednocześnie sprzecznych uczuć? Nie potrafiła znaleźć jasnej odpowiedzi na to pytanie. Uświadomiła sobie za to, jakie znaczenie ma dla niej praca zawodowa. Prawdę mówiąc, na tym polegał sens jej życia. Czy z tym wiązał się cały problem? Czy to był właśnie ów główny szkopuł? No tak, Clee mieszka w Paryżu i nic nie wskazuje na to, aby myślał o przeprowadzce na stałe do Nowego Jorku. Ona zaś mieszka tutaj i to jej odpowiada, gdyż tu mieści się siedziba telewizji, dla której pracuje i w której programach wywalczyła już sobie niekwestionowaną pozycję. Może to dlatego jestem aż tak niezdecydowana, przyznała w końcu w duchu. Pokiwała w zadumie głową. Z całą pewnością

nie chciała wystawiać swojej kariery na szwank.

Machinalnie zerknęła na zegarek. Za dziesięć minut siódma. Czas na włączenie telewizora, zaraz zacznie się serwis informacyjny ATN pod redakcją Mike'a Fowlera, jej starego przyjaciela.

Podeszła do regału, gdzie ustawiony był sprzęt, ustawiła odpowiedni kanał i wróciła na sofę. Serwis rozpoczęły lokalne wiadomości nowojorskie. Przysłuchiwała im się tylko jednym uchem, przeglądając jednocześnie najświeższe wydanie *Time*.

Nieco później, na dźwięk dobrze jej znanego sygnału, który zapowiadał wiadomości ogólnokrajowe i zagraniczne, uniosła głowę.

Przed kamerami siedział Mike, tak wspaniały i budzący zaufanie, jak zawsze. Podobnie jak Peter Jannings z ABC, był nie tylko mężczyzną przystojnym i imponującym, ale również doskonałym dziennikarzem. Obaj stanowili, jej zdaniem, ścisłą czołówkę w tym zawodzie, byli komunikatywni, przekonywający i z tego względu zdobywali najwyższe oceny w ankietach na najpopularniejszych prezenterów.

Podczas gdy Mike przekazywał w skrócie najważniejsze wiadomości ze świata, Nicky nadal przeglądała *Time*. Dopiero gdy usłyszała głos rzymskiego korespondenta, Tony Johnsona, zaintrygowana podniosła głowę.

Jej uwagę przykuła relacja o strzelaninie na przedmieściach Rzymu, gdzie odbywał się mityng polityczny. Jakiś uzbrojony szaleniec zaczął strzelać na oślep w tłum zebranych. Naliczono kilkanaście ofiar, a według słów Tony'ego istniały przypuszczenia, że wydarzenie było próbą porachunków, dokonaną przez partię opozycyjną.

Kamera jeszcze przez chwilę pokazywała Tony'ego, a potem z wolna zatoczyła krąg. W tłumie mignęła czyjaś twarz i nagle Nicky zerwała się z miejsca, wpatrując się jak urzeczona w ekran telewizora.

- Charles! - zawołała. - To Charles!

Zachwiała się, oszołomiona. Jak to możliwe? Przecież Charles Devereaux nie żyje!

Charles Devereaux popełnił samobójstwo dwa i pół roku temu, na kilka tygodni przed ich ślubem, jakżeby więc mógł przebywać obecnie w Rzymie? Nie, to nie może być Charles, rozmyślała gorączkowo Nicky. Charles zatonął u wybrzeży Anglii.

Tak, ale z drugiej strony, jego ciała nigdy nie odnaleziono.

I nagle Nicky zrozumiała: tak, to Charles. Charles Devereaux żyje. Ale jak to się stało? Dlaczego zniknął z jej życia? I jak ona ma teraz postąpić? Jak zachować się w tej sytuacji? A może udawać, że wszystko w porządku?

Część III

Spiskowcy

Rozdział 19

Dom, który należał do Anny Devereaux, był stary, bardzo stary; stanowił zabytek nie tylko o dużym znaczeniu historycznym, ale również wyjątkowo piękny.

Posiadłość nosiła nazwę Pullenbrook, była usytuowana na niskim płaskowyżu u podnóża South Downs, lesistego, pagórkowatego terenu w samym sercu Sussex, i sprawiała wrażenie odosobnionej, odizolowanej od świata, co mogło dziwić z uwagi na jej imponujące rozmiary. Skryta w nierównościach pasterskiej krainy, prezentowała jedynie wierzchołki kominów, a i to dopiero gdy podszło się wystarczająco blisko. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, oczom przybyła ukazywał się spomiędzy bujnej zieleni wysokich drzew okalających park wspaniały dwór - tak piękny, że zapierał dech.

Zbudowany w 1565 roku w stylu Tudorów przez przodka Anny, odznaczał się wyjątkową elegancją, typową dla epoki elżbietańskiej. Sprawiały to między innymi szare kamienne mury, częściowo drewniane szczyty, wysokie okna o ołowianych szybach, wnęki o prostokątnym kształcie i strzeliste kominy. Wokół dworu znajdowały się

również zabudowania gospodarcze, stajnia, niewielki kościółek i dwa starannie utrzymane ogrody. Wzdłuż fasady dworu rozciągał się uroczy park, w którym tak jak przed wiekami skubały trawę płowe daniele.

Można było odnieść wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, jakby nic nie uległo zmianie, odkąd Edmund Clifford, magnat i rycerz w służbie Elżbiety Tudor, władczyni Anglii, wznosił ów zamek. Królowa nadała mu ziemię Pullen w uznaniu jego zasług wobec Korony; w późniejszym okresie obsypała go kolejnymi łaskami, podnosząc do godności para jako lorda Clifforda z Allendale, obdarowując zamkiem Allendale i przyległymi doń ziemiami w Sussex.

Edmund, jego najstarszy syn, Thomas - który otrzymał tytuł drugiego lorda - oraz jego kolejni potomkowie dzielili czas pomiędzy dwór i zamek. U schyłku siedemnastego wieku Cliffordowie rezydowali już stale w zamku, który z biegiem lat rozrósł się i zyskał znaczenie, dwór natomiast wykorzystywany był jedynie sporadycznie. Zawsze jednak utrzymywano go w doskonałym stanie, dbając o wnętrza i wygląd zewnętrzny, dzięki czemu czas obchodził się z posiadłością Pullenbrook nadzwyczaj łaskawie.

Ponieważ Cliffordowie przebywali w ciągu kolejnych stuleci głównie w zamku Allendale, Pullenbrook zdołało szczęśliwie uniknąć nieuchronnej w innych okolicznościach modernizacji, zachowując czystość swego wystroju architektonicznego.

Dopiero dziadek Anny, dziewiąty z kolei lord noszący imię pierwszego, uznał, że woli dwór od wielkiego zamku i w ten oto sposób Pullenbrook stało się w 1910 roku ponownie główną rezydencją Cliffordów. Julian, dziesiąty

lord i ojciec Anny, hołdując tradycji swego poprzednika, pozostał w Pullenbrook aż do śmierci.

Całe swoje życie spędzała tu również Anna Clifford Devereaux. Tutaj przysła na świat 26 kwietnia 1931 roku i jako córka lorda korzystała z przywileju posiadania honorowego tytułu lady - tytułu, który zachowała nawet po wyjściu za mąż w 1948 roku i opuszczeniu zabytkowego domu, w którym się wychowała. Powróciła tu trzy lata później jako młoda wdowa z małym synkiem; uznała, że jej miejsce jest teraz raczej na łonie własnej rodziny niż w pustym, wielkim londyńskim domu, pozostawionym jej przez zmarłego męża, Henry'ego Devereaux.

Kiedy po śmierci ojca w 1955 roku jej brat Geoffrey odziedziczył godność lorda, posiadłości i ziemie, postanowił zamieszkać w zamku Allendale. Doceniając olbrzymi sentyment, jakim jego siostra darzyła dwór w Zachodnim Sussex, zaproponował, aby pozostała tam, dopóki będzie miała na to ochotę, bez względu na to, czy zdecyduje się żyć sama, czy też wyjdzie powtórnie za mąż.

Obecnie, po upływie trzydziestu czterech lat, nadal zamieszkiwała ten dom i gdyby ktoś powiedział, że Anna kocha Pullenbrook, byłoby to umniejszenie faktu. W pewnym sensie odnosiła się do tego miejsca z prawdziwą rewerencją, tutaj koncentrowało się całe jej życie, stąd czerpała swe siły i wewnętrzny spokój. W tych murach, które znała od dziecka, czuła się bezpieczna, delectowała się ich zabytkowym pięknem, ich ponadczasowością, trwałością rodu i historii przez nie reprezentowanej. Bywały chwile, kiedy zastanawiała się, co by zrobiła bez tego domu, który był już świadkiem jej nieszczęść - smutku, samotności, załamań, żalu, rozpacz i chorób. Fakt, iż

mury te zdały pomyślnie wielowiekową próbę czasu, zdawał się utwierdzać ją w przekonaniu, że również ona jest w stanie przetrwać. I że przetrwa.

Tego sierpniowego poranka, w niedzielę, Anna szybkim krokiem weszła do wielkiego hallu, stukając głośno wysokimi obcasami o kamienną posadzkę. Z naczyniem pełnym róż w rękę przystanęła w progu, zachwycając się jak zwykle spokojnym pięknem hallu.

W smugach rozedrganego światła, wpadającego przez okna, tańczyły tysiące pyłków kurzu, ale był to jedyny przejaw ruchu w tym pomieszczeniu. Wokół panowała cisza, blask jaskrawych promieni słonecznych paplał na zabytkowe meble, zdawał się okrywać je łagodną patyną, uwydatniał stare malowidła odziedziczone po przodkach, obrazy takich mistrzów portretu jak Lely, Gainsborough i Romney.

Na twarzy Anny zagościł przelotny uśmiech. To pomieszczenie, jak żadne inne w całym domu, napawało ją pełnią zadowolenia. Podeszła do podłużnego stołu, umieściła pośrodku róże i cofnęła się o krok, taksując kwiaty krytycznym spojrzeniem. Ogrodnik ściał je wczesnym rankiem; były przepiękne i świeże, o rozmaitych odcieniach różu, prezentowały się wspaniale w srebrnej czaszy z wygrawerowanym herbem rodowym, połyskującej na ciemnym blacie starego stołu. Róże były w pełnym rozkwicie, kilka płatków opadło nagle i Anna instynktownie nachyliła się po nie, natychmiast jednak zmieniła zamiar: niech sobie tak leżą. Na stole, tuż obok czaszy, wyglądają bardzo naturalnie.

Otworzyła ciężkie drewniane, pięknie rzeźbione drzwi wiodące do tej części zamku, w której znajdowały się

pomieszczenia prywatne i która nie była dostępna dla gości.

Kwietny pokój, gdzie pracowała, mieścił się po drugiej stronie niewielkiego foyer wyłożonego kamienną posadzką. Anna weszła tam, podniosła ze stołu roboczego ostatni wazon z kwiatami i przeniosła do salonu, przestronnego pomieszczenia o strzelistych oknach z ołowianymi szybami, osadzonych w prostokątnych wnękach, z dużym kamiennym kominkiem i wysokim kasetonowym sufitem. W tym pokoju dominowała zieleń; wszelkie tkaniny obiciowe oraz dywan na podłodze były seledynowe, tu i ówdzie odcienie zieleni wpadały niemal w srebrzystą szarość. Salon zdobiły także drogocenne georgiańskie antyki i obrazy, które - podobnie jak w hallu - emanowały i tu spokojem oraz ponad-czasowością.

Anna umieściła kryształowy wazon z białymi różami na zabytkowym stole pośrodku salonu i przeszła do przyległego pokoiku, który służył jej za gabinet. Wygodny i przytulny, wydawał się pełen słońca, co zawdzięczał żółtym ścianom. Podłogę ozdobił malinowy dywan, przed kominkiem stała niska kanapa obita pasiastym, malinowo-białym materiałem, a najważniejszym meblem było tu orzechowe biurko w stylu georgiańskim, przy którym Anna usiadła teraz, przeglądając poranną pocztę. Następnie wzięła kartkę z menu, którą przygotowała dla kucharki, Pilar. Przeczytała ją ponownie, przebiegła wzrokiem listę spraw do załatwienia, sporządzoną wieczorem, i poczęła wykreślać z niej to wszystko, z czym zdołała się już uporać.

W pewnym momencie dojrzała kątem oka jakiś cień wpadający przez próg. Uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie na widok Filipa Rawlingsa.

- Czy nie przeszkadzam, Anno?

- Ależ skąd, kochanie! Właśnie przeglądałam mój terminarz. Wyobraź sobie, że zrobiłam już wszystko, co miałam do załatwienia. Jestem teraz wolna jak ptak - do twojej dyspozycji.

- Doskonale! - zawołał, wchodząc do pokoju. Był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, o szarych bystrych oczach i sympatycznej, ładnej, nieco chłopięcej twarzy. Ciemne włosy przyprószone już były w paru miejscach siwizną, mimo to jednak Filip z pewnością nie wyglądał na pięćdziesiąt sześć lat - a tyle sobie liczył. Tego dnia miał na sobie błękitną, rozpiętą na szyi koszulę z rubinowym wzorzystym krawatem, ciemnoszare spodnie oraz sportową szarą marynarkę w kratkę i raczej sprawiał wrażenie właściciela ziemskiego niż ważnej osobistości z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy pospacerować trochę przed lunchem - zaproponował z uśmiechem.

- Czemu nie? Bardzo chętnie. Chciałam cię właśnie odszukać, bo przyszło mi to samo do głowy. Założę tylko inne buty i możemy przejść się na Wzgórze Miłości. To byłby miły spacer i niezbyt długi!

- Wspaniale!

Anna wstała i zerknęła na zegarek. - Mamy mniej więcej godzinę czasu - powiedziała. - Wystarczy na spacer i na kieliszek przed lunchem. Inez poda dokładnie o pierwszej suflet serowy według przepisu Pilar. Przyrzęda go specjalnie dla ciebie, wiesz?

Filip objął ją ramieniem i razem wyszli na korytarz. - Najpoważniejszym problemem w tym domu jest fakt, że

wszyscy mnie rozpieszczają - mruknął żartobliwie i cmoknął Annę w policzek. Roześmiała się wesoło. - Ależ kochanie, jesteś wart tego, aby cię rozpłaszczać! - zawołała. W jej oczach, podobnie jak w jego, widniało oddanie i głębokie uczucie.

Wzgórze Miłości wznosiło się za domem. Stanowiło doskonały punkt obserwacyjny, z jego szczytu roztaczał się bowiem niezapomniany widok na całą okolicę.

Kilkaset lat wcześniej, w 1644 roku, a więc za nieśczęsnego panowania Karola I, pewna niewiasta, jedna z antenatek Anny, wspinała się na to wzgórze dzień w dzień - i tak przez kilka miesięcy. Lady Rosemary Clifford - bo o niej mowa - żyła nadzieją, że ujrzy niebawem swego narzeczonego, uczestnika wielkiej bitwy pod Marston Moor*, * Bitwa pod Marston Moor miała miejsce 2 lipca 1644 roku w pñ. Anglii, a zwycięstwo odniosły w niej dzięki kawalerzystom Cromwella połączone armie parlamentu i szkocka - przyp. tłum. jednej z wielu podczas tej krwawej wojny domowej, która pustoszyła Anglię. Lady Rosemary wytrwale modliła się o powrót ukochanego, a dla jej wygody ustawiono na szczycie wzgórza kamienną ławkę, na której mogła przesiadywać, wpatrując się w dal. Niestety, czekała na próżno, okazało się bowiem, że jej narieczony, lord Colin Greville, stronnik rojalistów, zginął z rąk ludzi Cromwella, Okrągłych Głóv**. ** Tak zwano podczas rewolucji angielskiej zwolenników parlamentu z powodu sposobu strzyżenia się przedstawicieli purytanów - w odróżnieniu od zwolenników króla, zwanych kawalerami, *cavaliers* - przyp. tłum. Lady Rosemary otrząsnęła się w końcu z żalu po swoim niedoszłym małżonku, przestała go opłakiwać i poślubiła innego szlachcica, ale miejsce, gdzie czekała z tak wielkim oddaniem

na swego oblubieńca, zyskało odtąd nazwę Wzgórza Miłości.

Na kamiennej ławeczce siedzieli teraz Anna i Filip, delectując się łagodnym powietrzem, jak również wspaniałym widokiem na imponujący dwór i całą okolicę, skąpaną w blasku słońca.

- Cieszysz się, że Nicky przyjeżdża na weekend, prawda? - zapytał Filip, przerywając ciszę, która trwała, odkąd dotarli na szczyt wzgórza.

Anna odwróciła się twarzą ku niemu, z ożywieniem kiwnęła kilkakrotnie głową, a w jej błękitnych oczach zapaliły się iskierki.

- Oczywiście, Filipie, że się cieszę! Bardzo za nią tęskniłam, przecież wiesz. Nie mogę się już doczekać, kiedy obie będziemy razem. Nicky zawsze znaczyła dla mnie wiele.

- Wiem o tym. To wspaniale, że zatelefonowała z Londynu i, że tak powiem, wprosiła się tutaj.

- Filip uśmiechnął się i dodał: - Muszę przyznać, że i ja bardzo chętnie spotkam się z nią. Nie ma drugiej takiej kobiety jak Nicky Wells.

- Dobrze, że pojechaliśmy do Tarascón, prawda?

- Nie czekając na odpowiedź, Anna dodała: - I pomyśleć tylko, jak mało brakowało, żebyśmy nie odwiedzili Norellów.

- Co więcej: gdybyśmy posłuchali ich rady, nie jedlibyśmy tego dnia obiadu w Les Baux. Pamiętasz, jak długo przekonywali nas, że Les Baux w lecie to zhora dla turystów?

- Tak. Ale to było nam sądzone. Pojechaliśmy tam i przypadkowo natknęliśmy się na Nicky.

Filip nie odpowiedział od razu. Otoczył Annę ramieniem, przytulił do siebie i dopiero po długiej chwili szepnął w jej włosy: - Skoro już o tym mowa... Jeszcze coś jest nam sądzone, Anno.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Wyjdź za mnie, proszę.

- Och, Filipie... - zaczęła. Była zdecydowana odmówić, zająknęła się jednak, kiedy spojrzała mu w oczy. Widniała w nich prośba tak żarliwa i uczucie tak gorące, że zabrakło jej tchu. W jej przekonaniu żaden mężczyzna nie umywał się do Filipa. Uważała go za człowieka wspaniałego i miłego, był wobec niej zawsze lojalny, to właśnie on stanowił dla niej źródło siły. W ciągu ostatnich sześciu lub siedmiu lat prosił ją wielokrotnie o rękę, a ona odmawiała za każdym razem. Teraz uświadomiła sobie nagle, jak bardzo jest okrutna dla tego dobrego człowieka, który co krok okazuje jej ogromne przywiązanie.

Odetchnęła głęboko. - Widzę, że chcesz zrobić ze mnie porządną kobietę, o to ci po prostu chodzi, nieprawdaż? - zapytała beztroskim tonem i roześmiała się wesoło.

Powoli, ale dobitnie pokręcił głową. - Nie, Anno, wcale nie o to. Nie dbam o to, co świat sądzi o mnie, o tobie, o nas, nie obchodzi mnie, jak inni oceniają fakt, że od lat żyjemy razem. Pragnę cię poślubić, gdyż bardzo cię kocham... i myślałem, że jest to uczucie odwzajemnione.

- Ależ tak! Och, najdroższy, przecież wiesz, że cię kocham! Ale małżeństwo wydaje mi się... wybacz, że to powiem... mało stosowne w naszym wieku. W moim głębokim przekonaniu jesteśmy i tak małżeństwem. Czy ten świstek papieru z naszymi podpisami ma aż tak duże znaczenie?

- Dla mnie ma. Zrozum, chcę, abyś była moją żoną, przywiązuję dużą wagę do tego, abyś nosiła moje nazwisko, abyśmy byli... małżeństwem. - Roześmiał się dokładnie tak samo jak ona przed chwilą, pozornie beztrosko, ale z nutą dezaprobaty do samego siebie, i dodał:

- Mówiąc, że nie dbam o resztę świata, przesadziłem nieco. W rzeczywistości chcę, aby świat wiedział, że należę do ciebie, a ty należysz do mnie. Naprawdę potrzebna mi świadomość, że połączył nas związek małżeński, Anno. Jesteśmy ze sobą od tak dawna, kochanie. Ślub wydaje mi się w tej sytuacji naturalnym, logicznym i cudownym punktem kulminacyjnym naszego związku.

Przytaknęła skinięciem głowy, niezdolna wypowiedzieć nawet jedno słowo, i spojrzała w dal, na rozciągający się przed nimi krajobraz. Oczywiście wszystko, co mówił Filip, było prawdą. Znali się od piętnastu lat, a już po roku tej znajomości zakochali się w sobie. Ich pierwsze spotkanie miało miejsce w 1974 roku, tuż po tym, jak Filip rozstał się ze swoją żoną, a to, co miało być przyjaźnią, przekształciło się szybko w płomienne uczucie. Anna zerwała z mężczyzną, z którym była wówczas związana, Filip został jej kochankiem i oboje poczuli się jak w raj. Byli dopasowani do siebie idealnie pod względem temperamentu. Formalności rozwodowe, które przeprowadzał Filip, trwały cztery lata, po czym on i Anna stworzyli szczęśliwą i zgodną parę. Widywali się w każdy weekend, kiedy Filip przyjeżdżał do Pullenbrook, jak również w ciągu tygodnia, kiedy tylko zjawiała się w Londynie.

Vanessa i Timothy, dzieci Filipa, byli jeszcze w latach siedemdziesiątych bardzo młodzi, postanowił więc zacząć trochę ze ślubem, aż dorosną. Anna nie miała nic przeciw temu; uprawomocnienie ich związku wydawało jej się i tak nieistotne. Jej miłość do Filipa trwała niezależnie od wszelkich aktów formalnych; nie potrzebowała

dokumentu, który potwierdzałby, potęgował lub urealniał to uczucie. A zresztą jej pierwsze małżeństwo okazało się tak żalną farsą, że pomysł powtórnego zamążpójścia nie budził w niej entuzjazmu.

Teraz jednak uzmysłowiła sobie, że Filip potrzebuje ślubu za nich oboje. Czy nie to właśnie dał jej do zrozumienia? Jeśli kocha go naprawdę - a tak rzeczywiście jest - to musi respektować pragnienia Filipa. I respektuje. Rozmyślając nad tym bardziej wnikliwie, doszła raptem do przekonania, że właściwie nie istnieje żaden powód, dla którego nie miałyby poślubić Filipa. Uświadomiła też sobie, że pomysł, by zostać jego żoną, zaczyna jej się podobać, zwłaszcza iż to sprawiłoby radość Filipowi.

Przeniosła na niego wzrok i szepnęła: - Tak.

- Co: tak?

- Tak, wyjdę za ciebie za mąż, Filipie. Będę szczęśliwa i zaszczycona, mogąc zostać twoją żoną. Słusznie powiedziałeś, że byłaby to odpowiednia chwila na ten krok.

- Och, kochanie, nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy. - Pocałował ją delikatnie w usta, wziął w ramiona i przytulił mocno do siebie. W przeszłości, zanim poznał Annę, było w jego życiu wiele kobiet, nigdy jednak nie kochał tak gorąco jak teraz. Anna zaznała dużo bólu i cierpień, on zaś pragnął kochać ją i pocieszać, chronić do końca życia.

- Ustalmy datę ślubu - zaproponował Filip. -Zróbmy to od razu, zanim zmienisz zdanie.

Dzięki temu mógłbym poinformować moją sekretarkę na tyle szybko, aby od razu w poniedziałek z samego rana wysłała ogłoszenie do *Timesa*.

- Nie masz się czego obawiać, nie zmienię zdania - zapewniała z roziskrzonymi radością oczyma. - Chętnie

opracuję z tobą przez weekend tekst ogłoszenia. Ale nad datą muszę się jeszcze zastanowić... Myślę, że ślub mógłby się odbyć w grudniu.

- Ależ to oznaczałoby miesiące czekania! - zaprotestował Filip.

- Po tych wszystkich latach nurzania się w grzechu kilka dodatkowych miesięcy nie ma już chyba większego znaczenia! - zawołała Anna. Roześmiała się i wyjaśniła: - Grudzień proponowałam nie bez powodu. Chodzi o Geoffreya. Chciałabym, aby to mój brat poprowadził mnie do ołtarza, wiem natomiast, że do końca listopada będzie przebywał głównie za granicą.

- A więc dobrze, kochanie. Niech będzie grudzień.

- Ślub w święta Bożego Narodzenia w naszym małym kościółku w Pullenbrook byłby bardzo sympatyczny... nawet malowniczy, nie sądzisz?

- Z całą pewnością. Anno?

- Tak, kochanie?

- Mam nadzieję, że zgodzisz się przyjąć ode mnie pierścionek zaręczynowy?

- Wspaniały pomysł! Oczywiście, że przyjmę. Nie ma kobiety, która nie chciałaby otrzymać pierścionka, Filipie.

Uśmiechnął się szeroko, sięgnął do kieszeni i wyjął małe skórzane pudełko. - Parę dni temu byłem u Aspreya, szukałem pierścionka dla ciebie. Widzisz, postanowiłem oświadczyć ci się ponownie w ten weekend i w głębi duszy byłem przekonany, że tym razem wyrazisz zgodę. U Aspreya wybrałem to, mam nadzieję, że ci się spodoba.

Podał jej pudełko, ona zaś otworzyła je i wstrzymała oddech na widok spoczywającego na aksamicie pierścionka z granatowym szafirem, który otaczały połyskliwe brylanty.

- Och, Filipie, jest po prostu piękny!
- Wybrałem ten pierścionek, bo wiem, jak bardzo sobie cenisz starą biżuterię - wyjaśnił. - W każdym razie kolor pasuje do twoich oczu, najdroższa.
- Dziękuję, Filipie... za pierścionek i w ogóle za wszystko.
- Pozwól, pomogę ci - powiedział. Wkładając jej pierścionek na palec, dodał ciszej: - A więc jesteśmy naprawdę zaręczeni. Myślę, że trudno o bardziej stosowne miejsce na złożenie przysięgi wierności niż to, na szczycie Wzgórza Miłości.

Rozdział 20

Nicky nie była tam od prawie trzech lat, a kiedy dwa dni wcześniej w Nowym Jorku podjęła decyzję o złożeniu wizyty Annie Devereaux, mimo woli wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że znowu znajdzie się w murach tego domu.

A jednak natychmiast po przyjeździe do Pullenbrook jej obawy rozwiały się, a sprawiły to w dużej mierze ciepło i tkliwość okazywane przez Annę oraz prawie ojcowska dobroduszość Filipa.

Przyjechała z Londynu zaledwie trzy godziny temu, oni zaś powitali ją tak serdecznie, z tak niekłamaną radością, że opadło z niej całe napięcie. Poczowała, że jest tu mile widziana, i to pozwoliło jej odprężyć się całkowicie.

Pomógł jej w tym również sam dom. Kiedy przeszła przez próg i znalazła się w hallu, odczuła niemal namacalnie panujący spokój. Było to coś, co zawsze kojarzyło się jej z Pullenbrook, ale od kilku lat starała się usilnie wymazać ten fakt z pamięci - z przyczyn aż nadto oczywistych. Niewątpliwie jednak z tutejszych murów emanowała szczególnie kojąca aura; zdawała się ogarniać ją zewsząd, otulać jak mgła. Dopiero teraz Nicky przypomniała sobie, że tak właśnie ten dwór działał na nią również w przeszłości. Zrozumiała też, dlaczego Anna czuje się tu bezpiecznie i dobrze, dlaczego nie lubi wyjeżdżać stąd - przynajmniej na długo.

Ten stary dwór w stylu Tudorów był świadkiem tylu wydarzeń na przestrzeni wieków, że gdyby jego mury przemówiły, powstałaby pasjonująca, odsłaniająca wiele sekretów opowieść, przemknęło jej przez głowę.

Wzdrygnęła się mimo woli. Jakież to mroczne tajemnice z życia Charlesa Devereaux zna ten dom? Czy on naprawdę żyje? A jeśli tak, dlaczego upozorował swoją śmierć?

Znów zadrżała i odegnała od siebie dręczące myśli, choć nie na długo. Przyjechała tu, aby powiedzieć Annie, że przed czterema dniami ujrzała w programie telewizji amerykańskiej Charlesa i ma wszelkie powody, aby przypuszczać, że on jednak żyje i mieszka w Rzymie. Teraz jednak doszła do przekonania, że nie jest to właściwa pora na poruszanie tego tematu. Będzie musiała poczekać na bardziej odpowiedni moment. Może uda się porozmawiać o tym wieczorem...

Siedziały obie przy herbacie w salonie i Nicky podziwiała w duchu harmonię bladych odcieni zieleni w tym pomieszczeniu. Stanowiły idealne tło dla zabytkowych

mebli i pięknych obrazów, głównie angielskich pejzaży, wśród których znajdowały się bezcenne arcydzieła Constable'a i Turnera. Już dawniej zachwyciała się nadzwyczajnym gustem Anny, jej talentem dekoratorskim i umiejętnością utrzymywania tego domu, co oznaczałoby z pewnością bardzo ciężkie zadanie dla każdego, kto chciałby się tym zająć.

Nicky zerknęła ukradkiem na stół, zajmujący środek pokoju. Stał na nim wazon z białymi różami, otoczony kolekcją rodzinnych fotografii w srebrnych ramkach. Na niektórych z nich ujrzała siebie - samą, z rodzicami, z Anną i Filipem w tutejszym ogrodzie, no i oczywiście z Charlesem. Odwróciła głowę, przeniosła wzrok na podłużny stolik obok sofy, w pobliżu kominka. Tu stało zdjęcie zaręczynowe wykonane przez Patricka Lichfielda, pięknie oprawione w złotą ramkę. Przez chwilę wpatrywała się w fotografię jak urzeczona, po czym szybko spojrziała w drugą stronę. Siłą woli nakazała sobie spokój i w ciągu kilku sekund odzyskała panowanie nad sobą.

- Jesteś dziś bardzo cicha, kochanie - zauważyła Anna, podając jej filiżankę z herbatą.

- Dziękuję. - Nicky wzięła filiżankę i uśmiechnęła się do Anny. - Nie chciałam być niegrzeczna, siedząc tu jak dzikuska i gapiąc się na wszystko, jakbym widziała to po raz pierwszy. Po prostu zachwyciałam się wystrojem tego pokoju. Niemal zapomniałam, jak tu pięknie. Jak piękne jest całe Pullenbrook.

- Zawsze lubiłaś ten dom - szepnęła Anna. Spojrzała na gościa z nikłym uśmiechem na ustach.

- Zupełnie jak ja. Darzysz to miejsce prawdziwym uczuciem, dostrzegłam to już za pierwszym razem, kiedy gościłaś w Pullenbrook. Byłaś, że tak powiem, związana

z tym domem emocjonalnie, nie mogłam tego nie zauważyć. Wskazywało na to całe twoje zachowanie, kiedy tu przebywałaś. I musiałaś zapewne odczuć, że zostałam zaakceptowana, że byłaś tu zawsze mile widziana.

Wróciła na sofę i mówiła dalej: - Ale ten dom nie jest już dziś taki jak dawniej, nie przyciąga ludzi. - Nieoczekiwanie roześmiała się z pewnym zażenowaniem. - Dobry Boże, wyobrażam sobie, jak dziwacznie muszą brzmieć moje słowa! Z pewnością myślisz teraz, że stałam się jedną z takich starszych zbzikowanych kobiet, które potrafią tylko wygadywać różne głupstwa na temat swoich domów.

- Nic podobnego. W tym, co mówisz, nie dostrzegłam nic dziwnego. A w ogóle, ty miałabyś być starą zbzikowaną kobietą? Co ci przyszło do głowy? Jesteś fantastyczna, Anno, naprawdę!

- Cieszę się, jeśli myślisz tak naprawdę. - Anna nachyliła się nad srebrną zastawą do herbaty i zwierzyła się: - W kwietniu skończyłam pięćdziesiąt osiem lat, ale muszę przyznać, że wcale nie czuję tego wieku. A wracając do tematu naszej rozmowy... niewątpliwie wiesz, co miałam na myśli mówiąc o tym domu. Od pierwszej chwili poczułaś się w nim tak, jakby tu było twoje miejsce.

- I to wrażenie powróciło dziś do mnie - szepnęła Nicky. - Czy wierzysz, że zaczynam myśleć o domach jak o żywych istotach? One mają coś w sobie, specyficzną atmosferę, określone wibracje... jedne dobre, inne okropne. Ale z tego miejsca emanują te dobre.

Anna pokiwała głową. - My obie jesteśmy połączone dość dziwnymi więzami, Nicky. Ale zawsze rozumiałyśmy

się doskonale. - Upiła łyk herbaty i zawołała: - O Boże, zagadałam się o domu i zapomniałam zaproponować ci coś do jedzenia. Masz ochotę na jakieś kanapki do herbaty, czy wolałabyś biszkopt?

- Ani jedno, ani drugie, dziękuję ci, Anno. Staram się utrzymać linię, zwłaszcza po tej tuczającej podróży do Francji.

- Ach, tak! Rozumiem cię, nie ma obawy - roześmiała się Anna.

Do salonu wszedł Filip, zajęty do tej pory pilną rozmową telefoniczną. - Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu - zawołał już od progu, po czym spojrzał na Annę. - To był Timothy, kochanie. Właśnie przyleciał do Londynu. Przesyła ci pozdrowienia.

Anna skinęła głową i uśmiechnęła się. - Cieszę się, że wrócił szczęśliwie do domu.

Filip wziął od niej filiżankę z herbatą i usiadł na krześle obok Nicky. - Mój syn zadebiutował ostatnio jako dziennikarz w redakcji *Sunday Times* i spędził jakiś czas w Lipsku. Tam dzieje się teraz tak wiele, jak z pewnością wiesz, wszystko aż wrze.

- To prawda. Mój przyjaciel, Cleeland Donovan, którego poznaliście w Les Baux, leci jutro do Niemiec. Chce sfotografować berliński mur... dopóki jeszcze tam stoi.

Filip spojrzał na nią z uwagą. - A jego zdaniem mur przestanie wkrótce istnieć?

- Clee przepowiada to już od dwóch lat, ale oczywiście nie potrafi określić dokładnie, kiedy to nastąpi... Nikt by tego nie potrafił. Jeszcze niedawno uważał, że mur będzie stał dwadzieścia, trzydzieści lat. Ale od pewnego czasu twierdzi, że mur runie już wkrótce.

- Doprawdy? - Filip odstawił filiżankę i poprawił się na krześle, nie spuszczać wzroku z Nicky.

- To ciekawe, co mówisz, zwłaszcza że podzielałam zdanie Cleelanda w tym względzie, podobnie jak wielu moich kolegów. - Pokręcił głową, jakby nurtowały go wątpliwości. - Chociaż z drugiej strony... upłynęło zaledwie pół roku, odkąd przywódca Niemiec Wschodnich, Erich Honecker, zaklinał się, że mur berliński będzie stał na swoim miejscu przez następne sto lat. Jeśli o mnie chodzi, jestem skłonny sądzić, że to tylko czcze przechwałki.

- Albo pobożne życzenie - przytaknęła Nicky.

- W każdym razie miejmy nadzieję, że Honecker się myli, a Clee ma rację.

- Temu pragnieniu mogę tylko przyklasnąć - mruknął Filip. - Czy Cleeland będzie jeszcze gdzieś w bloku wschodnim poza Berlinem?

- Tak, zamierza pokręcić się tu i tam, między innymi chce pojechać do Lipska, aby przygotować fotoreportaż z przebiegu demonstracji ulicznych, które trwają tam bez przerwy.

Filip pokiwał głową. - Moim zdaniem, nasilą się jeszcze bardziej. Co więcej: mam wrażenie, że jeszcze w tym roku będziemy świadkami upadku wielu reżimów komunistycznych.

Nicky zamyśliła się i dopiero po długiej chwili odparła powoli: - Dopiero wczoraj rozmawiałam z Archem Leversonem, mówiłam mu, że w niedalekiej przyszłości poczujemy, jak płyty tektoniczne historii przesuwają się pod naszymi stopami. Zobaczycie, ile zmian nastąpi w krajach za żelazną kurtyną.

- Masz całkowitą rację, Nicky, zgadzam się z tobą pod każdym względem! - zawołał Filip.

Uśmiechnęła się. Ta ocena jej wyczucia sytuacji na świecie miała nie lada znaczenie. Ostatecznie Filip Rawlings zajmował jedno z kluczowych stanowisk w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W przeszłości często rozprawiali oboje na podobne tematy i to popołudnie nie było niczym wyjątkowym. Z zapalem omawiali te sprawy przez kolejne dziesięć minut, dopóki Filip nie postanowił przejść do innej materii. Kręcąc głową, zauważył: - Obawiam się, Nicky, że całą tą gadaniną o polityce i politykach zanudzamy biedną Annę. Wybacz, kochanie. - Spojrzał na Annę nieco zakłopotany.

- Ależ to nieprawda! - zaproponowała. - Wcale nie jestem znudzona. Chyba zapomniałeś, że już jako dziecko zetknęłam się z polityką, że mój ojciec był niegdyś mężem stanu.

- Nie zapomniałem, ale wiem również, że polityka nie leży w centrum twoich zainteresowań. - Filip zerwał się z krzesła, podszedł do Anny i usiadł obok niej na sofie, po czym ujął jej dłoń. - A teraz przejdźmy do spraw dla nas ważniejszych... Czy przekazałaś już Nicky tę radosną wieść, która dotyczy nas obojga?

- Nie miałam jeszcze okazji, a poza tym wydawało mi się, że będzie o wiele sympatyczniej, jeśli powiemy jej wspólnie.

- Ale co mi chcecie powiedzieć? - Nicky, zaintrygowana, wodziła po nich oczyma.

- Filip poprosił mnie dziś o rękę...

- Chyba już po raz dwudziesty - wtrącił Filip.

- A ja przyjąłam oświadczyły - dodała Anna z twarzą rozpromienioną radością.

- Wreszcie! - wykrzyknął Filip. - Anna zgodziła się wreszcie zostać moją żoną i nawet wyznaczyła datę. Ślub

odbędzie się w Boże Narodzenie, w tutejszym kościółku.

- Och, Anno, Filipie, jakże się cieszę! To naprawdę wspaniała wiadomość! - Nicky poderwała się na równe nogi i pogratulowała narzeczonemu.

Rozdział 21

Nicky siedziała przy oknie w swoim pokoju, wyglądając na ogród, który rozciągał się przed dworem, ale dziś nie dostrzegła jego piękna ani ogromu włożonej w niego pracy: tonęła w rozmyślaniach.

Żałowała już, że zjawiała się tu właśnie dzisiaj, że nie przyjechała dopiero w poniedziałek, tak jak zamierzała uczynić, opuszczając wczoraj Nowy Jork.

Gdy przyleciała wczoraj do Londynu, natychmiast po zameldowaniu się w hotelu zatelefonowała do Pullenbrook. Anna była zachwycona, słysząc jej głos tak prędko po ich przypadkowym spotkaniu we Francji. Gawędziły kilka minut, po czym Nicky w pewnym sensie wprosiła się na weekend. Po prostu oświadczyła Annie, że przybyła do Anglii jedynie na parę dni i chciałyby się z nią zobaczyć.

Do tego pośpiechu skłonił ją lęk; odczuwała pilną potrzebę rozmowy z Anną. Komu innemu mogłaby się zwierzyć z tych straszliwych podejrzeń wobec Charlesa?

Ku swemu rozczarowaniu zorientowała się jednak, że zjawia się tu w dniu, który dla Anny ma szczególne znaczenie. Nie mogłaby zepsuć jej radości donosząc o tym, że jej jedyne dziecko, syn, którego kochała nade wszystko na świecie, być może wcale nie utonął, jak wszyscy sądzili. Że może upozorował własną śmierć. W ten sposób napiętnowałaby Charlesa jako człowieka bez czci i wiary, fałszywego i podstępnego - a zarazem jako bezwzględniego oszusta i kłamcę, który przysporzył bólu i smutku matce, jej samej, Filipowi, wujowi Geoffreyowi oraz wszystkim innym, którzy go kochali. Niewątpliwie jest właśnie taki, jeśli rzeczywiście żyje nadal pod zmienionym nazwiskiem...

Oparła głowę o framugę okna, zbierając gorączkowo myśli. Jutro też nie będzie mogła powiedzieć Annie, z czym przyjechała; może będzie lepiej zostać do poniedziałku i porozmawiać z nią dopiero wtedy? Nie bała się tej rozmowy, po prostu nie chciała psuć Annie weekendu. Nie przyjdzie jej łatwo zachowywać przez te parę dni spokój, robić dobrą minę do złej gry. A jednak musi ukryć niezadowolenie i lęk. Musi. Dla dobra Anny. To taka wspaniała kobieta, prostolinijna i uczciwa... Zasługuje na odrobinę szczęścia na progu nowego etapu w jej życiu. Nie, nie można niepokoić jej w takim momencie, trzeba dać jej możliwość nacieszenia się wraz z Filipem tymi paroma wolnymi dniami w domowym zaciszu.

* * *

Przez następne pół godziny Nicky siedziała przy oknie, bijąc się z myślami. Potem powiodła wzrokiem po obszernym pokoju. Pełen odcieni lawendy, stonowanego różu i jasnej szarości miał w sobie coś typowo kobiecego,

a wrażenia tego dopełniały urocze akwarele na ścianach oraz eleganckie, wdzięczne meble.

Jak zawsze taktowna i troskliwa, Anna umieściła Nicky w sypialni, której nie знаła do tej pory, być może po to, by oszczędzić jej nieprzyjemnych refleksji. Ale Pullenbrook kryło w sobie i tak mnóstwo wspomnień, czaiły się w każdym jego zakątku; na szczęście nie wszystkie były przykre. Zdarzały się wśród nich również radosne i sympatyczne.

Łóżko z baldachimem, z jedwabnymi draperiami o barwie lawendy i kołdrą puchową w tym samym kolorze, wydało się nagle tak kuszące, że Nicky zrzuciła buty i położyła się czym prędzej. Mając nadzieję na poobiednią drzemkę nakryła się kołdrą po uszy, ale myśli którymi nabiła sobie głowę, nie pozwalały jej zasnąć.

Pamięć podsunęła jej ostatnią wizytę w tym domu - wizytę szczególną, gdyż była to chwila rozdzierająca jej serce, jedna z najsmutniejszych w jej życiu.

Październik 1986 roku. Sobota, połowa miesiąca. Przyjechała do Pullenbrook skoro świt, potem wdała się w długą pogawędkę z Anną. Zaabsorbowane rozmową nie zwróciły w ogóle uwagi na Inez, która zgodnie z angielskim obyczajem wniosła do salonu herbatę punktualnie o czwartej. Nie tknęły nawet napoju.

Wszystko zaczęło się poprzedniego dnia, kiedy nieoczekiwanie w Nowym Jorku zjawił się Filip i tuż po dwudziestej zadzwonił do jej drzwi. Przyleciał porannym concordem, wsiadł od razu do czekającej przed lotniskiem limuzyny i pojechał na Manhattan, aby osobiście przekazać jej złą nowinę. Zrobił to na prośbę Anny, która

uznała, że tak będzie lepiej, gdyż tego typu spraw nie załatwia się przez telefon.

Nie owijając niczego w bawełnę, ale zachowując jednocześnie maksimum taktu, Filip poinformował Nicky, że Charlesa uznano za zmarłego; najprawdopodobniej utopił się przed paroma dniami na wybrzeżu w Sussex, w pobliżu Beachy Head. W środę obok plaży odnaleziono jego błękitnego jaguara. We wnętrzu samochodu leżał płaszcz i zamknięta aktówka z inicjałami oraz skórzaną etykietką przy ręczce. Na etykietce widniało nazwisko: Charles A.C. Devereaux, a miejscowa policja zorientowała się oczywiście natychmiast, kogo należy powiadomić - matkę ofiary, lady Annę Devereaux z Pullenbrook.

W obecności Anny policja otworzyła aktówkę i znalazła wewnątrz list zaadresowany do matki Charlesa. Treść listu nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Charles Devereaux odebrał sobie życie. Wszystko wyjaśnione było precyzyjnie od A do Z, ale policja musiała przeprowadzić dochodzenie; tego wymagały przepisy prawne. Władze zgodziły się jedynie utrzymać sprawę w tajemnicy, dopóki nie zostanie poinformowana narzeczona Charlesa Devereaux, przebywająca w Nowym Jorku. Szef miejscowej policji, nadinspektor Willis, uczynił w ten sposób zadość życzeniu Anny, okazując szacunek dla jej tytułu oraz pozycji w hrabstwie.

Filip opowiedział o wszystkim Nicky w tamten straszliwy piątek i właśnie wtedy cały jej świat rozpadł się nagle i ostatecznie. Była wstrząśnięta i załamana jeszcze wtedy, gdy zatelefonowała do telewizji, do Archa, informując go łamiącym się głosem, że musi natychmiast polecieć do Anglii, ponieważ Charles popełnił samobójstwo. Cała

drżała, nie mogła mówić i w końcu oddała słuchawkę Filipowi, który skrupulatnie przekazał Archowi szczegóły sprawy i obiecał odezwać się znowu niebawem, kiedy dochodzenie posunie się naprzód.

Natychmiast po tej rozmowie Nicky spakowała do torby najpotrzebniejsze kosmetyki i ubranie, w czym pomogła jej Gertruda, która akurat przyszła posprzątać mieszkanie. Tuż przed wyjazdem na lotnisko Kennedy'ego Filip zatelefonował do rodziców Nicky, przebywających w Wenecji, ponieważ jednak nie zastał ich w hotelu, zostawił jedynie swoje nazwisko i numer telefonu w Pullenbrook, wraz z prośbą o pilny kontakt z Anną.

O pierwszej trzydzięci Nicky i Filip znajdowali się na pokładzie francuskiego concorda, lecącego do Paryża. Zdaniem Filipa była to najprostsza i najłatwiejsza trasa do Londynu. Lot nad oceanem trwał niecałe cztery godziny, a po nocy spędzonej w Paryżu mieli polecieć pierwszym samolotem do Londynu.

Cały czas, kiedy lecieli nad Atlantykiem, szlochała rozpaczliwie. Filip robił co mógł, by ją pocieszyć, ale bezskutecznie.

W krótkich chwilach, kiedy odzyskiwała panowanie nad sobą, próbowali oboje rozmawiać, ale było to raczej wzajemne zadreczanie się jednym pytaniem: dlaczego? Dlaczego Charles zrobił ten straszny krok? Trudno było znaleźć logiczne wyjaśnienie.

Po wylądowaniu na lotnisku Charlesa de Gaulle'a wynajęli dwa pokoje w hotelu, a w sobotę o siódmej rano odlecieli na Heathrow. Stamtąd szofer zawiózł ich wprost do Pullenbrook, gdzie czekała na nich Anna, załamana i przygnębiona.

Nieco później tego samego dnia Nicky zapytała Annę, czy w liście Charlesa nie było żadnej wzmianki o niej.

Anna potrząsnęła ze smutkiem głową, a Nicky siedziała w milczeniu długą chwilę, oszołomiona tym do reszty. Charles odebrał sobie życie, nie zostawiając dla niej żadnej wiadomości, nawet jednego słowa! Nie potrafiła się z tym pogodzić.

W niedzielę przyjechali z Wenecji via Londyn rodzice Nicky. Współczuli jej z całego serca i robili co tylko mogli, aby ją pocieszyć, ale najbardziej pomagały sobie obie z Anną, podtrzymując się wzajemnie na duchu.

Nicky pozostała z Anną przez parę tygodni; obie nierozłączne i w ciągłym ruchu, dzieląc czas między Pullenbrook i mieszkanie Anny przy Eaton Square. Ten okres był dla nich obu trudny i bolesny, ale sprawy wyjaśniały się stopniowo. Tuż przed samobójstwem Charles konsekwentnie uporządkował wszystkie problemy. Swoje mieszkanie przy Knightsbridge sprzedał, podobnie jak udziały w należącej do niego prywatnej londyńskiej firmie importującej wina oraz w innym przedsiębiorstwie, które odkupił hiszpański wspólnik. Co najważniejsze, na kilka tygodni przed śmiercią sporządził nowy testament, na mocy którego pozostawiał cały swój majątek matce.

Od tamtej pory upłynęły trzy lata, a Nicky dręczyło powracające uporczywie pytanie: dlaczego Charles popełnił samobójstwo? Nigdy nie znalazła na nieprzekonującej odpowiedzi.

W pewnym momencie doszło do tego, że przygnębienie przerodziło się w gniew - i to ją zaniepokoiło. Za każdym razem, kiedy przebywała w Nowym Jorku, widywała się ze swoim psychoterapeutą, poleconym jej przez Archa. Jego zadaniem było wyjaśnić podłoże gniewu, który Nicky odczuwała.

I doktor Alvin Foxgrove uczynił to: cierpliwie wyjaśniał, że większość ludzi, których samobójstwa ich bliskich bezpośrednio dotknęły emocjonalnie, doznaje potem uczucia gniewu, i że jest to reakcja najzupełniej normalna. Te rozmowy bardzo jej pomogły, zwłaszcza iż doktor Foxgrove zapewnił ją, że z czasem wyzwoli się z gniewu. A jednak jej przypadek wyglądał na bardziej skomplikowany, w każdym razie nadal bywały chwile, kiedy to niemiłe uczucie odżywało w niej na nowo.

Nicky westchnęła ciężko, odegnęła od siebie myśli związane z przeszłością i skoncentrowała się na teraźniejszości. Od dawna intrygował ją fakt, że nie odnaleziono ciała Charlesa. Istniała teza, że dryfując z nurtem kanału La Manche wypłynęło na ocean, ale czy tak było naprawdę?

Postanowiła wykryć, co zdarzyło się w rzeczywistości. Po rozmowie z Anną wróci do Londynu, a stamtąd na kontynent. Zamierzała zrobić użytek ze swoich talentów dziennikarskich, aby wyjaśnić tajemnicę śmierci Charlesa Devereaux, poznać całą prawdę o nim.

Rozdział 22

Mniej więcej godzinę później, około siódmej, Nicky przebrała się, zmieniając kostium safari na jedwabną suknię w kolorze morskim i perły, po czym zeszła na dół, aby napić się przed obiadem. W salonie nie spotkała

nikogo, ale kiedy wyjrzała przez okno, dostrzegła na zewnątrz Annę. Natychmiast przeszła przez wąskie foyer i otworzyła boczne drzwi wiodące na taras, który obiegał tylną ścianę domu i wychodził na Wzgórze Miłości oraz South Down.

Na dźwięk jej kroków Anna odwróciła głowę i spojrzała przez ramię, a jej twarz zajaśniała radością. - Och, jesteś, moja droga! A ja myślałam właśnie o tobie. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że razem spędzamy ten weekend.

- Ja również jestem szczęśliwa, że mogłam się spotkać z tobą, Anno, złożyć ci wizytę - odparła szczerze Nicky. Od tamtej chwili w restauracji we Francji dręczyły ją wyrzuty sumienia, ponieważ unikała kontaktu z Anną. Postanowiła nawet wpaść do niej we wrześniu, kiedy będzie w Paryżu i w Prowansji. Potem jednak nieoczekiwanie dostrzegła na ekranie telewizora twarz Charlesa i natychmiast uświadomiła sobie, że los daje jej dodatkowy pretekst, aby pojechać do Pullenbrook i porozmawiać z Anną. Zmieniła więc plany i przyśpieszyła wizytę o dwa tygodnie.

- Zdaję sobie sprawę - mówiła teraz powoli, z namysłem - że przez ostatnie półtora roku zachowywałam się wobec ciebie niegrzecznie, nie odzywając się. Przepraszam cię, Anno. Wiem, że nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Z pewnością byłam bardzo zajęta, stale wyjeżdżałam do różnych krajów, przygotowywałam reportaże o rozmaitych brudnych wojnach i kataklizmach, ale nie zamierzam tłumaczyć tym swego postępowania. Nieraz tak robię, ale nie teraz. Wobec ciebie muszę być szczerą. Prawda jest taka, że łatwiej było nie widywać się z tobą. Łatwiej dla mnie.

- Wiem o tym - odparła łagodnie Anna. - I rozumiem to doskonale. Spotkania ze mną, tutaj czy nawet w Nowym Jorku, przedłużałyby jedynie twoją udrękę z powodu Charlesa. W tej sytuacji postąpiłaś, moim zdaniem, roztropnie, wiedząc życie w taki a nie inny sposób. To pozwoliło ci wystartować na nowo.

- Tak, to prawda. Ale mimo to zachowywałam się egoistycznie. - Umilkła na chwilę, po czym zapytała ostrożnie: - Jak... jak radziłaś sobie w tym okresie?

- Filip podtrzymywał mnie na duchu, ale pomagał mi również brat i jego rodzina. I także ten dom... - Anna urwała nagle i potrząsnęła głową. - Boże, znowu zaczynam mówić tak dziwnie o domu... Chciałam powiedzieć, że na szczęście zaabsorbowała mnie praca związana z biblioteką. Dzięki niej mogłam zająć się czymś konkretnym i uciec od przykrych rozmyślań.

- Cóż to za praca? - Nicky spojrzała na nią zaintrygowana.

- Chodzi o uporządkowanie biblioteki. Postanowiłam wprowadzić w ten chaos nieco ładu, skatalogować tysiące książek. Są wśród nich prawdziwe białe kruki, pierwodruki, i z tego względu musiałam zatrudnić do pomocy fachowca w tej dziedzinie. W każdym razie już na początku wpadły mi w ręce pamiętniki Cliffordów, które kobiety z tego rodu prowadziły przez stulecia. Słyszałam o nich to i owo od dziadka, ale nigdy przedtem nie miałam okazji ich przeczytać. I chyba nie muszę ci mówić, do jakiego stopnia zdołały mnie zafascynować. W tych najtrudniejszych chwilach brałam się w garść i powracałam myślą do tamtych pokoleń kobiet z rodu Cliffordów, które żyły przede mną, miały różne trudne przejścia i utraciły tak

wielu bliskich: mężów, synów, ojców, braci... córki, matki i siostry. Pomyśl tylko, ile musiały przeżyć: inwazję hiszpańskiej armady, rewolucję domową, okres Wielkiej Złoty, rozmaite wojny, przemiany w Anglii, tragedie rodzinne... A jednak nie załamywały się, nie dawały za wygraną. I myślę, że nie poddałam się rozpacz i nie uzalałam się nad sobą, gdyż nie pozwoliło mi na to poczucie dumy i godności. Widzisz, tamte kobiety z przeszłości stanowią dla mnie wzór postępowania.

Nicky skinęła głową i otworzyła już usta, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej na temat owych pamiątek, jednak w tym momencie Anna westchnęła ciężko, spojrzała w bok, a na jej twarzy pojawił się wyraz tak dotkliwego bólu, że Nicky zapragnęła już tylko objąć ją i pocieszyć. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Nie ma nic gorszego niż utrata własnego dziecka - szepnęła Anna. - Wiesz, Nicky, nikt nie spodziewa się nigdy, że mogłoby do tego dojść. Ludzie są zwykle przekonani, że ojedną z tego świata przed swymi dziećmi, gdyż taka jest normalna kolej rzeczy... - Jej cichy głos zamarł na chwilę, jak gdyby odpływał dalej w ciężkim wieczornym powietrzu, ona zaś wpatrywała się przed siebie, a potem mruknęła jeszcze ciszej: - Zawsze sądziłam, że dzieci potwierdzają sens życia... że mogą je uczynić czymś cennym.

Nicky nie potrafiła teraz wykrztusić z siebie nawet jednego słowa. Przejmujący smutek siedzącej przy niej kobiety sprawił, że jej oczy napelniły się łzami. Instynktownie ujęła dłoń Anny i ścisnęła ją mocno.

Kiedy wreszcie Anna odwróciła do niej twarz, na jej ustach igrał już nikły uśmiech. - Poczulałam się szczęśliwa, kiedy zobaczyłam cię w Les Baux z innym mężczyzną

- powiedziała tym samym cichym głosem co przedtem. -
Prawdę mówiąc, podniosło mnie to na duchu, gdyż najwidoczniej czas uleczył twoje rany. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za wścibską, jeśli zapytam. Czy to poważna sprawa?

Nicky zawahała się. - Nie jestem pewna - odparła po chwili. - Ale może się okazać poważna. Clee wyznał, że mnie kocha.

- A ty? Co czujesz do niego?

- Znam go od dwóch lat, jest moim najbliższym przyjacielem, odnosi się do mnie niezwykle serdecznie. Ale silniejsze więzy łączą nas oboje dopiero od paru tygodni. Kiedy to się stało, nikt nie był bardziej zaskoczony niż ja. A jeśli mam odpowiedzieć na twoje pytanie, to tak. Mam wrażenie, że zaczęłam darzyć Clee głębszym uczuciem.

- Cieszę się z tego powodu. Nie miałam żadnych wątpliwości, co Clee czuje do ciebie. To widać nawet po jego spojrzeniu. - Anna ścisnęła dłoń przyjaciółki i dodała: - Nicky, on cię ubóstwia.

- Ale miłość nie zawsze wystarcza, by małżeństwo było udane. Liczy się również mnóstwo innych rzeczy, o ile chce się spędzić resztę życia z drugą osobą.

- Masz całkowitą rację - przyznała Anna. - Jednakże w waszym przypadku wszystko wskazuje na to, że jest wam ze sobą dobrze, że pasujecie do siebie. Co więcej, łączy was praca, a to jest również istotna zaleta, czyż nie?

- Oczywiście. Ale z drugiej strony właśnie moja praca może stworzyć w przyszłości pewne problemy, a wtedy...

- Nic na świecie nie jest w stanie zastąpić dobrego męża - przerwała jej Anna i nagle roześmiała się cicho,

jakby do siebie. - Ale kto to mówi? Przecież ja sama trafiłam na wspaniałego człowieka a od lat go zwodzę.

Przysunęła się do Nicky jeszcze bliżej. - Posłuchaj dobrej rady, nie postępuj jak ja. Zdobądź się na decydujący krok. Wiesz, dziś uzmysłowiłam sobie, że powinnam była wyjść za Filipa wiele lat temu. - Przeszywała teraz Nicky palącym wzrokiem. - Musisz pochwycić życie oburącz. Musisz zakosztować jego pełni. W przeciwnym razie ani się obejrzyysz, a będziesz już kobietą w średnim wieku, której lata przemykają w zawrotnym tempie. Wtedy będzie już za późno, za późno na wszystko.

- Po trzydziestce czas zdaje się upływać coraz szybciej, zauważyłam to ostatnio.

- I jeszcze coś - nie dawała za wygraną Anna.

- Nie poświęcaj udanego związku dla kariery zawodowej. Jeśli to zrobisz, skażesz się na samotność. A możesz mi wierzyć, że nie ma nic straszniejszego niż samotność. Właściwie to rodzaj śmierci.

Oparła się łokciami o poręcz i skierowała wzrok w dal, na South Downs. Nicky nie spuszczała z niej oczu. Przyszło jej do głowy, że Anna nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie jak dziś. Miała na sobie jedwabną sukienkę w kolorze intensywnego różu, który podkreślał karnację skóry, oraz podwójny sznur pereł i kolczyki z perłami. W oczach Nicky Anna mogła uchodzić śmiało za kobietę czterdziestoparoletnią; sprawiała to nie tylko piękne blond włosy i niezrównana cera, ale również smukła figura i zgrabne, kształtne nogi.

Nieoczekiwanie Anna wyprostowała się, spojrzała na przyjaciółkę i z nieco smutnym uśmiechem zawołała: - Och, Nicky, jakaż ja byłam głupia! Kiedy zostałam wdową,

w moim życiu pojawił się mężczyzna i wtedy powinnam go była poślubić. Pragnął tego, ale istniały pewne przeszkody. Odmówiłam więc, choć potem żałowałam. Mniej więcej dwadzieścia lat temu, kiedy miałam trzydzieści osiem lat, poznałam kolejnego mężczyznę. Zależało mi na nim tak samo, jak jemu na mnie, ale i tym razem powiedziałam „nie” z powodu... Mniejsza zresztą o powód, to nie jest teraz takie ważne. W obu przypadkach zdecydowałam się żyć w samotności i w rezultacie spędziłam kilka okropnych lat pozbawiona obecności kogoś bliskiego. Aż w końcu spotkałam Filipa.

- Czyżbym słyszał moje imię? - rozległ się w tym momencie głos Filipa, który uśmiechając się figlarnie wszedł na taras.

Obie kobiety odwróciły się do niego natychmiast, a Anna zawołała: - Witaj, kochanie! Właśnie opowiadałam, ile to samotnych i smutnych lat spędziłam, zanim zjawiłeś się w moim życiu.

Najwidoczniej jej słowa poruszyły go, powstrzymał się jednak od komentarza. Skinął jedynie głową, po czym podszedł bliżej, objął ją ramieniem i przytulił do serca.

- Rozmawialiśmy też o Clee Donovanie - dodała Anna. - Powiedziała, że cieszę się z powodu jego związku z Nicky. Że cieszymy się oboje.

- Tak, jesteśmy bardzo zadowoleni - zapewnił Filip, obdarzając Nicky ciepłym uśmiechem. - Bo musisz wiedzieć, moja droga, że martwiliśmy się o ciebie. - Przeniósł wzrok na Annę. - W salonie czeka na nas szampan. Może przejdziemy tam?

Anna uśmiechnęła się, ujęła go pod ramię. - Tak, oczywiście, chodźmy.

* * *

Dużo później wszyscy troje zasiedli do stołu w małej jadalni, z której Anna korzystała przy okazji bardziej kameralnych posiłków. Inez podała lekką kolację przyrządzoną przez Pilar, a w przerwach pomiędzy zimną zupą ziemniaczano-cebulową, pieczoną solą i deserem Filip i Anna zasypywali Nicky pytaniami na temat jej pracy.

Nicky opowiedziała o swoich przeżyciach w Pekinie, a kiedy mówiła o Yoyo i Mai, a zwłaszcza o śmierci dziewczyny i zniknięciu Yoyo, jej słuchacze nie ukrywali, jak bardzo są poruszeni.

- Clee i ja, Arch i reszta ekipy, wszyscy żywimy nadzieję, że Yoyo pojawi się w końcu, że udało mu się zrobić użytek z pieniędzy, jakie od nas otrzymał. Modlimy się o to - wyznała Nicky. - Byłoby dobrze, gdyby przedostał się do Hongkongu.

- Taka trasa ucieczki jest bardzo prawdopodobna - zauważył Filip. - Słyszałem, że istnieje tajny przerzut uciekinierów z Pekinu do Hongkongu. Jeśli Yoyo ma odpowiednie kontakty, może przedostać się za granicę.

- Jak mawiał mój ojciec: Oby Bóg cię wysłuchał! Yoyo ma głowę na karku, nie brak mu sprytu. Jeśli komukolwiek miałyby się udać ucieczka z Chin, to przede wszystkim jemu.

- To straszne, że ta młoda kobieta zginęła - szepnęła Anna. - Z twoich słów wynika, że armia chińska zachowuje się bezwzględnie wobec ludności cywilnej.

- Żołnierze są brutalni i nadzwyczaj okrutni. Clee ma na to wiele dowodów: zdjęcia. Fotografował bez przeszkód, gdyż tamci byli do tego stopnia zajęci mordowaniem, że nie starczyło im czasu na odebranie mu aparatu. Zauważcie jednak, że przedtem, zanim jeszcze doszło do

strzelaniny, zniszczyli mu trzy aparaty. Mimo to zdołał zebrać zdjęcia do wspaniałego albumu o wydarzeniach na placu Tiananmen, a ja napisałam wstęp. Książka nosi tytuł *Dzieci pekińskiej wiosny*. Kiedy ją obejrzyicie, będziecie wstrząśnięci. Ukaze się w przyszłym roku, wtedy prześlę wam egzemplarz.

- Dziękuję - ucieszyła się Anna.

- Oglądaliśmy często w BBC reportaże o demonstracjach studenckich, nakręcone przez Kate Adie - odezwał się Filip. - Patrzyliśmy ze zgrozą na to bestialstwo żołnierzy, na rzeź niewinnych ludzi, na przelew krwi. Rząd chiński postąpił okrutnie. Cały świat daje wyraz swemu oburzeniu i potępia ten krok.

- I słusznie, było to ewidentne pogwałcenie praw człowieka! - zawołała Nicky.

Filip skinął głową, upił łyk Pouilly-Fumé, obrzucił Nicky badawczym spojrzeniem i zmienił temat.

- Dlaczego jesteś teraz w Anglii? - zapytał. - Wypoczywasz czy przyjechałaś tu służbowo?

- Jedno i drugie - odparła czym prędzej Nicky. Musiała przywołać na pomoc całą siłę woli, aby nie wygadać się z czymś o Charlesie. - Mam nadzieję, że uda mi się przeprowadzić wywiad z premierem.

- Ten pomysł przyszedł jej do głowy w ostatniej chwili.

- Ale nie teraz, w przyszłym roku - brnęła dalej. - Tyle że Arch prosił, abym już teraz porozmawiała z paroma ludźmi. Wiecie, chodzi o to, aby przygotować sobie grunt.

- A w jaki sposób mógłbym ci pomóc? - zaoferował się Filip.

- Jeszcze nie wiem. Porozmawiamy o tym później. Teraz chciałabym obmyślić kształt specjalnego wydania mojego programu, jego stronę wizualną i merytoryczną.

W duchu odetchnęła z ulgą; nie powiedziała nic, co mogłoby ją zdradzić.

- W porządku. Daj mi znać, gdybyś potrzebowała pomocy - odparł Filip. - Wiesz, że zrobię, co tylko będę mógł.

- Dziękuję, Filipie, doceniam to. Jesteś bardzo miły.

- Może przejdziemy do salonu na kawę? - zaproponowała Anna.

Wstała z miejsca i ujęła Nicky pod ramię. - Masz bardzo niebezpieczną pracę i jesteś przy tym nadzwyczaj odważna - powiedziała, wychodząc z jadalni. - Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Czy nigdy nie odczuwasz strachu, moja droga?

- Nigdy w trakcie robienia reportażu, dopiero gdy jest już po wszystkim - odparła Nicky. - W podobny sposób reaguje Cleo. I w ogóle większość dziennikarzy.

Może to dlatego, że tak bardzo koncentrujemy się na samym wydarzeniu i nie mamy czasu nawet na strach.

Rozdział 23

- Anno, chciałabym z tobą porozmawiać - poprosiła Nicky, stając w progu biblioteki. Był niedzielny poranek, ona zaś po bezsennej nocy podjęła wreszcie decyzję: musi omówić tę sprawę z Anną natychmiast. Nie może czekać do poniedziałku.

Anna stała przy podłużnym mahoniowym stole, zbierając z niego opadłe płatki róż. Podniosła głowę i z lekko

zmarszczonymi brwiami spojrzała na Nicky. - Jesteś niezwykle poważna. Czy stało się coś złego?

- Owszem, wydaje mi się, że tak - szepnęła Nicky, wchodząc do pokoju. - Gdzie Filip? Chciałabym, żeby i on wysłuchał tego, co mam do powiedzenia.

- Tu jestem - rozległ się głos Filipa z głębi przepastnego skórzanego fotela, ustawionego w odległym kącie pokoju.

Nicky usłyszała jeszcze szelest składanej gazety, a potem ukazała się głowa mężczyzny, który wstał i opuścił gazetę na podłogę, gdzie leżały już inne czasopisma.

Anna wrzuciła do popielniczki garść płatków róży, poszła do stojącego przed kominkiem Filipa, wymieniła z nim krótkie spojrzenie, a następnie oboje usiedli na sofie. Nicky zajęła miejsce na drugiej sofie, na wprost nich.

- Masz taką dziwną minę - odezwała się Anna.

- O co chodzi?

- Zanim to powiem, chciałabym coś wyjaśnić - zaczęła Nicky. - Po naszym spotkaniu w Prowansji postanowiłam przyjechać do ciebie z wizytą... Chciałam naprawić jakoś moje milczenie... Miałam odwiedzić cię pod koniec sierpnia, jadąc do Paryża, do Clee. Ale tamtego wieczoru w Nowym Jorku stało się coś, co wpłynęło na zmianę moich planów... Zmusiło mnie do przyspieszenia podróży o kilka tygodni. Po prostu muszę z tobą natychmiast porozmawiać, Anno. I z tobą, Filipie.

- A więc słuchamy. Powiedz, proszę, o co chodzi - przerwała jej Anna.

Nicky zaczerpnęła głęboko tchu. - W środę wieczorem siedziałam w mieszkaniu i oglądałam wiadomości telewizyjne. Nasz rzymski korespondent donosił o strzelaninie

na wiecu politycznym pod Rzymem...

- Czytałem o tym w czwartkowym wydaniu *Daily Telegraph* - odezwał się Filip. - Sugerowano, że mogła to być próba zabójstwa... dokonana przez członka partii opozycyjnej. Czy tak?

- Zgadza się - odparła Nicky. - Ale wracając do mego opowiadania: kiedy Tony Johnson, ten korespondent z Rzymu, kończył już relację, kamera pokazała tłum zgromadzony wokół miejsca zdarzenia. I nagle ujrzałam tam czyjąś twarz... - Nicky nachyliła się do przodu, spłotła nerwowo dłonie i dokończyła cichym, lecz pełnym napięcia głosem: - To był Charles. Ta twarz w tłumie to twarz Charlesa!

Anna wyprostowała się gwałtownie na sofie, zatopiła wzrok w Nicky. Była tak zaskoczona, że nie mogła się zdobyć nawet na jedno słowo.

- To niemożliwe, Nicky! - zawołał Filip. - Przecież w październiku upłynęły trzy lata, odkąd Charles nie żyje. Utopił się przy Beachy Head.

- Ale czy to pewne? - Nicky spojrzała na niego badawczym wzrokiem. - Do tej pory nie odnaleziono ciała i jeśli mam być szczerą, to mnie zawsze zastanawiało. - Ku własnemu zdumieniu stwierdziła, że jej głos brzmi zupełnie spokojnie. - Nie dziwię się, że mi nie wierzycie. Ja sama, kiedy na ekranie telewizora ujrzałam twarz Charlesa, byłam przekonana, że to złudzenie. A jednak wiem...

- Jeśli wierzysz, że Charles żyje, musisz zarazem sądzić, że upozorował własną śmierć! - Głos Anny wyrażał irytację. - Dlaczego mój syn miałby zrobić coś takiego?

- Nie wiem, Anno.

- I w jaki sposób miałby to zrobić? - Anna nie dawała za wygraną.

- To akurat mogę sobie wyobrazić... Nie miałby z tym większych trudności.

- Doprawdy? - Filip przeszywał ją wzrokiem, zaintrygowany tą wypowiedzią. - A więc powiedz nam, słuchamy.

- Charles mógł mieć współnika - odparła, odwzajemniając jego spojrzenie. - Kogoś, kto pomógł mu upozorować śmierć, a potem zniknąć. Ta osoba, mężczyzna lub kobieta, miała dwie możliwości. Udała się z Charlesem do Beachy Head, Charles zaparkował jaguara w takim miejscu, aby rzucił się w oczy, a potem współnik odwiózł go do Londynu. Stamtąd Charles dostał się bez najmniejszego problemu na kontynent, samolotem albo pociągiem, posługując się fałszywym paszportem. Druga możliwość: współnik czeka w łodzi w pobliżu brzegu, w okolicach Beachy Head. Charles podpływa do łodzi, wchodzi na pokład, a potem przedostaje się promem przez kanał La Manche do portu we Francji.

- Moim zdaniem to trochę zbyt naciągnięte! - zaoponował Filip. - Zgadzam się pod tym względem z Anną. Czemu, na Boga, Charles miałby to zrobić?

Nicky potrząsnęła głową, po czym wzruszyła ramionami. - Sama roztrząsałam to na wszystkie strony, ale i tak nie wpadłam na nic sensownego. - Zawahała się i sprostowała: - Nie, to niezupełnie prawda. Widziałabym jeden ewentualny powód takiego zachowania.

- Jakiż to powód? - Anna ponownie wyprostowała się na sofie i wbiła wzrok w Nicky.

- Chciał rozpocząć nowe życie.

- Bzdura! - zawołała Anna. - On cię kochał, chciał, żebyś została jego żoną, a poza tym dopisywało mu szczęście; był człowiekiem sukcesu o szerokich perspektywach.

- To wszystko prawda - przyznała Nicky. - Ale może jednak, gdyby wejrzeć głębiej, dostrzeglibyśmy coś innego. - Spojrzała na Annę wymownie i wyjaśniła: - Niezależnie od tego, czy Charles popełnił samobójstwo, czy też upozorował śmierć, wniosek nasuwa się tylko jeden: on wcale nie czuł się szczęśliwy. W przeciwnym razie nie postąpiłby ani tak, ani tak. Należy przypuszczać, że był rozczarowany wszystkim w swoim życiu, również mną.

Anna otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem najwidoczniej zmieniła zdanie. Z zaciśniętymi wargami siedziała w milczeniu, wpatrując się w Nicky. Dłonie splecione na brzuchu zaciskały się raz po raz nerwowo.

- W tym, co mówi Nicky, coś jest, kochanie - odezwał się Filip, ujmując jej obie ręce. - My też doszliśmy przed trzema laty do przekonania, że Charles musiał mieć jakieś kłopoty lub zmartwienia, może nawet był chwilowo załamany, skoro zdecydował się targnąć na własne życie. - Przeniósł wzrok na Nicky i oświadczył zdecydowanym tonem: - Bo jestem pewien, że tak właśnie było. Wiesz, moja droga, podobno każdy z nas ma swego sobowtóra, człowieka o identycznym wyglądzie, który żyje sobie gdzieś na świecie. Czy nie mogło się zdarzyć, że widziałas w telewizji kogoś, kto jest po prostu bardzo podobny do Charlesa?

- Filip ma rację - wtrąciła Anna. - Uwierz nam, kochanie: mój syn popełnił samobójstwo, gdyż z jakiegoś powodu znalazł się w stanie depresji psychicznej.

- Chciałabym móc w to wierzyć.

- Musisz uwierzyć dla własnego dobra. - Anna nachyliła się ku niej i mówiła dalej, starannie dobierając słowa:

- Powszechnie wiadomo, że młode kobiety, które owdowiały, często odczuwają wyrzuty sumienia, kiedy wiążą się z innym mężczyzną. Nie byłaś jeszcze wprawdzie żoną Charlesa, ale miałaś nią zostać. Może czujesz się winna z powodu Clee i wierząc, że Charles żyje, stwarzasz sobie pretekst do zerwania z Clee. Może po prostu...

- Nie, Anno! Nic podobnego! - zaprotestowała gwałtownie Nicky. - Przede wszystkim wcale nie czuję wyrzutów sumienia ze względu na Clee. Po drugie, nie jest to moje pobożne życzenie, że Charles żyje, nie było to złudzenie, gdy ujrzałam go na ekranie telewizora. Ja dobrze wiem, kogo widziałam.

- Ludzie, którzy znikają i podszywają się pod nową tożsamość, są z natury bardzo przebiegli i nieszczerzy - odparowała Anna. - Mój syn nie był taki. A zresztą Charles nie zachowałby się tak okrutnie wobec mnie i ciebie. Przecież kochał nas obie!

Nicky otworzyła torebkę, wyciągnęła z niej kopertę. - Tamtego wieczoru, w środę, byłam tak samo wstrząśnięta i zaskoczona, jak ty i Filip teraz. Ale potem, kiedy już doszłam do siebie, poleciałam natychmiast do studia, gdzie jeden z techników odtworzył dla mnie ten fragment wiadomości, który dotyczył Rzymu, i zastopował klatkę z Charlesem, żebym mogła przyjrzeć się dokładnie twarzy w tłumie. Zrobiłam to oczywiście. Co więcej, wzięłam mego polaroida i sfotografowałam tę scenę, a potem technik zrobił to samo ze swego aparatu. Następnego

dnia rano dał mi gotowe zdjęcie. Niezależnie od tego porównałam w mieszkaniu zdjęcie z polaroida z fotografią Charlesa. - Nicky otworzyła kopertę i wyciągnęła parę zdjęć.

Podając jedno z nich Annie wyjaśniła: - To zrobiłam, kiedy miałam tę stopklatkę. Jak widać, mężczyzna ma tu ciemniejsze włosy niż Charles, no i wąsy. - Podała Annie następną fotografię. - A tu Charles we Francji... tego samego roku, kiedy utopił się albo zniknął. Przyciemniłam mu trochę włosy i dorysowałam wąsy, takie jak u mężczyzny z wiadomości. Przyjrzyj się dobrze obu fotografiom, Anno. Jestem przekonana, że to jeden i ten sam człowiek.

- Och, sam już nie wiem - mruknął Filip po obejrzeniu zdjęć. - Raczej słabe podobieństwo, nie sądzisz, Anno?

Nie odpowiedziała. Z uwagą studiowała fotografie, a na jej twarzy malowała się głęboka zaduma.

- I jest jeszcze zdjęcie zrobione przez technika - powiedziała Nicky. - Jest duże i wyraźniejsze od mojego. Z całą pewnością mężczyzna w Rzymie to Charles... Charles o nieco zmienionym wyglądzie, Przyjrzyjcie się dokładnie. Nie można temu zaprzeczyć, prawda, Anno?

- Tak, istnieje duże podobieństwo - przyznała cicho Anna. - Ale nadal nie jestem pewna, czy to Charles. Przecież to niemożliwe, to nie może być on!

- Właściwie dlaczego nam o tym powiedziałaś, Nicky? Czego się po nas spodziewasz w związku z tą sprawą? - Głos Filipa zmienił nagle brzmienie, zdradzał silną irytację.

- Nie jestem tego pewna - przyznała. - Ale prócz ciebie i Anny nie znam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć z tak delikatnego problemu. A zresztą wy dwoje znaliście Charlesa najlepiej.

- Muszę stwierdzić, moja droga, że bardzo się o ciebie martwię - mruknął Filip, potrząsając ze smutkiem głową.

- I jestem pewien, że Anna też.

- To prawda - przytaknęła Anna.

Filip mówił dalej: -Niewątpliwie cała ta sprawa nie daje ci spokoju i nadal myślisz, że Charles żyje. Byłoby dla ciebie lepiej, Nicky, gdybyś nie obstawała przy tym tak mocno. Zadręczysz się tylko! Pozwól sobie powiedzieć: jeśli o mnie chodzi, nie wierzę, że Charles żyje. Ty też w to nie wierzysz, prawda, Anno?

- Oczywiście, że nie. Posłuchaj, Nicky... - Głos Anny przybrał teraz ton łagodny i czuły. - To niemożliwe, aby Charles żył, uwierz mi. Jestem jego matką. Gdyby żył, czułabym to w głębi serca, podpowiedziałby mi to instynkt macierzyński. Nie pozwól, aby Charles dręczył cię w ten sposób, kochanie. Dla własnego dobra pozwól, aby spoczywał w pokoju. Zrób to dla siebie i dla Clee. Masz zacząć nowe życie u jego boku. Charles to już przeszłość. I powinnaś się z tym pogodzić.

Powiodła po nich wzrokiem, dostrzegła na twarzach Anny i Filipa współczucie połączone z lękiem i nagle przyszło jej do głowy, że uważają ją za osobę nie zrównoważoną, miewającą urojenia. A skoro tak, nie może im już nic powiedzieć na temat Charlesa.

Westchnęła głęboko. - Przyniosłam wam te zdjęcia, gdyż sądziłam, że ujrzycie na nich to samo co ja... Szukałam chyba u was potwierdzenia, ale żadne z was nie może mi tego dać. Myślę, że... już rozumiem...

Anna zerwała się z miejsca, usiadła obok Nicky na sofie, ujęła jej dłoń i zatroskana spojrzała jej w oczy. Po chwili powiedziała powoli, łagodnie: - Zastanówmy się nad charakterem Charlesa. Był człowiekiem nadzwyczaj

łagodnym, czułym i serdecznym. Wiesz o tym tak jak ja z własnych obserwacji. Był również człowiekiem wyjątkowo prawym. Boże można by rzec, że był uosobieniem honoru. Każdy, kto znał Charlesa, wiedział, ile znaczy dla niego słowo. Był prawdziwym dżentelmenem w pełnym tego słowa znaczeniu, nigdy nie zrobił nic niegodziwego. To byłoby wbrew jego naturze.

Umilkła i jej oczy wypełniły się łzami, kiedy pomyślała znowu o swoim synu, o jego zaletach i o czekających go perspektywach. - Charles był wspaniałym człowiekiem, Nicky, przyzwoitym, wolnym od zła. Nie było w nim fałszu i nawet, gdyby miało od tego zależeć jego życie, nie zdobyłby się na oszukiwanie innych. Wydałam go na świat i wychowałam, znam go jak nikt inny, zwłaszcza że wyrastał bez ojca. - Głos jej zadrżał, kiedy dodała: - Nic i nikt nie przekona mnie, że Charles upozorował swoje zniknięcie. Po prostu wiem, że tego nie zrobił. Nie byłby do tego zdolny, nie on, nie Charles Devereaux, mój syn. - Z trudem powstrzymała się od łez.

- Och, Anno, nie chciałam ci sprawić bólu, proszę, uwierz mi! - zawołała Nicky. - Ale musiałam przyjechać tu i powiedzieć ci o wszystkim! Pewnie uważasz mnie za obłąkaną...

- Nie, wcale nie! - zaprotestowała Anna. - Ani ja, ani Filip nie myślimy tak o tobie!

- Oczywiście, że nie. - Filip uśmiechnął się do Nicky. - Ale nie wierzę, że Charles żyje. Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Nicky. Mówiłem ci już o tym.

- Ale ludzie czasem znikają i robią to z powodzeniem! - Nicky postanowiła nie dawać za wygraną. - Na przykład lord Lucan, którego ciała nigdy nie odnaleziono. Na pewno

pamiętacie tę sprawę? Z tego, co wiemy, można wywnioskować, że Lucan żyje sobie spokojnie gdzieś daleko. W Ameryce Południowej. Na Bora Bora. W jakimś mrocznym zakątku Afryki. I oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

- Wątpię. - Filip gwałtownie potrząsnął głową. - Jestem pewien, że Lucan nie żyje. Że tak, jak przypuszczano, utonął.

- A co z członkiem parlamentu Johnem Stonehouse'em? W latach siedemdziesiątych zniknął w bardzo zmyślny sposób - dodała czym prędzej Nicky.

- Tak, ale w końcu odnaleziono go - odparował Filip.

Anna głosem nabrzmiałym od smutku zakończyła dyskusję: - Nicky, mężczyzna na tych zdjęciach to nie Charles. Naprawdę, to nie on. Mój syn nie żyje.

Rozdział 24

W niedzielne popołudnie Nicky udała się na przechadzkę po posiadłości Pullenbrook.

Nieco wcześniej, kiedy w towarzystwie Anny i Filipa jadła lunch, cała trójka unikała jak ognia rozmowy o Charlesie, a apetyt dopisywał jedynie Filipowi. Ona i Anna zaledwie dłużyły w talerzu, natychmiast zaś po deserze z ulgą odeszły od stołu, dziękując grzecznie za kawę.

Nicky odczuła potrzebę spędzenia kilku chwil w samotności. Teraz, patrząc na krajobraz skąpany w blasku

słońca, oddychała już swobodniej. Opuszczało ją też z wolna napięcie.

Nieoczekiwanie napłynęły wspomnienia z przeszłości, niemal machinalnie skierowała się w stronę ogrodu różanego. Po chwili stanęła pod starymi drewnianymi drzwiami w omszałym murze i pchnęła je, przekręcając gałkę z kutego żelaza. Sześć kamiennych stopni wiodło w dół, do ogrodu, a kiedy Nicky postawiła nogę na najniższym schodku, znieruchomiała na moment, urzeczona pięknem roztaczającej się przed nią scenarii.

W Pullenbrook znajdowało się kilka ogrodów, ale dla Nicky ten właśnie był najładniejszy. Okolony szarym kamiennym murem, odznaczał się dobrze przemyślanym układem, z podziałem na rozmaite rabaty róż i innych kwiatów.

Zawiły układ ogrodu pochodził - jak powiedziała jej niegdyś Anna - jeszcze z osiemnastego wieku; również klomby o charakterystycznej ornamentyce tworzonej przez grządki kwiatowe i alejki. Środkową część ogrodu zdobił niewielki zielony trawnik, graniczący z różami parkowymi; klomby rozmieszczone były po wszystkich czterech stronach trawnika, tuż za różami.

Kamienne ogrodzenie porastały pnące róże o wielu odcieniach, od najbardziej bladych aż do jaskrawopurpurowych, a u jego podnóża widniały barwne plamy róż herbacianych i floribunda, jak również śnieżnobiałych odmiany „Góra lodowa”, które Anna otoczyła lawendą. Klomby obfitowały w rabatki najrozmaitszych roślin, w tym ziół takich jak hizop, tymianek, rozmaryn, ale również goździków, bratków i fiołków. Pomysł łączenia ziół z różami i innymi kwiatami narodził się w przeszłości wraz z powstaniem ogrodów w stylu Tudorów i Stuartów - tak przynajmniej opowiadała jej Anna.

Niezależnie jednak od piękna i wspaniałej woni ogród

różany miał dla Nicky szczególne znaczenie z innego powodu: tu po raz pierwszy spotkała Charlesa. Tu także uzmysłowiła sobie, że jest w nim zakochana, i tu Charles oświadczył się jej pewnego wieczoru, kiedy przechadzali się pomiędzy wonnymi krzewami.

Tę samą intensywną woń róż poczuła dzisiaj i tak jak wówczas niemal zakreśliło się jej w głowie. Machinalnie skreśliła w stronę starej drewnianej ławeczki, która stała w porośłym krzewami zakątku ogrodu w cieniu rozłożystego jawora. Tam usiadła i z zamkniętymi oczyma oparła się o drzewa, ale już po chwili otrząsnęła się z zadumy, otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła.

Bezchmurne niebo miało barwę nieskazitelnego błękitu; Charles mawiał zazwyczaj, że to kolor bławatków i że pasuje do jej oczu. Zapach róż upajał bardziej niż kiedykolwiek przedtem, gdzieś w górze brzęczała pszczoła. Właśnie w taki dzień jak ten poznała Charlesa Devereaux.

Osaczyły ją nagle niezliczone wspomnienia, czas cofnął się o cztery lata. Znowu było piątkowe popołudnie w czerwcu 1985 roku, dzień, w którym Charles wkroczył w jej życie. Jeszcze raz zamknęła oczy, przeżywając ten dzień na nowo...

* * *

Doskonała róża, pomyślała Nicky. Bardziej doskonałej nie widziałam od dawna. Była duża, w bladym perlisto-żółtym kolorze, w pełni rozwinięta, ale jeszcze nie przekwitła, krucha i delikatna, jakby w każdej chwili miała opaść. Nicky nachyliła się nad nią, musnęła koniuszkiem palca aksamitny płatek i chciwie wciągnęła czarowny zapach.

Dopiero teraz usłyszała kroki na ścieżce i odwróciła się. Jakiś mężczyzna zdązał w jej stronę, młody, najwyżej trzydziestoparoletni. Kiedy podszedł bliżej, zorientowała się, że nie jest dużo wyższy od niej, może metr siedemdziesiąt pięć, ale za to szczupły i dobrze zbudowany. Miał jasną cerę przyciemnioną opalenizną i kasztanowe włosy rozjaśnione od słońca. Mógł uchodzić za przystojnego, uwagę zwracały ostro zarysowane kości policzkowe, wyraziste rysy twarzy i wąski arystokratyczny nos.

- Jest pani córką Andrew - powiedział, pozerając ją wzrokiem i nie starając się nawet ukryć swego zaciekania jej osobą.

Wyciągnęła rękę i skinęła głową. - Nicky Wells.

- Charles Devereaux - odparł i uściśnął jej dłoń.

Miała przed sobą jego zielone oczy o czystym, niespotykanym odcieniu. Wpatrywali się w siebie długą chwilę, nie puszczać rąk, i Nicky uświadomiła sobie, że ogarniają spontaniczne uczucie sympatii do tego mężczyzny. Charles nie spuszczał z niej wzroku, pod wpływem tego spojrzenia twarz jej zaląła fala ciepła. Poczzerwieniała po same uszy.

- Cóż to, rumieniec, panno Wells? Czyżby nie nawykła pani jeszcze do męskich spojrzeń pełnych niemaskowanego zachwyty?

Gapiała się na niego oniemiała. Z pewnością należał do ludzi bezpośrednich i nieprzejmujących się zbytnio konwenansami. Zdązał prosto do celu. Bardzo śmiały jak na Anglika i do tego arystokratę, pomyślała i uśmiechnęła się w duchu. Doszła do przekonania, że chyba podoba jej się ta zuchwałość; było w niej coś odświeżającego, chociaż zarazem onieśmielającego. Z przyjemnością wsłuchiwała się w jego głos, głos Anglika z wyższych sfer.

Brzmiał jak głos aktora szekspirowskiego, był piękny, dźwięczny, melodyjny, o starannym rytmie. Richard Burton, przyszło jej nagle do głowy. Tak właśnie mówi Richard Burton.

- Jest pani małomówna - odezwał się Charles.

- O Boże, czyżbym wprawił panią w zakłopotanie, panno Wells?

- Nie, wcale nie. I proszę mówić mi Nicky.

- Świetnie. A ty wybac mi moje złe manieri. Jesteś piękna, czy wiesz o tym? Moim zdaniem jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Boże, uchowaj mnie przed uprzejmym Anglikiem prawiącym bezustannie komplementy!

- Z głową odchyłoną do tyłu obserwowała go bacznie, chociaż w jej oczach tańczyły wesołe iskierki.

- To nie był czczy komplement, mówiłem szczerze. Posłuchaj, może zjedlibyśmy razem obiad w poniedziałek wieczorem? W Londynie. Tylko ty i ja. Chciałbym poznać cię lepiej.

- Dobrze, zjem z tobą obiad. Bardzo chętnie - odparła ku własnemu zdumieniu.

- Wspaniale. Spędzimy kameralny wieczór w jakiejś małej restauracji. Zdaj się na mnie, znam takie miejsce. Zatrzymałaś się z rodzicami u Claridge'a?

- Tak.

- Przyjadę po ciebie o siódmej. Ale proszę, bądź punktualna. Nie zniósłbym tego, gdybym musiał czekać na kobietę. I ubierz się zwyczajnie. Restauracja, do której pójdziemy, nie należy do szczególnie wytwornych.

- Czy zawsze jest pan takim dyktatorem, panie Deveaux?

- Mów mi Charles. Nie, nie zawsze jestem taki. Wybac mi. Nie chciałem być nieznośny.

- Nie byłeś.
- Muszę ci coś wyznać.
- Och! Tak od razu? Dopiero się poznaliśmy! - zawołała żartobliwie, unosząc brwi.

Roześmiał się. - A więc nie tylko uroda, ale również poczucie humoru? To niemal nieprawdopodobne! - Roześmiał się ponownie i wyjaśnił swoim miodonośnym głosem: - Tydzień temu przyjechałem do hotelu po twoich rodziców, aby przywieźć ich tu na weekend. W ich apartamencie zauważyłem twoją fotografię. - Zaczerpnął głęboko tchu i zakończył powoli: - Od razu straciłem dla ciebie głowę.

Milczała. Nie śmiała nawet otworzyć ust.

Charles mówił dalej: - Twoja matka spostrzegła, że patrzę na to zdjęcie i opowiedziała mi o tobie.

- Znowu umilkł, a po chwili, patrząc jej prosto w oczy, dodał: - Od tamtej pory nie mogłem przestać o tobie myśleć.

- A ja od dawna już nie słyszałam nic przyjemniejszego dla ucha. - W głosie Nicky brzmiała żartobliwa kpina.

Charles zdobył się na uśmiech. - Mówię serio. Piętnaście minut temu, kiedy wszedłem do domu, przede wszystkim zapytałem matkę, gdzie jesteś. A potem od razu przybiegłem do ogrodu, aby cię zobaczyć.

- Posłuchaj, Charles... - zaczęła Nicky i natychmiast umilkła. Uświadomiła sobie nagle, że on mówi to wszystko poważnie, bardzo poważnie. - Naprawdę nie wiem, co powiedzieć - szepnęła. - Jak zareagować. Jesteś taki bezpośredni, nawet nieco agresywny... Zaskoczyłeś mnie. Jestem speszona.

- Tak jak ja.

Delikatnie oswobodziła dłoń i spojrzała na nią. Charles ścisnął ją tak mocno, że teraz widniały na niej wyraźne

ślady. Zauważył jej spojrzenie. - Przepraszam! - zawołał. - Czasem nie zdaję sobie sprawy, jaki jestem silny! - Ponownie ujął jej dłoń, podniósł do ust i musnął ją wargami.

Omali nie drgnęła gwałtownie na całym ciele. To dotknięcie było dla niej niczym wstrząs elektryczny. Czym prędzej cofnęła rękę i odwróciła wzrok, świadoma intensywnego spojrzenia jego zielonych oczu.

Nastała chwila milczenia, które przerwał Charles.

- Powiedz mi, co tu w ogóle robisz?

- Oglądam róże. - Starając się mówić normalnym tonem, dodała: - A właściwie tę jedną. To najwspanialsza róża ze wszystkich, jakie widziałam do tej pory. - Dotknęła palcem żółtych płatków. - Nie sądzisz?

Charles spojrział na różę, przeniósł wzrok na nią i wykrzyknął: - Masz oczy w kolorze bławatków! Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę drewnianej furtki w przeciwnym kierunku ogrodu.

- Wejdźmy na herbatę, nie pozostaje nam nic lepszego do roboty.

Przez godzinę, albo nawet dłużej, nie odstępował jej na krok. Niemal bez przerwy pozeriał ją wzrokiem, co nie uszło uwagi jej matki i Anny. W pewnej chwili wymieniły znaczące, rozbawione spojrzenia. Za to jej ojciec był zbyt zaabsorbowany rozmową z Filipem na temat Margaret Thatcher i brytyjskiej sceny politycznej, aby cokolwiek zauważyć. Obaj zaszyli się w kąt salonu i reszta świata przestała dla nich chwilowo istnieć.

Kiedy weszła potem na górę, aby przebrać się do obiadu, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła w swoim pokoju, była owa żółta róża, którą podziwiała w ogrodzie. Stała w kryształowym wazonie na nocnym stoliku przy łóżku, a

tuż obok leżała koperta z wypisanym na niej imieniem Nicky. W środku znajdowała się karteczka, na której ktoś ładnym, starannym charakterem pisma wykaligrafował: „Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie ani obrazić. Pomyśl o mnie ciepło. CD.”

Rzuciła kartkę na łóżko, podniosła wazon i przywarła twarzą do pąka róży, wdychając chciwie jej woń. Była pod urokiem Charlesa Devereaux. On doprowadził mnie do zguby, pomyślała i westchnęła, wiedząc, że nie jest w stanie temu zaradzić. Było już za późno. Zakochała się w nim w ciągu paru godzin, urzeczona jego spojrzeniem, jego głosem, poddała się jego czarowi, a nawet nieco władcemu sposobowi bycia. To wyjątkowy mężczyzna, doszła do przekonania, przebijając się na wieczór. Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś takiego jak on.

Kiedy ujrzała go w foyer, przed salonem, podziękowała za różę. Uśmiechnął się lekko i odparł: „Piękno zasługuje na piękno”, a potem asystował jej przez cały czas tak wytrwale, że zauważył to nawet ojciec.

Gdy szli już spać, Andrew wstąpił na chwilę do pokoju córki. - Nie chciałbym, abyś myślała, że wtrącam się w nie swoje sprawy, Nicky - powiedział cicho, kładąc jej delikatnie dłoń na ramieniu - ale znam Charlesa od kilku lat. To człowiek bardzo ruchliwy, wszędzie o nim głośno. I nawykł już do określonego sposobu traktowania kobiet.

- Wcale mnie to nie dziwi, tato - odparła. Spojrzała mu w oczy, tak samo niebieskie jak jej, i dojrzała w nich natychmiast głęboką troskę.

- Hej, tato, nie przejmuj się, potrafię zadbać o siebie! - Roześmiała się i cmoknęła go w policzek. - Pamiętaj, że jestem wytrawną dziennikarką, kobietą niezależną. Taką mnie wychowałeś.

Andrew kiwnął głową. - Wiem o tym, kochanie. Matka i ja wpajaliśmy ci najlepsze cechy. I wiem, że potrafisz o siebie zadbać. Przecież nawet twój zawód zmusza cię, abyś radziła sobie w wielu niebezpiecznych sytuacjach. Ale teraz nie masz do czynienia z pracą, a Charles Devereaux to szczególny rodzaj mężczyzny. Studiował w Eton, Oxfordzie, należy do arystokracji brytyjskiej, ma bardzo czcigodny rodowód bez jednej skazy. Nie zapominaj, że jego dziadek był członkiem Izby Lordów, jego wuj również jest parem i także jego matka może poszczycić się wspaniałym tytułem.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz, tato.

- Arystokracja brytyjska to świat sam w sobie, niezwykle snobistyczny i hermetyczny, raczej zamknięty dla innych.

Nicky roześmiała się. - Nie mogę wprost uwierzyć, że słyszę coś takiego z twoich ust, ojczu! Czyżbyś sugerował, że mogłabym zostać uznana za partię nieodpowiednią dla Charlesa Devereaux, tylko dlatego że jestem Amerykanką?

Andrew zawtórował jej śmiechem. - Nie, to niezupełnie tak. Moim zdaniem, kochanie, stanowiłabyś odpowiednią partię dla każdego. Dla wielu mężczyzn byłabyś nawet za dobra.

- Oto przemówił kochający, oddany córce ojciec.

- Po prostu chciałem ci uzmysłowić fakt, że ty i on pochodzicie z całkowicie odmiennych światów. Chcę cię również ostrzec: Filip powiedział mi kiedyś, że Charles jest w pewnym sensie typem playboya. To wszystko.

- Potrafię sobie poradzić, tato, uwierz mi.

- Wiem. Ale uważaj na siebie.

- I miej otwarte oczy. Tego właśnie mnie uczyłeś, kiedy byłam małą. Uważaj na siebie i miej szeroko otwarte

oczy, Nick. Tak też zawsze postępowałam i nigdy nie zapomniałam twoich instrukcji, tatusiu - zakończyła, tłumiąc śmiech.

Przytulił ją do siebie. - Jesteś kochana, Nick. I jesteś oczkiem w mojej głowie. Nie ma drugiej takiej jak ty. Po prostu chciałbym zaoszczędzić ci niepotrzebny ból. A teraz śpij już, kochanie, dobranoc.

Całą sobotę spędziła razem z Charlesem; poznali się lepiej w trakcie przejażdżki jego landroverem po całym Pullenbrook. Szybko przekonała się, że jest czytany, wykształcony, wyjątkowo inteligentny, zna się doskonale na polityce, polubiła go również jako człowieka, niezależnie od tego, że pociągał ją jako mężczyzna.

Tego samego dnia Anna wydała przyjęcie i zaprosiła na wieczór kilka małżeństw. Jednakże Charles nie dostrzegł żadnych gości, widział jedynie ją. Ona zaś ulegała temu czarowi, choć udawała obojętną, świadoma obecności ojca, który niemal przez cały wieczór nie spuszczał jej z oka.

Kładąc się do łóżka czuła, że ogarnia ją euforia. Nie mogłaby teraz zasnąć. Usiadła przy oknie i rozmarzona chłonęła wzrokiem krajobraz uśpiony w poświacie księżycy, chociaż tak naprawdę rozmyślała tylko o Charlesie. W pewnej chwili usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Podeszła do nich, otworzyła i nawet nie odczuła zdziwienia na widok Charlesa. Bez słowa wszedł do pokoju, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

- Przepraszam za najście o tak późnej porze -szepnął - ale nie mogłem spać. Musiałem tu przyjść i zobaczyć cię, choćby przez krótką chwilę.

Postąpił krok do przodu, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Poczułem nieodparte pragnienie... aby

pocałować cię na dobranoc. - Spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się przelotnie i przywarł ustami do jej warg. Objęła go za szyję, on zaś natychmiast przytulił ją jeszcze mocniej, a potem rozluźnił uścisk i wyszeptał w jej włosy: - Chcę się kochać z tobą, Nicky. Pozwól zostać mi tu na noc... Nie odsyłaj mnie.

Milczała.

Pocałował ją ponownie, jeszcze namiętniej niż przed chwilą; odruchowo, nie panując nad sobą, przytuliła się do niego całym ciałem.

- Och, kochanie... - szepnął, muskając ustami jej policzek. - Proszę, pozwól mi zostać.

- Ale przecież ja prawie cię nie znam... - zaczęła i urwała niezdecydowanie. Traciła resztki odwagi, ogarniał ją lęk. Charles Devereaux miał w sobie coś, co czyniło ją uległą. Był niebezpieczny. Uświadomiła sobie nagle, że jest w jego mocy.

Ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał głęboko w oczy, a potem powiedział czule: - Och, Nicky. Nicky, nie oszukujmy się wzajemnie. Jesteśmy dorośli, dojrzały, wiemy czego chcemy! - Znowu uśmiechnął się przelotnie i dodał: - Czy naprawdę sądzisz, że w poniedziałek będziesz znała mnie lepiej niż teraz? Co za różnica, kochać się dziś albo czekać jeszcze dwa dni?

Pocałował ją namiętnie w usta, a potem wypuścił z objęć i gdy stała tak pośrodku pokoju, podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Następnie wrócił do niej, zdjął swój jedwabny szlafrok, rzucił go na krzesło i począł rozpinać górę pizamy. Niskim, kuszącym głosem powiedział: - Wiesz dobrze, że pragniesz mnie tak gorąco jak ja ciebie, Nicky. Masz to wypisane na twarzy. - Nie zwracając najmniejszej uwagi na jej milczenie, pewny siebie, a nawet władczy, ujął ją za rękę i poprowadził w stronę łóżka z baldachimem.

* * *

Nicky wyprostowała się na ławeczce i sięgnęła do kieszeni po okulary słoneczne. Zakładając je, poczuła na policzkach wilgoć i zaskoczona uświadomiła sobie, że płacze. Ale nie, nie będzie już przelewać łez za Charlesa Devereaux! Przełała ich dosyć przed laty!

Zerwała się na równe nogi i ruszyła przed siebie ścieżką pomiędzy klombami. Chciała otrząsnąć się z przeszłości, odrzucić wspomnienia. Machinalnie zbliżyła się do kamiennych schodków, weszła wyżej, przekręciła żelazną gałkę i opuściła ogród.

Po chwili stanęła w miejscu, skąd roztaczał się widok na Pullenbrook. I znowu pomyślała z zachwytem o pięknie tego dworu, skąpanego w blasku przedwieczornego słońca. Ciepłe promienie ożywiły stare szare mury, okna błyszcząły, zdawały się mrugać zachęcająco, aby przyciągnąć gościa. Anna mówiła prawdę, opowiadając tamtego dnia o swoim domu: Nicky rzeczywiście pokochała Pullenbrook natychmiast, gdy ukazało się jej oczom. Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

W tamten pamiętny piątek, pomyślała wpatrzona w imponującą budowlę związaną nierozzerwalnie z historią Anglii i dziejami rodu Cliffordów, została usidlona. Tak, usidlona: przez mężczyznę, kobietę i ich okazały dom. Pokochała ich wszystkich. Od pierwszej chwili. Uczuciem tym darzyła nadal Annę i dom. Co do Charlesa... miłość do niego zgasała przed trzema laty.

Kiedy parę minut później weszła do środka, hall tonął w ciszy i w przyćmionym blasku słońca. Jej uwagę przyciągnęły portrety rodzinne wiszące nad kominkiem. Przyglądała się im przez chwilę, pogrążona w zadumie,

i nagle pomyślała: Charles Adrian Clifford Devereaux pochodził z rodu, którego członkowie, magnaci i rycerze, od wielu pokoleń służyli królestwu. Był prawdziwym arystokratą w najlepszym tego słowa znaczeniu, honor wyssał z mlekiem matki, podobnie uczciwość i poczucie sprawiedliwości. Był dobrym i przyzwoitym człowiekiem. W przeciwnym razie nie byłabym w stanie pokochać go tak gorąco. Z całą pewnością nie mogłabym obdarzyć uczuciem człowieka mało wartościowego, który z zimną krwią upozorowałby własną śmierć, sprawiając tym samym ból nie tylko mnie, ukochanej kobiecie, ale również matce. Nigdy nie zgodziłabym się poślubić takiego mężczyzny. Nigdy.

Usłyszała nagle odgłos zbliżających się kroków i odwróciła się. Anna, z wyrazem troski na twarzy, podeszła do niej i ujęła ją pod ramię. - Dobrze się czujesz, kochanie?

Nicky kiwnęła głową, zdobyła się nawet na nikły uśmiech.

- Wybiegłaś z pokoju tak prędko, że zaczęliśmy się niepokoić. Mam nadzieję, że nie pogniewałaś się na mnie ani na Filipa?

- Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. - Nicky odchrząknęła, po czym mówiła dalej: - Rozmyślałam o Charlesie i doszłam do przekonania, że to ty masz rację, Anno. Charles nie był człowiekiem, który zdobyłby się na takie oszustwo, nie należał do ludzi chytrych i przebiegłych. Jestem teraz skłonna przyznać rację tobie i Filipowi: mężczyzna sfilmowany przez naszego korespondenta w Rzymie jest po prostu podobny do Charlesa.

Anna spojrzała na nią ze zdumieniem, natychmiast jednak wzięła się w garść. - To zdecydowana zmiana

stanowiska - powiedziała. - Czy nie mówisz tego tylko po to, aby sprawić mi przyjemność?

- Nie, to nie w moim stylu. Na tyle mnie chyba znasz. Zawsze mówię to, co myślę, nie tylko w pracy, ale również w życiu osobistym.

Anna ruszyła ku drzwiom, które prowadziły do prywatnych komnat zamku, ale Nicky pośpieszyła za nią i ujęła ją pod ramię. - Bardzo cię przepraszam za całe zamieszanie - szepnęła. - Naprawdę mi przykro. Nie chciałam sprawiać ci przykrości, a tym bardziej bólu, zjawiając się tu... z tą historią i zdjęciami.

- Wiem o tym. Postąpiłaś tak, bo w tych okolicznościach uważałaś to za niezbędne.

- Nie miałam zamiaru poruszać tego tematu dzisiaj - Nicky energicznie potrząsnęła głową. - Naprawdę. Chciałam opowiedzieć ci o wszystkim jutro, żeby nie psuć tego dnia, kiedy ogłosiłaś wasze zaręczyny. Ale rano byłam okropnie roztrzęsiona, miałam bezsenność... Zanim się zorientowałam, co robię, wypaplałam wszystko, co leżało mi na sercu.

- Ostatecznie nie stało się nic złego. Cieszę się, że masz do mnie zaufanie i że przyszedłaś z tym do mnie... - Anna uśmiechnęła się przyjaźnie. - A przynajmniej dzięki temu odnowiliśmy nasz kontakt.

- Tak, to prawda.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała łagodnie Anna - jestem absolutnie przekonana, że Charles popełnił samobójstwo. Ale nie dowiemy się nigdy, dlaczego to zrobił. Miał po co żyć i dla kogo. Z biegiem czasu zaczęłam wierzyć, że był chory. Mam na myśli chorobę ciała, nieuleczalną, na przykład nowotwór, guz na mózgu, białaczkę, coś w tym stylu. W przypadku tak straszliwej choroby

mógłby ją przed nami zataić. Myślę, że odebrał sobie życie, aby zaoszczędzić nam bólu, a sobie cierpień. Według mnie to jedyne wiarygodne wyjaśnienie całej sprawy.

- Śmierć Charlesa będzie już zawsze okryta tajemnicą
- szepnęła Nicky jakby do siebie.

* * *

Kiedy Nicky udała się na górę, aby zażyć odpoczynku przed kolacją, Anna wróciła do hallu i zamknęła starannie frontowe drzwi. Następnie pośpieszyła do skrzydła zamku, które zajmowała.

Przedtem siedziała z Filipem w salonie, pijąc herbatę. Zostawiła go samego, kiedy poszła szukać Nicky. Teraz, zaglądając przez otwarte drzwi, zorientowała się, że Filipa nie ma już w pokoju.

Może on też poszedł do siebie odpocząć trochę, pomyślała idąc korytarzem w stronę biblioteki. Chciała uratować niedzielne wydania gazet, zanim Inez zgarnie je na jeden stos i wyrzuci.

Drzwi biblioteki były uchylone, a z wewnątrz dobiegał ją przytłumiony głos Filipa. Najwidoczniej rozmawiał z kimś przez telefon. Chcąc jak najszybciej opowiedzieć mu o zaskakującej zmianie zdania Nicky, Anna pchnęła drzwi. Filip siedział na brzeżku biurka, plecami do niej. Zanim zdołała się odezwać, usłyszała jego głos: - ...i nie daję za wygraną. Jest jak pies, który nie chce puścić kości... - Milczał chwilę ze słuchawką przy uchu, po czym krzyknął: - Nie, nie! Rzym!

Anna weszła już do pokoju. - Filipie - szepnęła cicho. - Chciałam ci coś powiedzieć.

Drgnął i jednym ruchem odwrócił się do niej. Na jego twarzy rysowało się zaskoczenie.

Nieco nerwowo kiwnął jej głową i rzucił do słuchawki:
- Posłuchaj, muszę już kończyć. Zadzwoń jutro, a zresztą... jutro się zobaczymy. - Gwałtownie odłożył słuchawkę.

Anna podeszła do biurka, zmarszczyła nieznacznie brwi. - Wydaje mi się, że mówiłeś o Nicky, Filipie. Z kim rozmawiałeś?

- Z synem. Rozmawiałem z Timothyem, moja droga - odparł natychmiast z uśmiechem.

- O Nicky? - zapytała zdumiona.

- Tak. Kiedy po powrocie z Lipska rozmawiałem z Timem, prawie obiecałem mu, że przyjadę dziś do miasta i zjem z nim kolację. Teraz odwołałem to, a kiedy zapytał dlaczego, wyjaśniłem tę sprawę z Nicky i jej szaloną historijką o tym mężczyźnie z Rzymu.

- A dlaczego odwołałeś wasze spotkanie? Nie musiałeś przecież, wiesz o tym doskonale. Gdybyś pojechał do syna, nie miałabym ci tego za złe.

- Kochanie, czy sama tego nie rozumiesz? Nie chciałem zostawiać cię dzisiaj samej! - zawołał Filip. - Widziałem, że jesteś tym wszystkim trochę przybita, i czułem, że powinienem spędzić ten wieczór razem z tobą. Nie tylko powinienem, ale chcę. A z Timem mogę spotkać się jutro.

- Rozumiem - odparła i obrzuciła go osobliwym spojrzeniem.

Rozdział 25

W poniedziałek wieczorem Nicky wsiadła na pokład ostatniego tego dnia samolotu do Rzymu.

Już w górze usadowiła się wygodniej w fotelu, wyciągnęła z torebki notatnik i zaczęła przeglądać zapiski, jakie poczyniła wcześniej w swoim apartamencie hotelowym. Następnie schowała z powrotem notatnik i sięgnęła po kieliszek białego wina, podany przed chwilą przez stewardesę. Usiłując odnaleźć spokój ducha, upiła parę łyków, jednak bezskutecznie. Myśli kłębiły się jej w głowie niezmiennie i bezustannie już od paru dni.

Mimo rozmowy, jaką przeprowadziła z Anną i Filipem w Pullenbrook, intuicja podpowiadała jej, że mężczyzną uchwyconym obiektywem kamery przez dziennikarza ATN w Rzymie nie był nikt inny jak Charles Devereaux. A ponieważ ojciec twierdził zawsze, że powinna polegać na swojej intuicji, teraz właśnie szła za jego radą.

Odstawiła kieliszek z winem i ponownie sięgnęła po torebkę, z której tym razem wyciągnęła zdjęcia zrobione ze stopklatki serwisu informacyjnego przez Dave'a, technika ze studia telewizyjnego. Kilka chwil wpatrywała się w nie intensywnie, tak jak czyniła to często od ostatniej środy. Wielokrotnie usiłowała wmówić sobie, że się myli, ale każdorazowo powracała potem do swojej pierwotnej opinii: mężczyzną tym był Charles Devereaux.

Wczoraj, jeszcze w Pullenbrook, ogarnęły ją wątpliwości, związane zapewne z pobytem w tym domu, z historią reprezentowaną przez stare mury, z prestiżem rodu

i oczywiście z osobą samej Anny Devereaux. Skoro Anna twierdziła kategorycznie, że człowiek na fotografii nie jest jej synem, kto mógłby przekonać ją, że jest inaczej? Dlatego też w niedzielę po południu zaprezentowała całkowitą zmianę frontu i ku zdumieniu wszystkich, również samej siebie, oświadczyła, że podziela zdanie Anny.

Jednak dziś rano, siedząc w apartamencie hotelowym u Claridge'a, rozważyła wszystko od nowa i doszła do przekonania, że niesłusznie zmieniła pogląd na temat zniknięcia Charlesa.

Nie ma nic lepszego na wzięcie się w garść i całkowite otrzeźwienie niż zimny blask dżdżystego poniedziałkowego poranka w Londynie, pomyślała teraz, odkładając zdjęcie. Anna i Filip mówili, że człowiek z Rzymu jest po prostu podobny do Charlesa. Nie zgadzała się z tą opinią. Tu nie chodziło o zwykłe podobieństwo. Jeśli ten mężczyzna naprawdę nie jest Charlesem, to istnieje już tylko jedno wyjaśnienie: jest jego idealnym sobowtórem.

Tego ranka, kiedy siedziała w londyńskim hotelu głowiąc się nad rozwiązaniem problemu, wpadła raptem na doskonały pomysł. Jak zareaguje jego współnik na widok fotografii? Christopher Neald i Charles przyjaźnili się szmat czasu, prowadzili też razem interesy i zawsze byli sobie bliscy - odkąd ukończyli dwadzieścia lat.

Gnana nieodpartym impulsem podniosła słuchawkę i zatelefonowała do Chrisa, do Vintage Wines; jednak jego nowa sekretarka poinformowała ją, że Chris przebywa na urlopie. Dowiedziała się jeszcze, że „pan Neald wypoczywa na wyspach polinezyjskich, nie jest więc osiągalny, a do Anglii powróci najwcześniej w połowie września”.

Rozczarowana, przekazała więc jedynie wiadomość, że zadzwoni ponownie za miesiąc.

Wtedy właśnie postanowiła zbadać źródło materiału filmowego, rzymskie biuro ATN. Może Tony Johnson, szef filii w Rzymie, będzie w stanie udzielić jej pomocy. Może istnieją jeszcze inne zdjęcia, niewyemitowane przez satelitę do Nowego Jorku... Zdjęcia, które przyczyniłyby się do wyjaśnienia zagadki.

Teraz, lecąc do Rzymu, zaczęła się zastanawiać, czy nie szuka przypadkiem igły w stogu siana. W jaki sposób mogłaby wpaść na trop mężczyzny, który tak skutecznie zniknął trzy lata temu? Mężczyzny, który najwidoczniej nie chce być odnaleziony i którego obecność w Rzymie wyszła na jaw - a właściwie dowiedziała się o tym tylko ona - dzięki przypadkowi, lub - jak kto woli - zrządzeniu losu, czy szczęśliwemu trafowi. Gdyby kamerzysta ATN nie skierował owego dnia kamery akurat na tę twarz w tłumie i gdyby ona nie oglądała dziennika telewizyjnego akurat w tym momencie, nie miałyby o niczym zielonego pojęcia. Wystarczyłoby, żeby wyszła na chwilę z pokoju do kuchni po szklanekę wody albo gdyby rozmawiała z kimś przez telefon i nie spojrziała na ekran w tym ułamku sekundy, kiedy mignęła tam jego twarz... Ale takie jest życie - pełne przypadkowych zbiegów okoliczności. To było mi pisane, pomyślała i wzdrygnęła się mimo woli.

Poprawiła się na siedzeniu i wyjrzała przez szybę w mroczną przestrzeń nocy. Sama nie wiedziała, dlaczego tak uporczywie zajmuje się tą sprawą, dlaczego tropi ją tak gorliwie. Odpowiedź niemal natychmiast napłynęła sama: będąc z natury osobą dociekliwą, a do tego dziennikarką, po prostu nawykła do poszukiwania prawdy.

Musi to wiedzieć. Tak została wychowana. Było w tym wszystkim jeszcze coś: pragnęła wreszcie zamknąć ten rozdział w swoim życiu, który niegdyś koncentrował się na osobie Charlesa Devereaux. Nie, nie żywiła już do niego żadnych głębszych uczuć. Tamte, które istniały, rozwiały się definitywnie dawno temu. Nie chciała jednak dopuścić do tego, aby widmo Charlesa prześladowało ją w dalszym ciągu.

W jej życiu pojawił się przecież Cleeland Donovan, człowiek wyjątkowy, który od kilku miesięcy znaczył dla niej coraz więcej. Była to wspaniała szansa na ułożenie życia od nowa, o ile zdołaliby uporać się ze wszystkimi przeszkodami. Wierzyła, że nie zaprzepaszczą tej szansy; wystarczy, jeśli oboje zdobędą się na drobne kompromisy.

Clee to przyszłość. Jej przyszłość. Dlatego właśnie nie wolno pozwolić, aby zawisły nad nimi chmury z przeszłości. Chciała i musiała być uwolniona od cieni przeszłości. Dla Clee.

Tak jak to zdarzało się często w ostatnim okresie, jej myśli skoncentrowały się na Clee. I jak zwykle, poczuła upojną falę ciepła, ogarniającą ją całą. Była szczęśliwa wiedząc, że w jej życiu jest Clee i że ją kocha - nawet jeśli chwilowo znajdował się z dala od niej. Na szczęście przed wyjazdem na lotnisko udało jej się z nim porozmawiać; po południu zatelefonowała do Berlina Zachodniego, gdzie Clee zatrzymał się w hotelu Kempiański, i poinformowała go, że leci służbowo na parę dni do Rzymu.

Znając charakter pracy dziennikarskiej, nie był tym zaskoczony, jej nagłą podróż uznał za rzecz zupełnie naturalną.

- Czyżby w Rzymie zanosilo się na coś interesującego?
- zapytał tylko. Roześmiał się i dodał: - Coś mi się wydaje, Nick, że wpadłaś na jakiś niezwykły pomysł.

W paru szybkich słowach zapewniła go, że wcale nie chodzi o coś szczególnego, że chce jedynie przygotować program o Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej i zmianach, jakie nastąpią nieuchronnie po obaleniu wszelkich barier i granic. - W późniejszym terminie będę musiała przeprowadzić wywiady z politykami poszczególnych krajów, a teraz chciałabym przypatrzeć się sytuacji w Rzymie, tak jak zrobiłam to w Londynie - wyjaśniła, uciekając się do paru niewinnych kłamstw.

Oczywiście wyraził zrozumienie dla jej inicjatywy, następnie porozmawiali o jego rychłej podróży do Lipska, umówili się też, że będą w kontakcie telefonicznym lub - o ile okaże się to konieczne - będą się kontaktowali przez paryskie biuro Image. Zgodnie z planem mieli spotkać się za tydzień w Paryżu.

- Ciao, Nick - zakończył rozmowę Clea. - Nie mogę się już doczekać tego dwudziestego ósmego.

- Ja też, najdroższy - odparła i odłożyła słuchawkę.

Rozpamiętując tę rozmowę, zamknęła oczy. Nieoczekiwanie poczuła się senna i pomyślała, że to z powodu wina. Tęskniła za Clea całym sercem, bardziej niż za kimkolwiek innym w przeszłości. Raptem przyszło jej do głowy, że gdyby Clea dowiedział się, jaki jest prawdziwy powód jej podróży do Rzymu, mógłby mieć jej to za złe. Drgnęła zaskoczona i wyprostowała się na siedzeniu.

Może powinnam powiedzieć mu o tym, kiedy się spotkamy, pomyślała. Do poniedziałku powinnam znać już wszelkie odpowiedzi na temat Charlesa. A może niczego

się nie dowiem? W każdym razie decyzję o tym, czy zwię-
rzyć się w tej sprawie Cleelandowi, czy nie, podejmę do-
piero po poniedziałku, nie wcześniej. Mogę opowiedzieć
mu o wszystkim wyłącznie w cztery oczy, nie przez tele-
fon. W przeciwnym razie byłby gotów rzucić wszystko i
najbliższym samolotem przylecieć do Rzymu. A to nie
jest potrzebne.

* * *

Dwie i pół godziny po starcie z Heathrow samolot wy-
lądował punktualnie na rzymskim lotnisku imienia Le-
onarda da Vinci. Formalności celne zostały załatwione
szybko i sprawnie, a kilka minut później Nicky opuściła
lotnisko i natychmiast ujrzała samochód, którego kie-
rowca trzymał w górze tabliczkę z jej nazwiskiem.

Po trzech kwadransach jazdy samochód zatrzymał się
przed hotelem Hassler w pobliżu kościoła Trinità di
Monti u podnóża słynnych i pięknych Hiszpańskich
Schodów*. * Monumentalne schody ze 137 stopniami na Placu
Hiszpańskim w Rzymie, zbudowane w 1723 r. - przyp. tłum. Kiedy
przyjechała tu po raz pierwszy z rodzicami, była jeszcze
dzieckiem. Od tamtej pory każdorazowo, gdy przebywała
w Rzymie, zatrzymywała się w hotelu Hassler. Szef noc-
nej zmiany poznał ją natychmiast, pamiętał nawet nazwi-
sko, a kiedy załatwiła już formalności meldunkowe, od-
prowadził ją do apartamentu, zabawiając po drodze przy-
jacielską pogawędką.

Wkrótce została sama. Podeszła do okna, rozsunęła
zasłony i wyjrzała na ulicę. Panorama Rzymu zapierała
dech w piersiach; był to ocean migotliwych światel pod

granatową kopułą nieba usianego gwiazdami. Czyżby tu, w tym Wiecznym Mieście, Charles Devereaux wiódł swoje drugie życie? A jeśli tak, to jakie miała szanse na odnalezienie go? Nieco skonsternowana, przyznała w duchu, że jej akcje nie stoją dobrze.

* * *

Z samego rana, natychmiast po lekkim śniadaniu, które składało się z grzanki i herbaty, Nicky zatelefonowała do biura ATN. Poprosiła Tony'ego, po czym usiadła wygodnie, czekając aż podejdzie. Kobieta, która odebrała telefon, nie zapytała o nazwisko, ona się również nie przedstawiła. Niebawem usłyszała głos szefa biura: - Tu Tony Johnson. Kto mówi?

- Nick. Co słyhać, Tony?

Nastała chwila milczenia, a potem Tony zawołał: - Nicky Wells? Czyżby to była właśnie t a Nick?

- Oczywiście! Czy znasz inną kobietę o tym imieniu?

Roześmiał się, najwyraźniej zadowolony, że słyszy jej głos.

- A więc witaj, Nicky! Jak leci? Przede wszystkim: gdzie się podziewasz?

- Tuż za rogiem.

- Jak to? Jesteś tutaj, w Rzymie?

- Z całą pewnością tak.

- Dobry Boże! Wygląda na to, że mam dziś w biurze sądny dzień!

- A to dlaczego?

- Właśnie zjawił się twój przyjaciel i wrywa mi słuchawkę z ręki. Pewnie chciałby z tobą pogadać. Ale zanim oddam mu słuchawkę, muszę się jeszcze z tobą umówić. Spotkajmy się na lunchu. Dzisiaj. Zgoda?

- Bardzo chętnie, Tony. Ale kto chce ze mną mówić?
W słuchawce znówu rozległ się chichot Tony'ego.
- Ciao, Nick!
- Cześć, Nick, co cię sprowadza do Rzymu? - usłyszała po chwili głos Archa Leversona, rozbawiony i zarazem zdumiony.
- Mogłabym cię zapytać o to samo.
- Wykręcasz się, skarbie. I zaczyna cię zawodzić pamięć. W ubiegłym tygodniu powiedziałem ci przecież, że wybieram się na urlop na Capri. W drodze zatrzymałem się tu na parę dni, żeby zobaczyć się z moim kumplem, Tonym.
- Rzeczywiście, mówił jej o tym, ale jakoś nie skojarzyła sobie Capri z Rzymem. Zresztą te ostatnie dni miała wypełnione innymi sprawami.
- Tak, istotnie powiedziałeś, ale wyleciało mi to z głowy.
- Ostatnio słyszałem, że poleciałaś do Londynu, żeby zbadać możliwość przeprowadzenia specjalnego wywiadu z Margaret Thatcher. Dlaczego więc jesteś w Rzymie?
- Chcę sobie kupić buty - odparła. Nic innego nie przyszło jej go głowy.
- Parsknął rubasznym śmiechem. - Hej, daj spokój, rozmawiasz teraz ze mną, z Archem! Zakupy znaczą dla ciebie tyle, co dla mnie siedzenie z wędką. Nie przyleciałabyś tylko po to. O co chodzi, Nick?
- Postanowiła zyskać trochę na czasie. - Porozmawiamy o tym innym razem - odparła.
- Dobrze, niech i tak będzie. Czy Clee jest z tobą?
- Nie, dzisiaj jest w Berlinie, jutro będzie w Lipsku, a w niedzielę leci do Paryża. Tam spotkamy się w poniedziałek i pojedziemy na tydzień do Prowansji.

- To wspaniale, Nick. Myślę, że zobaczymy się na lunchu razem z Tonym, czyż nie?
 - Trudno o lepszą ofertę. Gdzie się spotkamy? W biurze?
 - Dobry pomysł. A przy okazji, gdzie się zatrzymałaś?
 - Hassler, jak zwykle. A ty?
 - Eden. Posłuchaj, Nicky, chciałem zaproponować ci coś jeszcze. Wspólny posiłek wieczorem. Jutro z samego rana jadę na Capri spotkać się z Patrycją i Grantami w willi, którą wynajęli na lato. Czekał, wpadłem na wspaniały pomysł. Pojedź tam ze mną. Chyba nie masz teraz nic lepszego do roboty, prawda? A oni bardzo chętnie udzielą ci gościny na kilka dni.
 - Dziękuję, ale nie mogę, uwierz mi. Co do tego obiadu z tobą, to bardzo chętnie.
 - A więc jesteśmy umówieni. Przyjedź po nas do biura około wpół do drugiej, dobrze?
- Nicky odłożyła słuchawkę i długą chwilę siedziała w bezruchu, wpatrując się w aparat. Ważyła coś w myślach.

Rozdział 26

Arch Levenson był ostatnią osobą, jaką spodziewała się spotkać teraz w Rzymie. Zaskoczona omal nie zwierzyła mu się ze swego problemu, ale szybko wzięła się w garść. To jednak nie załatwiło sprawy. Co ma powiedzieć mu potem, kiedy się zobaczą? Musi coś wymyślić,

jak najdłużej ukrywać prawdę. Arch troszczy się o nią jak o własną córkę, z pewnością usiłowałby odwieść ją od zamiaru poszukiwania Charlesa, czuła to instynktownie. Kiedy udała się do Londynu, zostawiła mu kilka słów wyjaśnienia, z których wynikało, że zamierza przygotować wywiad z Margaret Thatcher; wątpiła, aby wierzył jej teraz w historyjkę o programie na temat Wspólnego Rynku.

Westchnęła ciężko. Los okazał się dla niej niezbyt łaskawy; w sytuacji, kiedy Arch jest w Biurze ATN wraz Tonym, ona nie może tam pójść i zacząć zadawać pytania dotyczące przekazu materiału informacyjnego z ostatniej środy. Musi poczekać z tym do jutra. Porozmawia z Tonym, kiedy Arch wyjedzie na Capri.

Uświadomiła sobie, że do lunchu z Archem i Tonym jest skazana na bezczynność i ogarnęło ją nagle uczucie zawodu. Będzie musiała zabić jakoś ten czas...

Rzym znała niemal jak własną kieszeń, bywała tu w przeszłości wiele razy, a zresztą i tak nie była w nastroju do zwiedzania miasta - uczyniła to już kilka lat temu i miała wtedy najlepszego pod słońcem przewodnika: własnego ojca, Andrew Wellsa.

Jej ojciec uwielbiał Rzym w tym samym stopniu, co ona Paryż, czuł się związany z nim duchowo. Tak więc już jako mała dziewczynka patrzyła na Wieczne Miasto oczami ojca. „Rzym to kolebka cywilizacji”, powiedział jej, kiedy miała dwanaście lat. Była już wtedy wystarczająco mądra, aby zrozumieć sens tych wywodów na temat historii, które prowadził, przechadzając się z nią po mieście. Pokazał jej Hiszpańskie Schody w pobliżu ich hotelu,

fontannę di Trevi*, katakumby, ogrody Bprghese, bazylikę św. Piotra, Watykan i Kaplicę Sykstyńską. Nic nie mogło ująć jej uwagi, ojciec troszczył się o to podczas kolejnych podróży z córką do Rzymu.

* Zbudowana w latach 1751-1762 fontanna kończąca epokę rzymskiego baroku; wg tradycji podróżny, który wrzuci do fontanny monetę, powróci jeszcze z pewnością do Rzymu - przyp. tłum.

Niekiedy, przebywając w dobrze znanych miejscach, chętnie oddawała się wspomnieniom, zwłaszcza gdy miały dla niej szczególne znaczenie. Tym razem było inaczej. Tajemnica związana z Charlesem nie dawała jej spokoju już od pięciu dni; nie ulegało wątpliwości, że tak już będzie do chwili, kiedy zostanie ujawniona prawda.

Jeszcze raz Nicky westchnęła ciężko i weszła pod natrysk. Zanim wytarła się do sucha, podjęła decyzję: kupi sobie buty. Jej matka miała swój ulubiony sklep przy Via Veneto. Pójdzie tam przed spotkaniem w biurze ATN.

* * *

Okazało się, że Arch nie zamierza męczyć jej pytaniami. Kiedy o pierwszej trzydziści zjawiała się w biurze, taszcząc torbę z nowymi butami, jedynie rzucił na nie okiem i mrugnął chytrze.

Tony jak zwykle był opalony, wyglądał atrakcyjnie i powitał ją wylewnie. Objął ją, ucałował, a następnie przedstawił swojej nowej sekretarce, Jennifer Allen, oraz innym współpracownikom, których jeszcze nie знаła, po czym wprowadził ją i Archa do swego prywatnego gabinetu.

Nicky i Tony przyjaźnili się od dawna, jeszcze w czasach, gdy ona zaczynała swoją karierę w telewizji, on zaś zamieszkał w Nowym Jorku. Obaj mężczyźni znali się

jeszcze dłużej; zanim podjęli pracę w ATN, razem stawiali pierwsze kroki zawodowe w biurze innej sieci telewizyjnej.

- Czuję się tu jak w domu - powiedział Tony, kiedy po krótkiej pogawędce wszyscy troje wyszli z biura i udali się na lunch do jego ulubionej restauracji. - Najlepsza w Rzymie - wyjaśnił, wprowadzając ich do środka. Przy stoliku podzielili się jeszcze resztą nowinek, po czym zajęli się lunchem. Posiłek przebiegał w przyjemnej atmosferze pełnej ciepła i wzajemnej sympatii, żartów i śmiechu, niewinnych ploteczek i rozmów na tematy zawodowe.

Przebywając w towarzystwie Tony'ego i Archa, Nicky poczuła, że opada z niej całe napięcie. Lubiła ich; byli kolegami po fachu, działali na tej samej częstotliwości, każda chwila spędzona z nimi sprawiała jej radość. Przy nich nawet zapomniała na moment o sprawie Charlesa. Po raz pierwszy od kilku dni była znowu sobą.

Jednak myśli o Charlesie powróciły wkrótce, przywołując ją nieubłaganie do porządku - natychmiast, kiedy znalazła się sama w swoim apartamencie hotelowym. Wieczorem, szykując się do wyjścia na spotkanie z Archem, podjęła decyzję: opowie mu o wszystkim. Potrzebowała kogoś, kto mógłby jej wysłuchać, komu mogłaby się zwierzyć. Kogoś, kto pomógłby jej spojrzeć na ten problem krytycznym i dociekliwym okiem.

* * *

- Hej, wspaniale wyglądasz! - zawołał Arch, wchodząc tuż po ósmej do apartamentu Nicky.

- Dziękuję - uśmiechnęła się zadowolona.

Pocałował ją w policzek, po czym cofnął się o krok, aby otaksować jej kreację z kremowego jedwabiu, i z uznaniem kiwnął głową. - Ta suknia to kwintesencja elegancji - oświadczył i jeszcze raz kiwnął głową.

- Uszyła ją dla mnie Pauline Trigère.

Przeniósł wzrok w dół, spojrzął okiem znawcy na wytworne pantofelki na wysokich obcasach, obszyte kremowym jedwabiem, i zapytał żartobliwie: - Czy panna Trigère uszyła ci również buty?

Nicky roześmiała się mimo woli. - Nie, skądże znowu. Kupiłam je dziś rano. Na Via Veneto.

- Wygląda na to, że kosztowały cię sporo, jeśli wziąć pod uwagę cenę biletu lotniczego z Londynu do Rzymu.

- Wiesz doskonale, że nie przyjechałam tu po buty - odparowała. - Chociaż rzeczywiście kupiłam je w Rzymie. Powiem ci za chwilę, dlaczego tu jestem. Napijesz się białego wina? Na wszelki wypadek zamówiłam butelkę. Ale jeśli nie masz na nie ochoty, zamówię inne, albo w ogóle coś innego.

- Dziękuję, chętnie napiję się białego.

- Chodź, usiądź tu, zaraz podam ci kieliszek. - Nicky podeszła do konsoli pod oknem, napełniła winem dwa kryształowe kieliszki i wróciła z nimi do Archa, który w milczeniu trącił się z nią, upił łyk, po czym usiadł na sofie.

Nicky usiadła naprzeciw niego, opróżniła kieliszek jednym haustem, odstawiła go na bok i oparła się wygodniej o wyściełaną kremowym brokatem poręcz krzesła.

- A więc dlaczego jesteś w Rzymie? - odezwał się Arch.

Nie odpowiedziała od razu. Dopiero po chwili zaczerpnęła głęboko tchu i oświadczyła: - Jestem zdania, że

Charles Devereaux żyje i przebywa w Rzymie.

Arch drgnął gwałtownie, omal nie rozlewając wina. Wiadomość zaskoczyła go do tego stopnia, że siedział na sofie jak skamieniały, nie mogąc wykrztusić nawet jednego słowa. Wreszcie zauważył:

- Znam cię na tyle, by wiedzieć, że nie wysuwałabyś tego typu przypuszczeń, nie mając prawdziwych dowodów. Co się stało? Czego się dowiedziałaś? Strzelaj.

- W środę wieczorem zauważyłam w dzienniku telewizyjnym mężczyznę, który wyglądał identycznie jak Charles Devereaux - zaczęła Nicky, a potem bez pośpiechu, dokładnie, nie opuszczając niczego, opowiedziała o wszystkim.

Kiedy skończyła, Arch mruknął: - Jestem skłonny podzielić zdanie Filipa Rawlingsa. Twoje argumenty, Nicky, nie przekonały mnie do końca. Wołałbym...

- Pokażę ci zdjęcia - przerwała. Zerwała się na równe nogi, pobiegła do sypialni i po chwili wróciła z fotografiami, które rozłożyła na stoliku.

Wskazując na jedną z nich wyjaśniła: - To zdjęcie z mojego polaroida... a to większe zrobił Dave. Na trzecim jest Charles, podkolorowany przeze mnie... Przyciemniłam mu włosy i domalowałam wąsy.

Arch obejrzał z uwagą fotografie. - Przyznaję, że istnieje między nimi duże podobieństwo. Nawet bardzo duże. Tak, Nicky, zaczynam sądzić, że masz rację. Wszystkie zdjęcia przedstawiają chyba tego samego mężczyznę. A z tego wynika, że człowiekiem pokazanym w dzienniku mógł być istotnie Charles Devereaux.

Nicky odetchnęła z ulgą. - Dzięki Bogu, zgadzasz się ze

mną! - zawołała. - A ja się już bałam, że zaczniesz mnie podejrzewać o jakieś urojenia!

- Jakżebym mógł, moja droga! - odparł. - Uważam cię za jedną z najbardziej rozsądnych kobiet, jakie znam.

- Dziękuję, Arch. - Przyjacielskim gestem musnęła jego ramię. - Cieszę się, że tak myślisz. W Pullenbrook zaczęłam się już czuć nieswojo.

Arch w zadumie potarł podbródek. - Odpowiedz mi najpierw na jedno pytanie. Dlaczego Charles miałby pozorować własną śmierć, a potem ukrywać się przed bliźkimi?

- Nie mam pojęcia.

- Zazwyczaj ludzie postępują w ten sposób, jeśli są w poważnych tarapatach. Na przykład finansowych.

- Charles nie miał kłopotów finansowych. Wynika to z jego testamentu. Poza tym ludzie znikają też z innych powodów.

- Na przykład jakich?

- Jeśli są czymś przybici, ale w jego przypadku tak nie było. Albo jeśli dopuszczają się jakiegoś przestępstwa.

- Chryste! - zawołał Arch. - Chyba nie sugerujesz, że Charles był oszustem?

Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Po prostu podaję ci potencjalne przyczyny, dla których ludzie rozpływają się w powietrzu i zaczynają nowe życie... ludzie będący mordercami, handlarzami narkotyków, przemytnikami broni, malwersantami...

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Po chwili odwróciła się i szepnęła: - Czy można w ogóle poznać dobrze drugiego człowieka? To znaczy: tak naprawdę gruntownie? Każdy z nas otwiera się tylko częściowo przed innymi, a pewnych stron charakteru nawet sami dobrze nie znamy.

- Tak - mruknął Arch i podniósł kieliszek do ust, nie wiedząc co powiedzieć.

- Może był homoseksualistą i chciał umknąć przede mną, przed naszym ślubem?

Zaskoczony wlepił w nią badawczy wzrok. - Kto inny mógłby odpowiedzieć na to pytanie lepiej niż ty? - zawołał, po czym zapytał: - Sądzisz, że był homoseksualistą?

- Nie.

- Czy jego zachowanie nie wskazywało na to?

- Nie.

- To „nie” zabrzmiało dość słabo.

Nie odpowiedziała od razu. Wolnym krokiem podeszła z powrotem do krzesła i usiadła. - Może rzeczywiście tak zabrzmiało, ale to nic nie znaczy, nie chciałam niczego sugerować. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że są mężczyźni, którzy całymi latami ukrywają własne skłonności homoseksualne nawet przed sobą. Ale tylko do czasu... Z tego względu wspomniałam w ogóle o homoseksualizmie. Ale jeśli zapytasz, czy zauważyłam u Charlesa kiedykolwiek tego typu skłonności, to mogę jedynie odpowiedzieć z pełnym przekonaniem: nie.

- Może dobrze się maskował? - Arch spojrzął na nią badawczo, uniósł do góry brew.

- Takie przypuszczenia nie posuną nas do przodu. W każdym razie nadal uważam Charlesa za człowieka uczciwego.

- Zgadzam się z tobą. Nie znałem Charlesa zbyt dobrze, ale sprawiał na mnie wrażenie twardego faceta, może nawet nieco bezwzględneho. Nie wyglądał na człowieka, który znika bez śladu tylko dlatego, że chce uniknąć ślubu. Jeśli rzeczywiście zniknął, to nie uczynił tego ze względu na ciebie.

- Ja również doszłam już do tego przekonania.

- Ale dlaczego to zrobił? - zastanawiał się na głos Arch. - Dlaczego człowiek pokroju Charlesa miałby decydować się na taki krok?

- Możesz mi wierzyć, że ja od środy także łamię sobie nad tym głowę. - Zrezygnowana wzruszyła ramionami. - Po prostu nie wiem, co o tym myśleć.

- A może to jednak nie on, może kamera pokazała kogoś bardzo podobnego? Moim zdaniem Charles Devereaux nie miał żadnego sensownego powodu, aby przybierać inne wcielenie. Myślę, że jednak popełnił samobójstwo.

- Nie wierzę, że on nie żyje - zaoponowała Nicky cichym, lecz stanowczym tonem. Spojrzała na Archę przenikliwie i przycisnęła dłoń do brzucha. - Czuję instynktownie, tu wewnątrz, że on żyje. Że zniknął z pola widzenia, gdyż miał ważny powód. Ważny, ale tak osobliwy, że ani mnie, ani tobie nic nie przychodzi do głowy. Dlatego nie jestem w stanie znaleźć odpowiedzi w tej sprawie. I nikt inny nie potrafi.

Arch zerknął na nią przelotnie, ale nie odezwał się nawet jednym słowem.

Nicky mówiła dalej wolno, ale z naciskiem. - Brak nam odpowiedniej informacji, Arch. A z osobą Charlesa wiąże się jakiś problem, którego nie znamy. Dlatego drepczemy w miejscu. On zniknął z powodu, który jest owiany tajemnicą, jest nieznany. Przynajmniej nam. I możesz mi wierzyć, że jest to szczególny powód.

- Chcesz powiedzieć, że Charles ukrywał... że ukrywa coś przed otoczeniem?

- Może. Cokolwiek to jest, pozostaje tajemnicą dla matki oraz Filipa. A także dla mnie.

- Niech to diabli, Nick. Nie wiem, co powiedzieć... - Arch potrząsnął głową i bezradnie wzruszył ramionami.

Nicky nachyliła się do przodu, utkwiała w nim wzrok. - Posłuchaj, Arch. Charles ukrył się w Rzymie, na kontynencie europejskim. Nie wyjechał do Australii ani Afryki. Ani na wyspy polinezyjskie. Widocznie więc chciał albo musiał pozostać w Europie.

- Jeszcze jest jedna sprawa. Jeśli on żyje, to z czego się utrzymuje? Jak żyje?

- Może od lat przekazywał część pieniędzy na konto w Europie. Prowadził przecież sporo interesów we Francji i Hiszpanii, zajmował się winem. Niekiedy bywał również we Włoszech. Jestem niemal pewna, że ma konto w jakimś banku szwajcarskim. To bardziej niż prawdopodobne.

- To, co mówisz, brzmi rozsądnie.

- Nie miałaś o tym pojęcia, ale Charles zawsze przejawiał cechy geniuszu finansowego, jeszcze kiedy był bardzo młody - wyznała Nicky. - Oczywiście odziedziczył spory majątek, ale potrafił też go powiększyć i to na różne sposoby: papiery wartościowe, obligacje, handel nieruchomościami, żeby wymienić tylko niektóre. Przekształcił swoją firmę importującą wino w prawdziwą kopalnię złota. Pieniądze i obrót nimi - to był jego żywioł.

- I wszystko pozostawił w spadku matce, nieprawdaż?

- Wszystko, co było dostrzegalne i znajdowało się w Anglii. Skąd mam wiedzieć, ile zdołał wywieźć za granicę przez te wszystkie lata? A dochody z interesów, które prowadził w Europie? - Pokiwała głową, jakby przytakiwała samej sobie. - Nie sędzę, aby miał jakiegokolwiek problemy z utrzymaniem, przypuszczam nawet, że stać go na całkiem wygodne życie.

- Może masz rację. Myślisz, że Charles prowadził albo prowadzi nadal podwójne życie?

- Powiedziałałam już, że nie mam pojęcia, ale istnieje wiele symptomów, które mogłyby na to wskazywać, czyż nie? Nikt nie robi tego, na co się zdecydował, bez wyraźnego motywu.

Arch postanowił zmienić nieco tok rozmowy.

- Jaki miałaś plan, przylatując do Rzymu? - zapytał.

- To znaczy, jak chciałaś odnaleźć Charlesa?

- Prawdę mówiąc, nie miałam żadnego planu. Po prostu uznałam, że muszę dotrzeć do źródła sprawy, a więc tam, gdzie Charles został uchwycony przez kamerę. Zamierzałam porozmawiać o tym z Tonym, pokazać mu zdjęcia. - Wskazała gestem na fotografie leżące na stoliku. - Chciałam zapytać Tony'ego, czy natknął się już kiedyś w Rzymie na tego człowieka. Gdyby coś wiedział na ten temat, udałabym się tym tropem. O ile Charles rzeczywiście mieszka w Rzymie, nie kryje się z tym, gdyż czuje się tutaj bezpiecznie. Dlatego właśnie znalazł się na tym filmie: był na placu wraz z innymi ludźmi, bo nie ukrywa się nigdzie.

- Tak, to prawda. Ale z drugiej strony... masz tak mało punktów zaczepienia, kochanie. Czy Clee wie, gdzie teraz jesteś?

- Tak, oczywiście.

- Czy wie również, dlaczego?

- Nie. Kiedy rozmawialiśmy, powiedziałałam mu, że jadę tu służbowo.

- Nie wydaje mi się, aby Clee był zadowolony, zdając sobie sprawę, że uganasz się za Charlesem Devereaux. Wściekłby się, to pewne. W końcu łączy was coś bardzo głębokiego, czyż nie?

- Owszem. Ale to nie znaczy jeszcze, że miałby kierować moim życiem albo że ja miałabym pytać go co chwila o zgodę. - Głos Nicky wyrażał stanowczość. - Jestem

kobietą samodzielną i nikt nie będzie mi mówił, co i kiedy lub jak mam robić. Tak już zostałam wychowana, wiesz o tym doskonale. To, co robię w Rzymie, nie powinno nikogo obchodzić, Arch. Tylko mnie.

- Chciałem po prostu powiedzieć, że Clee nie byłby zapewne zachwycony, że badasz sprawę zniknięcia Charlesa. Czy pomyślałaś choćby przez chwilę, że to może być niebezpieczne? Charles Devereaux nie chce, aby ktoś odkrył jego tajemnicę, kochanie, postawiłbym na to ostatniego dolara.

- Możliwe.

- Powiedz mi coś. Co byś zrobiła, Nicky, gdybyś go znalazła? Nakrzyczałabyś za to, że uciekł bez słowa? Zbiłabyś go i odeszła w dal? Czy też po prostu zadenuncjowała u władz?

Zacisnęła tylko usta.

- Czy nadal kochasz Charlesa? - nie dawał za wygraną, chcąc skonfrontować ją z głównym problemem. - Czy dlatego uparłaś się jak diabli, aby wpaść na jego ślad?

- Nie, to wcale nie tak. I nie kocham go. Już od dawna.

- W takim razie dlaczego to robisz?

- Bo muszę poznać prawdę, Arch. Chcę wiedzieć, co się naprawdę stało. I dlaczego. Jestem dziennikarką i dociekliwość weszła mi już w krew. Poza tym pragnę wreszcie zakończyć rozdział związany z Charlesem i ułożyć sobie normalne życie. Z Clee.

- A więc zakończ ten rozdział natychmiast, Nick. Teraz. Moim zdaniem tracisz tylko czas.

W jego głosie dźwięczał autentyczny lęk, widać było, że mówi serio. Tak jak przewidywałam, nadal troszczy się o mnie, pomyślała. Postanowiła jakoś go uspokoić. - Może powinnam cię posłuchać- szepnęła. - Tak będzie

rozsądniej. I tak mam tylko jedną szansę na sto, że odnajdę Charlesa.

A nawet gdyby, to co dalej? - Westchnęła. - Masz rację, Arch. Jak zwykle, masz rację.

Uśmiechnęła się, na jego twarzy odmalowała się niezmierna ulga. - Wracaj do Paryża, Nicky. Obiecuj, że jutro wrócisz do Paryża.

- W porządku, obiecuję - mruknęła, sięgając po kieliszek. Co w tej zagmatwanej sytuacji znaczyło jedno niewinne kłamstwo więcej?

* * *

- Proszę wejść i poczekać w gabinecie Tony'ego. Tam jest o wiele wygodniej. - Jennifer Allen otworzyła drzwi i wprowadziła Nicky do pokoju szefa.

- Czy mogę pani coś podać, panno Wells? Może filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję, Jennifer. I proszę mówić mi Nicky.

Sekretarka uśmiechnęła się. - Dobrze. Z przyjemnością.

- A więc Tony wróci dopiero po południu? - upewniła się Nicky, opadając na niską skórzaną sofę.

- Mówił, że około piątej - odparła Jennifer, siadając na krześle naprzeciw niej. - Ma umówione spotkanie w Watykanie, a potem idzie na lunch i do dentysty.

Nicky wydeła w zadumie wargi i skinęła głową. Żałowała, że nie porozmawiała z Tonym wcześniej przez telefon.

- Może ja zdołam w czymś pomóc? - zaofiarowała się Jennifer, podekscytowana myślą, że oddałaby przysługę jednej ze sław telewizji.

- Sama nie wiem. Chciałam porozmawiać z Tonym o pewnym fragmencie materiału informacyjnego, przesłanego stąd w ubiegłą środę.

- Ach, chodzi o tę strzelaninę podczas wiecu politycznego! - zawołała Jennifer.

- Tak. Chciałam się zorientować, czy pokazano cały materiał, czy też zrezygnowano z niektórych scen.

Jennifer potrząsnęła głową. - Nie, Nicky. Na pewno przesłaliśmy do Nowego Jorku wszystko, co było nagrane.

- Rozumiem.

- Na pewno nie mogłabym pomóc? Wyglądasz na zmartwioną.

Nicky zmusiła się do uśmiechu. - Nie, nie jestem zmartwiona. Ale może naprawdę mogłabyś mi pomóc. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej trzy fotografie; dwie z nich podała Jennifer. - Facet ze zdjęć został przypadkowo sfilmowany podczas tamtej strzelaniny, jego twarz mignęła w tłumie. Sfotografowałam go ze stopklatki, bo...

- Dlaczego? To ktoś ważny? - przerwała jej Jennifer.

- W pewnym sensie, ale tylko dla mnie. Mniej więcej rok temu, w Nowym Jorku, pracowałam nad pewnym programem. Ten facet miał być jego kluczową postacią. - Nicky mówiła spokojnym, opanowanym głosem. Całą historyjkę obmyśliła już przedtem, na wszelki wypadek. - Któregoś dnia zniknął, a bez niego nie mogłam zrobić tego programu. Chciałabym nawiązać z nim kontakt. Przeprowadzić wywiad. Najwidoczniej mieszka w Rzymie. Myślałam, że może Tony wie coś o nim, że podpowie mi kilka miejsc, w których tamten niekiedy się pokazuje. Jakies bary, restauracje.

Jennifer opuściła wzrok na fotografii, ale po chwili potrząsnęła głową i oddała je z powrotem.

- Nie, nie sądzę, abym widziała go kiedykolwiek.

Chociaż... - Urwała, zamyśliła się na moment i znowu potrząsnęła głową. - Nie, nie znam go.

- Powiedziałaś: chociaż - nalegała Nicky. - Tak jakbyś coś wiedziała.

- Nie, tak mi się tylko zdawało przez chwilę, pomyślałam sobie, że przypomina mi kogoś. Ale nie... nie potrafię go sobie z nikim skojarzyć...

- Szkoda. - Nicky wsunęła zdjęcia do torebki i uśmiechnęła się. - No cóż, trudno.

Wyszły z gabinetu i Nicky skierowała się do drzwi biura. - Przekaż Tony'emu, że zadzwonię do niego później. Dziękuję, Jennifer.

- Przykro mi, że nie mogłam w niczym pomóc.

Nicky stanęła przed windą i wcisnęła przycisk. Po chwili drzwi rozsunęły się, a ona miała już wejść do środka, gdy wtem usłyszała swoje imię. Odwróciła się i ujrzała Jennifer, która biegła ku niej korytarzem.

- Dobrze, że zdążyłam! - zawołała sekretarka.

- Właśnie przypominałam sobie, skąd mogę znać tę twarz. Mogę spojrzeć jeszcze raz na zdjęcie?

- Tak, oczywiście. - Serce Nicky podskoczyło nieco wyżej. Starając się nie okazywać zbyt podniecenia, otworzyła torebkę i ponownie wyjęła fotografie.

Jennifer wzięła tę większą, wykonaną przez Dave'a, i kiwnęła głową. - Jestem prawie pewna, że ten mężczyzna był ze mną w samolocie, kiedy leciałam w ubiegły czwartek.

- Dokąd leciał ten samolot?

- Do Aten. Spędziłam tam weekend. Ten człowiek stał obok mnie przy konwojerze, czekał na bagaż. Przy okazji

podał mi moją torbę. - Zwróciła zdjęcia.

- I to jest ten sam mężczyzna? - Głos Nicky był teraz o oktawę niższy, bardzo cichy.

- Tak. Był niezwykle uprzejmy. Prawdziwy dżentelmen. I miał piękny głos.

Niemal bez tchu Nicky zapytała: - Jakiej on, według ciebie, był narodowości?

- Angielskiej. To był Anglik.

Rozdział 27

Tego samego dnia Nicky poleciała samolotem do Aten.

Lot trwał zaledwie półtorej godziny i około piątej maszyna wylądowała na lotnisku Ellinikon. Po załatwieniu formalności celnych i paszportowych Nicky odszukała bagażowego, a kilka minut później oboje stali na pięknym słońcu w długiej kolejce oczekujących na taksówkę.

Jazda do centrum miasta zajęła nie więcej niż pół godziny, ale kiedy Nicky wysiadła przed hotelem Grande Bretagne przy placu Syntagma, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Taksówka nie miała dobrej klimatyzacji, a pogoda - jak zwykle w Grecji w sierpniu - była upalna.

Okna apartamentu, wygodnego i przestronnego, wychodziły na Akropol. Nicky stwierdziła z ulgą, że klimatyzacja w hotelu działa bez zarzutu, wyjęła z torby ubranie,

wzięła natrysk, odświeżyła makijaż, wy szczotkowała włosy i włożyła białe bawełniane spodnie, błękitną koszulę z bawełny oraz białe płaskie sandaalki. Chciała mieć na sobie coś wygodnego i przewiewnego. Następnie zarzuciła na ramię białą skórzaną torebkę, zamknęła za sobą drzwi i zjechała windą w dół.

W hallu podeszła do recepcji, oparła się łokciami o drewniany błyszczący blat i uśmiechnęła się do stojących po drugiej jego stronie dwóch młodych mężczyzn w ciemnych garniturach. Odwzajemnili uśmiech prezentując nieskazitelnie białe zęby, które kontrastowały ze śródziemnomorską opalenizną twarzy.

- Jestem Nicky Wells, z American Television Network w Nowym Jorku - zwróciła się do niższego z nich, gdyż stał bliżej.

- Tak, proszę pani, wiem. Jestem Costa Theopoulos, a to mój kolega, Arystoteles Gavros. Czym możemy służyć?

- Staram się odnaleźć mego znajomego - odparła. - Ale nie jestem pewna, czy zatrzymał się w tym hotelu. Otworzyła torebkę i wyciągnęła zdjęcie wykonane przez technika ze studia; jej zdaniem było wyraźniejsze od pozostałych.

Costa wpatrywał się w nie długą chwilę, po czym potrząsnął głową. - Co do mnie, nigdy nie widziałem tego dzentelmena. - Zerknął na kolegę i zapytał: - A ty, Arystoteles?

Podał mu fotografię i zwrócił się natychmiast do Nicky. - Jak brzmi nazwisko tego człowieka, proszę pani?

- Charles Devereaux - powiedziała i zdając sobie sprawę, że Charles z pewnością podawałby się za kogoś innego, dodała: - Ale pan Devereaux bardzo często

podróżuje incognito, tak więc mógł zameldować się pod innym nazwiskiem... Dlatego pokazałam to zdjęcie.

- Och! - mruknął Costa i spojrzał na nią osobliwym wzrokiem. - A dlaczego on zachowuje się w ten sposób?

Była przygotowana na to pytanie. - Pan Devereaux jest słynnym pisarzem. Nawet bardzo słynnym. Dlatego stara się zachować anonimowość i ukrywa się pod różnymi nazwiskami.

- Na przykład jakimi? - Costa nie spuszczał z niej wzroku.

- Smith. Charles Smith - improwizowała Nicky. - Czasem podaje się za Charlesa Dixona.

Costa zapisał oba nazwiska na kartce papieru, po czym podniósł głowę i obiecał: - Sprawdzę w rejestrze.

Oddalił się, jego miejsce zaś zajął w tej samej chwili Arystoteles, który zwrócił fotografię i oświadczył cicho: - Widziałem tego człowieka. Albo kogoś bardzo podobnego.

Nicky obrzuciła go szybkim spojrzeniem. - A więc nie myliłam się! - zawołała. - Byłam pewna, że mój przyjaciel zatrzymał się właśnie w tym hotelu!

Arystoteles potrząsnął głową. - Z mężczyzną podobnym do tego na zdjęciu zderzyłem się, kiedy wchodziłem w sobotę do G.B. Corner. Ale on nie był zameldowany w naszym hotelu.

- Co to takiego G.B. Corner? - zapytała Nicky.

- Restauracja, w której można coś zjeść naprędce. Mieści się tuż obok hotelu, po prawej stronie.

Do kontuaru podszedł Costa. - W hotelowym rejestrze nie widnieje żadne z nazwisk, jakie pani podała. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję za dobre chęci. Zresztą pomógł mi już

Arystoteles. W sobotę wpadł w drzwiach na mojego przyjaciela, kiedy ten wchodził do G.B. Corner. Może i pan go wtedy widział?

- Nie było mnie tu w sobotę - odparł Costa. - Miałem wolny dzień.

Nicky wzruszyła nieznacznie ramionami. - Rozumiem. Trudno. Ale mam jeszcze jedno pytanie dotyczące hoteli. Jak nazywają się największe hotele w Atenach, pomijając ten i Hiltona?

- Nie ma już innych dużych - wtrącił się Arystoteles, zastępując Costę, który odszedł do kontuaru. - Oczywiście jest tu mnóstwo małych hotelików, ale... - Teraz on wzruszył ramionami. - Wątpię, aby ten dżentelmen zatrzymał się w którymś z nich. Ładne hotele są też w Vouliagmeni. Na pani miejscu popytałbym jeszcze tam.

- A gdzie jest to Vouliagmeni?

- Och, nie tak daleko stąd. Jakies czterdzieści pięć minut samochodem.

- Mógłby pan załatwić dla mnie na jutro samochód z kierowcą? - poprosiła Nicky. - Myślę, że rzeczywiście wybiorę się tam.

- O której chciałaby pani pojechać?

- Myślę, że wkrótce po śniadaniu.

- I dobrze pani robi. O tej porze nie jest jeszcze tak upalnie. - Arystoteles uśmiechnął się, przysunął sobie notes i począł coś zapisywać.

Nicky poczęła zasypywać go pytaniami na temat Vouliagmeni.

Zajęta rozmową nie zwróciła uwagi na Costę, który wszedł za przepierzenie i spieszenie, niemal ukradkiem wystukał na telefonie jakiś numer. Po krótkiej chwili oczekiwania zaczął szeptać coś gorączkowo do słuchawki. Jego mina wyrażała lęk, a mówiąc nie odrywał wzroku od Nicky.

Tymczasem Arystoteles podał jej kartkę papieru. - Oto nazwisko mojego szwagra, proszę pani. To dobry kierowca. Ostrożny. I mówi po angielsku. Powiem mu, żeby przyjechał po panią o dziesiątej.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc.

Nachylił się ku niej i szepnął: - Weźmie przyzwoitą cenę, na pewno mniej niż inni.

Uśmiechnęła się, a potem odszukała wzrokiem Costę, który rozmawiał jeszcze przez telefon. Uniosła dłoń w geście pożegnania. - Proszę podziękować mu w moim imieniu - zwróciła się do Arystotelesa.

- Oczywiście, proszę pani.

Kiwnęła mu głową i udała się do G.B. Corner, gdzie podeszła do jednego z kelnerów i pokazała mu zdjęcie. Kelner nie potrafił jej pomóc, mimo iż podał fotografię swoim kolegom. Parę minut później wrócił do Nicky, która czekała przy wejściu, i tonem pełnym ubolewania powiedział: - Niestety, proszę pani. Nikt z naszych ludzi nie widział tego mężczyzny. Może rzeczywiście był tu w sobotę, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt. Bardzo mi przykro.

* * *

Taksówka dojechała do hotelu Hilton i cała procedura zaczęła się od nowa: pytania zadawane trzem pracownikom recepcji, następnie kasjerce, prezentowanie im zdjęć Charlesa... Ale i tym razem rozmowa okazała się bezowocna: nikt nie znał mężczyzny ze zdjęć, żadne z wymienionych przez nią nazwisk nie figurowało w hotelowym rejestrze. I nic dziwnego, nie oczekiwała wcale, że będzie inaczej. Kiedy podawała te nazwiska w recepcji, był to z jej strony jedynie wybieg mający nadać całej historii pozory prawdy. Jeśli poszukiwała znajomego,

musiała przecież wiedzieć, jak się nazywa.

A jednak wychodząc z ateńskiego Hiltona, Nicky poczuła głębokie rozczarowanie. Najchętniej wróciłaby natychmiast do swojego apartamentu. Ale rezygnacja oznaczałaby definitywną porażkę. Tak więc Nicky jeszcze raz zmieniła zamiar i pojechała taksówką do Plaki, najstarszej części Aten, pełnej małych krętych uliczek, sklepików, barów, restauracji i kawiarenek. Co najmniej godzinę przechadzała się po malowniczej okolicy, rozglądając się uważnie dokoła, tak jak zawsze uczył ją ojciec. Doskonale wiedziała, że życie obfituje w najrozmaitsze przypadki; w każdej chwili mogła dostrzec Charlesa siedzącego w jednej z kawiarni lub restauracji na wolnym powietrzu.

Plaka była zatłoczona, pełna turystów, jak zwykle w sierpniu, i Nicky niebawem zmęczyła się tym ciągłym przepychaniem w tłumie. Upał również robił swoje. Tak więc w końcu dała za wygraną: wyglądało na to, że poszukiwanie Charlesa na takich uliczkach jak te to istotnie strata czasu. Zatrzymała taksówkę i wróciła do hotelu Grande Bretagne; jeśli już miało ogarnąć ją zniechęcenie, wolała przynajmniej przebywać wtedy w wygodnym pokoju.

* * *

W apartamencie panował ożywczy chłód. Klimatyzacja działała bez zarzutu. Nicky ochłonęła trochę, następnie podeszła do telefonu i zamówiła pieczoną rybę, świeże owoce oraz butelkę wody sodowej. W oczekiwaniu na posiłek podeszła do okna, rozsunęła kotary i wyjrzała na Akropol.

Wiedziała, że świątynia na szczycie nosi nazwę Partenon. Ojciec wyjaśnił jej to kiedyś, gdy całą rodziną przyjechali tu latem. Jak zawsze o tej porze roku, również i dziś włączono po zapadnięciu zmroku teatralną iluminację. Starożytne ruiny nabrały dzięki temu naprawdę imponującego wyglądu, niemal zapierały dech w piersiach. Były niewiarygodnie piękne, odcinały się szczególnie wyraźnie na tle ciemnego nieba.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że trwa właśnie widowisko „światło i dźwięk”. Gra świateł towarzyszyła opowieści o starożytnej Grecji, wygłaszanej przez narratora dla publiczności, która zgromadziła się na wzgórzu naprzeciw Akropolu. Nicky odniosła raptem wrażenie, jakby cofnęła się w czasie; przypomniała sobie, że kilka lat temu oglądała podobne widowisko wraz z rodzicami. Również wtedy była tym poruszona.

Jej wiedza o Grecji ograniczała się przede wszystkim do tego, co przekazał jej ojciec, ten niestrudzony podróżnik. Były to głównie opowieści zaczerpnięte z mitologii greckiej, ale Nicky poszerzyła nieco te wiadomości dzięki lekturze frapujących książek Mary Renault. Pierwszą z nich, *Płomień z niebios*, przeczytała w wieku szesnastu lat; nie była w stanie odłożyć książki, dopóki nie dotarła do ostatniej strony. Żałowała teraz, że nie wzięła ze sobą choćby jednej powieści Renault; już teraz czuła, że czekają kolejna bezsenna noc.

* * *

Kierowca nazywał się Panayotis. Był to pogodny młody człowiek o wzorowych manierach, dość przyzwoitej znajomości angielskiego i promiennym uśmiechem, który

zdawał się nie opuszczać jego twarzy nawet na moment.

Przyjechał pod hotel punktualnie o dziesiątej rano, a Nicky odetchnęła z ulgą na widok względnie nowego mercedesa. Humor poprawił jej się bardziej, kiedy odkryła, że samochód ma skuteczną, w pełni sprawną klimatyzację. Słońce grzało już intensywnie, tym większą przyjemność sprawiał chłód we wnętrzu mercedesa.

- Arystoteles mówi pani chce jechać do Vouliagmeni, zobaczyć hotele Astir Palace - odezwał się, kiedy przejechali przez plac Syntagma.

- Tak. Powiedział, że są to trzy hotele.

- To jest... jak to się mówi... kompleks. Tak. To hotele i domki dla turystów. Bardzo ładne miejsce. Piękne. Czterdzieści pięć minut i będziemy tam. *Okay?* Wygodnie pani, *miss?*

- Tak, bardzo tu wygodnie, dziękuję. - Przechyliła się do tyłu i poczuła miękką skórę oparcia.

- Pani lubi muzykę, *miss?* - zapytał Panayotis, zerkając na nią przez ramię. - Chce pani, żeby włączyć radio?

- Czemu nie? - odparła machinalnie. Patrzyła na mijane ulice i rozmyślała, czy aby na pewno postąpiła mądrze, przyjeżdżając do Aten. Wczorajszy dzień okazał się całkowitą stratą czasu i chociaż Arystoteles twierdził, że rozpoznał Charlesa, że widział go wchodzącego do restauracji, to jakie to w końcu miało znaczenie? Ateny są dużym miastem, podobnie jak Rzym. Jeśli miała być wobec siebie szczerą, musiała przyznać, że nawet gdyby Charles przebywał tutaj, jej szanse na odnalezienie go byłyby znikome.

Może powinna była posłuchać Archa i zgodnie z jego radą pojechać do Paryża, zamiast obstawać uparcie przy swoim i kierować się jedynie intuicją? Przyjechała tu pod

wpływem tego, co powiedziała jej Jennifer Allen. Ale co dalej? Co zrobi, nawet jeśli odnajdzie Charlesa? Same pytania i znikąd odpowiedzi... Westchnęła ciężko. Mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się myśli, że Charles żyje. Może kiedyś przyjdzie moment, kiedy zmieni swój pogląd na tę sprawę, ale na razie wie swoje.

Vouliagmeni okazało się pełną życia miejscowością turystyczną. Była tu przystań dla jachtów; długa i kręta droga wiodła na szczyt wysokiej ściany skalnej, gdzie wznosiły się hotele. Teren był rozległy i bardzo ładnie zagospodarowany, a hotele tworzyły coś w rodzaju kolejnych tarasów. Domki były usytuowane obok hotelu, który znajdował się najwyżej, a liczne restauracje, korty tenisowe, baseny i plaże dopełniały obrazu tego wspaniałego kurortu. Z góry roztaczał się widok w dół, na Morze Śródziemne. Ciemne jak wino morze Homera, pomyślała Nicky, wyglądając przez okno samochodu. Dzień był cudownie błękitny, w złocistych promieniach słońca przypominał połyskliwą tafłę szkła o oślepiających refleksach świetlnych.

Panayotis zatrzymał samochód przed najwyżej położonym hotelem i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zaczekam tu - oświadczył, po czym wyjął z kieszeni spodni kartkę papieru. - Od mojego szwagra, Arystotelesa - wyjaśnił. - Pani zapyta o tego człowieka.

- Dziękuję - odparła Nicky. Spojrzała na kartkę. Notatka od Arystotelesa była krótka i zwięzła:

Demostenes Zoulakis jest zastępcą dyrektora hotelu. To przyjaciel mego ojca. Pomoże pani w miarę możliwości.

A. G.

Weszła do środka, zapytała w recepcji o zastępcę dyrektora i już po chwili pan Zoulakis ścisnął jej rękę. Z szerokim uśmiechem na twarzy wyjaśnił bezbłędnym angielskim, że Arystoteles uprzedził go już o jej wizycie.

- Zechce pani pokazać mi fotografię człowieka, którego pani szuka, panno Wells - poprosił, zakładając na nos okulary w rogowej oprawce.

- Tak, oczywiście. - Sięgnęła do torebki i po raz nie wiadomo który wyjęła z niej zdjęcie, które narobiło tyle zamieszania.

Pan Zoulakis wziął je do ręki, przyjrzał mu się uważnie, lekko zmarszczył brwi, spojrzał na zdjęcie jeszcze dokładniej, po czym potrząsnął głową. - Ten człowiek nigdy nie gościł w naszych hotelach. Zawsze znam gości, którzy zatrzymują się tutaj, a mam dobrą pamięć do twarzy.

- Ale przed chwilą zrobił pan taką minę, jakby znał tego mężczyznę - powiedziała Nicky.

- Rzeczywiście, tak było, panno Wells. Przez ułamek sekundy wydał mi się znajomy, ale to wszystko. Może ujrzałem go kiedyś przelotnie w jakiejś restauracji albo w hotelu. Może mignął mi na plaży czy przy basenie. W każdym razie, nawet jeśli go widziałem, to tylko raz. I nie jestem w stanie nic o nim powiedzieć. - Uśmiechnął się z ubolewaniem.

- Proponuję jednak, panno Wells, abyśmy zapytali o niego w dwóch pozostałych hotelach. Może tamtejsi pracownicy udzielą jakichś informacji.

- Dziękuję, panie Zoulakis, jest pan niezwykle uprzejmy.

- Nie ma o czym mówić, panno Wells, naprawdę.

- Demostenes Zoulakis szczerze żałował, że nie potrafi pomóc tej pięknej i najwidoczniej wpływowej Amerykance.

Dwie godziny później, po bezowocnych próbach odnalezienia tropu mężczyzny ze zdjęcia, odprowadzał ją do samochodu. - Jest mi niezmiernie przykro, że nie mogę w niczym pomóc, panno Wells - powiedział przy pożegnaniu. - Może pani znajomy po prostu był tu przejazdem, a zmierzał gdzie indziej.

- Tak, tego nie można wykluczyć - odparła.

* * *

Przechodząc przez hall w swoim hotelu, Nicky stanęła nagle jak wryta. Tuż przed chwilą minęła stoisko z gazetami i teraz uzmysłowiła sobie, że na okładce jednego z magazynów dostrzegła twarz Clee.

Właściwie jedynym powodem, dla którego zdjęcie Clee, słynnego korespondenta wojennego, zamieszczono na pierwszej stronie czasopisma, mógł być fakt, że przytrafiło mu się coś złego. Przebywał teraz w Lipsku, gdzie wprawdzie nie toczyła się żadna wojna, ale na całym terenie wschodnich Niemiec odbywały się od kilku dni burzliwe demonstracje. Tam również można było zginąć. Ale w tym przypadku nie miała podstaw do obaw. Wczoraj wieczorem rozmawiała z nim przez telefon... Może otrzymał jakąś nagrodę za fotoreportaż z Pekinu i dlatego znalazł się na tej okładce? A jeśli tak, to dlaczego jej o tym nie powiedział? Przez skromność? Clee był rzeczywiście jednym z najskromniejszych mężczyzn, jakich знаła.

Zawróciła do stoiska, z portmonetki wyjęła kilka monet i podała sprzedawcy, po czym zdjęła ze stojaka czasopismo, które zwróciło jej uwagę, i uniosła je w górę.

Sprzedawca kiwnął głową, odliczył resztę i złożył na jej wyciągniętej dłoni.

Odwróciła się, odeszła nieco dalej i spojrzała na czasopismo. Zatytułowane *Tachydromos* zawierało rozmaite informacje i przypominało trochę *Life* lub *Paris Match*. A na okładce uśmiechał się Clee, Clee w rozpiętej pod szyją koszuli i znoszonej brązowej kurtce ze skóry. Ale zaraz... To przecież nie Clee, lecz Kevin Costner, ten aktor! Uderzające podobieństwo między jednym i drugim sprawiło, że pomyliła się.

W swoim apartamencie Nicky cisnęła magazyn na stolik i podeszła do barku, skąd wyjęła butelkę coki. Otworzyła ją, naląła pełną szklankę, upiła spory łyk i usiadła ze szklanką na sofie.

Dobry Boże, na tym zdjęciu Kevin Costner wygląda zupełnie jak Clee, pomyślała patrząc na gazetę. Mogliby uchodzić za bliźniaków. Wydało się jej nagle, że słyszy czyjś głos. Głos Filipa, który mówił z naciskiem: „Podobno każdy z nas ma swego sobowtóra, człowieka o identycznym wyglądem, który żyje sobie gdzieś na świecie”.

Drgnęła gwałtownie. Przyszło jej nagle do głowy, że skoro wzięła Kevina Costnera za Clee Donovaną, mogła równie dobrze pomylić Charlesa Devereaux z jakimś innym mężczyzną!

- Niech to diabli! - mruknęła do siebie. Może istotnie szukam wiatru w polu. Zerwała się na równe nogi zniecierpliwiona, zirytowana na samą siebie, po czym podeszła do okna i sięgnęła wzrokiem w dal, zbierając myśli.

Nie można wykluczyć, że mężczyzna sfilmowany przypadkowo przez kamerzystę podczas wiecu politycznego w Rzymie to ktoś zupełnie obcy. O tym właśnie są przekonani Anna i Filip, a na dyskusję z nimi brak argumentów.

Nikt nie jest w stanie podpisać się pod jej opinią, że owym mężczyzną jest Charles. Wielka szkoda, że Christopher Neald jest na urlopie. Jako współnik Charlesa przyznałby jej rację, to pewne. Westchnęła lekko i wsparła się czołem o szybę okienną. Nie wiem doprawdy, czy warto ciągnąć dalej tę zabawę, pomyślała i raptem drgnęła gwałtownie. Ależ tak! Jest jeszcze ktoś, kto mógłby ją poprzeć, gdyby zobaczył fotografie: *don Pedro Alejandro Pérez*, hiszpański współnik Charlesa.

Jeszcze ten jeden raz. Moja ostatnia próba, myślała gorączkowo, biegnąc do biurka. Wyjęła książeczkę adresową, odnalazła numer telefonu *don Pedra*, połączyła się z Madrytem i po chwili rozmawiała z recepcjonistką z jego firmy eksportowej. Kobieta poinformowała ją, że *don Pedro* wraca do miasta dopiero w poniedziałek, ale po lunchu, około piątej, przyjdzie do biura jego sekretar-
ka, *señorita López*.

Nicky usiadła przy biurku, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić: zostać w Atenach do niedzieli i polecieć potem do Madrytu? Ale w Atenach jest tak straszliwie gorąco, poza tym nie zna tu żywej duszy. Tymczasem w Madrycie znajduje się przyzwoicie prowadzone biuro ATN i chociaż Peter Collis, szef biura, nie jest jej bliskim przyjacielem, zna ją od dawna. Tak, pojedę do Madrytu, postanowiła. Jeszcze dziś, o ile to możliwe.

Lata podróży w towarzystwie rodziców nauczyły ją jednego: jeśli potrzebna jest pomoc, a czas nagli, należy zwrócić się z tym do recepcji. Tam wiedzą wszystko, dysponują siecią połączeń z wszystkimi hotelami w Europie. Podniosła słuchawkę telefonu, aby skontaktować się z

recepcją na dole, jednak linia była zajęta. Zbyt podekscytowana, aby czekać, zeszła do hallu.

Yannis, szef recepcji, przywitał ją uprzejmie i zapytał, czym mógłby służyć.

- Muszę polecieć dziś do Madrytu. Wszystko jedno jakimi liniami, to bez znaczenia. Chciałabym również zarezerwować apartament u Ritza. Czy mógłby pan to dla mnie załatwić, Yannis?

- Oczywiście, zaraz się tym zajmę, panno Wells. Proszę zdać się na mnie. Zadzwoń do pani, jak tylko otrzymam odpowiedź. - Zerknął na zegarek. - Czy pani już się spakowała?

- Mniej więcej.

- Teraz dochodzi trzecia. Powinna pani wkrótce wyjechać na lotnisko. Po południu jest lot do Madrytu. Postaraj się zdobyć dla pani bilet.

- Dziękuję, Yannis. - Uśmiechnęła się i podeszła do recepcji. Muszę zadzwonić jeszcze do Image, zostawić Jean-Claude'owi swój numer telefonu w Madrycie, postanowiła w duchu. Arystotelesa nie było za kontuarem, dyżur pełnił Costa. Czują na sobie jego wzrok cały czas, kiedy rozmawiała z Yannisem.

- Dzień dobry, Costa. Dziękuję, że chciał mi pan wczoraj pomóc - powiedziała.

Jak zwykle z szacunkiem skłonił głowę. - Czy powiodło się pani w Vouliagmeni? - zapytał.

- Nie, niestety nie. Proszę przygotować mi rachunek.

- Czy pani wyjeżdża?

- Owszem. I to zaraz - przytaknęła.

- Wraca pani do Ameryki?

- Nie, lecę do Madrytu.

- Do Madrytu - powtórzył, nie kryjąc zaskoczenia.

Spojrzała na niego zdziwiona. Miał tak skupiony wyraz twarzy, że mimo woli zaczęła się zastanawiać dlaczego. - Czy coś nie w porządku? - zapytała.

Przez krótką chwilę stał jak oniemiały. Następnie wymamrotał: - Przepraszam, nie rozumiem.

- Wydawał się pan zaskoczony, kiedy powiedziałam, że lecę do Madrytu.

- Ależ skąd! - zaprzeczył stanowczo. Uśmiechnął się i niewyraźnie dodał: - Przygotuję teraz rachunek, to nie potrwa długo.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła garść drachm i wcisnęła mu do ręki. - Dziękuję.

- To ja dziękuję, *miss* - odparł i wsunął pieniądze do kieszeni.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy szła do windy, a potem wyszedł zza kontuaru i podszedł do swego szefa. - Sądzi pan, że zdobędzie dla panny Wells bilet na dziś do Madrytu?

- Oczywiście - odparł Yannis i zmarszczył brwi, zdumiony postawą Costy i jego zainteresowaniem tą sprawą.

- A hotel? Załatwił pan dla niej hotel?

- Zarządzający w Ritzu to mój stary przyjaciel. Na pewno zrobi, o co go poproszę - odparł Yannis z odcieniem dumy w głosie. - Ale o co chodzi?

Costa uśmiechnął się i machnął ręką. - Jest bardzo miła. I hojna, jeśli chodzi o napiwki. Chciałem się upewnić, czy nie będzie miała jakichś trudności.

Yannis skinął głową i odwrócił się, aby odebrać dzwoniący od paru sekund telefon.

Costa wrócił na swoje miejsce, a następnie korzystając z tego, że kolejnym klientem zajął się już jego kolega, przeszedł na zaplecze, podniósł słuchawkę telefonu i szybko wystukał jakiś numer.

- Ona wyjeżdża - poinformował swego rozmówcę. - Leci do Madrytu. Ciekawe, co odkryła w Vouliagmeni? Z pewnością coś wie. Zatrzyma się w Ritzu. Przekaż mu to.

Rozdział 28

Kiedy w piątek wieczorem Nicky opuściła muzeum Prado i przystanęła na chwilę przed wejściem, odniosła wrażenie, jakby była śledzona. Zastanawiała się właśnie, czy ma wrócić od razu do hotelu czy jeszcze nie i wówczas zauważyła mężczyznę z czarnym cygarem.

Po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę rano, kiedy stanął przy niej, ona zaś rozmawiała z recepcjonistą. Nieznajomy pykał cienkie cygareto, a gęsty dym, który roztoczył wokół siebie, sprawił, że zakrztusiła się i zaczęła kasłać. Recepcjonista powiedział coś szybko po hiszpańsku, grzecznie lecz stanowczo, i nieznajomy natychmiast odsunął się na bok. Kiedy załatwiła swoją sprawę, przeszła czym prędzej dalej, zadowolona, że nie musi już stać w pobliżu człowieka z cygarem, który wiodł właśnie ożywioną rozmowę z drugim recepcjonistą.

Nieco później, idąc na spotkanie w Peterem Collisem z madryckiego biura ATN, z którym miała zjeść lunch, zwolniła kroku, aby przejść się wzdłuż Galeria del Prado, arkady handlowej przy hotelu Palace. Wychodząc z butikku dostrzegła mężczyznę z cygarem; stał wpatrzony w

wystawę. Natychmiast odwrócił wzrok i spiesznie wszedł do sklepu po przeciwnej stronie arkady.

Teraz pojawił się znowu, stał w odległości zaledwie kilku metrów od niej, w pobliżu posągu usytuowanego między schodami i niewielkim parkiem, ze swoim nieodłącznym cygarem. Co ciekawe: był w towarzystwie drugiego mężczyzny.

Nie dostrzegł jej. Jeszcze nie. To, że ona zauważyła go natychmiast po wyjściu z muzeum, zawdzięczała dwójce rozwrzeszczanych dzieci, które szły u boku młodej kobiety. Trzymały ją za ręce i darły się wniebogłosy. Kobieta, najwidoczniej ich matka, zatrzymała się obok mężczyzn stojących przy posągu, powiedziała coś do nich, a mężczyzna z cygarem odpowiedział. Sądząc po jego gestykulacji, wyjaśnił jej, którądy ma iść.

Z muzeum wyłoniła się gromada młodych Niemców, zapewne studentów. Śmiejąc się i pokrzykując coś, otoczyli Nicky, ona zaś dała się ponieść tej fali i pozostała z nimi, aż przeszli przez niewielki park i znaleźli się w Paseo del Prado.

Po kilku minutach z ulgą dostrzegła przed sobą Plaza de la Lealtad, gdzie w gąszczu zieleni wznosił się Ritz. Człowieka z cygarem nie było nigdzie widać, ale nie stanowiło to dużej pocięchy; i tak wiedział, w którym hotelu się zatrzymała.

Nicky poprosiła o klucz i ewentualne listy, po czym wjechała na górę do zajmowanego przez siebie apartamentu. Cały czas rozmyślała o nieznanym z czarnym cygarem. Ktoś śledził każdy jej ruch. Ktoś? Z pewnością był to Charles Devereaux.

Natychmiast po wejściu do apartamentu poczuła obcy zapach perfum. Zatrzymała się w małym przedpokoju i powiodła dokoła wzrokiem, ściskając w rękę klucz.

Kilkakrotnie pociągnęła nosem. Nie było wątpliwości. W powietrzu unosił się jakiś ostry zapach. Zapach przypominający raczej męską wodę kolońską niż perfumy. A więc nie sprzątaczką. Może był tu któryś z posługaczy hotelowych? Ale po co miałby przychodzić? Nie przekazała niczego do prasowania. Istniała jeszcze inna ewentualność: ten dziwny mężczyzna z cygarem dostał się do jej apartamentu. Ale jeśli tak, to w jaki sposób? To żaden problem, wyjaśniła sobie natychmiast. Mógł przecież przekupić kogoś z obsługi. Pieniądze mogą wszystko, mawiał ojciec. Z pewnością nie brakowało też na to czasu. Widziała go przecież około jedenastej rano w pobliżu arkady handlowej, kiedy szła do biura ATN na spotkanie z Peterem. Na lunch do Gran Café de Gijón udali się o pierwszej trzydzięci, a potem wybrała się do Prado, gdzie spędziła parę godzin jak w ekstazie, podziwiając obrazy Goyi i Velazqueza. Tak więc niemal cały dzień nie było jej w hotelu.

Pograżona w zadumie przeszła do saloniku, odłożyła na bok klucz, listy i torebkę, a potem, jakby tknięta nagłą myślą, wbiegła do sypialni i otworzyła szafę. Jej duża torba podróżna, bez której nigdzie się nie ruszała, leżała teraz dziwnie przekrzywiona, mimo iż przed wyjściem do Petera umieściła ją starannie w samym rogu.

Wyjęła torbę z szafy i zaniósła na łóżko. Wystarczyło jedno spojrzenie na zamek, aby zorientować się, że ktoś przy nim manipulował; kiedy dotknęła go, okazało się, że nie działa jak należy. Najwidoczniej ktoś otworzył go siłą, a potem nie był już w stanie zamknąć. A więc kolejny dowód na to, że jakiś intruz myszkował tu podczas jej nieobecności!

Dokładnie przejrzała zawartość torby. Niczego nie brakowało. Notes, magnetofon i inne przedmioty leżały

na swoich miejscach. Paszport, legitymację służbową, karty kredytowe i hiszpańskie banknoty trzymała w swojej białej skórzanej torebce, w torbie zostawiła jednak portmonetkę z walutą zagraniczną. Przeliczyła teraz dokładnie pieniądze, ale na szczęście były wszystkie. Mimo to jedno nie ulegało wątpliwości: ktoś przeszukał torbę. Świadczył o tym nie tylko uszkodzony zamek; rzeczy, które ułożyła starannie przed wyjściem, leżały nieco inaczej.

Nicky zamknęła torbę, włożyła ją z powrotem do szafy, po czym przeszła do komody w przeciwnym kącie w sypialni i zaczęła wysuwać kolejno szuflady, jedną po drugiej. Już w pierwszej chwili zorientowała się, że włamywacz zajrzał także tutaj. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości.

Zatroskana pokręciła głową, wsunęła szuflady i wróciła do saloniku. Opadła na krzesło, zamknęła oczy i zaczęła zbierać myśli, koncentrując się na niespodziewanym problemie. Czy to jedynie zbieg okoliczności, że już kilka razy natknęła się dzisiaj na człowieka z czarnym cygarem? Czy rzeczywiście on ją śledzi? Jeśli tak, to fakt ten dowodzi tylko jednego: Charles Devereaux żyje. Niewątpliwie jej pokoje zostały przeszukane, podobnie jak torba i szuflady, to zaś utwierdzało ją w przekonaniu, że jej dawny narzeczony śledzi ją na kontynencie.

Raptem wyprostowała się na krześle. Patrzyła teraz przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Jeśli Charles ją śledzi, chcąc zorientować się, co ona tu robi i z kim się spotyka, jeśli zlecił komuś przeszukanie jej pokoju, to musi wiedzieć, że ona jest teraz w Madrycie. Ale skąd o tym Wie? Czyżby utrzymywał kontakt z kimś w Ritzu? A może w ateńskim hotelu Grande Bretagne?

I co najważniejsze: dlaczego zachowuje się w ten sposób? Istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie: Charles chce poznać jej zamiary i zamierza osiągnąć swój cel za wszelką cenę.

Może przypuszcza, że ona chce go rozszyfrować, aby zrobić z tego program dla telewizji? Wie przecież, że zanim została korespondentem wojennym, była nadzwyczaj dociekliwą dziennikarką. I jest nią w dalszym ciągu. Ale jeśli się tego obawia, to musi być zamieszany w coś, co byłoby warte dochodzenia. W coś nielegalnego. W coś zakazanego. I przynoszącego duży zysk. Handel bronią? Narkotyki? Ale dlaczego Charles miałby ryzykować dla pieniędzy? Przecież i bez tego był bogatym człowiekiem. A jednak nie potrafiła pozbyć się myśli, że bez względu na to, w co wpakował się Charles, podjął tę decyzję dla zdobycia majątku.

Oczywiście, za tym wszystkim mogło się kryć coś innego, coś zupełnie dziwnego. Wtedy, w Rzymie, zasugerowała to już w rozmowie z Archem. Ale co by to mogło być?

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślenia. Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę. - Słucham?

- Nicky, tu Peter. Dzwoniłem już raz i prosiłem o przekazanie ci wiadomości. Nie dostałaś żadnej informacji?

- Och, Peter, szalenie mi przykro. Właśnie przed chwilą weszłam i nie zdążyłam jeszcze przejrzeć korespondencji.

- Nic się nie stało. Amy i ja chcielibyśmy zaprosić cię dziś na kolację. Masz wolny wieczór?

- Tak. I chętnie poznam twoją żonę. Ale posłuchaj, Peter, nie ma powodu, abyś otaczał mnie tu jakąś szczególną opieką czy sprawiał sobie kłopot, naprawdę...

- Chcielibyśmy spędzić z tobą wieczór - przerwał. - Zaprosiliśmy już paru przyjaciół. Wybieramy się do Jockey Club, to taki słynny lokal.

- Słyszałam o nim.

- Przyjadę do ciebie około wpół do dziewiątej i zabiorę do domu na drinka. Posiłek zjemy o dziesiątej, może nawet o dziesiątej trzydzięci, niestety musisz się na to nastawić. W Madrycie musisz tańczyć tak, jak ci zagrają Hiszpanie. Do zobaczenia, Nicky.

- Dobrze, czekam na ciebie, Peter. Na razie.

Nie zdążyła jeszcze odejść od telefonu, kiedy odezwał się ponownie.

- Słucham?

- Witaj, Nick, to ja - usłyszała głos Clee. - Jean-Claude powiedział mi, że dzwoniłaś.

- Clee! Witaj, najdroższy. To prawda, dzwoniłam. Co u ciebie? Gdzie teraz jesteś?

- Czuję się doskonale, a jestem w Berlinie. W Intercontinentalu. Dostałaś ode mnie wiadomość?

- Tak, ale dopiero przed chwilą weszłam do pokoju. Nie zdążyłam jeszcze niczego przeczytać.

- Nicky, mam dla ciebie wspaniałe wieści! Fantastyczne!

Mimo dzielącej ich odległości czuła, jak bardzo jest podekscytowany. - Co się stało? Opowiadaj!

- Yoyo! Dostałem wiadomość od Yoyo!

- Och, Clee, to cudownie! Strasznie się cieszę! Wszystko u niego w porządku, prawda? A gdzie on teraz jest? W Paryżu?

Roześmiał się. - Hola, nie wszystko naraz! Odpowiem ci na te pytania po kolei. A więc: czuje się świetnie, przebywa w Hongkongu, niebawem wyjedzie do Paryża. Mam nadzieję, że to nie potrwa dłużej niż parę dni, może tydzień.

- Świetnie! - zawołała i jej oczy napęłniły się łzami ulgi i wdzięczności. A więc Yoyo żyje, jest cały i zdrowy! Przez parę sekund nie była zdolna wykrztusić nawet jednego słowa.

- Jesteś tam? - zapytał Clee.

- Tak, oczywiście! - zawołała. - Po prostu wzięłam sobie bardzo do serca to, co powiedziałeś.

- Domyślam się, jak się czujesz. Przeżywałam to samo, kiedy Jean-Claude przekazał mi wiadomość.

- Aha, więc nie rozmawiałeś z Yoyo osobiście?

- Nie. Zadzwoił do mego biura z Hongkongu i obiecał, że zatelefonuje jeszcze raz, kiedy tylko znajdzie się w Paryżu.

- W takim razie moglibyśmy zorganizować wspólne spotkanie w poniedziałek.

- Może. O której będziesz w Paryżu, Nick?

- Myślę, że po południu.

- A więc wybierzmy się razem na obiad. Tylko we dwoje. Chyba że chcesz, aby towarzyszył nam Yoyo... o ile oczywiście zjawi się do tego czasu.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę - wyznała Nicky. - I ciebie.

- Ja też tęsknię za tobą, kochanie.

Rozmawiali jeszcze parę minut, a potem, kiedy już się pożegnali, Nicky stała przez długą chwilę z ręką na słuchawce. Clee był tak bardzo przejęty wieściami od Yoyo, że nie zapytał nawet, po co poleciała do Madrytu. Po prostu przypuszcza, że jestem tu służbowo, pomyślała i odetchnęła z ulgą.

* * *

Wieczorem, właśnie gdy kończyła makijaż, telefon zadzwonił donośnie. Przeszła do sypialni i podniosła słuchawkę.

- Halo?

Nikt nie odpowiedział.

Powtórzyła „halo” bardziej ostrym tonem, ale wtedy usłyszała cichy trzask: połączenie zostało przerwane. Natychmiast wystukała numer centrali. - Tu Nicky Wells z apartamentu 705. Przed chwilą odebrałam telefon, ale nikt się nie odezwał. Czy ktoś dzwonił teraz do mnie?

- Owszem, proszę pani. I połączyłem z pani pokojem.

- Czy wie pan może, kto to był?

- Niestety nie. W każdym razie był to mężczyzna.

- Dziękuję. - Odłożyła słuchawkę i wróciła do łazienki, aby ułożyć włosy. Raptem przerwała szczotkowanie i niewidzącym wzrokiem spojrzała na swoją twarz w lustrze. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Ktoś sprawdza, czy nie wyszła z hotelu... Przypomniała sobie rozmowę z Archem. Powiedział jej, że człowiek, który pozoruje własne zniknięcie, nie chce, aby go odnaleziono. Dodał też, że powinna uważać, gdyż może narazić się na niebezpieczeństwo. Czy rzeczywiście coś jej teraz grozi?

Zwróciła się myślą ku osobie Charlesa Devereaux. Arch przestrzegł ją także, że Charles potrafi być twardy i bezwzględny. Miał rację. Ona również dostrzegała niegdyś te cechy u swego narzeczonego.

Tak, sytuacja stawała się coraz bardziej przejrzysta. Może rzeczywiście grozi jej niebezpieczeństwo?

Rozdział 29

Wieści od Yoyo podniosły Nicky na duchu, całkowicie przesłoniły sprawę Charlesa Devereaux i odsunęły na bok dalsze poszukiwania.

Poprzedniego wieczoru była w wesołym, optymistycznym nastroju, kiedy wyszła na obiad wraz z Peterem i Amy Collisami oraz ich przyjaciółmi. Zdołała nawet zapomnieć o obawach związanych z przestrogą Archa o grożącym jej niebezpieczeństwie. Dziś, w ten piękny, ciepły sobotni poranek, opuściły ją resztki demonów - uciekły przed jej dobrym humorem i radosnymi promieniami słońca, przed niewiarygodnie turkusowym niebem oraz przed rozrzedzonym, suchym kastylijskim powietrzem, dzięki któremu niebo stawało się szczególnie czyste. Nicky czuła się wspaniale, a sprawiała to również atmosfera normalności, emanująca z tego eleganckiego, imponującego i tętniącego życiem hotelu.

Od czasu rozmowy z Clee nie przestała rozmyślać o Yoyo. Świadomość, że zdołał przedostać się z Chin do Hongkongu, gdzie nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, pomogła jej uporać się z lękiem, w jakim żyła ostatnio; miała wrażenie, jakby zdjęto jej olbrzymi ciężar z piersi. Nie mogła już doczekać się chwili, kiedy ujrzy Yoyo i dowie się, jak sobie radził, odkąd rozstali się trzy miesiące temu.

Pragnęła też gorąco spotkać się z Clee, potrzebowała tego, łaknęła jego obecności przy sobie. Nie byli już razem od kilku tygodni i ta rozłąka pogłębiała jej uczucie.

Tęskniła za ciepłem Clee i jego inteligencją, za jego czułością i miłością.

Podniosła filiżankę i dopiła kawę, następnie usiadła wygodniej i rozejrzała się dokoła, chłonąc wzrokiem otoczenie. Na późne śniadanie przyszła właśnie tu, do hotelowej restauracji, usytuowanej pośród zieleni, w pięknym ogrodzie. W pewnym sensie to ów ogród wyróżniał Ritza, czynił go tak wyjątkowym. Hotel wznosił się w samym sercu Madrytu, ale otaczające go drzewa i ogrody tworzyły oazę ciszy i spokoju w ruchliwej, hałaśliwej i rozgorączkowanej metropolii.

Nicky podniosła wzrok na niebo, nienaturalnie błękitne i bezchmurne. Słońce stało wysoko, zwiastując upał tak samo nieznośny jak wczoraj. Ale tu, w cieniu, pod osłoną drzew, było jej dość przyjemnie, tym bardziej że ubrała się tak lekko, jak przystało na to miasto: miała na sobie luźną przewiewną sukienkę i płaskie sandaalki.

- *Señorita Wells?*

Nicky podniosła wzrok i ujrzała przed sobą niepozorną twarz młodego gońca. - Tak?

- To dla pani. - Trzymał w ręku srebrzystą tackę z leżącą na niej kopertą i uśmiechał się sympatycznie.

Wyciągnęła z torebki kilka monet, rzuciła je na tackę i wzięła białą kopertę. - Dziękuję - powiedziała.

Zerknął na pieniądze, zwinnym ruchem wsunął je do kieszeni i błysnął w uśmiechu zębami. - *Gracias, señorita.*

Zaintrygowana oglądała kopertę ze wszystkich stron. Ciekawe, od kogo. Od Petera? Od jego przyjaciół, których poznała wczoraj wieczorem? Okazali się bardzo miłą parą,

wyrazili chęć spędzenia wraz z nią weekendu. Na koper-
cie widniało starannie wykaligrafowane jej nazwisko,
była też nazwa hotelu z adresem, brakowało jednak
nadawcy.

Zdecydowanym ruchem rozerwała kopertę, wyciągnę-
ła z niej kartkę papieru i zamarła w bezruchu na widok
charakteru pisma. Nie miała teraz żadnych wątpliwości:
kartkę napisał Charles Devereaux.

Droga Nicky,

*Poszukujesz mnie tak intensywnie, że nasze spotka-
nie stało się koniecznością. Człowiek, który przyniesie
do hotelu mój list, czeka na ciebie w hallu. Posłałem go,
aby sprowadził Cię do mnie.*

C.

Siedziała jak skamieniała, ściskając kartkę w dłoni.
Kilkakrotnie przełknęła ślinę, usiłując pozbyć się nieprzy-
jemnego uczucia suchości w gardle, potem znowu spoj-
rzała na kartkę i przeczytała ją po raz drugi. Niewątpliwie
napisał ją Charles; świadczył o tym nie tylko charakter
pisma, ale użyty w tekście, tak typowy dla Charlesa wyraz
„sprowadził”.

A więc jednak miałam rację, pomyślała, siedząc
szywno na krześle. Po prostu wiedziałam, jak mają się
sprawy. Czułam to. Od pierwszej chwili, kiedy obejrza-
łam w telewizji korespondencję z Rzymu.

Mimo to nie czuła teraz satysfakcji, ogarniały ją raczej
zniechęcenie i niezmierny smutek. Smutek, który wiązał
się bardziej z Anną Devereaux niż z nią samą.

Przypomniała sobie, że w hallu czeka człowiek mający
zaprowadzić ją do Charlesa i raptem przyszło jej coś do
głowy. Wczoraj wieczorem, wspominając rozmowę z Ar-
chem, zastanawiała się, czy nie grozi jej jakies

niebezpieczeństwo. A może nie powinna teraz jechać w nieznanym kierunku z posłańcem Charlesa? Praca korespondenta wojennego przyzwyczaiła ją do ryzyka, zresztą już dawno uświadomiła sobie, że z natury nie jest lękliwa. Z drugiej jednak strony nie zamierzała dopuścić do tego, aby nadmierna ciekawość i żądza poznania prawdy doprowadziły ją do zguby. Musi wystrzegać się ryzyka.

Ale w tym nie ma przecież żadnego ryzyka, pocieszała się w duchu. Charles Devereaux może mieć różne wady, nie jest jednak zabójcą. W głębi serca żywiła przekonanie, że Charles nie potrafiłby jej skrzywdzić, nie pozwoliłby, żeby włos spadł jej z głowy. Mimo to ostrożność nie zawadzi.

Żałowała, że nie ma teraz przy niej Petera Collisa. Pojechaliby jego samochodem, potem Peter poczekałby w nim, aż ona wyjdzie od Charlesa. Niestety, Peter i Amy składają właśnie wizytę u swoich przyjaciół, którzy mieszkają gdzieś pod Madrytem.

Tak więc jest zdana tylko na siebie. Trudno, niech i tak będzie.

* * *

Przeszła przez hall i poprosiła o rozmowę z Enrique, szefem recepcji.

- Dzień dobry, *señorita* Wells. Czym mogę służyć? - zapytał.

- Potrzebny mi samochód z kierowcą. Jak najprędzej. Byłoby wspaniale, gdyby ten kierowca mówił po angielsku.

- Nie ma problemu, *señorita*. Zajmę się tym natychmiast. Na jak długo będzie potrzebny samochód?

- Nie jestem jeszcze pewna... Przynajmniej na parę godzin, ale może nawet na cały dzień. Kiedy mogę liczyć na samochód?

- On już tu jest, *señorita* Wells. Samochody i kierowcy są do dyspozycji naszych gości hotelowych, auta stoją na parkingu.

- Doskonale. Kilka minut temu ktoś przyniósł dla mnie wiadomość. Ten człowiek czeka chyba na mnie.

- Tak, jest tam - odparł Enrique.

Spojrzała we wskazanym kierunku. W drugim końcu hallu siedział młody, dobrze ubrany mężczyzna. - Dziękuję - powiedziała do Enrique'a i szybkim krokiem ruszyła w tamtą stronę.

- Jestem Nicky Wells - przedstawiła się. - Czy pan mówi po angielsku?

Skinął głową.

- Tak.

- Jak pan się nazywa?

Zawahał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Javier.

- W porządku, Javier. - Wskazała na kopertę.

- To pan przyniósł mi ten list?

- Tak.

- A teraz ma pan zaprowadzić mnie do nadawcy listu, czy tak?

- Tak, on czeka na panią.

- Doskonale, niech pan prowadzi. Ale pojedę swoim samochodem i z kierowcą.

- Nie rozumiem... Jestem tu samochodem i zawiozę panią na miejsce, *señorita* Wells.

Potrząsnęła głową. - Nie ma mowy, wolę pojechać swoim samochodem. W przeciwnym razie nie pojedę w ogóle - oświadczyła stanowczo.

Jej mina i postawa nie uszły uwagi Javiera; nie odpowiedział od razu. Dopiero po długiej chwili namysłu

mruknął: - Dobrze. Ale proszę zaczekać. Muszę zadzwonić.

- W porządku, zaczekam - odparła chłodnym tonem. Domyśliła się natychmiast, że Javier chce porozumieć się z Charlesem.

Javier wrócił po upływie kilku minut. - Zgoda. Możemy jechać. Pani auto jedzie za moim.

* * *

Szofer miał na imię José. Kiedy Nicky zajęła już miejsce na tylnym siedzeniu, podszedł do Javiera.

Obserwowała ich obu z wnętrza samochodu. Szyba w oknie była opuszczona, słyszała więc ich głosy, ponieważ jednak nie znała hiszpańskiego, nie rozumiała treści rozmowy.

Po chwili José usiadł za kierownicą, zwolnił hamulec ręczny i włączył silnik.

Płynnie odjechali spod hotelu, a kiedy włączyli się w ruch uliczny, Nicky zapytała: - Czy Javier wyjaśnił, dokąd jedziemy?

- Tak, *señorita*. W okolicy rynku.

- Rynku?

- *Si, si*. Tak, to ten słynny z powodu byków plac w Madrycie, Plaza de Toros de las Ventas. Niedaleko stąd, dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny. To zależy od ruchu na ulicach.

- Rozumiem.

- Pani zna ten plac, *señorita*? Czy widziała pani kiedyś corridę?

- Owszem, kilka lat temu. - Przypomniała sobie teraz tamto spotkanie z Charlesem w Madrycie, na parę tygodni przed ich zaręczynami. *Don Pedro* zabrał ich wtedy na niedzielną walkę byków.

- Podobało się pani? - José zerknął na nią przez ramię i uśmiechnął się.

- Owszem, to było ciekawe.

Odchyliła się do tyłu i wróciła pamięcią do tamtego przedłużonego weekendu. W Madrycie spędzili z Charlesem cztery dni - dni wypełnione wspaniałymi emocjami, tętniące życiem, również tym nocnym. Wtedy sprawiał wrażenie szczęśliwego, zadowolonego. Zastanawiała się teraz, czy Charles mieszka na stałe w Madrycie. Może w Rzymie bawił tylko przejazdem? Narkotyki, przyszło jej do głowy, kiedy skojarzyła sobie tradycyjne już związki Hiszpanii z Ameryką Południową. Wiedziała, że mimo lśniącej fasady Madryt ma problemy podobne do problemów innych miast. Niedawno przeczytała, że heroina powoduje co drugi dzień śmierć jednej ofiary w Madrycie.

Czyżby Charles był zamieszany w przemyt narkotyków? Czy o to właśnie chodzi? Czy z tego powodu upozerował własną śmierć i uciekł za granicę, gdzie rozpoczął nowe życie? Jeszcze parę minut, pocieszyła się, i poznam odpowiedzi na wszystkie tego typu pytania.

Niebawem José zatrzymał samochód na bocznej uliczce tuż za autem Javiera, w pobliżu brązowego wieżowca mieszkalnego. Pomógł Nicky wysiąść, ona zaś powiedziała: - Proszę tu na mnie poczekać, José, bez względu na to, ile to potrwa.

- Si, si, rozumiem. Nie odjadę. Jeśli to będzie konieczne, postoję tu nawet cały dzień.

Skinęła głową. - Myślę, że zajmie mi to najwyżej parę godzin. - Podeszła do Javiera, który stał już przy wejściu do domu.

- Czy to tutaj? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- On tu czeka - odparł Javier. Otworzył drzwi i odsunął się na bok, aby puścić ją przodem.

Weszli do niewielkiego hallu i Javier skierował się do windy, Nicky zaś poczuła ogarniające ją napięcie. Nie była pewna, co ją czeka. Znowu zaschło jej w gardle.

Rozdział 30

Javier otworzył drzwi do apartamentu własnym kluczem i wprowadził Nicky do środka.

Znajdowała się w niewielkim ciemnym foyer o nieokreślonym wyglądzie. Podłogę pokrywał perski dywan, na konsoli pod lustrem stał wazon z niestarannie ułożonymi sztucznymi kwiatami, ściany były obwieszane plakatami, które przedstawiały walki byków. Nicky rozglądała się zaciekawiona na boki i dojrzała szereg zamkniętych drzwi oraz długi korytarz wiodący z foyer. Na wprost, za łukowym wejściem, znajdował się salon.

Wszędzie panowała cisza, nie było nawet śladu życia i Nicky ponownie rozejrzała się wokół siebie, starając się dosłyszeć choćby szelest - coś, co zdradziłoby jej, gdzie jest Charles.

- Proszę wejść - odezwał się Javier, wskazując na salon, a kiedy ruszyła w tamtą stronę, on sam zniknął w głębi korytarza.

Spiesznie ogarnęła wzrokiem pomieszczenie, do którego weszła. Było tak samo pospolite i mało pociągające jak foyer; również tutaj na podłodze leżał perski dywan, a białe ściany zdobiły plakaty prezentujące walki byków.

Na wyposażenie pokoju składały się też ciemne meble oraz sofa i dwa krzesła okryte brązowo-oliwkowym aksamitem; stały rozmieszczone wokół tandetnego stolika z blatem wyłożonym ozdobną ceramiką.

Nicky, która liczyła, że w salonie zastanie Charlesa, poczuła się rozczarowana; w pomieszczeniu nie było nikogo. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz; słynny Plaza de Toros de las Ventas był o rzut kamieniem stąd. Ktokolwiek zajmował ten apartament - wiedziała zaś, że nie Charles - musiał być miłośnikiem corridy. Charles wypożyczył to mieszkanie, aby spotkać się ze mną, pomyślała. Z pewnością nie mieszkałby w miejscu takim jak to, miejscu będącym zaprzeczeniem jego wrażliwości i dobrego smaku.

- Witaj, Nicky.

Drgnęła gwałtownie na dźwięk jego głosu. Odwróciła się do tyłu i ujrzała Charlesa, który wszedł przez inne drzwi, z przeciwległego kąta salonu. Tak, był to naprawdę Charles, chociaż bardzo zmieniony. Włosy oraz wąsy, które sobie zapuścił, były przyczernione, opalenizna czyniła zeń typ smagłego południowca, nieco egzotycznego i całkowicie jej obcego. Z natury miał jasną karnację skóry, podobnie jak matka; takiego właśnie zachowała go w pamięci, Anglosasa w każdym calu. Ubierał się też inaczej niż dawniej, o wiele bardziej swobodnie; miał na sobie bawełniane granatowe spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją.

Uświadomiła sobie, że nie może wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Nie przewidziała, że to spotkanie twarzą w twarz okaże się dla niej tak olbrzymim szokiem. Oto po długim okresie, kiedy sądziła, że Charles nie żyje, miała go przed sobą żywego i najwyraźniej cieszącego się

dobrym zdrowiem. Była całkowicie oszołomiona tym faktem, trzęsa się jak w febrze, a serce tłukło się w piersi jak oszalałe.

- Wyglądasz wspaniale, Nicky! - Charles pierwszy przerwał milczenie i podszedł do niej bliżej.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Zatrzymał się tuż przed nią i uśmiechnął się niewyraźnie.

Nie odwzajemniła uśmiechu. Jej twarz była zimna, oczy przywodziły na myśl błękit mroźnego śniegu. Oстрыm tonem zauważyła: - Skończmy z tą czczą gadani-
ną, dobrze? Nie przyszedłam tu wysłuchiwać komplementów.

- Chciałem po prostu, abys się trochę odprężyła - odparł, a po jego twarzy przemknął znowu ów nikły uśmiech.

Słyszac te słowa i widzac ów typowy dla niego zarozumiały uśmieszek, Nicky straciła panowanie nad sobą. Żal, cierpienie i ból, które już od dłuższego czasu połączyły się w przemożne uczucie gniewu, teraz dały o sobie znać. Zawrzała w niej krew. - Ty cholerny sukinsynu! - zawołała. - Czemu to zrobiłeś? Dlaczego zachowałeś się tak okropnie, tak bezwzględnie? Wobec mnie, wobec twojej matki! Jak mogłeś sprawić jej tyle bólu, sprawić ból również mnie? Cierpiałymy przez ciebie obie, przytłaczał nas żal, ty gruboskórny łajdaku! Nie wiem nawet, jak mogłam cię kiedyś kochać! Za to, co zrobiłeś, nienawidzę cię, słyszysz?

Zaskoczony tym potokiem gniewnych słów wzdrygnął się, zaciśnięte usta drgnęły lekko, nie powiedział jednak nic na swoją obronę. Stał jedynie, patrząc na nią w bezruchu.

Po twarzy Nicky pociekły łzy i nagle postąpiła krok do przodu; gorączkowo, ze zdumiewającą siłą poczęła bębnić po jego piersi zaciśniętymi pięściami.

W pierwszej chwili Charles zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę. Po krótkiej chwili szamotaniny zdołał w końcu ująć jej ręce.

- Przestań, Nicky! Przestań natychmiast, słyszysz? To nie doprowadzi nas do niczego mądrego! Kazałem cię sprowadzić tu do mnie, aby coś ci powiedzieć, wyjaśnić...

- Kazałeś mnie śledzić! - zawołała.

- Nic podobnego!

- Kazałeś też przeszukać mój apartament, łajdaku!

Przez moment wahał się, potem jednak postanowił się przyznać.

- Tak, to prawda. Ale śledzić cię? - potrząsnął głową. - Nie, nie. Z całą pewnością nie. Dlaczego miałbym kazać cię śledzić?

Zignorowała jego protest. - Upozorowałeś samobójstwo i uciekłeś, aby rozpocząć nowe życie! - krzychała. - Takie postępowanie jest nieuczciwe i tchórzliwe. Nikczemne! Nie wiem, jakimi kierowałeś się pobudkami, ale według mnie nic nie jest w stanie usprawiedliwić...

- Nie miałem wyboru - przerwał stanowczo. - Postąpiłem tak, a nie inaczej, gdyż nie miałem innego wyjścia.

- Zawsze istnieje inne wyjście!

- W tym przypadku nie było. To kwestia poczucia obowiązku.

- Obowiązku! - krzyknęła. - Trudno mi w to uwierzyć! Jakież to obowiązek?

- Chciałbym ci właśnie wyjaśnić, dlaczego tak postąpiłem. Myślę, że kiedy zrozumiesz wszystko, odejdziesz i zostawisz mnie w spokoju.

Ponieważ nie odpowiedziała, dodał: - Stawiasz mnie w niebezpiecznej sytuacji, Nicky.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To bardzo duże ryzyko, wypytywać o mnie na całym świecie i pokazywać ludziom moje zdjęcia - oświadczył przyciszonym tonem spiskowca. - To mogłoby kosztować mnie głowę! - Przeszywał ją teraz wzrokiem. - Nikt nie może się dowiedzieć, że żyję. Nawet moja matka!

Udało jej się nie okazać zaskoczenia, w jakie wprawiły ją jego słowa, powstrzymała się też od komentarza. Patrzyła tylko na niego zaintrygowana, a w jej oczach widniało niedowierzanie.

- Proszę cię, usiądź. I nie bądź taka zagniewana - powiedział Charles.

- Nie myśl, że już wszystko w porządku!

- Jest aż tak źle? - mruknął. - Byłoby jednak dobrze, gdybyś spróbowała się uspokoić i wysłuchać mnie do końca. To, że się denerwujesz, tylko pogarsza całą sytuację.

- Wielki Boże, Charlesie, chyba oczekujesz ode mnie zbyt wiele!

Puścił jej ręce, ona zaś uniosła je, spojrzała na nadgarstki i zaczęła je pocierać, najpierw jeden, potem drugi. Były zaczerwienione i obolałe.

- Spójrz, co zrobiłeś!

- Bardzo przepraszam, Nick. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z własnej siły, pamiętasz? Wybacz, że zostawię cię na moment. Zaraz wrócę. - To powiedziawszy, wyszedł bocznymi drzwiami.

Nicky oparła się plecami o ścianę, miała wrażenie, jakby jej nogi były z waty. Trzęsła się cała z gniewu i było to jedyne uczucie, do jakiego była teraz zdolna. Chociaż nie, istniała jeszcze nienawiść. Chyba naprawdę pałała nienawiścią do Charlesa Devereaux.

Kilka sekund później wrócił do salonu; towarzyszył mu jakiś młody mężczyzna, ale nie Javier.

Nieznajomy trzymał tacę z butelką wody i dwiema szklankami. Ustawił ją na stoliku, a kiedy mijał Nicky, poczuła ostry zapach wody kolońskiej. Poznała ten zapach i natychmiast zesztyniała.

Charles najwidoczniej zauważył jej reakcję. Zaczekał jednak, aż zostaną sami i wtedy zapytał: - Dlaczego zachowałaś się tak dziwnie, widząc Pierre'a?

- Bo to właśnie on przeszukał mój apartament - odparła oschle.

- Skąd wiesz? Widziałaś go, kiedy od ciebie wychodził?

- Nie, ale czułam go.

Zmarszczył brwi. - Nie bardzo rozumiem.

- Chodzi mi o jego wodę kolońską. Pachniał nią cały apartament.

Ponownie zmarszczył brwi. - Jest jeszcze bardzo młody - mruknął po chwili, jakby do siebie. - I zbyt niedoświadczony. Nieostrożny. - Umilkł na moment, pogrążył się w zadumie, po czym, mruknął cicho: - Pierre nie znalazł nic w twoim pokoju.

- Bo nie było tam nic, co mogłoby go zainteresować - odparła. - Może tylko twoje zdjęcia, ale te miałam przy sobie.

Charles pominął milczeniem uwagę o zdjęciach.

- Posłuchaj, Nicky, usiądź tu - poprosił wreszcie. - Jak dotąd, twój wybuchowy temperament nie pomógł nam ani trochę. Błagam cię, spróbuj się uspokoić chociaż na tyle, żebyśmy mogli porozmawiać jak przystało na ludzi rozsądnych i cywilizowanych.

Nie ruszała się z miejsca. Stała jak przedtem ze wzrokiem wbitym w Charlesa. Wiedziała, że jej gniew nie jest bezpodstawny; ten gniew wzbierał w niej trzy lata. Nie żałowała też swego wybuchu ani tego, co powiedziała. Ale

Charles miał w jednym rację: nie uda jej się dowiedzieć niczego, dopóki nie weźmie się w garść i nie dopuści go do słowa.

- Usiądź, Nicky - poprosił ponownie, wskazując ręką najbliższe stojące krzesło. - Usiądź tu, dobrze? - Opadł na drugie krzesło, sięgnął po butelkę i nalał szklanek wody. Podniósł wzrok na Nicky. - Napijesz się?

Skinęła głową. - Chętnie, bardzo tu duszno.

Poderwał się natychmiast z miejsca, włączył wentylator stojący na stoliku w kącie pokoju, po czym wrócił na krzesło, napełnił drugą szklanek wodą i upił łyk.

Nicky w dalszym ciągu przesywała go wzrokiem. Kiedyś kochała tego mężczyznę, uwielbiała go, zamierzała go poślubić, czuła się z nim związana na dobre i na złe. Spiała z nim, łączyły ich najbardziej intymne stosunki i wspólne przeżycia - ale teraz wydawał jej się kimś zupełnie obcym.

Usiadła na krześle, napiła się trochę wody i oświadczyła: - Teraz już jestem bardziej spokojna, Charlesie. Możesz mówić.

- To, co mam ci do powiedzenia, jest ściśle poufne. Nie wolno ci tego powtórzyć nikomu. Nawet mojej matce.

Zachowała milczenie, on zaś dodał: - Obiecaj mi to: nie ujawnisz faktu, że żyję, nie powtórzysz nikomu tego, co ci powiem, nawet mojej matce.

- Nie jestem pewna, czy zdołam dotrzymać tajemnicy.

- W takim razie, niestety, nie mogę ci się zwierzyć.

- Dlaczego nie wolno mi powiedzieć o tym twojej matce?

- Dlatego, że zechce się ze mną spotkać, kiedy się dowie, że żyję. A to jest niemożliwe... mogłoby się okazać zbyt niebezpieczne. Dla niej.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział na jej pytanie. - Jeśli przyrzekniesz, jeśli dasz mi słowo honoru, że ta tajemnica pozostanie na zawsze pomiędzy nami, powiem ci wszystko - mruknął po chwili. - A przynajmniej wyjaśnię ci, dlaczego upozorowałem samobójstwo i zniknąłem.

- W porządku, przyrzekam. Nie powiem Annie ani nikomu innemu, że żyjesz. Nie ujawnię też nikomu tego, co mi powiesz.

- Nikomu, Nicky, powtórz to.

- Nie powiem nikomu. Przysięgam.

- Mam głęboką nadzieję, że dotrzymasz słowa. Ufam ci, wiem, że traktujesz takie sprawy poważnie. Ale pozwól, że dodam jeszcze jedno: to, czym się zajmuję, wiąże się ze sprawą bezpieczeństwa narodowego. Bezpieczeństwa narodowego Wielkiej Brytanii.

Nicky nachyliła się do przodu, jej oczy tworzyły teraz dwie wąskie szparki. - Obiecałam ci, że nie powiem nikomu ani słowa. I dotrzymam tej tajemnicy.

- W porządku. - Opadł z powrotem na krzesło i po chwili oświadczył: - Jestem agentem brytyjskim.

Była to ostatnia rzecz, jaką Nicky spodziewała się usłyszeć; zaskoczona, z trudem zachowała spokój. Dlaczego nie przyszło mi nigdy do głowy, że Charles związał się z wywiadem? - pomyślała. - A więc jesteś w MI 6, czy tak? - zapytała.

- Właściwie to w specjalnym wydziale SIS.

- Co to za SIS?

- Secret Intelligence Service*, mniej więcej to samo co MI 6. Upozorowałem samobójstwo i zniknąłem, ponieważ musiałem zdobyć nową tożsamość.

* Tajna Służba Wywiadowcza - przyp. tłum.

- Dlaczego? - Nicky aż nachyliła się do przodu.

- Ten krok miał umożliwić mi infiltrację obcego wywiadu.

- Czy to znaczy, że jesteś szpiegiem?

- Owszem.

- A o który kraj chodziło? Jaki wywiad miałaś rozpracować?

- Daj spokój, Nicky. Wiesz doskonale, że tego nie mogę ci powiedzieć!

Skinęła głową. - Rozumiem. Jak długo jesteś agentem?

- Od wielu lat. Ściśle mówiąc, od piętnastu. Kiedy zacząłem, miałem dwadzieścia pięć lat.

- A więc wtedy, kiedy mnie poznałeś, pracowałeś już dla wywiadu brytyjskiego? - zapytała, splatając nerwowo dłonie; raptem do jej świadomości dotarł fakt, że cały ten czas znała Charlesa tylko fragmentarycznie, że istnieje jeszcze część Charlesa, o której nie miała nigdy pojęcia.

- Tak, byłem już wtedy agentem - przyznał.

- Ale przecież mieliśmy się pobrać. W jaki sposób zamierzałeś ukryć przede mną charakter swojej pracy?

- To nie byłby żaden problem. Po pierwsze, byłaś bardzo zaabsorbowana własną karierą zawodową; poza nią nie liczyło się dla ciebie nic innego, chyba tylko nasz związek. Często podróżowałaś po całym świecie, gdyż wymaga tego praca korespondenta wojennego. Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, abyś miała okazać się na tyle wścibska, żeby interesować się tym, co robię. To nie leżało w twojej naturze. W każdym razie moja tajemnica była przez wiele lat bezpieczna. Miałem doskonały parawan: firmę importującą wina.

- Ale przecież ta firma prosperowała naprawdę znakomicie! - zawołała Nicky. - Firmy tworzone po prostu

jako parawan nie są zazwyczaj niczym innym, mają jedynie stanowić przykrywkę. Nie muszą robić wielkich pieniędzy.

Charles uśmiechnął się. - Właśnie na tym polegał zawsze mój problem, Nicky. Każda firma, z którą się wiązałem, zaczynała natychmiast przynosić duży zysk. Mój szef w wywiadzie twierdzi, że mam do tego szczególny dar. Dlatego zrezygnowałem z innych interesów i utworzyłem firmę importową. Wprawdzie i ona rozkwitła bardzo szybko, ale przynajmniej stanowiła świetny parawan.

- Rzeczywiście, była dla ciebie bardzo wygodna.

- Idealna. Mogłem podróżować do różnych krajów o każdej porze, nie wzbudzając podejrzeń. A odkąd przyjąłem Chrisa Nealda jako współnika, nie byłem już w ogóle uwiązany do biurka. Chris zajmował się firmą, a ja kręciłem się po całym świecie, załatwiając swoje sprawy przy okazji zakupu wina.

- To wszystko wydawało mi się wtedy zupełnie legalne - szepnęła Nicky.

- Bo było. Z tym, że firma należała właściwie do Chrisa; to on wykonywał niezbędną pracę. A mnie to odpowiadało, bo miałem dzięki temu coraz większą swobodę.

- Czy Chris wiedział, że jesteś agentem?

- Wielki Boże, skądże znowu!

- Ale miałeś kogoś zaufanego, prawda? Chodzi mi o kogoś, kto pomógł ci upozorować śmierć i opuścić Anglię.

- Owszem, miałem.

- Kto to taki?

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

- Jeszcze jeden agent?

Skinął głową.

- A dlaczego w ogóle musiałeś zniknąć? Twierdzisz, że miałeś idealny parawan, a ja nie byłam zbyt wścibska. Dlaczego więc nie mogłeś po prostu ożenić się ze mną i spokojnie ciągnąć swojej działalności?

- Tak właśnie zamierzałem postąpić, ale kilka miesięcy przed ślubem okazało się, że muszę wyjechać na długi okres. Widzisz, jako agent SIS miałem przeniknąć do wywiadu pewnego kraju i tam przycząić się na jakiś czas - wyjaśnił Charles. - Było jasne, że taka operacja może potrwać całe lata, o ile ma przynieść owoce. A wydawało mi się, że będzie ucziwiej zniknąć przed ślubem niż po nim.

- Rozumiem. Ale dlaczego akurat ty, Charlesie? Dlaczego nie mógł tego zrobić inny agent?

- Ze względu na moje szczególne umiejętności, orientację w pewnych dziedzinach i znajomość kilku języków obcych. Nadawałem się do tego zadania lepiej niż inni. A szefom z wywiadu brytyjskiego zależało na tym, abym przeniknął do tamtej organizacji jak najprędzej. Tym bardziej że taka operacja wymaga dużo czasu. Trzeba stopniowo zdobyć zaufanie, zostać zaakceptowanym. - Upił trochę wody i kontynuował: - Jak już powiedziałem, wiedzieliśmy wszyscy, że będę działał w ukryciu przez wiele, wiele lat. I to było właśnie sedno sprawy, uwierz mi.

- Tak więc poświęciłeś naszą wspólną przyszłość - szepnęła Nicky, patrząc mu prosto w oczy.

- Musiałem... dla dobra ojczyzny - odparł. Jego spojrzenie złagodniało, na twarzy pojawił się żal.

Siedziała na krześle cicha, nieruchoma.

- Jeśli będzie to dla ciebie jakakolwiek pociechą, kochałem cię naprawdę - powiedział. Chciał dodać, że kocha ją nadal, zabrakło mu jednak odwagi. Uznał zresztą,

że nie jest to stosowna chwila na tego rodzaju wyznanie.

- Sprawileś mi wiele bólu - odezwała się po chwili, jakby z namysłem.

- Wiem o tym. Czy jesteś w stanie mi wybaczyć?

- Myślę, że tak, zważywszy okoliczności. Już ci wybaczyłam. - Teraz ona spojrzała na niego badawczo. - Twoja matka była wstrząśnięta w tym samym stopniu co ja.

- Tak...

- Teraz wzięła się już w garść i czuje się lepiej. Jest zaręczona z Filipem Rawlingsem.

- Wiem. Przeglądałem *Timesa* i znalazłem ogłoszenie w rubryce towarzyskiej. Filip myśli o tym ożenku już od lat. Z pewnością jest teraz szczęśliwy.

- Oboje czują się szczęśliwi.

- A teraz ja chciałbym cię o coś zapytać, Nicky. W jaki sposób wpadłaś na to, że żyję? I skąd, na Boga, wytrzasnęłaś moje zdjęcie? Mam na myśli nie to z dawnych lat, ale to, które przedstawia, jak wyglądam dziś.

- To był czysty zbieg okoliczności - przyznała Nicky i opowiedziała o wszystkim.

Kiedy skończyła, potrząsnął głową. - A ja nie zauważyłem nawet, że ta cholerna kamera jest skierowana na mnie. Razem z przyjacielem jadłem obiad w restauracji przy placu, gdzie odbywał się wiec, gdy nagle dobiegł nas odgłos strzelaniny. Wybiegliśmy na ulicę, aby zobaczyć, co się dzieje. Oczywiście widziałem kamerę telewizyjną, ale nie posłuchałem głosu instynktu, który kazał mi odejść. Zazwyczaj jestem bardziej ostrożny.

Skinęła głową, a potem zauważyła: - Zmieniłeś wygląd... Zapuściłeś wąsy i przyciemniłeś włosy. Ale oczy masz nadal zielone.

- Zwykle noszę brązowe szkła kontaktowe - wyznał. - Dziś jednak, przed spotkaniem z tobą, uznałem, że nie będą mi potrzebne. Ale nie odbiegajmy od tematu. Powiedz mi, Nicky, w jaki sposób zawędrowałaś do Aten?

- Dwa tygodnie temu spędziłam weekend w Pullenbrook. Potem postanowiłam pojechać do Rzymu, bo tam właśnie uchwyciła cię kamera. Miałam nadzieję, że wpadnę jakoś na twój trop. Traf chciał, że rozpoznała cię na zdjęciu sekretarka z naszego biura. Widziała cię na lotnisku w Atenach.

- Ach, tak, zapewne ta ładna Amerykanka, której pomogłem z bagażem.

- Owszem, to ona.

- I dlatego poleciałaś z Rzymu do Aten? I zaczęłaś wypytywać o mnie we wszystkich większych hotelach?

- Więc jednak byłeś tam, prawda? To znaczy, zatrzymałeś się, nie byłeś tylko przejazdem?

- To niezupełnie tak. W Atenach spędziłem tylko dwa dni.

- I zatrzymałeś się w Vouliagmeni? - nie ustępowała Nicky. Siedząc wygodnie na krześle, wpatrywała się bacznie w swego rozmówcę.

- Nie. Ale spędziłem tam trochę czasu z jednym z moich łączników. Jedliśmy lunch i obiad. Mieszkałem w śródmieściu, w bezpiecznym domu.

- A ten dom jest bezpieczny?

- Owszem.

- Ale to nie jest twój apartament?

Potrząsnął głową.

- Nie.

- Kiedy dowiedziałeś się, że jestem w Madrycie? Już po moim przyjeździe, czy też zorientowałeś się przedtem, że mam zamiar tu się zjawić?

- Wiedziałem już przedtem. Wiedziałem, że jesteś w Atenach, gdy tylko zaczęłaś mnie poszukiwać.

Poinformowano mnie też natychmiast, kiedy odleciałaś do Madrytu. Można powiedzieć, Nicky, że stale deptałem ci po piętach.

- O wszystkim informował cię ktoś z Grande Bretagne, prawda? Czy to Costa? Arystoteles? A może pan Zoulakis z Vouliagmeni?

- Nie mogę ci tego powiedzieć. A właściwie... dlaczego zdecydowałaś się przyjechać do Madrytu? Kto naprowadził cię na ten ślad?

- Nikt mnie nie naprowadził, Charlesie. Nie wiedziałam nawet, że tu jesteś. Chciałam po prostu spotkać się z twoim dawnym hiszpańskim współnikiem. Miałam nadzieję, że *don Pedro* potwierdzi, iż to ty jesteś na tym zdjęciu. Albo przekona mnie, że się mylę.

- Ale przecież moja matka nie wierzyła, że to ja, tak mi opowiadałaś! - zawołał. - Czy to ci nie wystarczyło?

- Niezupełnie. W każdym razie czułam instynktownie, że nadal żyjesz. Możesz to nazwać przecuciem.

- Tak, zawsze czułaś pismo nosem. Ciekawi mnie coś innego: czy kiedy już uznałaś, że żyję, zastanawiałaś się, dlaczego postanowiłem zniknąć? Czy podejrzewałaś coś konkretnego?

- Szczerze mówiąc, nie byłam pewna. Po twoim tak zwanym samobójstwie w Anglii nie wybuchł żaden skandal, wiedziałam więc, że nie jesteś zamieszany w żadną wielką aferę finansową. Dlatego też zaczęłam przypuszczać, że chodzi o jakąś nielegalną operację i że postanowiłeś na wszelki wypadek ulotnić się i zacząć w innym kraju nowe życie.

- A w jaką to niby nielegalną operację miałem się wplątać, według ciebie? - zapytał Charles, unosząc zdumiony brwi.

- Przemyt broni albo handel narkotykami - odparła ciszej.

- Wielki Boże! Widzę z tego, Nicky, że nie miałaś o mnie zbyt dobrego zdania.

- A powinnam?

Wstał, podszedł do okna, przez parę chwil kręcił się niespokojnie tam i z powrotem, następnie usiadł znowu na krześle. - Niepokoi mnie bardzo to, że według ciebie ktoś śledził cię w Madrycie. Czy jesteś tego pewna?

Wzruszyła ramionami. - Nie na sto procent.

- Dlaczego w ogóle pomyślałaś, że jesteś śledzona?

- Wczoraj rano, kiedy rozmawiałam z recepcjonistą, kręcił się koło mnie jakiś człowiek. Nieco później natknęłam się na niego w pasażu handlowym w pobliżu hotelu Palace. Wieczorem, kiedy wyszłam z Prado, ujrzałam go ponownie, ale ponieważ był zajęty rozmową, udało mi się przemknąć niepostrzeżenie.

- Rozumiem. Możesz opisać jego wygląd?

- Oczywiście. To Hiszpan, tego jestem pewna. Średniego wzrostu. Dobrze ubrany, ciemne włosy zaczesane do tyłu. Mniej więcej czterdzieści lat. Cały czas trzymał w ustach czarne cygaro.

- Dlaczego myślisz, że to Hiszpan?

- Bo tak wygląda. I rozmawiał po hiszpańsku z recepcjonistą; słyszałam to, kiedy odchodziłam od kontuaru.

- Myślisz, że mieszkał w tym hotelu?

- Tego nie wiem.

- Może wcale cię nie śledził. Może to jeden z miejscowych podrywaczy, którzy rozglądają się zawsze za pięknymi blondynkami. Takie rzeczy się zdarzają.

- Zastanawiasz się, czy przypadkiem nie naprowadziłam go na twój ślad?

- Nie, jestem pewien, że do tego nie doszło - odparł z przekonaniem.

- I jeszcze jedno. Wczoraj zadzwonił telefon, ale kiedy podniosłam słuchawkę, nikt się nie odezwał. Sprawdziłam w centrali hotelowej i okazało się, że jakiś mężczyzna jednak prosił o połączenie z moim pokojem.

Skinął głową. - To byłem ja.

- Dlaczego się nie odezwałeś?

- Chciałem poprosić o natychmiastowe spotkanie, ale potem zmieniłem zdanie. Pomyślałem sobie, że mógłbym cię wystraszyć, postanowiłem więc poczekać do następnego dnia.

- Mieszkasz w Madrycie? .

- Nie.

- A gdzie?

- Właściwie wszędzie. I nigdzie. Jestem jak... ptak wędrowny. Nigdy nie przesiaduję zbyt długo w jednym miejscu.

- Ze względów bezpieczeństwa?

- Otóż to.

- Jest mi bardzo przykro, Charlesie, że naraziłam cię na niebezpieczeństwo, pokazując wszędzie twoje zdjęcie i rozpytując o ciebie. Ci z obcego wywiadu mogliby cię zabić, gdyby zorientowali się, że jesteś szpiegiem, czyż nie?

Roześmiał się przelotnie. - O, tak, uczyniliby to bez żadnych skrupułów. Ale z tym trzeba się liczyć, pracując w wywiadzie. Nikt nie twierdzi, że to bezpieczny zawód.

Nicky otworzyła torebkę i wyciągnęła zdjęcia.

- Oddaję ci je - powiedziała.

- Dziękuję, Nicky. - Wziął zdjęcia, porwał je na strzępy i wrzucił do popielniczki.

- Chyba mi wierzysz, że nie powiem nikomu o naszym

spotkaniu? O tym, że żyjesz i czym się zajmujesz?

- Owszem, wierzę ci. Wiem, że dotrzymasz tajemnicy.

- Mogłam ci pokrzyżować plany... - zaczęła i urwała, przygryzając wargi.

- To prawda - przyznał. - I to byłoby straszne, bo przygotowania pochłonęły wiele lat. Ale nie przejmuj się, jestem pewien, że nie zaszkodziłaś sprawie. Gdyby do tego doszło, wiedziałbym już o tym. Prawdopodobnie nie byłbym w stanie siedzieć tu teraz i rozmawiać z tobą. Zostalibyśmy zlikwidowani.

Te słowa zmroziły ją. Zbita z tropu umilkła i dopiero po chwili zaproponowała: - Co do tego mężczyzny, którego podejrzewam, że mnie śledził... Chcesz, żebym zapytała, czy zatrzymał się w hotelu? Jeśli zadzwonisz do mnie później, powiem ci, czego się dowiedziałam.

- Och, nie, Nicky! Nie chcę, abyś wplątała się w to, czym się zajmuję. To zbyt niebezpieczne. Nie przejmuj się, zdobędę informacje na temat tego człowieka. Mam swoje sposoby. Zostaw to mnie. W ogóle nie interesuj się tą sprawą, rozumiesz?

- Tak.

- W świecie wywiadu i kontrwywiadu nic nie przebiega tak, jak to wygląda z daleka. Można by powiedzieć, że wszystko jest tam wywrócone do góry nogami. - Westchnął. - Nigdy nie wiesz, kto jest kim! - Wyprostował się na krześle i dodał: - Chciałbym, żebyś jak najszybciej wyjechała z Madrytu.

- Dobrze, zostaną tylko do jutra.

- Doskonale. Będę czuł się lepiej wiedząc, że nie przebywasz gdzieś blisko mnie.

Nicky uświadomiła sobie nagle, że powiedzieli już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Wstała.

- Chyba już pójdę. - Ruszyła w stronę foyer.

Charles również podniósł się i poszedł za nią.

Odwróciła się do niego czekając, aż podejdzie bliżej, po czym wyznała: - Cieszę się z tego spotkania, Charlesie. Dzięki temu zrozumiałam wiele.

- Tak, ja też jestem zadowolony, że mogliśmy porozmawiać, Nicky. - Przez chwilę taksował ją baczny wzrokiem, z głową przechyloną na bok, a potem uśmiechnął się lekko. - Jesteś tak samo piękna jak zawsze. - Zdobyła się zaledwie na nieznaczny ruch głowy, znowu zabrakło jej słów, on zaś mówił dalej:

- O ile wiem, podróżujesz jak dawniej po całym świecie i przygotowujesz relacje o najprzeróżniejszych wydarzeniach. Ale nie wyszłaś za mąż. Przynajmniej nie nosisz obrączki. Jesteś mężatką?

- Nie.

- Czy w twoim życiu jest ktoś szczególnie?

- Owszem, jest taki mężczyzna, ale dopiero od niedawna.

- Kochasz go?

- Wydaje mi się, że tak... Nie jestem pewna.

- Czy wyjdiesz za niego?

- Jeszcze nie poprosił mnie o rękę.

- W takim razie to dureń. A jeśli poprosi? Zgodzisz się?

- Nie wiem.

- Wiesz, nigdy bym cię nie skrzywdził - oświadczył Charles, zmieniając nagle temat rozmowy. - Mimo to nie mam ci za złe, że przyjechałaś tu ze swoim kierowcą i swoim samochodem.

- Po prostu chciałam zachować ostrożność.

- I niezależność. Właśnie to między innymi podobało mi się w tobie i podoba nadal.

Odwróciła się, po czym przeszła do foyer, ale on pochwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Zaskoczona nie stawiała oporu. Stała tak, pozwalając, by tulił się do niej, gdyż rozumiała, że jest mu to potrzebne, że Charles musi czuć ją przy sobie. Pod cienką koszulą serce tłukło mu się jak oszalałe, a ona, słuchając głosu kobiecej intuicji, pomyślała: Boże, on mnie nadal kocha! Odetchnęła głęboko i odepchnęła go łagodnie.

- Będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę - szepnęła, a potem mimo woli uniosła dłoń i musnęła jego policzek. - Nie przejmuj się, Charlesie, nigdy cię nie zdradzę.

- Wierzę ci, Nicky. - Wziął ją pod ramię i odprowadził do wyjścia. - Ufam ci. Z całego serca.

* * *

Dopiero po powrocie do hotelu, kiedy już znalazła się sama w swoim apartamencie, nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

Rzuciła się na łóżko i zapłakała. Szlochała tak rozpaczliwie, jakby miało jej pęknąć serce. Było jej żal Charlesa, ubolewała nad samotnym i niebezpiecznym życiem, jakie wybrał, nad sobą i nad wszystkim, co niegdyś ich łączyło i co mogło stać się ich wspólną przyszłością.

Dopiero po długiej chwili uspokoiła się i zdołała zapanować nad sobą. Leżała tak na łóżku z głową wtuloną w poduszkę, rozpamiętując po kolei to, co działo się przez ostatnie tygodnie. Przypomniała sobie, o co była skłonna podejrzewać Charlesa i poczuła wyrzuty sumienia. Jak mogła przypuszczać, że dopuścił się przestępstwa... że

przemycyca broń, handluje narkotykami! Powinna była wiedzieć, że Charles nie jest tego typu człowiekiem!

To prawda, poświęcił ją, poświęcił ich miłość, ich przyszłość, przyszłość dzieci, jakie mogli mieć. Ale uczynił to ze szlachetnych pobudek, dla dobra swojego kraju. Mogła się domyślić, że chodzi o coś takiego, a nie o jakieś mętne interesy. Ostatecznie rodzina jego matki, słynni Cliffordowie z Pullenbrook, zawsze służyli wiernie Koronie. Od niepamiętnych czasów. Już w kołysce Charlesowi wpajano takie pojęcia jak honor, obowiązek i lojalność. Teraz po prostu kontynuował tradycje swoich przodków.

Część IV

Wrogowie i przyjaciele

Rozdział 31

Była to ta pora roku, kiedy spragnieni wypoczynku paryżanie szukają schronienia w znanych letniskach, a miasto pada ofiarą inwazji turystów. W Paryżu aż roilo się od cudzoziemców, ale Nicky nie przejmowała się tym ani trochę; była uszczęśliwiona, że znajduje się teraz akurat tutaj.

Madrytu nie знаła zbyt dobrze, przed ostatnią podróżą była w Hiszpanii tylko raz i nie odczuwała szczególnej chęci, aby tam powrócić. Ostatnie czterdzieści osiem godzin wycisnęło na niej swoje piętno, zwłaszcza spotkanie z Charlesem okazało się silnym przeżyciem. Była pewna, że od tej pory Madryt będzie jej się kojarzył przede wszystkim z przykrymi wspomnieniami.

Udało jej się zdobyć bilet na lot z Madrytu jeszcze na sobotnie popołudnie, a kiedy wieczorem przybyła do Paryża, zatrzymała się w hotelu Plaza-Athénée. Clee miał zjawić się nie wcześniej niż w niedzielę późnym wieczorem i spotkać się z nią dopiero w poniedziałek. Ale to nic. I tak potrzebowała nieco samotności, czasu, aby móc uporządkować jakoś niesforne myśli, pojąć to wszystko, co wydarzyło się od początku sierpnia, kiedy widziała się

z Clee w Nowym Jorku.

To prawda, ostatnio poszukiwała usilnie Charlesa Devereaux, ale to nagłe spotkanie twarzą w twarz wstrząsnęło nią do głębi. Olbrzymim szokiem okazała się wiadomość, że Charles wiódł podwójne życie jako agent wywiadu brytyjskiego. Ostatniej nocy nie spała dobrze, mimo iż była zmęczona jak rzadko kiedy. Wiele godzin wierciła się w łóżku i zasnęła dopiero, kiedy za oknami zaczęło już świtać.

Obudziła się około dziesiątej całkowicie wytrącona z równowagi i wkrótce ogarnął ją głęboki smutek, smutek dotkliwy, graniczący z przygnębieniem. Usiłując zwalczyć ten nastrój, ubrała się i wyszła z hotelu.

Z natury optymistka o pogodnym usposobieniu, Nicky nie była przyzwyczajona do ulegania atmosferze depresji, która zaczęła już ją otaczać. Miała nadzieję, że spacer po znajomych słonecznych ulicach poprawi jej humor.

Odkąd sięgała pamięcią, zawsze czuła się blisko związana z Paryżem. Pod wieloma względami było to jej miasto, a dzieciństwo spędzone tu w latach sześćdziesiątych mogła określić tylko jako nadzwyczaj szczęśliwe. Teraz, przechadzając się po mieście, usiłowała odświeżyć w pamięci choćby cząstkę tamtej młodzieńczej radości; liczyła na to, że pogodne wspomnienia z przeszłości pozwolą odpędzić demony teraźniejszości.

Było jej żal nie tyle siebie, co raczej Charlesa. Dawno temu, zanim jeszcze ją poznał, obrał dla siebie straszliwy kierunek i tego nie mógł już teraz zmienić. Dokonał wyboru, który doprowadził go w końcu do tego bezpiecznego domu w Madrycie, gdzie spotkali się wczoraj. Chcąc oddać przysługę ojczyźnie, zdecydował się na życie w

pokrętym świecie szpiegostwa, świecie pełnym tajemnic i akcji wywiadowczych, obłądy i oszustw, a nawet bardzo często śmierci.

Mimo upału i jaskrawych promieni słońca wzdrygnęła się. Takie życie ma niewiele zalet, które można by polecić mężczyźnie. Charles nie może się teraz ożenić, nigdy nie będzie mógł mieć dzieci ani założyć normalnej rodziny, nigdy nie będzie mógł żyć jak normalni ludzie. Samotność i lęk, z którymi ma na co dzień do czynienia, muszą stanowić dla niego nie lada udrękę, a perspektywa zdrady lub zdemaskowania z pewnością nie wpływa dobrze na samopoczucie. Wzdrygnęła się po raz drugi.

Przechadzała się wolnym krokiem, ale myśli kłębiły się jej w głowie, jakby brały udział w wyścigach. Przede wszystkim zaś jedna refleksja nie dawała jej spokoju: Charles wyznał, że został agentem wywiadu w wieku dwudziestu pięciu lat. Ale skoro tak było, po co w ogóle związał się z nią?

Żałowała teraz, że nie zapytała go o to. Chętnie też dowiedziałaby się, dlaczego nie zostawił jej wtedy kilku słów na pożegnanie, tak jak swojej matce. Może nie był pewien, co napisać, może po prostu nie miał jej nic do powiedzenia. Zresztą, list do Anny był krótki i zwięzły... Trudno, me zmieni już teraz tego wszystkiego. Za późno, straciła jedyną szansę.

Oddalając się od hotelu, Nicky przeszła aleją Montaigne'a, skręciła na Champs-Élysées, teraz zaś zostawiła za sobą rozległy plac Zgody i znalazła się na terenie Jardin des Tuileries. Tu jeszcze bardziej zwolniła kroku i rozejrzała się dokoła. Odkąd była w tym parku po raz ostatni, upłynęły lata, nadal jednak żyły w niej rozkoszne wspomnienia, związane z tym parkiem i jej dzieciństwem.

Zupełnie nieoczekiwanie przypomniała sobie Marie Teresę Bouret, która opiekowała się nią przed laty. Ona była wtedy siedmioletnią dziewczynką, a Maria Teresa siedemnastoletnią panną. Ta młoda Francuzka, która zamieszkała z nimi, była dla niej raczej jak starsza siostra niż niania. Pełna życia, troskliwa i pogodna, latem przeprowadzała Nicky do tego parku niemal codziennie. Spacerowała z nią również po innych miejscach - przez całe sześć lat, które rodzice Nicky spędzili w Paryżu pracując dla redakcji swoich gazet.

To właśnie z Marią Teresą poszła po raz pierwszy do Luwru, aby obejrzeć *Monę Lizę* i inne słynne obrazy; wspólnie udały się też na wieżę Eiffla, żeby popatrzeć z góry na panoramę Paryża oraz - jak to określiła młoda niania - przekonać się, czy Łuk Triumfalny wraz z gwiaździstym układem szerokim ulic i bulwarów zaprojektowanych przez barona Haussmanna rzeczywiście wygląda jak piasta gigantycznego koła z długimi sprychami.

A gdy matka zabierała ją do Fontainebleau, Wersalu i Malmaison na „wycieczki śladami historii”, jak je nazywała, towarzyszyła im zawsze Maria Teresa. Ona również uczestniczyła w tych niezwykłych lekcjach z historii Francji, które w sposób intrygujący i fascynujący prowadziła matka Nicky. To właśnie do Marii Teresy Nicky lgnęła za każdym razem, gdy jej rodzice wyjeżdżali służbowo, aby zbierać materiały do kolejnych reportaży; do niej też mówiła pierwsze poznane słowa po francusku. Tak, Maria Teresa była dla niej wówczas osobą niezastąpioną; kochała ją, uczyła mówić po francusku, przekazała mnóstwo wiadomości na temat Paryża i francuskiego sposobu bycia.

Przez wiele lat obie utrzymywały ze sobą ścisły kontakt, widywały się również co jakiś czas, kiedy Nicky przyjeżdżała do Paryża. Potem Maria Teresa wyszła za mąż, gdy ukończyła dwadzieścia trzy lata, a w rok później wydała na świat syna. Jej mąż, Jean-Pierre, zginął niestety przed dziesięcioma laty w wypadku samochodowym w Mozambiku, gdzie pracował jako inżynier. Syn Marii Teresy, Paul, dziś już mężczyzna dwudziestoletni i inżynier jak jego ojciec, był od niedawna żonaty.

Muszę do niej zadzwonić, pomyślała Nicky. Zrobię to, gdy tylko wrócę do hotelu. Umówię się z nią na jutro, zjemy razem lunch. Mam nadzieję, że będzie miała czas. Sama perspektywa spotkania z osobą, którą tak bardzo lubiła i która odegrała w jej życiu, a ściślej mówiąc w okresie dzieciństwa, olbrzymią rolę, wprawiła Nicky w dobry nastrój; spora doza smutku rozwiała się ostatecznie.

Jeszcze przez jakiś czas Nicky spacerowała po parku, następnie skręciła w stronę Jardin du Carrousel i przeszła przez Pont des Arts. Był to jedyny metalowy most w Paryżu; знаła go dobrze, ponieważ jej ojciec był w posiadaniu obrazu mostu namalowanego przez Jacquesa Bouyssou, kronikarza floty francuskiej.

Doszła do bulwaru Malaquais i zahała się, czy lepiej iść brzegiem Sekwany do Notre Dame, czy też zapuścić się w uliczki na tyłach bulwaru. Apartament, w którym mieszkała dawniej z rodzicami i Marią Teresą, mieścił się na dwóch szczytowych piętrach osiemnastowiecznej kamienicy przy Ile Saint-Louis, ocienionej przez zabytkową katedrę. Nicky uwielbiała tę część miasta. Przejdę się tam później, zdecydowała.

Na ulicy Bonapartego skręciła w stronę placu Saint-Germain-des-Prés. - Napoleon Bonaparte - mruknęła do siebie. Z tym nazwiskiem oswoiła się jeszcze jako małe dziecko. Matka była zafascynowana postacią słynnego cesarza Francuzów i wielkiego generała, a po wielu latach szczegółowych badań napisała znakomitą biografię Napoleona.

Nicky uznała tę książkę za niezwykłą, nadal zresztą uważała, że to najlepsza książka matki. Biografia była rzetelna i świetnie wyważona, w przekonujący sposób przybliżała czytelnikom sylwetkę Napoleona. Był przecież zwykłą istotą ludzką, podobnie jak Józefina, jego wielka namiętność, jedyna kobieta, którą naprawdę kochał. Ich miłość roztrzaskała się jednak o zdradliwe skały jego wybujałej ambicji; unieważnił małżeństwo, aby z młodszą kobietą spłodzić następcę tronu stworzonego przez siebie imperium.

Matka Nicky twierdziła, że ta bolesna decyzja zrujnowała im życie. Kiedy Józefina zniknęła z życia Napoleona, opuściło go szczęście, które dopisywało mu do tej pory. Tuż po podpisaniu przez niego abdykacji i po wygnaniu na Elbę w 1814 roku, jego była małżonka zmarła ze zgryzoty. „Oni nigdy nie przestali się kochać - mawiała matka Nicky podczas pisania książki. - I na tym polegała ich tragedia.”

Nicky westchnęła. Zawsze intrygowali ją mężczyźni i kobiety zadający sobie ból oraz cierpienie w imię miłości. Tak już jest i tak będzie, pomyślała. Ludzie popełniają dziś podobne błędy jak setki lat temu, nie nauczyli się niczego przez te długie stulecia. Postępowanie Charlesa było okrutne i bezwzględne, niezależnie od pobudek,

jakie nim kierowały. W tych okolicznościach nie powinien był nawet myśleć o założeniu rodziny. Zachował się egoistycznie. Ale przecież każdy z nas jest w jakimś stopniu egoistą, przyszło jej raptem do głowy.

Zanim dotarła do placu Saint-Germain, była mokra od potu, zmęczona długim chodzeniem i upałem. Czym prędzej skierowała się do kawiarenki po ocienionej stronie placu, usiadła przy wolnym stoliku i zamówiła kawę z mlekiem, pieczywo, sałatkę pomidorową, kurczaka w plastrach oraz butelkę wody mineralnej. Od kilku dni nie przejmowała się zbytnio jedzeniem, dopiero teraz głód dał o sobie znać.

Butelkę z wodą kelner przyniósł niemal natychmiast. Jednym haustem opróżniła całą szklaneczkę, a potem odchyliła się na krzesło do tyłu. Po tym długim spacerze była przekonana, że dziś nareszcie będzie spała dobrze. A jutro spotka się z Clee! Już na samą myśl o tym ogarniała ją radość, nie mogła doczekać się chwili, gdy go zobaczy.

Zdjęła okulary słoneczne i rozejrzała się dokoła. Na placu panował ożywiony ruch. Ludzie kręcili się tu i tam lub siedzieli w kawiarenkach, jak ona, zabijając w ten sposób czas i rozkoszując się w to niedzielne popołudnie ładną pogodą. Zewsząd dobiegał ją gwar, przechodnie śmiali się i rozmawiali, wszystko na placu Saint-Germain wyglądało normalnie. W jakiś sposób ten widok uspokoił ją, pozwolił przestać myśleć o Charlesie Devereaux, o zakłamanym i cynicznym świecie, w jakim on żyje. Przyszło jej nagle do głowy, że swoim zniknięciem Charles wyświadczył jej przysługę. Jak okropne mogłoby się okazać jej życie, gdyby wyszła za niego za męża!

* * *

María Teresa mieszkała w drugim końcu Paryża, na tyłach bulwaru de Belleville. Z uwagi na dużą odległość od Plaza-Athénée Nicky zarezerwowała sobie w poniedziałek pół godziny na przejazd taksówką, ale i tak zatory w ruchu ulicznym nie pozwoliły jej przybyć na miejsce o umówionej porze.

Wspinając się po schodach wieżowca na górę zastanawiała się, jak jej przyjaciółka może mieszkać w tego typu dzielnicy. Nazwa Belleville - Piękne Miasto - z pewnością nie odpowiada prawdzie.

Cała okolica charakteryzowała się osobliwym wyglądem pozbawionym elegancji, sprawiała nawet wrażenie zaniedbanej. Czy kobieta taka jak Maria Teresa, nawykła do piękna i wygód, może czuć się tu dobrze?

Ale po serdecznym powitaniu w niewielkim foyer apartamentu zajmowanego przez Francuzkę Nicky obejrzała dokładnie mieszkanie i doszła do przekonania, że salon, do którego wchodziło się na wprost, jest przestronny i urządzony ze smakiem. Panowała w nim miłą atmosfera.

Maria Teresa była równie piękna i pełna życia jak dawniej. I tak jak dawniej, w jej dużych ciemnych oczach tańczyły filuterne iskierki, a w kącikach pełnych warg czaił się ukryty uśmiech.

- Teraz już wiesz, dlaczego nie jestem ostatnio zbyt ruchliwa - powiedziała, wskazując na lewą nogę, tkwiącą aż po kolano w gipsowym opatrunku. - Teraz trudno mi chodzić po schodach.

Nicky ze współczuciem pokiwała głową. - Słyszałam o twoim wypadku. Tak mi przykro! Szkoda, że nie mogłaś pójść ze mną na lunch na Relais Plaza. Ale cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz wspaniale.

- I tak się też czuję, *ma chérie*. Gdyby tylko pozbyć się wreszcie tego paskudztwa! - Popukała laseczką w gips i wykrzywiła się pocieszenie na twarzy.

- To dla ciebie - oświadczyła Nicky, podając jej czarną plastikową torebkę.

- Nicky, to naprawdę zbyteczne! Widzę już, że to coś pięknego... Och, Chanel!

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. Rano przesłałam się do ich butik. Uprzedziłam ich, że może będziesz chciała wymienić to na coś innego.

- Z pewnością będę tym prezentem zachwycona. Dziękuję! Ale proszę cię, usiądźmy, żebyśmy wreszcie mogła zajrzeć do środka.

Usiadły w fotelach naprzeciw siebie, po czym Maria Teresa otworzyła firmowe pudełko Chanel i wyjęła z niego piękny jedwabny szalik w czerwono-białe pasy. Wyrzuciła z niego szalik i wyjęła z niego piękny jedwabny szalik w czerwono-białe pasy. Wyrzuciła z niego szalik i wyjęła z niego piękny jedwabny szalik w czerwono-białe pasy. Wyrzuciła z niego szalik i wyjęła z niego piękny jedwabny szalik w czerwono-białe pasy.

- Dziękuję, Nicky, jesteś naprawdę kochana! - Zerwała się z miejsca, ucałowała gościa, po czym dodała: - Przygotowałam dla nas butelkę białego wina i ten wiejski pasztet, który zawsze lubiłaś.

Nicky zachichotała. - Mam nadzieję, że nie zapomnieliście o korniszonach.

- Pewnie, że nie. Nigdy bym nie podała pasztetu bez korniszonów! Wiem dobrze, jak za nimi przepadasz! Pamiętałam jeszcze, że ty i twoja przyjaciółka, Natalia, jadłyście je jak cukierki!

Nicky roześmiała się. - I nigdy nie przestałam ich lubić. Ani Natalia.

- A co teraz porabia nasza śliczna Natalia?

- Mieszka w Los Angeles i odnosi ogromne sukcesy w branży filmowej.

- Już jako dziecko była wystarczająco śliczna, by zostać gwiazdą filmową.

- I nadal jest taka. Ale zajmuje się produkcją, pracuje poza planem, nie przed kamerą.

- Za to ty pracujesz przed kamerą, droga Nicky. I robisz to fantastycznie. Jedna z francuskich stacji telewizyjnych pokazała niedawno twój reportaż nakręcony dla ATN o kobietach z Bejrutu, o tym, co myślą na temat wojny. Byłam z ciebie dumna, zrobiłaś naprawdę coś, co chytyła za serce.

- Dziękuję - szepnęła Nicky.

- Przyniosę teraz wino z lodówki - zaproponowała Maria Teresa. - Napijesz się.

- Pomogę ci - poderwała się z miejsca Nicky.

- *Merci, chérie.*

Przez foyer i krótki korytarz przeszły do kuchni, gdzie Nicky otworzyła wino i postawiła butelkę na tacy obok pasztetu i kryształowej miseczki z korniszonami. Maria Teresa umieściła jeszcze na tacy serwetki, a następnie obie wróciły do salonu.

Zająły miejsca w fotelach i trąciły się kieliszkami, a Nicky ponownie powiodła dokoła wzrokiem. - Ładnie urządziłaś ten pokój i w ogóle masz duże mieszkanie, ale dlaczego zdecydowałaś się na przeprowadzkę? Przecież tam, na lewym brzegu, mieszkało ci się wygodnie, czyż nie?

- O tak, Nicky, nie mogę narzekać. Ale tamto mieszkanie miało tylko jedną sypialnię. Było zbyt małe jak na troje ludzi.

- Troje? Czyżbyś mieszkała razem z Paulem i jego żoną?

Francuzka potrząsnęła głową. - Nie, nie, kochanie, oni mają własne mieszkanie. Zamieszkałam tu przez wzgląd na Marcela, mego przyjaciela. Jest wdowcem, ma syna i

zajmowali we dwóch ten apartament. Moja przeprowadzka wynikała właściwie sama z siebie. Pomagałam Marcelowi przemeblować trochę te pokoje, przyniosłam swoje rzeczy... - Wzruszyła ramionami. - I teraz jesteśmy zadowoleni.

- Cieszę się - odparła Nicky. Uświadomiła sobie, że jej dawna niania wcale nie wygląda na swoje czterdzieści sześć lat. Krótko przystrzyżone kędzierzawe włosy były nadal ciemne, nietknięte siwizną, cera zadowolilaby nawet kobietę o wiele młodszą, a ciepłe brązowe oczy, które doskonale pamiętała z czasów dzieciństwa, jaśniały ze szczęścia. - Hej, moja droga, coś mi się wydaje, że zakochałaś się po uszy w tym Marcelu! Czytam to z twoich oczu!

Maria Teresa zarumieniła się lekko i skinęła głową; teraz jeszcze bardziej sprawiała wrażenie młodej nieśmiałej dziewczyny.

- Wygląda na to, że Marcel jest dla ciebie bardzo dobry - zauważyła Nicky.

- O tak, Nicky! Od lat nie czułam się taka szczęśliwa jak teraz. Marcel to wyjątkowy człowiek, nadzwyczaj miły. Jest nam ze sobą bardzo dobrze.

- Zamierzasz go poślubić?

- Chyba tak. Ale z tym nie ma pośpiechu. Kiedy uznamy, że nadeszła pora, zrobimy to. - Nachyliła się do przodu i zapytała: - A co z tobą, Nicky? Wczoraj wieczorem, kiedy do mnie zadzwoniłaś, powiedziałaś, że masz w Paryżu przyjaciela. Czy dlatego jesteś teraz tutaj? Żeby się z nim spotkać?

- Tak. Jest fotoreporterem. Poznaliśmy się przed dwoma laty w Bejrucie. A tuż po powrocie Chin, gdzie przygotowywaliśmy reportaż o demonstracjach na placu Tiananmen, tak jakoś... związaliśmy się ze sobą. To był koniec czerwca.

- Nigdy nie myślałam, że zainteresujesz się Francuzem. Jako mała dziewczynka byłaś typową Amerykanką.

- I chyba nadal nią jestem - roześmiała się Nicky. - A mój przyjaciel również jest Amerykaninem, mimo iż mieszka we Francji. Nazywa się Cleeland Donovan, zdrobniale Clee. Na pewno widywałaś jego fotografie w *Paris Match*.

- *Oui, oui!* - zawołała Maria Teresa. - Teraz już wiem! I wyjdiesz za niego?

- Może.

- Byłoby wspaniale, gdybyś zamieszkała w Paryżu! Wtedy mogłybyśmy widywać się częściej niż raz na parę lat! - W głosie Marii Teresy słychać było nutkę nadziei.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Maria Teresa poprosiła: - Nicky, możesz otworzyć? Przysłali lunch, zamówiłam w restauracji za rogiem.

Nicky przeszła do foyer, Maria Teresa zaś zawołała za nią: - Wszystko jest już opłacone. Musisz tylko wstawić lunch do kuchenki, już ją włączyłam.

- Dobrze - rzuciła Nicky przez ramię i otworzyła drzwi. Od kelnera stojącego na progu odebrała tacę, powiedziała: - *Merci beaucoup* - a Maria Teresa podbiegła do niej i zawołała: - *Merci, Olivier, merci*.

Kelner skłonił głowę, odparł: - *De rien, madame Boret* - po czym zbiegł po schodach.

Wróciły do kuchni i Nicky wsunęła lunch do kuchenki, a Maria Teresa oparła się o framugę drzwi. - Zamówiłam kuskus, tam przyrządzają go z mięsem kurczaka. Smakujcie wyśmienicie - wyjaśniła.

- Już sam zapach wzbudza apetyt - przytaknęła Nicky. Wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy.

- Chodźmy do salonu, napijemy się tymczasem wina, a ty opowiesz mi o tym swoim przyjacielu, Clee.

- Dobrze, bardzo chętnie. - Nicky uśmiechnęła się promiennie i dodała: - Jeśli chcesz, zacznę już teraz od stwierdzenia, że Clee jest wprost wspaniały.

- Aha! A więc wnioskuję z tego, że i ty jesteś zakochana!

- To bardzo możliwe.

Rozdział 32

Nicky odzyskała swój dawny radosny nastrój w tej samej chwili, kiedy w poniedziałek wieczorem otworzyła drzwi przed Clee. Resztki smutku i tej straszliwej, przytłaczającej melancholii ulotniły się natychmiast. Zniknęło to wszystko, co dręczyło ją przez kilka ostatnich dni. Teraz liczył się tylko Clee.

Nie mówił nic, stał tylko uśmiechnięty radośnie, pełen ciepła, a jego ciemne oczy promieniały miłością.

Odpowiedziała uśmiechem, otworzyła drzwi jeszcze szerzej, tak jak tylko to było możliwe, i odsunęła się na bok, aby Clee mógł wejść do środka.

- Tęskniłem za tobą, Nicky - powiedział. Pochwycił ją w ramiona, przyciągnął do siebie, nogą zamknął za sobą drzwi. - Zbyt długo nie byliśmy razem! - Musnął wargami jej policzek. - Zbyt długo jak na mnie!

- Na mnie też - zapewniła, tuląc się całym ciałem. - Bardzo mi ciebie brakowało.

- Cieszę się - odparł, całując ją lekko w usta. Złączeni uściskiem weszli do saloniku, tam zaś przystanęli i Clee odsunął ją nieco od siebie.

- Nicky! - zawołał, pozerając ją całą wzrokiem. - Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy móc zobaczyć cię znowu! Tak bardzo stęskniłem się za tobą!

- Nie bardziej niż ja za tobą! - odparła, sama zaskoczona swoim żarliwym wyznaniem. Zazwyczaj była bardziej wstrzemięźliwa, starała się dobierać starannie słowa, rozmawiając z Clee, teraz jednak pragnęła jak najprędzej znaleźć się Prowansji, wymazać ze świadomości wszystko, co wydarzyło się od czasu jej przyjazdu do Europy, a przede wszystkim być znowu z Clee i zapomnieć wreszcie o Charlesie Devereaux.

- Myślę, że powinienem wreszcie zapoznać cię z problemami, jakie wyłoniły się ostatnio - oświadczył Clee z tajemniczą miną.

- Jakie to problemy?

Nie odpowiedział od razu. Rozejrzał się dokoła i zapytał: - Czy w tym wiaderku z lodem stoi szampan?

- Owszem. Twój ulubiony. Dom Pérignon.

- A więc napijmy się, kochanie, a potem wyjaśnię ci wszystko.

Nicky usiadła na sofie, patrząc na niego z pewną obawą. Miała nadzieję, że problemy, o których wspomniał, nie są nie do przezwyciężenia. Nie zniosłaby teraz wieści, że zostanie sama, bo on wyjeżdża robić zdjęcia w kolejnej strefie konfliktów. Potrzebowała go przy sobie jak nigdy przedtem, łaknęła jego delikatności i uczucia.

Clee podszedł do stolika, z wprawą otworzył butelkę szampana i napełnił dwa kryształowe kieliszki stojące na tacy. Trącił jej kieliszek swoim, upił spory łyk, mruknął:

- Mmm, wspaniały! - po czym przeniósł się bliżej komin-
ka. - Miałem dziś w biurze ciężki dzień - mruknął.

- Clee, jakie to problemy, powiedz! - nalegała.

Odstawił kieliszek na obramowanie komin-
ka.

- Okay, a więc słuchaj. Po pierwsze, zalało mi łazien-
kę. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do domu, zasta-
łem tam istną powódź. Łazienka i sypialnia były pod wo-
dą... no, prawie. Dzwoniłem dzisiaj do kilku hydraulików,
ale - jak to zwykle w tym kraju - nikt nie może przyjść od
razu. Dopiero jutro. W tej sytuacji nie mogę tam na razie
zamieszkać i...

- Sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął z niej szczot-
teczkę do zębów. - I muszę przeczekać tę noc u ciebie.
Chyba nie masz nic przeciw temu?

- Oczywiście, że nie! - zawołała i roześmiała się z ulgą.

- Nawet cieszę się z tego powodu. Ale nie sądzę, aby był
to problem. To znaczy, że przenocujesz tu, bo jeśli chodzi
o tę awarię w twojej łazience, to jest mi bardzo przykro.

Uśmiechnął się. - I tak wymagała już pewnych przeró-
bek. - Jego twarz przybrała ponownie wyraz powagi. -
Nie możemy też pojechać w środę na farmę, jak planowa-
liśmy, Nick. Mam w biurze problemy...

- Powiedz wreszcie, jakie! - przerwała.

- Moi dwaj wspólnicy musieli wyjechać z rozmaitych
powodów. Pete Naylor i ja rozdzieliliśmy obowiązki mię-
dzy siebie. Co byś powiedziała na to, aby zostać w Paryżu
jeszcze przez tydzień?

- Och, Clee, wiesz przecież, że uwielbiam Paryż. Zresz-
tą, dopóki pozostajesz przy mnie, wszystko mi jedno,
gdzie jestem.

- Nicky, to najmiłsze słowa, jakie usłyszałem w ciągu

ostatnich tygodni! - Uśmiechnął się szeroko, ale nie przedstawiał przy tym pożerać jej wzrokiem. Uzmysłowił sobie nagle, że odkąd przebywali razem w Prowansji i Nowym Jorku, jego uczucie do niej pogłębiło się jeszcze bardziej.

Podniósł kieliszek i upił kolejny łyk. - Jest jeszcze jedna sprawa - dodał. - Może będziesz tym rozczarowana. Yoyo przybędzie do Paryża dopiero pod koniec tygodnia. Obawiam się więc, że nasza uroczystość wieczorem będzie miała charakter wybitnie kameralny: tylko my dwoje weźmiemy w niej udział.

- Och, Clee, oczywiście żałuję, że nie spotkamy się dziś z Yoyo - mruknęła Nicky pomiędzy jednym i drugim łykiem szampana. - Ale najważniejsze, że jesteśmy razem, a on jest już w drodze, nie siedzi w pekińskim więzieniu. Czy rozmawiałeś z nim ostatnio?

- Nie, ale zadzwonił w sobotę do biura. Wie, że jesteś od dziś w Paryżu, powiedział to Jean-Claude'owi. Wiodocznie poinformowała go o tym twoja sekretarka z Nowego Jorku.

- Tak, w ubiegłym tygodniu zatelefonował do biura ATN.

Clee skinął głową, opróżnił swój kieliszek i napełnił go na nowo. - Masz ochotę na jeszcze, Nick?

Potrząsnęła głową. - Nie, ja już dziękuję.

Clee oparł się plecami o kominek. - Jak poszła ci praca w Rzymie, Atenach i Madrycie?

- Dobrze, dziękuję. A coś ty zdziałał w Berlinie i Lipsku?

- Wszystko przebiegało zupełnie nieźle. Mam przecucie, że pojedę tam znowu w niezbyt odległej przyszłości. Dzieje się tam tak wiele! - Zaczął opowiadać o sytuacji politycznej w obu częściach Berlina, w Lipsku, w krajach bloku wschodniego, a zwłaszcza w Rosji.

Nicky przysłuchiwała się uważnie tym wywodom, jak zawsze dzieląc jego osąd, ale część jej umysłu zajmowała się teraz wyłącznie rozmyślaniami o Clee. Wyglądał wspaniale z opaloną twarzą oraz rozjaśnionymi od słońca brązowymi włosami. Miał na sobie granatowy garnitur z jedwabiu, błękitną koszulę i ciemnoniebieski krawat; nigdy jeszcze nie podobał jej się bardziej niż właśnie teraz. Już od dawna przejął ów niezrównany w elegancji styl francuski, sprawiał zresztą w pewnym sensie wrażenie Europejczyka, twarz miał jednak typowo amerykańską, chłopcę, otwartą i miłą. Z brązowych oczu biła szczerota, szerokie irlandzkie usta były pełne, ale zarazem delikatne. Tak, Cleeland Donovan był z pewnością przystojnym i bardzo interesującym mężczyzną.

Nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, do jakiego stopnia opanowała ją uczucia do Clee, ile naprawdę znaczy dla niej ten mężczyzna. Nikt na całym świecie nie liczył się teraz bardziej niż on. Świadomość tego faktu zdumiała ją.

Zatopiona w rozmyśleniach nie zauważyła nawet, w którym momencie umilkł. Dopiero kiedy zagwizdał przeciągle, drgnęła gwałtownie i zamrugała oczami.

- Hej, Nicky, gdzie teraz byłaś? - zapytał i roześmiał się. - A może cię nudzę?

- Och, nie, Clee, naprawdę! - zawołała.

- Co się stało? - nie ustępował. - Miałaś teraz taki dziwny wyraz twarzy.

- Kocham cię.

- Co takiego? - zapytał zaskoczony.

- Kocham cię.

W jednej chwili znalazł się przy niej, usiadł tuż obok na sofie, ujął oburącz jej dłonie i spojrzał w oczy. - Nicky,

czy mogłabyś powtórzyć to jeszcze raz?

- Kocham cię, Clee. Kocham cię.

- Och, Nicky! - Przesunął ręce wyżej, na jej głowę, przyciągnął ją do siebie i pocałował, po czym przechylił do tyłu, na poduszki. Odgarniając kosmyk blond włosów z jej twarzy, szepnął: - Ja też cię kocham... mówiłem to już wiele razy. I z trudem znosiłem naszą rozłąkę!

Uniosła dłoń i koniuszkiem palca obrysowała jego usta. - Wiem, kochanie, ja czułam to samo.

Pocałował ją ponownie, ale tym razem bardziej gwałtownie, odnalazł językiem jej język, musnął go pieśczołtliwie, przylgnął na moment, po czym przerwał i szepnął jej do ucha: - Chodźmy do łóżka. Pragnę cię!

Wstał, podał jej rękę i weszli do sypialni. Zrzucili ubrania, a potem stali długą chwilę przytuleni do siebie, bez słowa, nieruchomi, szczęśliwi, że znowu są razem, tak blisko siebie.

- Nigdy przedtem nie odczuwałem tego w ten sposób - odezwał się wreszcie Clee.

- Ja również - odparła, wiedząc, że mówi prawdę. Kochała go w odmienny sposób niż dawniej Charlesa; każdy z nich wyzwał w niej nieco inne emocje.

Znowu zapanowało milczenie. Clee zanurzył twarz w jej włosach, jego dłonie zsunęły się po aksamitnych plecach na pośladki i przyciągnęły ją tak mocno, że oboje zetknęli się łędźwiami.

Ogarnęło ją podniecenie nie mniejsze niż jego i teraz ona przejęła inicjatywę; odepchnęła go łagodnie od siebie i pociągnęła na łóżko.

Leżeli na bokach twarzami do siebie, nie spuszczać z siebie oczu i nie odzywając się nawet jednym słowem. Słowa były teraz zbędne. Ich twarze mówiły aż nadto

wyraźnie, można z nich było wyczytać miłość i pożądanie.

- Nicky, moja śliczna Nicky! - szepnął Clee. Prawą dłonią obejmował ją za szyję, przyciągał do siebie namiętnie. - Pragnę mieć cię całą, chcę, byś należała tylko do mnie...

- Wiem... Ja też tego pragnę.

Ich usta spotkały się ponownie, a potem Clee znalazł się nad nią, wsunął dłonie pod jej plecy i przyciągnął do siebie. Jego usta stały się natarczywe i władcze, ona zaś zareagowała gorliwie, czując, jak gwałtownie narasta w niej podniecenie. Nieoczekiwanie, bez gry wstępnej, wtargnął w nią tak, jak robił to nieraz w Prowansji. Jęknęła zaskoczona, a potem, gdy wszedł jeszcze głębiej, oplótła go nogami i przyłgnęła ciasno, jakby stała się częścią jego ciała. Natychmiast odnaleźli właściwy rytm, jak zwykle, i poczeli poruszać się szybciej i szybciej.

- O Boże, Nicky, o Boże! - zawołał Clee w pewnej chwili, odrywając usta od jej warg. Oddychał ciężko, podobnie jak ona, poczuł nagle, jak jej ciało pręży się pod nim, zaczyna dygotać, usłyszał jej krzyk: - Clee, kocham cię!

Otworzyła oczy, spojrzała na niego i powtórzyła szepem: - Kocham cię. - Drżała coraz bardziej spazmatycznie i wreszcie wygięła się w łuk, unicestwiona.

Jak zawsze, jej namiętność doprowadziła Clee na sam szczyt rozkoszy. Poczuł, że traci panowanie nad sobą, i nagle trysnął w nią, wykrzykując jej imię, tak jak ona jego, i zapewniając, że kocha ją tak, jak nie kochał jeszcze żadnej innej kobiety.

Potem opadł na nią zadyszany i trwał tak, dopóki nie uniósł z powrotem głowy. Pocałował ją i poczuł, że jej policzki są wilgotne. Poczuł słony smak łez.

- Ty płaczesz? - zapytał zdumiony, ocierając jej łzy.
- Nicky, co się stało? Dlaczego płaczesz?
- Nie wiem - szepnęła, podnosząc na niego wzrok. Z niewyraźnym uśmiechem dodała: - Może dlatego, że jestem tak bardzo szczęśliwa.

Nie odpowiedział nawet jednym słowem; zamiast tego wziął ją w ramiona i zachłannie przygarnął do siebie.

* * *

- To o wiele lepszy piknik niż tamten, który urządziliśmy sobie wtedy na farmie - orzekł Clee pomiędzy jednym a drugim kęsem kurczaka.

- Nie zgadzam się z tobą! - Nicky spojrzała na niego i potrząsnęła głową. - Nigdy przedtem nie przeżyłam czegoś tak wspaniałego. Przyrządziłeś wtedy prawdziwe delicje, na przykład to masło orzechowe albo kanapki z galaretką.

Clee odchylił głowę w tył i roześmiał się donośnie.

- Jeśli jesteś tak mało wymagająca, to będę miał z tobą łatwe życie!

Zawtórowała mu śmiechem i sięgnęła po kieliszek białego wina, stojący na nocnej szafce. - Nie ciesz się przedwcześnie, w niektórych sprawach jestem bardzo twarda.

Siedzieli po turecku na olbrzymim łożu, okryci białymi ręcznikami kąpielowymi. Pomędzy nimi leżał talerz z kurczakiem oraz koszyk z pieczywem, a przy łóżku stał stolik na kółkach, który Clee przyprowadził z saloniku i umieścił na nim miseczkę z zieloną sałatą, koszyk ze świeżymi owocami oraz wiaderko z lodem i butelką Montrachet.

- Czy wszystkie kobiety myślą cię z Kevinem Costnerem? - zapytała nagle Nicky.

- Na Boga, nie! Skąd ci to przyszło do głowy?
- Jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody, wiesz o tym?

Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi i upił trochę wina.

- Ja sama wzięłam go za siebie.

- O czym ty mówisz, Nicky?

Opowiedziała o swojej przygodzie w Atenach - jak kupiła gazetę, przekonana, że fotografia na okładce przedstawia właśnie jego.

- Może było to z twojej strony uzewnętrznienie skrytych pragnień - mruknął Cleo. - Czy o tym marzysz? Chcesz mieć gwiazdora filmowego?

- Nie, Cleo. Chcę mieć ciebie.

- Przecież mnie masz, kochanie. Nie wiesz o tym? Uśmiechnęła się. - Jeśli tak jest, bardzo się cieszę.

- A co z tobą, Nicky? Czy jesteś moja?

- Oczywiście, najdroższy, chyba w to nie wątpisz.

Uśmiechnął się i posłał jej całusa.

Nicky upiła trochę wina, a potem siedziała długą chwilę rozmyślając nad czymś intensywnie i obracając kieliszek w dłoniach. Wreszcie zaczęła powoli opowiadać: - Cleo, kiedy byłam w Londynie i zadzwoniłam do ciebie do Berlina tuż przed wyjazdem do Rzymu, powiedziałam, że chcę odwiedzić Annę Devereaux w Pullenbrook...

- Chodziło ci o to, żeby usprawiedliwić przed nią swoje kilkuletnie milczenie, czy tak?

- Owszem, to prawda, w pewnym sensie pojechałam tam w tym celu. Ale istniał też inny powód.

- Odchrząknęła i wyjaśniła: - Miałam wrażenie, że Charles, wbrew ogólnemu przekonaniu, żyje. Że upozorował własną śmierć i zniknął wszystkim z pola widzenia.

Cleo wpatrywał się w nią długą chwilę osłupiały,

odłożył na talerz udko, które obgryzał, i zawołał: - Chyba żartujesz! - Potrząsnął głową, parsknął krótkim śmiechem. - Daj spokój, Nick, przestań się wygłupiać!

- Wcale się nie wygłupiam, mówię zupełnie serio.

Poważny ton jej głosu odniósł swój efekt; Clee spojrział na Nicky z namysłem, rozważając to, co usłyszał. Wreszcie zapytał: - A dlaczego po tak długim czasie wydało ci się, że Charles żyje?

Nicky opowiedziała mu całą historię, nie szczędząc dokładnych relacji tam, gdzie uznała to za stosowne, urwała jednak, kiedy już zapoznała Clee z wydarzeniami, które miały miejsce w Rzymie i w Atenach. Przemilczała to, co działo się w Madrycie.

Kiedy skończyła, Clee zapytał nieswoim, dziwnie niskim głosem: - Dlaczego, do diabła, włóczysz się po całej Europie, poszukując kogoś, kto od dawna nie żyje? A przynajmniej uważany jest za martwego. Czy nie sprawił ci dosyć bólu? A może ty nadal go kochasz, Nick? Czy o to chodzi?

- Nie, z całą pewnością nie. Nie czuję nic do Charlesa Devereaux, nie czułam do niego nic już wtedy, kiedy pokochałam ciebie.

Milcząc wpatrywał się w nią długą chwilę, przesywał ją tym swoim płomiennym wzrokiem, wreszcie szepnął: - Skoro tak mówisz... Dobrze, wierzę ci, Nick. Ale wyjaśnij mi, dlaczego szukałaś go tak gorliwie.

- Bo chciałam poznać prawdę. Zrozum, Clee, kiedy ujrzałam twarz Charlesa na ekranie telewizora, doznałam szoku. Byłam zdumiona i zdezorientowana. Ten człowiek przypominał Charlesa, wyglądał zupełnie jak on, musiałam więc pojechać do Anny i porozmawiać z nią. Nie mogłam przestać o tym myśleć, tym bardziej że zawsze zastanawiał mnie fakt, iż nie odnaleziono nigdy ciała Charlesa. - Nicky umilkła na chwilę i potrząsnęła głową. -

Według mnie to zupełnie normalne i ludzkie urządzić pogrzeb, złożyć ciało do grobu... Wydaje mi się, że chciałam po prostu poznać prawdę, tak aby móc zamknąć ten rozdział mego życia.

- A teraz? Czy ten rozdział jest teraz zamknięty? Tak definitywnie? Czy sprawa Charlesa nie będzie cię nadal prześladować?

- Nie, przecież ci mówię: dla mnie ta sprawa przestała istnieć.

- A więc wyjaśnij mi jeszcze coś, Nick. Co utwierdziło cię w przekonaniu, że Charles popełnił samobójstwo, że naprawdę nie żyje? Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Dlatego że gdziekolwiek się zwracam, uderzam głową o twardy mur. Nie natrafiłam na jego ślad ani w Rzymie, ani w Atenach.

- A dlaczego udałaś się do Madrytu? - Clee zmarszczył nieznacznie brwi i sięgnął po kieliszek. - Co spodziewałaś się tam znaleźć?

- Szczerze mówiąc, nie byłam tego pewna. Chciałam przede wszystkim pokazać te fotografie jego dawnemu hiszpańskiemu współnikowi. Chodziło mi chyba o to, aby *don Pedro* ostatecznie potwierdził lub zdementował moje przypuszczenia.

- I co ci powiedział ten Hiszpan?

- Nie spotkałam się z *don Pedrem*, nie było go w mieście. Wobec tego, tak jak ci już mówiłam przez telefon, w sobotę po południu udałam się samolotem do Paryża.

- Dlaczego tak nagle?

- Uświadomiłam sobie, że skoro tak łatwo pomyliłam ciebie z Kevinem Costnerem, kiedy ujrzałam jego zdjęcie na okładce tego czasopisma, mogłam również wziąć obcego człowieka za Charlesa Devereaux.

- Fotografie mogą nieraz prowadzić do błędnych wniosków. Pokaż mi je, niech i ja na nie spojrzę.

- Już się ich pozbyłam... Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie, Clee.

- Oczywiście, że się nie gniewam. Jestem tylko zdumiony i zaniepokojony. Szkoda, że nie powiedziałaś mi o wszystkim natychmiast po tym programie w telewizji. Zrozumiałbym przecież, w czym rzecz, Nick, przyzwyczaiłbym się do myśli, że może ten facet żyje i jest moim rywalem.

- Nie masz żadnego rywala, Clee. Kocham tylko ciebie.

- Wolałbym również, abyś mi bardziej ufała... Jestem człowiekiem inteligentnym i szanuję ciebie, twoje uczucia, twój rozum i twój profesjonalizm. Również to, że jesteś kobietą samodzielną. Nigdy nie starałbym się odwieść cię od jakiegoś zamiaru, chyba że wiedziałbym, iż możesz wyrządzić sobie krzywdę. Jesteś przecież dojrzałą kobietą, wytrawną dziennikarką telewizyjną, korespondentką wojenną, z którą współpracuję od dwóch lat. Sądzisz, że cię nie znam? Ze ci nie ufam? Nigdy nie trakto-
wałem cię jak małą dziewczynkę!

- To prawda i jestem ci za to wdzięczna, Clee. Rzeczywiście znasz mnie dobrze, może nawet lepiej niż inni. Cieszę się, że mi ufasz. Ja również ci ufam, wiesz o tym doskonale.

Zapadło milczenie i dopiero po paru minutach Clee zapytał: - A więc jego matka nie dopatrzyła się zbyt dużego podobieństwa między nim i tym facetem ze zdjęcia?

- Nie. I w żaden sposób nie chciała przyjąć moich argumentów. Tak samo Filip Rawlings, jej przyjaciel. Pamiętasz chyba, to ten, z którym była w Les Baux.

Skinął głową. - Oczywiście, że pamiętam. A jak się przedstawia sytuacja prawna? Chodzi mi naturalnie o Charlesa Devereaux.

- Nie odnaleziono jego ciała, więc uznano go za osobę zaginioną. List od samobójcy przy braku ciała nie zmienia w niczym sytuacji. Nie wiem, czy policja umorzyła już dochodzenie. Nie zdobyłam się na to, by zapytać Annę.

- Nigdy też nie rozmawiałś o Charlesie Devereaux ze mną. Wszystko, co o nim wiem, powiedział mi Arch Levenson. Był jednak wyjątkowo małomówny, zapewne chciał zachować się lojalnie wobec ciebie. Nie wiedziałem nawet, że po samobójstwie Devereaux znaleziono jego list. Czy był zaadresowany do ciebie?

- Nie, do jego matki.

- I co było w liście? Przeczytałś go?

- Tak. Anna pokazała mi go, kiedy kilka dni po samobójstwie Charlesa poleciałam do Anglii. List był bardzo krótki, niemal zimny, Charles napisał tylko parę zdań: że nie chce dłużej żyć, że nie pozostaje mu nic innego jak odebrać sobie życie i że ma nadzieję, iż matka mu wybaczy ten krok.

- I co? Wybaczyła?

- Naprawdę nie wiem... Nadal go oplakuje, jestem tego pewna, chociaż stara się nie okazywać tego po sobie.

- Czy Charles zostawił też jakąś wiadomość dla ciebie?

- Nie.

- Nie wydało ci się to dziwne?

- Owszem. Ale może Charles nie miał mi nic do powiedzenia.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo w ciągu ostatnich miesięcy przed śmiercią postępował zgodnie z ustalonym wcześniej planem. Sprzedał swoje udziały w firmie wspólnikom w Anglii i Hiszpanii, sprzedał również mieszkanie, sporządził testament i uporządkował resztę spraw. Wszystko to robił w sposób bardzo systematyczny. Tak więc, gdyby miał mi cokolwiek do powiedzenia, napisałby jakiś list do mnie, nie sądzisz?

- Tak, chyba tak - mruknął Clee. - Kto odziedziczył po nim majątek?

- Zgodnie z testamentem spadkobiercą Charlesa jest Anna, ale oczywiście nie może jeszcze przejąć majątku, gdyż na razie Charles nie jest uznany prawnie za zmarłego. Według prawa obowiązującego w Anglii może to nastąpić dopiero po upływie siedmiu lat od momentu zaginięcia. Tak więc Anna musi czekać jeszcze cztery lata.

Clee nachylił się do przodu, zmarszczył brwi, a po krótkiej chwili zadumy powiedział powoli: - Jeśli człowiek znika i zacierza za sobą ślady, aby rozpocząć nowe życie pod innym nazwiskiem, może tak postępować z wielu najrozmaitszych powodów. Kiedy przyszło ci do głowy, że Charles żyje, musiałś też wyobrazić sobie motyw, dla którego miałby pozorować własną śmierć. Jaki to miałby być motyw?

- Tego właśnie nie wiedziałam. W Rzymie spotkałam się z Archem i wtedy wyraziłam przypuszczenie, że Charles mógł kierować się najbardziej nawet nieprawdopodobnym motywem: na przykład wplątał się w coś nielegalnego.

- To znaczy?

- Przemyt broni. Handel narkotykami.

- Tak, ja również podejrzewałbym coś podobnego - przyznał Clee. - Zwłaszcza patrząc na świat, w jakim żyjemy.

- Mówię o tym wszystkim, ponieważ nie mam przed tobą tajemnic - powiedziała Nicky, patrząc mu prosto w oczy. - Nie chcę, aby coś nas dzieliło.

- Cieszę się z tej rozmowy, i wcale nie jestem urażony.
- Twarz Clee rozjaśnił chłopięcy, tak dobrze jej znany uśmiech. - Po prostu czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za ciebie... Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- A więc nie rozmawiajmy już więcej o tym Devereaux. Pochowajmy go wreszcie, raz na zawsze, dobrze?

- To już się stało - odparła Nicky. Zeskoczyła na podłogę, przeszła na drugą stronę łóżka, gdzie siedział Clee, i objęła go mocno. - Dziękuję ci za to, że jesteś taki wspaniały i wyrozumiały - szepnęła. Potem dodała: - Za chwilę wrócę, nie odchodź.

- Wcale nie miałem zamiaru odchodzić - uśmiechnął się Clee.

Przeszła do łazienki, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Tak bardzo pragnęła powiedzieć Clee prawdę o całej tej sprawie! Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić. Na szczęście udało jej się znaleźć kompromisowe wyjście, nie musiała uciekać się do kłamstwa. Nikt nie może się dowiedzieć, że Charles Devereaux żyje. Przymknęła, że dotrzyma tajemnicy. I dotrzyma słowa. Przecież jego życie znajduje się w jej rękach. Zresztą ona i Charles Devereaux nie spotkają się nigdy więcej. Ten rozdział w jej życiu został definitywnie zakończony.

Rozdział 33

- Kiedy Mai umarła w szpitalu Xiehe, zawiozłem ciało do jej rodziców - opowiadał Yoyo, spoglądając to na Clee, to na Nicky. - Przyjaciele pomagali. Znaleźliśmy dwie ryksze i one nas zawiozły. Pojechaliśmy do domu Mai. Jej rodzice płakali. Byli bardzo smutni. Ja też. - Yoyo pokręcił głową, dodał z żalem: - Mai, taka młoda dziewczyna... - Głos mu się załamał i ucichł.

Nicky wyciągnęła rękę, pełna współczucia i sympatii musnęła jego ramię. Jeszcze nie mogła uwierzyć, że Yoyo znalazł się wreszcie w Paryżu, że jest razem z nimi, cały i zdrowy, że wygląda tak wspaniale, niemal jak człowiek sukcesu. Miał na sobie dobrze skrojony ciemny garnitur, białą koszulę i czerwony krawat, sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, panującego nad sobą i sytuacją.

- Wiemy doskonale, jakie to musiało być dla ciebie straszne - odezwała się w końcu. - Jak bardzo byłeś przygnębiony. I nadal jesteś. To wielka tragedia. Byliśmy naprawdę wytrąceni z równowagi, kiedy Mai umarła.

Yoyo usiłował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. - Wiem, Nicky. - Zwrócił się do Clee: - Dzięki, że troszczyłeś się o Mai. Próbowaleś ją ratować. Zawiozłeś ją do Xiehe. Jesteś dobry człowiek, Clee. Dobry przyjaciel. Ty też, Nicky.

- Bardzo żałuję, że nie mogliśmy jej uratować - odparł Clee. Serce w nim pękało, kiedy patrzył na tego młodego Chińczyka. Siedzieli razem w jego apartamencie przy ulicy Jakuba, był piątkowy wieczór pierwszego września.

Yoyo odwiedził ich, przyjechał do szóstej dzielnicy na lewym brzegu Sekwany, aby opowiedzieć o swojej ucieczce z Pekinu i podzielić się wieściami. Potem wyszli razem na tak długo oczekiwany wspólny obiad, na który zaprosił ich dobroczyńca Yoyo, pan Loong.

- Śmierć Mai to zły los - powiedział nagle Yoyo.

- Tak, to naprawdę nieszczęście - przyznał Clee. Spojrzeli z Nicky po sobie, a potem, chcąc zmienić temat rozmowy, Clee dodał: - Nicky i ja martwiliśmy się o ciebie. Tak samo Arch i reszta ekipy. Po wyjeździe z Pekinu straciliśmy wszelki kontakt z tobą, nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje. Zgodnie z obietnicą czekaliśmy na ciebie w Hongkongu kilka dni.

- Przepraszam, że nie przyjechałem. To było trudne, Clee.

- Nie masz za co przepraszać, Yoyo - odezwała się Nicky. - Rozumiemy przecież, w jakiej znalazłeś się sytuacji. Po prostu martwiliśmy się o ciebie, nie wiedzieliśmy, czy jesteś bezpieczny. Mieliśmy tylko nadzieję, że nie stało ci się nic złego, że nie zamknęli cię w pekińskim więzieniu. - Położyła mu dłoń na ramieniu i obdarzyła ciepłym uśmiechem. - Dzięki Bogu, jesteś cały i zdrowy.

- Ostatnio wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Ale mam szczęście. Naprawdę.

- Opowiedz nam o wszystkim... Jak wydostałeś się z Pekinu, jak przybyłeś do Paryża... - poprosił Clee.

- Opowiedzieć po kolei, tak?

- Okay, Yoyo, strzelaj - zawołał Clee i uśmiechnął się do niego.

Yoyo skinął głową, zaczerpnął głęboko tchu. - Kiedy wyjechaliście z Pekinu, wszędzie była milicja. Poszedłem

do domu Mai. Rodzice Mai ukryli mnie. Milicja dużo pytała o studentów. Wielu aresztowali. Wielu studentów poszło do więzienia. Bardzo źle działa się na uniwersytecie Qinghua. Niebezpiecznie. Zostałem w domu Mai jeden tydzień. Rodzice Mai bali się, że milicja mnie znajdzie. Nawet aresztuje. Ojciec Mai zawiózł mnie do domu przyjaciela. Tam ukrywali mnie dziesięć dni. To było trudne. Niebezpieczne. Musiałem wyjechać z Pekinu.

- A więc wyjechałeś z miasta w połowie czerwca? - zapytała Nicky.

- Nie, nie. Zostałem w Pekinie. Przenosiłem się wiele razy. Poszedłem do przyjaciół rodziców Mai. Oni mnie ukryli. Matka Mai mówiła, że pomoże mi uciekać, że ma *guanxi*...

- To znaczy znajomości, układy - przerwała mu Nicky, zwracając się do Clee. - Wyjaśnił mi to Filip Rawlings, kiedy rozmawiałam z nim w Pullenbrook.

- A on skąd może to wiedzieć? - Clee zaintrygowany zmarszczył lekko brwi.

- Mówiłam ci już kiedyś, Rawlings pracuje na jakimś odpowiedzialnym stanowisku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Hongkong jest kolonią brytyjską i znajduje się pod protektorem rządu w Londynie do 30 czerwca 1997 roku. - Zamyśliła się na moment. - Kto wie, może Rawlings zajmuje się właśnie sprawami Chin albo Hongkongu. Zawsze stawał się bardzo tajemniczy, kiedy rozmowa schodziła na temat jego pracy.

- Rozumiem - mruknął Clee. Zwrócił się do Yoyo. - Przepraszam, że ci przerwałem. Mów dalej, Yoyo.

- Matka Mai ma wiele znajomości, wysłała mnie na południe Chin. Ojciec Mai dał mi pieniądze. Miałem więcej pieniędzy, schowałem je bezpiecznie. Matka Mai

mówiła, że będę potrzebował mnóstwo pieniędzy. Na łapówki. To bardzo ważne.

- A jak przedostałeś się do Hongkongu? - zapytała Nicky.

- Wielu ludzi mi pomagało. Zwykli ludzie. Nienawidzili rządu, krytykowali to, co rząd zrobił studentom. Żalowali studentów, byli za demokracją. Wielu ludzi pomagało mi. Matka Mai pomagała mi dostać się do Szenczen...

- To nad samą granicą z Hongkongiem - przerwał mu Clee, śpiesząc z wyjaśnieniem. - Taka strefa ekonomiczna w rodzaju Hongkongu, rozkwitła z dnia na dzień...

Yoyo przytaknął ruchem głowy. - Ty znasz Szenczen, Clee?

- Tak, mniej więcej rok temu robiłem o nim reportaż. - Ponownie zerknął na Nicky. - Szenczen to rodzaj olbrzymiej spelunki, pełno tam przestępców, podejrzanych typów, ludzi interesu, przedsiębiorców... Ale opowiadaj dalej, Yoyo.

- Potrzebowałem dokumenty do Szenczen. Wszyscy obywatele Chin potrzebują specjalne papiery. Ojciec Mai ma przyjaciół. Jeden z nich ma *guanxi*. Ten człowiek kupił dla mnie papiery.

- Ale w jaki sposób przedostałeś się z Pekinu do Szenczen? To pewnie długa droga! - wtrąciła Nicky.

- Ojciec Mai zawiózł mnie do Szanghaju. Samochodem. Jego brat mu pomagał. Przekazali mnie dalej. Do innych przyjaciół. To taka organizacja, Nicky. Pomagają studentom. Nie wolno mi mówić więcej, okay? Rozumiecie?

- Tak, oczywiście, że rozumiemy - odparła. - Nie chcesz mówić zbyt wiele na temat tej tajnej organizacji, bo może jeszcze studenci będą zmuszeni skorzystać z jej pomocy podczas ucieczki.

- Właśnie. Do Szenczen przyjechałem na początku sierpnia. Zostałem tam dwa tygodnie, u przyjaciela przyjaciela. On zaprowadził mnie któregoś dnia na ulicę Czong-Jing. To bardzo ruchliwa ulica handlowa. Jedna strona Chiny, druga Hongkong. Wielu turystów. Przekupiliśmy milicję, żeby patrzyli gdzie indziej, nie na nas. Przeszedłem przez granicę.

- Ale po drugiej stronie ulicy Czong-Jing stoją policjanci z Hongkongu! - zawołał Clee. - Znam dobrze to miejsce, bo robiłem tam mnóstwo zdjęć. Jak sobie poradzisz po przedostaniu się na tamtą stronę?

- Biegłem. Minąłem boczne uliczki i ukryłem się. Potem dobiegłem do wody. Hongkong jest po drugiej stronie zatoki. Łódź pana Loonga czekała, czekała przez kilka dni na mnie. Dostałem się do Hongkongu na łodzi pana Loonga. Pan Loong zajął się mną w Hongkongu. To dobry człowiek.

- Kim właściwie jest ten pan Loong? - zapytała Nicky.

- To brat matki Mai. Gruba ryba w Hongkongu, wielki biznesmen. Wyjechał z Szanghaju w 1948 roku, zanim w 1949 przyszli komuniści. Otworzył w Hongkongu wielką firmę eksportowo-importową. Teraz jest bardzo bogaty. Pomógł mi przyjechać do Paryża.

- Byłeś więc w Hongkongu nielegalnym imigrantem bez dokumentów. Jak ci się to udało? Jak się stamtąd wydostałeś? - Clee kręcił z podziwem głową. - Masz chiński paszport, wiem o tym, ale co z wizami i innymi papierami?

- Pan Loong załatwił wszystko. On ma wielu przyjaciół. Wszystko bardzo ważni ludzie. Kupił dla mnie prawdziwy paszport Hongkongu. Na moje nazwisko.

- Możesz nam go pokazać? - zapytała Nicky. - Chyba nie masz nic przeciw temu?

- Nie, Nicky. - Yoyo sięgnął do kieszeni, wyjął paszport i podał jej.

Clee wstał, usiadł koło niej na sofie, oboje dokładnie obejrzelili paszport, a potem porozumieli się wzrokiem. Spodziewali się, że ujrzą podrobiony dokument, okazało się jednak, że trzymają w rękach najzupełniej autentyczny ważny paszport wystawiony przez władze Hongkongu na nazwisko Yoyo: Chin Yong Yu.

- Doskonale, Yoyo - powiedział Clee, oddając mu paszport. - Twój przyjaciel, pan Loong, ma z pewnością pierwszorzędne *guanxi*.

Yoyo roześmiał się i skinął głową.

- Jakie masz teraz plany? - zapytał Clee. - Zamierzasz zostać we Francji czy wyjechać do innego kraju?

- Pan Loong ma w Paryżu filię swojej firmy eksportowo-importowej. Przyjechałem tu jako jego sekretarz. Może zostanę w Paryżu. Może pojedę do Nowego Jorku. - Mówiąc to, patrzył na Nicky pytającym wzrokiem.

- Porozmawiamy o tym jutro, dobrze? - odparła i spojrzała na zegar zdobiący obramowanie kominka. - Myślę, że powinniśmy już iść. O ile się nie mylę, pan Loong oczekuje nas o ósmej?

- Tak. - Yoyo wstał i przypomniał im: - Państwo Loong oczekują nas o ósmej. W hotelu Ritz, plac Vendôme, apartament Ernesta Hemingwaya.

Clee poczuł na sobie wzrok Nicky, odwzajemnił to spojrzenie, a potem oboje parsknęli śmiechem.

- Co się stało? - zapytał zdumiony Yoyo.

- Nic, po prostu widzimy, jak bardzo zmienił się twój los, Yoyo. Pan Loong to z pewnością twój dobry duch.

- O tak, pan Loong bardzo dobry duch - przyznał Yoyo.

Rozdział 34

Od czasu pobytu w Madrycie Nicky nie przestawała myśleć o Annie Devereaux i wreszcie w niedzielę rano postanowiła zatelefonować do Pullenbrook.

- To miłe, że zadzwoniłaś - powiedziała Anna.

- Cieszę się, że możemy porozmawiać. Jestem teraz w Paryżu razem z Clee i pomyślałam, że zamienimy parę słów.

- Miałaś doskonały pomysł. Ja też chciałam ci coś powiedzieć, ale nie wiedziałam, gdzie mogę cię znaleźć.

Nicky pochwyciła jakąś osobliwą nutę w jej głosie. Drgnęła, wyprostowała się na krześle. - Co mi chciałaś powiedzieć? - zapytała ostrożnie.

- Chodzi o Charlesa. Nicky, ja...

- Och, Anno, tak bardzo mi przykro, że przyjechałam wtedy do Pullenbrook z tą dziwną historią. Wiem, ile wprowadziłam zamęt. Wiem, że postąpiłam nieładnie. Działalam wówczas impulsywnie, nie przemyślałam sobie wszystkiego jak należy. Charles rzeczywiście odebrał sobie życie przed trzema laty, teraz już wiem o tym. Byłam w błędzie, to nie Charles został sfilmowany w Rzymie.

- Nie jestem już tego taka pewna - wtrąciła Anna.

Dłoń Nicky zacisnęła się mocniej na słuchawce.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiele o tym rozmyślałam... głównie o fotografiach, które miałaś. Kiedy pokazałaś mi je po raz pierwszy, dostrzegłam podobieństwo, uderzające podobieństwo. Ale

doszłam natychmiast do przekonania, że to nie może być Charles. Z prostego powodu: mój syn nigdy nie postąpiłby w tak niegodny sposób, nie pozorowałby własnej śmierci. A jednak te zdjęcia przesładują mnie bezustannie od dwóch tygodni.

- Zapomnij o nich, Anno, to nie był Charles, naprawdę. To nie on.

- Chciałabym spojrzeć jeszcze raz na te zdjęcia - powiedziała szybko Anna. - Czy mogłabyś mi je przesłać?

- Niestety, już ich nie mam. Uznałam, że nie ma sensu ich przechowywać i zniszczyłam je.

- Naprawdę ich nie masz?

- Przecież mówię: pozbyłam się ich. Podarłam i wyrzuciłam.

W słuchawce zaległa cisza. Nicky odczekała chwilę, a potem zapytała: - Anno, jesteś tam?

- Tak, jestem, Nicky.

Jej głos był cichy, jakby osłabiony i Nicky zawołała: - Dobrze się czujesz?

- Prawdę mówiąc, ostatnio sypiałam bardzo mało. Zbyt wiele myślałam o Charlesie, powróciło tyle wspomnień...

- Och, Anno, kochanie, nie możesz się tak zadrećzać - powiedziała łagodnie Nicky, ogarnięta współczuciem. - To wszystko moja wina. Nie wiem, w jaki sposób mogłabym ci pomóc, co zrobić, abys poczuła się lepiej. - Nie doczekała się odpowiedzi i po chwili zapytała: - Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

- Może przyjechałabyś do mnie do Anglii, Nicky? Chciałabym z tobą porozmawiać... Muszę z tobą porozmawiać... nie mam nikogo innego. Gdybyśmy się spotkały, może poczułabym się mniej samotna...

W pierwszej chwili Nicky zamierzała odmówić, ale przyszło jej do głowy, że jest w pewnym sensie odpowiedzialna za psychiczne rozterki tej kobiety. - Spróbuję odwiedzić cię jutro, Anno. Przyjadę na jeden dzień, miałabym więc za mało czasu na wizytę w Pullenbrook, ale mam inną propozycję: Spotkajmy się w Londynie. Zjadłbyśmy razem lunch.

- Oczywiście, świetny pomysł! - Głos Anny zabrzmiał teraz radośnie. - A może spotkamy się w moim mieszkaniu? Byłoby bardzo spokojnie i kameralnie, a nawet wygodniej niż w restauracji.

- Doskonale, Anno. A więc jesteśmy umówione: jutro o... powiedzmy między dwunastą i dwunastą trzydzieści.

- Nie mogę się już doczekać.

- Pozdrów ode mnie Filipa.

- Chętnie. Niedawno wyszedł na spacer, w przeciwnym razie dałabym ci go do telefonu. Na pewno chciałby z tobą porozmawiać choćby przez chwilę. Ale to nic, kochanie, zobaczymy się jutro. Jeszcze raz dziękuję.

Nicky odłożyła słuchawkę, usiadła za biurkiem Clea i zaczęła roztrząsać dokładnie rozmowę z Anną. Na samym początku Anna sprawiała wrażenie przygnębionej - zapewne z jej winy. To ona rozdrapała ranę, która przez ostatnie trzy lata zdążyła się trochę zagoić. Tym samym skazała Annę na nowe cierpienia.

Przeszłość powróciła, dręcząc tę piękną kobietę, która nie zasłużyła sobie na to. Nicky poczuła, że znowu ogarnia ją gniew na myśl o Charlesie, o tym, jaką krzywdę wyrządził matce znikając z jej życia. Trzeba coś zrobić, aby powstrzymać krwawienie, trzeba pomóc Annie zaleczyć ranę ponownie. W tym celu musi udać się do Londynu, a więc poleci tam jutro rano. W końcu lot trwa

zaledwie godzinę, a kiedy dotrze już na miejsce, zrobi wszystko, aby przekonać Annę, że jej syn nie żyje. W pewnym sensie była to nawet prawda.

Drzwi frontowe trzasnęły głośno; przestraszona wbiegła czym prędzej do foyer i ujrzała Clee. Stał w progu, trzymając oburącz torby z zakupami. Z jednej sterczały dwie bagietki, w drugiej widoczne były warzywa, w trzeciej na samym wierzchu leżały kwiaty.

- Cześć - zawołał Clee, przytrzymując zakupy podbródkiem i uśmiechając się znad nich. - Chodź, porozmawiamy, a ja rozpakuję to wszystko.

Weszła za nim do kuchni. - Nakupowałeś chyba dla całego plutonu! - zawołała. - Co masz zamiar przyrzędzić na lunch?

- Na przykład słynny farmerski omlet Donovana - odparł, rzucając torby z zakupami na stół kuchenny.

- A co to takiego, jeśli wolno zapytać?

- Poczekaj trochę, a sama zobaczysz. To moja specjalność, tak smakowita, że palce lizać! Będziesz zachwycona. - Wyciągnął z torby bukiet kwiatów, odwrócił się i podał je Nicky.

- Dla mojej dziewczyny - oświadczył i pocałował ją w policzek.

- Och, Clee, jesteś naprawdę słodki! Dziękuję!

- Wzięła od niego bukiet i wtuliła twarz w wonne kwiaty, a potem zarzuciła mu instynktownie ramiona na szyję i przywarła doń całym ciałem. Nie odrywając policzka od jego twarzy, szepnęła: - Kocham cię!

- Ja też cię kocham, Nick. - Dotknął dłonią jej podbródka, zmuszając, aby odchyliła nieco głowę do tyłu, po czym zajrzał jej w oczy i dodał: - Nawet nie wiesz, jak

bardzo. Będę cię musiał o tym przekonać. Na razie jednak wezmę się za robotę, w przeciwnym razie nie usiądziemy do posiłku przed czwartą.

- Czy mogę ci pomóc?

- Skoro mam już tu wszystkie składniki, mogłabyś przygotować stół, otworzyć butelkę szampana, nalać dwa kieliszki i dodać do nich odrobinę soku pomarańczowego. Potem posiedzisz przy mnie i będziesz bawić mnie rozmową, a ja przyrządzę w tym czasie omlety. Zgoda?

- Zgoda - odparła rozbawiona. Wstawiła kwiaty do wazonu z wodą, nakryła stół obrusem, ustawiła talerze wraz z widelcami i nożami, po czym zajęła się butelką szampana. Jej ojciec również lubił mimozę, szampana z dodatkiem soku pomarańczowego; tym bardziej starała się teraz, aby koktajl wypadł jak najlepiej.

- A więc za dziewczynę, którą kocham - wzniosł toast Clea. - Trącił jej kieliszek swoim. - *Santé*.*

* fr. - na zdrowie - przyp. tłum.

- *Santé*, najdroższy - szepnęła i uśmiechnęła się do niego.

Clea przeszedł pod okno, wyłożył zawartość toreb na długi blat i zaczął przyrządzać posiłek, Nicky natomiast przyglądała mu się w milczeniu, podziwiając zręczność, z jaką pracował. To z pewnością składniki omletu, pomyślała. Coś mi się zdaje, że Clea robi hiszpański omlet. W ostatniej chwili powstrzymała się od uśmiechu.

- Czy rzeczywiście lecisz jutro do Brukseli? - zapytała.

- Tak, muszę. Dlaczego pytasz?

- Rozmawiałam dziś z Anną Devereaux, zanim przyszedłeś do domu. Sądząc po głosie, była bardzo

przygnębiona, a nawet zaniepokojona. I to mnie martwi. Odwrócił się i spojrzał na Nicky z namysłem.

- Jak się domyślam, sądzisz teraz, że otworzyłaś worek pełen węży. Mówiąc inaczej, puszke Pandory.

Czy nie tak?

- Dokładnie tak. I to naprawdę moja wina, Clee. Byłam głupia, kiedy pojechałam wtedy do niej i zaskoczyłam ją tą wieścią. Działalam bardzo impulsywnie, nierozważnie. Powinam była poczekać trochę, przemyśleć sobie wszystko, omówić to z tobą.

- Masz rację, tak właśnie powinnaś była zrobić. A ja powiedziałbym wtedy, że masz o wszystkim zapomnieć. Ale to nic. I na nic zdadzą się teraz żale.

- Odwrócił się z powrotem i począł obierać trzy spore ziemniaki leżące na desce. - I co zamierzasz w związku z Anną, Nicky? - zapytał. - Można jej jakoś pomóc?

- Chciała, żebym przyjechała do niej, zobaczyła się z nią. To znaczy... prosiła o to. Mówi, że nie ma nikogo, z kim mogłaby tak od serca porozmawiać, tylko mnie.

- A Filip? Czy on nie rozumie jej potrzeb?

- Owszem, rozumie, jestem tego pewna, ale my dwie zawsze byliśmy sobie bardzo bliskie, a poza tym... - Nie dokończyła.

- A poza tym byłaś narzeczoną jej syna - dopowiedział za nią. Zerknął przez ramię i uśmiechnął się. - Nie musisz tego owijać w bawełnę, mam na myśli sprawę z Charlesem Devereaux. Zareczyliście się, byłaś z nim związana, ale to już historia. W naszym wieku nikt nie jest bez przeszłości. Każde z nas dźwiga ze sobą jakiś bagaż przeżyć.

- Cieszę się, że to rozumiesz. W każdym razie przyrzekłam jej, że przylecę do Londynu. Zjemy razem lunch w jej mieszkaniu przy Eaton Square. Pomyślałam sobie, że nie będziesz miał nic przeciw temu, skoro i tak jedziesz na dwa, trzy dni do Brukseli.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciw temu. Nie miałbym nawet, gdybym stąd nie wyjeżdżał. Masz do załatwienia konkretną sprawę, a ja nie zamierzam ci zakładać wędzidła. To nie w moim stylu.

- Odwrócił się do niej i dodał oparty plecami o blat:

- Mam też nadzieję, że ty również nie chcesz mnie ujarzmić.

Potrząsnęła głową. - Nigdy w życiu! Tego nie wolno robić! Zresztą ty jesteś typem kawalera, nieprawdaż? Jesteś ulepiony z tej samej gliny, co niegdyś Robert Capa. Wiem doskonale, że zależy ci przede wszystkim na tym, aby podobnie jak on wziąć aparat fotograficzny i włączyć się po całym świecie.

Clee odłożył nóż, który trzymał w ręku, podszedł do niej, odebrał jej kieliszek i odstawił na stół, ją zaś pociągnął, zmuszając, by wstała.

- Posłuchaj, najdroższa, może rzeczywiście chciałbym włączyć się po świecie, robiąc zdjęcia, może rzeczywiście lubię być niczym nieskrępowany, ale z całą pewnością nie chcę żyć bez ukochanej osoby u boku. Chcę, abyś była przy mnie. - Pocałował ją gwałtownie w usta, po czym odsunął od siebie, a na twarzy zagościł mu znowu ten niewyraźny uśmiech.

Lekko musnął palcem jej policzek i zapytał:

- Pobierzemy się?

Zaskoczona wpatrywała się w niego przez długą chwilę. - Nie spodziewałam się takiego pytania - szepnęła

wreszcie. - Czy muszę podjąć decyzję już dzisiaj... od razu?

- Nie, nie musisz odpowiadać mi dzisiaj. - Ucałował czubek jej nosa. - Możesz zadecydować o tym jutro, w przyszłym tygodniu, kiedy tylko zechcesz. Pod warunkiem, że powiesz w końcu: tak.

Rozdział 35

Mieszkanie Anny przy Eaton Square było - podobnie jak Pullenbrook - piękne i na swój sposób imponujące. O jego wystrój zadbał wiele lat temu wielki angielski dekorator wnętrz, John Fowler, tworząc jedno ze swych ostatnich wielkich dzieł.

Salon był przestronny, o wysokim suficie i ścianach utrzymanych w szczególnej jakby przytłumionej tonacji różu. Taftowe draperie w dwóch wysokich oknach miały odcień nieco ciemniejszy i ten ciepły koloryt sprawiał, że całe pomieszczenie zdawało się żarzyć różowym blaskiem. Posmaku spokojnej elegancji dodawały georgiańskie antyki, wykwintny dywan oraz kilka dużych obrazów Stubbsa przedstawiających konie. Widać było tu też rękę Anny, która w sposób niedopuszczający cienia wątpliwości co do autorstwa wprowadziła do salonu pewne akcenty typowe dla siebie; na stolikach stały fotografie rodzinne w srebrnych ramkach, na każdym kroku widniały doniczki z białymi wysokimi orchideami i piękne wazony z kwiatami oraz wonne świece.

Tego słonecznego poniedziałkowego poranka Anna i Nicky siedziały na niskiej sofie twarzą do jednego z okien wychodzących na Eaton Square i ocienioną zielonymi liśćmi altankę na skwerze.

Anna była dziś o wiele bardziej opanowana niż podczas ostatniej wizyty Nicky; zdradzała to jej twarz. Kąciki ust rysowały się łagodnie, w znacznym stopniu opadło z niej napięcie. Uśmiechnięta, sprawiała wrażenie odprężonej.

Nicky spoglądała na nią z satysfakcją. Zdołała wpłynąć korzystnie na nastrój Anny i z tego powodu odczuwała ulgę. Nie żałowała, że przyleciała do Londynu. Podróż opłacała się choćby dlatego, że wiedziała teraz, iż rany, które rozdrapała, niebawem się zagoją. Anna już teraz wyglądała i mówiła jak dawniej.

Obie kobiety zawsze czuły się ze sobą dobrze, a tego ranka ich ożywiona długa rozmowa zdawała się pogłębiać tę więź jeszcze bardziej.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że przyjechałaś do mnie - powiedziała Anna, ujmując Nicky za rękę. Ścisnęła jej dłoń. - Pozwoliłaś mi zebrać myśli, wziąć się w garść. Jestem ci za to bardzo wdzięczna. Byłam bardzo przygnębiona... - Umilkła i potrząsnęła głową. - Zaczęłam już nawet użalać się nad sobą, co w ogóle nie leży w moim zwyczaju. Nie znoszę czegoś takiego, uznaję to za oznakę słabości, nie cierpię tej cechy również u innych. W każdym razie bardzo ci dziękuję, Nicky. Dokonałaś cudu.

- Nie masz mi za co dziękować, Anno. Przyjechałam do ciebie z prawdziwą przyjemnością - odparła Nicky. - Wiesz przecież, jak bardzo cię kocham. Zależy mi na tym, abys czuła się dobrze, a w pewnym sensie jestem odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Przecież to ja

otworzyłam tę puszkę Pandory i wypuściłam z niej wszystkie okropne upiory. Postanowiłam więc w ramach moich możliwości naprawić swój błąd, uczynić coś, abyś poczuła się lepiej.

- Cóż, to ci się w pełni udało, tak więc nie zawracaj już sobie tym głowy. Puszka jest znowu zamknięta. - Anna spojrzała jej w oczy i dodała: - Zawsze byłaś dla mnie kimś wyjątkowym, Nicky.

Niczym córka, której nigdy nie miałam. A dziś udało ci się mnie pocieszyć, pomogłaś mi odzyskać siłę ducha. - Uśmiechnęła się. - Można by powiedzieć, że dzięki tobie stanęłam znowu na nogi.

Nicky odwzajemniła uśmiech. - Cieszę się, że tak mówisz, Anno. Naprawdę bardzo się cieszę. Wczoraj marowałam się o ciebie, czułam twój ból. Wiem doskonale, co przesłaś. - Zawahała się przez krótką chwilę, a potem dodała powoli: - Przed dwoma tygodniami w Pullenbrook prosiłaś mnie, abym pozwoliła Charlesowi spoczywać w pokoju. Zrobiłam to i mam nadzieję, że ty uczynisz to samo.

- Tak, chyba tak... Teraz jestem tego pewna, kochanie.

Nicky postanowiła zmienić temat rozmowy. - Anno, mam dla ciebie wielką nowinę. Yoyo, ten młody Chińczyk, student, którego poznaliśmy w Pekinie, zdołał uciec. W czwartek przyleciał do Paryża, w piątek był na obiedzie ze mną i Clee. Jest w doskonałym nastroju, wygląda wspaniale.

- To cudowne, że udało mu się uciec, że jest bezpieczny! - zawołała Anna. Jej twarz pojaśniała, oczy błyszczały. - Opowiedz mi o nim coś więcej.

Nicky nie dała się prosić dwa razy i właśnie kończyła swoje opowiadanie relacją o podróży Yoyo do Hongkongu i uroczystym obiedzie, na którym byli wraz z nim

i panem Loong u Ritza, kiedy u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek.

- To z pewnością Filip - powiedziała Anna. Wstała i ruszyła w stronę foyer, zatrzymała się jednak w połowie drogi. - Muszę przyznać, że byłam zaskoczona, kiedy zadzwonił o jedenastej i zapytał, czy może nam towarzyszyć. Zazwyczaj jada lunch w klubie. Potem zorientowałam się, że pragnie spotkać się z tobą. On cię bardzo lubi, Nicky.

- Cieszę się, że Filip zje z nami lunch, ja też go lubię - odparła z przekonaniem Nicky. - To wspaniały człowiek.

Po chwili Filip Rawlings wszedł do salonu. Uściskał najpierw Annę, potem przywitał się serdecznie z Nicky. - Myślałem, że masz być w Prowansji! - Ton jego głosu i spojrzenie zdradzały zaciekawienie.

- Bo tak było - odparła. - Ale Clee ma pewne problemy w biurze. Może pojedziemy do Prowansji w przyszłym tygodniu.

- O tej porze roku jest tam bardzo ładnie - mruknął. Podszedł do tacy z napojami stojącej na komodzie i zrobił sobie drinka. Zazwyczaj nie pił przy lunchu w dni powszednie, dzisiejszy dzień był więc wyjątkiem. Zwłaszcza iż nie była to dziś jego pierwsza whisky z wodą sodową. Idąc tu, uczynił coś, czego nie robił od lat: wstąpił do pubu Grenadier, jedyne jaki znał w tej okolicy, i opróżnił kieliszek. Dopiero potem skierował się na Eaton Square.

Fałszywa odwaga, pomyślał wrzucając do kryształowej szklaneczki kostki lodu, po czym odwrócił się twarzą do kobiet. Anna siedziała na sofie, Nicky siadała na stojącym obok sofy krześle.

Uniósł szklaneczkę i mruknął: - Wasze zdrowie - i upił spory łyk. Nie ma sensu odwlekać tego dłużej, upomniał

siebie w duchu. Zaczerpnął głęboko tchu, zebrał się w sobie, po czym usiadł przy Annie.

- Obawiam się, że lunch nie będzie zbyt wyszukany, Filipie - uprzedziła go. - Jadąc dziś tutaj, zostawiłam w Pullenbrook Pilar i Inez. Wstąpiłam tylko do Harrodsa i kupiłam trochę zimnych przekąsek, zrobiłam też sałatkę.

- Nie przejmuj się tym, nie jestem głodny - pocieszył ją.

- Czuję się już o wiele lepiej, kochanie - mówiła dalej Anna, uśmiechając się radośnie. - Bardzo dużo dała mi wizyta Nicky, rozmowa z nią.

- To widać.

- Doszłam już do siebie, Filipie. Naprawdę.

- Doskonale.

- Opowiadałam właśnie Annie o Yoyo - wtrąciła się do rozmowy Nicky. - Wiesz, to ten student, który pomagał nam w Pekinie. Udało mu się przedostać do Hongkongu, a potem do Paryża, spotkał się z nami w ubiegłym tygodniu.

- Miał szczęście! - Filip pokręcił głową. - Niestety, kilku studentów, którzy uczestniczyli w demonstracjach i zbiegli do Hongkongu, zostało odesłanych przez tamtejsze władze z powrotem do Chin. Bóg jeden wie, jaki ich teraz czeka los.

- To okropne! - zawołała Anna. - Jak można było postąpić w tak bezduszny sposób! I nasz rząd pozwolił na to?

Filip nie odpowiedział. Upił kolejny łyk i niemal pustą szklankę odstawił na lakierowany stolik na kółkach. Postanowił przystąpić do rzeczy. - Anno, mam ci coś do powiedzenia i cieszę się, że Nicky jest z nami. Ona też ma prawo wiedzieć o wszystkim.

Zaintrygowane tonem głosu oraz poważną miną, obie kobiety spojrzały na niego bacznie.

- Chodzi mi o Charlesa...

- O Charlesa? - przerwała mu Anna podniesionym głosem.

Nicky wyprostowała się na krześle, poczuła dławiący lęk.

- Tego ranka na moje biurko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych trafiła pewna informacja. Jest oznaczona jako tajna, uznałem jednak, że okoliczności nakładają na mnie moralny obowiązek dopuszczenia was obydwu do tajemnicy. Ponieważ, jak już powiedziałem, wiadomość jest ściśle tajna, muszę was ostrzec: tego, co usłyszycie teraz ode mnie, nie wolno wam nikomu powtarzać. Ani jedno słowo nie może wyjść poza ściany tego pokoju. Liczę na to, że żadna z was nie nadużyje mego zaufania. Musisz mi to przysiąc, Anno. Ty również, Nicky.

- Wiesz doskonale, że nie roztrząsam nigdzie spraw dotyczących twojej pracy w ministerstwie, ani tajnych, ani żadnych innych! - Wzrok Anny wyrażał lekki wyrzut.

- Masz moje słowo, że nie powtórzę nikomu tego, co teraz usłyszę - mruknęła Nicky. Była zaniepokojona, a jednocześnie zaintrygowana; nie wyobrażała sobie, co Filip ma im do powiedzenia.

On zaś skinął głową i ujął dłoń Anny. - Kiedy Nicky przyjechała w sierpniu do Pullenbrook, miała rację we wszystkim, co mówiła, Anno. Mężczyzną, który ukazał się na moment w serwisie informacyjnym ATN z Rzymu, był istotnie Charles. Przed trzema laty upozorował samobójstwo.

Anna wstrzymała oddech, w jej szeroko otwartych oczach widniał szok. Wreszcie zawołała: - Chcesz przez to powiedzieć, że on żyje?! Mój syn żyje?!

Filip nie odpowiedział natychmiast.

Nicky siedziała jak skamieniała z dłońmi splecionymi ciasno na brzuchu. Muszę uważać teraz na każdy mój ruch, pomyślała. Nie wolno mi się zdradzić, że wiedziałam cokolwiek.

- Czy on żyje? - powtórzyła gorączkowo Anna. - Filipie, proszę, odpowiedz mi! Czy Charles żyje?

Zaczerpnął głęboko tchu. - Nie, Anno - odparł łagodnie. - Nie. Charles nie żyje.

- Nic nie rozumiem! - zawołała z rosnącym podnieceniem. - Przed chwilą powiedziałaś, że Nicky miała rację, że Charles upozorował samobójstwo, że żyje. Teraz twierdzisz, że on nie żyje. Jak to możliwe? Jesteś tego pewien?

- Tak, najzupełniej.

Nicky, nie mniej wstrząśnięta niż Anna, z trudem panowała nad sobą. Starając się zachować spokojny głos zapytała: - Skąd wiesz, że Charles nie żyje?

- Mój przyjaciel, Frank Littleton, powiedział mi o tym dziś rano. Frank i ja byliśmy razem w Harrow, potem w Cambridge, tak więc przyjaźnimy się już całe wieki. On pracuje w Tajnej Służbie Wywiadowczej MI 6, ale nie jest agentem, lecz wykonuje robotę biurową. Dziś rano przesłał mi zaproszenie. Poszedłem do niego i wtedy powiedział mi, że Charles został zabity.

- O Boże, co ty wygadujesz?! - Anna spoglądała na niego zupełnie zdezorientowana. - MI 6. Agenci. Wywiad... Czy Charles wplątał się w coś niebezpiecznego?

- Frank nie podał mi zbyt wielu szczegółów - odparł Filip niepewnym głosem.

- Powiedziałaś, że Charles został zabity - odezwała się Nicky. - To oznacza, że nie umarł śmiercią naturalną. Ani wskutek jakiegoś wypadku. Czy mam rozumieć, że ktoś go zamordował?

Filip skinął głową. Otoczył Annę ramieniem, ona zaś wydała zduszony jęk i zadygotała na całym ciele.

- Kiedy Charles zginął? - zapytała Nicky.

- Pod koniec ubiegłego tygodnia.

- Gdzie? - Nicky jeszcze mocniej splotła dłonie, niemal wstrzymała oddech.

- W Madrycie. Był na pokładzie samolotu, który wybuchł na lotnisku... Taki mały prywatny samolot, typu Falcon.

- O mój Boże! - Anna przycisnęła dłoń do ust. - Mój syn! Charles! - Błagalnym tonem zwróciła się do Filipa. - Proszę, opowiedz mi wszystko, co wiesz na ten temat! Proszę!

- Czy odnaleziono jego ciało? - zapytała Nicky.

Filip milczał przez chwilę, wreszcie szepnął: - To była potężna eksplozja.

Anna wsparła się na jego ramieniu, łkając cicho. Przytulił ją mocno, starając się uspokoić jej stargane nerwy.

- Powiedziałaś, że informacje przekazał ci przyjaciel z MI 6 - kontynuowała Nicky. - Z tego wynika, że Charles pracował dla wywiadu. A jeśli tak, to zapewne zabili go agenci obcego wywiadu. Czy rozumiem właściwie?

- Zapewne tak.

- Nie jesteś o tym przekonany w stu procentach?

- Frank przekazał mi gołe fakty, nie dodał nic więcej. Właściwie powinien był zachować tę wiadomość dla siebie, ale ponieważ zna Annę i wie, że zamierzamy się pobrać, postanowił wtajemniczyć mnie w tę sprawę. W ten

sposób nadstawił dla mnie karku, z całą pewnością jednak nie zamierzał szkodzić względem bezpieczeństwa.

Nicky nachyliła się do przodu, jej policzki płonęły z przejęcia. - Nie dał ci żadnych wskazówek na temat mordery lub morderców?

Filip zawahał się przez moment. - Odniosłem wrażenie, jakby byli to agenci izraelscy.

- Mossad! - Na twarzy Nicky odmalowało się zaskoczenie. - Dlaczego agenci Mossadu mieliby zabijać Charlesa Devereaux? Z tego, co mówiłeś wynika, że Charles był agentem brytyjskim. A Brytyjczycy i Izraelczycy nie likwidują się wzajemnie. Są po tej samej stronie.

Filip milczał.

- Przecież on pracował dla wywiadu brytyjskiego, czyż nie? - Nicky nie dawała za wygraną, odżywała w niej żyłka dociekliwego dziennikarza.

Filip potrząsnął głową. - To nie jest takie pewne. Frank powiedział... - Urwał, a potem dodał: - Myślę, że nie powinienem mówić nic więcej. Zresztą prawie wszystko, co wiem, już wam przekazałem.

- Jeszcze jedno - nalegała Nicky. - Skoro Charles nie pracował dla Brytyjczyków, musiał działać na rzecz innego wywiadu. A więc dla kogo pracował?

- Frank nie wyjaśnił mi tego dokładnie. Dał mi jedynie do zrozumienia, że Charles był związany z jakąś organizacją mającą siedzibę gdzieś na Bliskim Wschodzie.

Nicky wpiła w niego wzrok. - Z organizacją terrorystyczną? Czy to właśnie masz na myśli?

Skinął głową.

- Sądziś, że był terrorystą?

- To nie jest wykluczone - odparł Filip.

- Czy pracował dla OWP? A może dla Abu Nidal? Dla kogo?

- Frank nie wymienił żadnego z tych ugrupowań, zasugerował jednak, że Charles pracował dla Palestyńczyków.

- Nie wierzę w to! - zawołała Nicky. - Nigdy w to nie uwierzę!

- Dla Palestyńczyków... - powtórzyła Anna. Odsunęła się nagle od Filipa, wyprostowała na sofie, przeniosła wzrok na Nicky i spojrzała znów na Filipa, jakby oszołomiona. - Twierdzisz, że Charles pracował dla Palestyńczyków?

- Zgadza się, tak sugerował Frank.

Twarz Anny była teraz biała jak kreda, oczy stały się szkliste, pozbawione wszelkiego wyrazu. Siedziała, wpatrując się gdzieś w dal, jakby dostrzegając tam coś, czego nikt inny nie mógł zauważyć. Nieobecna duchem, zadumana, milczała i trwała w bezruchu, sprawiając wrażenie osoby całkowicie pogrążonej w transie.

Filip zerknął na Nicky; w jego wzroku czaiła się troska.

Skinęła głową i spojrzała na Annę. Kierując się informacją uzyskaną od Charlesa w Madrycie powiedziała powoli: - Może Charles nie był zdrajcą, lecz szpiegiem. Brytyjskim agentem, który pod zmienionym nazwiskiem wstąpił do innej organizacji, aby ją rozpracować.

- Nie wiem - odparł Filip. - Ale oczywiście nie możemy tego wykluczyć. Takie operacje są często ustalane na najwyższym szczeblu. Przeważnie nie wiedzą o nich nawet najbliżsi koledzy agenta, ze względów bezpieczeństwa. W takiej sytuacji również Frank nie miałby tych informacji.

- No właśnie! - zawołała Nicky. - A gdyby Charles był

rzeczywiście angielskim szpiegiem, nie można by go nazywać zdrajcą!

- To prawda - przyznał Filip i spojrzął na Annę; miał nadzieję, że dosłyszała ostatnie słowa Nicky. A słowa te mogły okazać się słuszne. Taka teza trafiała do przekonania.

Nicky opadła z powrotem na krzesło, rozpamiętując gorączkowo wszystkie fakty i nagle coś przyszło jej na myśl. Czy Charles rzeczywiście zginął? A może upozorował śmierć po raz drugi?

Po prostu nie wierzył, że dotrzymam słowa i nie zdradzę go, usłyszała wewnętrzny głos. Bał się. Uznał, że mogę narazić go na poważne niebezpieczeństwo. Tak, oto wyjaśnienie sprawy. W jakiś sposób upozorował po raz drugi własną śmierć i dzięki temu będzie mógł kontynuować bezpiecznie swoją misję, powierzoną mu przez wywiad brytyjski.

Ale czy jej rozumowanie jest właściwe? Przecież może się mylić! Może Charles tym razem zginął naprawdę? A jeśli tak, to czy agenci Mossadu popełnili błąd, likwidując nie tego, o kogo im chodziło? Czyżby dokonali zamachu na agenta wywiadu brytyjskiego?

* * *

W apartamencie Clee panowała absolutna cisza, nie zakłócało jej nawet tykanie zegara. Było już późno, dochodziła północ. Nicky siedziała w pokoju sama; Clee przebywał jeszcze w Brukseli jako reporter *Paris Match*. Nieco wcześniej rozmawiała z nim przez telefon i udało jej się nie mówić zbyt wiele na temat pobytu w Londynie. Teraz kończyła jeść zupę i rozpamiętywała przy tym wydarzenia dnia.

Niezwykle rewelacje ujawnione przez Filipa nie zaskoczyły jej tak jak Annę - ze zrozumiałych powodów. Ostatecznie widziała się z Charlesem dziesięć dni temu, wysłuchała jego historii i uwierzyła w nią. Wierzyła również, że Charles żyje nadal. Charles Devereaux, którego znała i z którym była zaręczona, należał do ludzi wybitnie bystrych i błyskotliwych. Wydawało się prawdopodobne, że jest znakomitym agentem wywiadu i najlepszym szpiegiem w Anglii. Mogło z tego wynikać, że wcale nie zginął w wyniku eksplozji samolotu na lotnisku w Madrycie, lecz upozorował wszystko tak, aby ona i wszyscy inni sądzili, że nie żyje. Była przekonana, że w samolocie siedział na jego miejscu ktoś inny.

Niezależnie od tego czy zginął, czy żyje nadal, Nicky nie wierzyła, aby pracował dla Palestyńczyków; po prostu infiltrował organizację terrorystyczną jako szpieg. W głębi duszy żałowała, że nie może powiedzieć Annie wszystkiego, co wie. Może wtedy jej przyjaciółka poczułaby się lepiej. Ale dla dobra Charlesa musi dotrzymać danego słowa. Może on istotnie żyje?

Kiedy Anna otrząsnęła się ze swego podobnego do transu odrętwienia, Nicky powtórzyła swą tezę, zgodnie z którą Charles miałby być rzekomym zdrajcą, podwójnym agentem, szpiegiem, natomiast Frank Littleton, przyjaciel Filipa, mógł o tym w ogóle nie wiedzieć.

Jej słowa natchnęły Annę otuchą, niebawem jednak przeprosiła gości, wyjaśniła, że potrzebna jej teraz chwila samotności, po czym udała się do sypialni.

Nicky rozmawiała z Filipem jeszcze godzinę, następnie pojechała na Heathrow i wróciła samolotem do Paryża. W pewnym momencie Filip wyraził obawę, że może popełnił straszliwy błąd.

- Sam już nie wiem, czy powinienem być mówić Annie o tym wszystkim - powiedział. - Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybym zatrzymał tę informację dla siebie?

Nicky zapewniła go wtedy, że jej zdaniem postąpił właściwie, i tymi słowami podniosła go na duchu. Potem wyznał:

- Ja ją bardzo kocham, Nicky, kocham ją od lat. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście, kiedy wreszcie zgodziła się zostać moją żoną. Powiedziałem jej prawdę o Charlesie, ponieważ ją szanuję i nigdy nie było między nami niedomówień ani kłamstw. Anna jest dojrzałą, inteligentną kobietą; moim zdaniem miała prawo wiedzieć o swoim synu to wszystko, o czym ja wiedziałem. Nie mogłem zataić przed nią tego, co powiedział mi Frank jako swemu przyjacielowi. Również ty, Nicky, powinnaś znać całą prawdę.

O ile jest to istotnie prawda, pomyślała Nicky, na głos jednak powiedziała: - Tak, masz rację, Filipie. I rzeczywiście postąpiłeś właściwie. Żadna kobieta nie chciałaby być traktowana przez mężczyznę jak istota ograniczona.

* * *

- Ach, Nicky, *ma petite*, stajesz się doprawdy tajemnicza! - mruknęła z wyrzutem Maria Teresa. - Jak możesz mówić, że nie wiesz, czy poślubisz twojego Clee? Nie wątpię, że zdążyłaś już sprecyzować swoje zamiary.

- Skądże znowu! - zaprotestowała Nicky. - Clee oświadczył mi się zaledwie w niedzielę rano...

- No to co? Mamy już czwartek! - zawołała Maria Teresa i parsknęła śmiechem. - Do dziś mogłaś chyba zdążyć poznać własne uczucia!

W każdym razie Clee spodziewa się, że udzielisz mu odpowiedzi, kiedy wróci jutro do Paryża. Jestem tego pewna. *N'est-ce pas?* Moim zdaniem powinnaś powiedzieć „tak”, *chérie*. Czy w tej sytuacji można odpowiedzieć coś innego?

Nicky uśmiechnęła się i spojrzała czule na swoją przyjaciółkę z lat dziecięcych. - Ach. Mario Tereso, jesteś niepoprawną romantyczką. Oczywiście, że mogłabym powiedzieć coś innego. Na przykład: nie.

- Hmm, to prawda. Ale z drugiej strony, czemu miałabyś to zrobić, skoro kochasz Clee tak gorąco?

- Skąd wiesz?

- Widzę to w twoich oczach, *ma petite*. A kiedy mówisz o nim, cała twoja twarz jaśnieje miłością.

Nicky westchnęła. - Jeszcze zobaczymy. Wydaje mi się, że podejmę decyzję w Prowansji... Ostatnio nie miałam nawet czasu myśleć. - Zerknęła na zegarek i zawołała: - Muszę już iść! Obiecałam Yoyo zjeść dziś z nim obiad, a przedtem muszę jeszcze załatwić parę spraw. Dzięki za wspaniały lunch. Mam nadzieję, że kiedy wrócę z Prowansji, nie będziesz zbyt zajęta. Zabrałabym cię wtedy na smaczny lunch przy Relais Plaza.

- Spodziewam się, że będzie z nami również Clee.

Nicky skinęła głową. - Tak, będzie też Clee.

- A gdybyśmy nie mogły się spotkać na lunchu, zadzwonisz do mnie jeszcze przed końcem września, zanim wrócisz do Stanów?

- Oczywiście, że zadzwoniłabym, gdyby doszło do takiej sytuacji, ale nie obawiaj się, z pewnością zjemy razem ten lunch, obiecuję. - Nicky nachyliła się, pocałowała Marię Teresę w policzek. - Nie wstawaj, przecież wiem, gdzie są drzwi.

- *Au revoir, chérie*.

- *Au revoir*, uważaj na siebie.

Nicky zamknęła za sobą drzwi i zbiegła po stromych schodach. Niebawem znalazła się na ulicy, gdzie skręciła w prawo i zaczęła się rozglądać za taksówką - gdy wtem wpadła na grupę mężczyzn wychodzących z restauracji.

- *O, pardon!* - zawołała, kiedy zderzyła się z jednym z nich.

- *De rien, mademoiselle* - odparł tamten i odwrócił się do niej z uśmiechem na twarzy.

Nicky spojrzała na niego i zamarła: przed nią stał Charles Devereaux.

- O, mój Boże!

Charles postąpił krok do przodu, ujął ją pod ramię i popchnął w stronę czekającego nie opodal samochodu. - *Au revoir* - rzucił na pożegnanie swoim współtowarzyszom i wsiadł tuż za nią do środka.

- Co się dzieje? Dokąd mnie wiesz, Char...?

- Cicho! - syknął, przerywając jej w pół słowa. - Nic nie mów!

Rozdział 36

Stali naprzeciw siebie w salonie bezbarwnego apartamentu, do którego Charles wprowadził Nicky.

- Co ty, na Boga, porabiasz w tak podłej dzielnicy jak Belleville? - zapytał wreszcie. - Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy ujrzałem cię na ulicy. Co ty tam robiłaś?

- Zanim odpowiem ci na to pytanie - zawołała - muszę sama zadać ci kilka!

Skinął głową. - W porządku. Odpowiem na nie, jeśli tylko będę mógł.

- Przede wszystkim, dlaczego wpychasz mnie do samochodu, który pędzi potem przez cały Paryż i skręca w boczną ulicę, której nazwy nawet nie znam? Następnie wyciągasz mnie z samochodu i wprowadzasz do tego wieżowca! Nie mam teraz najmniejszego pojęcia, gdzie jestem! I to właśnie chciałabym wiedzieć!

- Ten apartament mieści się przy ulicy Bergera, na północny wschód od Łuku Triumfalnego, tuż za parkiem de Monceau, w pobliżu bulwaru de Coucelles.

- Dlaczego wepchnąłeś mnie do samochodu?

- Bo nie wiedziałem, co za chwilę powiesz. W tej sytuacji było prościej przyjechać tutaj. Ale powiedz mi teraz, co ty robiłaś w tamtej okolicy? Belleville nie jest miejscem zbyt sympatycznym. Czyżbyś przygotowywała tam jakiś reportaż? Przeprowadzała wywiady z mieszkańcami?

- Nie, ale dlaczego tak myślisz? Czy według ciebie mogłabym natrafić w Belleville na jakiś ciekawy temat?

Wzruszył ramionami. - Skąd mam to wiedzieć?

- Przecież sam o tym teraz wspomniałeś!

- Ja tylko nie potrafię pojąć, co tam robiłaś, to wszystko. W tej okolicy mieszka mnóstwo Arabów, jak również imigrantów z Afryki Północnej. Z pewnością wiesz o tym.

- Odwiedziłam tam Marię Teresę Bouret, Francuzkę, która kiedyś była dla mnie kimś w rodzaju niani. Wydaje mi się, że opowiadałam ci już o niej.

- Tak, chyba tak.

- Przeprowadziła się do Belleville, gdyż mieszka tam jej przyjaciel. Zamieszkała u niego.

- Czy to jakiś Marokańczyk, Tunezyjczyk, Algierczyk?

- Nie wiem... nie miałam jeszcze okazji go poznać. - Przypomniała sobie nagle kuskus, zamówiony przez Marię Teresę na lunch w ubiegłym tygodniu, oraz nazwę restauracji: Café Tangier, i zawołała: - Ta restauracja, z której wychodziłeś... to restauracja afrykańska, prawda?

- Marokańska.

- Dlaczego przyprowadziłeś mnie tutaj?

- Nie chciałem, abyśmy rozmawiali na środku ulicy.

- Czy w ogóle mamy jeszcze sobie coś do powiedzenia? - Przez chwilę milczała, patrząc mu w oczy, po czym dodała: - Mogłeś mi zaufać, nigdy bym cię nie zdradziła. W Madrycie dałam ci słowo honoru. Tak więc nie było potrzeby, abys po raz drugi pozorował własną śmierć.

- Wcale tego nie zrobiłem! Ufałem ci... i ufam nadal, Nicky.

- Wszyscy myślą, że byłeś na pokładzie tego prywatnego odrzutowca, który eksplodował w ubiegłym tygodniu w Madrycie. Powiedziano mi, że zginąłeś na skutek wybuchu.

Zaskoczony spojrzał na nią badawczo.

- Kto cię powiadomił o samolocie?

- Filip Rawlings.

Jego wzrok przeszywał ją teraz na wylot. - Widziałas się z Filipem?

- Tak. W poniedziałek poleciałam do Londynu. Chciałam porozmawiać z twoją matką, była tak załamana, przygnębiona. Zaczęła wątpić, czy rzeczywiście trzy lata temu popełniłeś samobójstwo. Spotkałyśmy się w jej

apartamencie na lunchu. Zaczęłam przekonywać ją, że nie żyjesz...

- A skąd u niej te wątpliwości?

- Przez fotografie... na których jesteś w Rzymie. Te z wiadomości telewizyjnych.

- Tak, rozumiem. Mów dalej.

- Rozmawiałam z nią przez godzinę i w końcu zaczęła znowu wierzyć, że nie żyjesz. Wtedy zjawił się Filip. Przyniósł wiadomość o twojej śmierci. - Nicky opowiedziała teraz wszystko, cały przebieg rozmowy z Filipem, nie wymieniła jedynie nazwiska Franka Littletona.

Kiedy skończyła, Charles skinął z namysłem głową. - Przypuszczam, że Filip dowiedział się o tym samolocie w Madrycie od kogoś z wywiadu, jednego ze swoich dawnych przyjaciół. Wiem doskonale, jak sprawnie działają układy pomiędzy absolwentami tej samej uczelni. - Wskazał ręką na krzesła. - Może usiądziemy? Tak będzie chyba wygodniej.

Usiedli i Charles mówił dalej: - Mylisz się, jeśli sądzisz, że sfignowałem własną śmierć, organizując eksplozję samolotu. Prawdę mówiąc, siedziałbym na jego pokładzie w chwili wybuchu, gdyby moje plany dosłownie w ostatniej minucie nie uległy zmianie. Okazało się, że muszę pozostać w Madrycie - otrzymałem pewne zadanie. Ponieważ moje miejsce byłoby niewykorzystane, zajął je Javier. Samolot leciał do Gibraltaru; mieszka tam siostra Javiera. Chciał spędzić z nią weekend.

- Czyżbyś sugerował, że eksplozja samolotu była wynikiem prawdziwego sabotażu? Że ktoś starał się ciebie zabić?

- Ja niczego nie sugeruję, lecz twierdzę, że tak było.

- Kto się za tym kryje?

- Nie jestem pewien, chociaż mam określone podejrzenia i określony pogląd na tę sprawę.

- Mossad?

Zmarszczył brwi? - Skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego pomyślałaś o wywiadzie izraelskim?

- Filip uważa, że eksplozja samolotu może być ich sprawką, że agenci Mossadu chcą cię wytropić.

Charles milczał.

- Nie powiedziałam nic twojej matce ani Filipowi, Charlesie. Nie wspomniałam w ogóle o naszym spotkaniu w Madrycie. Staralam się też panować nad swoimi reakcjami, kiedy słuchałam rewelacji Filipa. - Odetchnęła głęboko. - Jak widzisz, wierzyłam przez cały czas, że żyjesz. Po prostu czułam, że nie możesz być już martwy. I dlatego nie zrobiłam niczego, co mogłoby oznaczać dla ciebie niebezpieczeństwo. Nie narażałabym twojego życia.

Charles milczał w dalszym ciągu.

Nicky nie dawała za wygraną. - Filip powiedział mi jeszcze coś dziwnego, Charlesie.

- Co takiego? - zapytał, unosząc brew.

- Człowiek, który przekazał mu w poniedziałek rano informację o twojej śmierci w Madrycie, zasugerował jednocześnie, że jesteś terrorystą.

Charles siedział bez ruchu, jego twarz wyrażała głęboką zadumę. Wreszcie spojrział na Nicky i mruknął: - Co dla jednego oznacza terrorystę, dla drugiego może znaczyć: bojownik o wolność.

Nicky potrząsnęła głową. - Przykro mi bardzo, ale chyba nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Chodzi mi o to, że wszystko zależy od punktu widzenia.

- Obawiałam się właśnie, że o to ci chodzi. - Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, wreszcie zapytała:

- Chcesz powiedzieć, że jesteś terrorystą?
 - Oczywiście, że nie jestem terrorystą!
 - Uśmiechnęła się z widoczną ulgą. - To jasne! - zawołała. - Jesteś agentem wywiadu brytyjskiego, szpiegiem mającym rozpracować organizację terrorystyczną z Bliskiego Wschodu, czy tak?
 - Nie.
 - Nie jesteś agentem brytyjskim?
 - Nie, nigdy nie byłem. Nie jestem też szpiegiem.
 - A więc okłamałeś mnie w Madrycie?
 - Tak.
 - Dlaczego?
 - Dlatego, że nie mogłem powiedzieć ci prawdy.
 - A jaka jest prawda?
 - Związałem się z pewną organizacją z Bliskiego Wschodu, Nicky.
 - Co to za organizacja?
 - Al A wad... to znaczy: Powrót.
 - Wiem dobrze, co to znaczy! - zawołała Nicky, zrywając się z krzesła. Wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczyma. - Powrót do ziemi ojczystej... do Palestyny.
 - Nachyliła się do przodu i dodała z naciskiem: - Wiem też, że jest to organizacja terrorystyczna. Dokładniej mówiąc: palestyńska organizacja terrorystyczna. Słyszałam o niej, chociaż nie ma ona tak wyrazistego programu działania jak Abu Nidal czy też niektóre inne ugrupowania.
 - To nie jest organizacja terrorystyczna - zaprotestował Charles.
 - Och, daj spokój! A co dla nich robisz? - zapytała podniesionym głosem. - Zabijasz małe dzieci i kobiety? Mordujesz niewinnych ludzi?
 - Powiedziałem już, że nie jestem terrorystą. Zajmuję

się pieniędzmi organizacji, sprawami finansowymi.

Zmierzyła go ostrym wzrokiem. - Może nie nosisz przy sobie kałasznikowa albo berrety - zawołała - ale i tak jesteś terrorystą! Pieniędzmi, którymi się zajmujesz, opłacane są akty przemocy, akty terrorystyczne!

- Nicky, Nicky, czy naprawdę sądzisz, że brytyjska SIS, amerykańska CIA, izraelski Mossad czy francuski DST są pod tym względem inne, bardziej humanitarne? Wszystkie służby tego typu są na całym świecie takie same. Ich agenci kłamią, oszukują, zabijają, umierają... i w imię czego? Wszyscy twierdzą, że kieruje nimi uczucie patriotyzmu. Ale palestyńscy bojownicy o wolność to też patrioci.

- Och, oszczędź mi tego przemówienia! - wybuchnęła gniewnie Nicky. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Charles Devereaux członkiem organizacji terrorystycznej! To zupełnie nieprawdopodobne! Z trudem odzyskała panowanie nad sobą. Nie mogła pozwolić, aby górę wzięło w niej teraz uczucie gniewu czy oburzenia. Aby emocje przesłoniły obiektywną ocenę sytuacji. Myśl głową, musztrowała się w duchu, zadaj mu jeszcze parę pytań, dotrzyj do sedna! Tylko w ten sposób rozwikłasz raz na zawsze zagadkę Charlesa Devereaux!

- Dlaczego to robisz? Dla pieniędzy? Czy też masz inny cel? - zapytała.

Drgnął gwałtownie, na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci. Nieprzyjemnym tonem zauważył:

- Jak ty mnie jednak mało znasz, Nicky, skoro sądzisz, że można mnie kupić! Pracuję dla tej organizacji, bo wierzę w nią, w jej cele.

- Wierzysz w jej cele! - powtórzyła Nicky, a jej oczy zwężyły się złowieszczo. - Wierzysz w ideologię tej organizacji? Czy to właśnie chciałeś powiedzieć?

- Tak, dokładnie to.

- Ale dlaczego? Dlaczego Anglik i do tego arystokrata? Nie mogę tego pojąć!

- Naprawdę chcesz poznać prawdę?

- Co za bzdurne pytanie! Oczywiście, że chcę!

Charles usadowił się wygodniej na krześle, skrzyżował nogi i zatopił w niej wzrok.

Nicky uświadomiła sobie nagle, że Charles nosi brązowe szkła kontaktowe; rzeczywiście przyczyniały się w znacznym stopniu do zmiany w jego wyglądzie, sprawiały, iż człowiek, którego niegdyś kochała, wydawał jej się coraz bardziej odległy.

- Przede wszystkim powinienem zacząć od tego - odezwał się Charles po długiej chwili namysłu - że był pewien mężczyzna, którego kochałem...

- Mężczyzna!

- Och, nie, Nicky, to nie to, o czym myślisz! - Uśmiechnął się przelotnie. - A więc kochałem pewnego mężczyznę i właśnie to uczucie, którym również on darzył mnie, związało mnie z organizacją Al Awad oraz ze sprawą Palestyny. Miłość tego człowieka do mnie, jego wspierały charakter, to między innymi skłoniło mnie do przyswojenia sobie jego przekonań, do pójścia w jego ślady.

- Ten człowiek to Palestyńczyk, prawda?

- Owszem, był Palestyńczykiem.

- Nie żyje?

- Niestety.

- Kim on był?

Jeśli Charles się zawahał, to jedynie na ułamek sekundy. - Moim ojcem - wyznał. - To był mój ojciec.

Wpatrywała się w niego osłupiała. Dopiero po chwili odzyskała głos. - Chcesz powiedzieć, że Henry Devereaux nie był twoim ojcem?

- Tak.

- A więc Anna usynowiła cię, czy tak?

- Nie. Anna jest moją matką.

- Twoją biologiczną matką?

- Tak. A Nayef Al Kabil był moim biologicznym ojcem.

- Czy to znaczy, że Anna Devereaux miała romans z Palestyńczykiem? - W głosie Nicky zabrzmiało powątpiewanie.

- Owszem, tak było. Ale to już dzieje życia mojej matki, nie mojego. Nie zamierzam mówić na ten temat ani słowa więcej. Jeśli chciałabyś się czegoś dowiedzieć, musisz porozmawiać z nią.

- W każdym razie urodziłeś się i wychowałeś w Anglii, tam też zdobyłeś wykształcenie, w Eton i Oxfordzie. Jak doszło do tego wszystkiego? W jaki sposób związałeś się... związałeś się ze swoim ojcem?

- Moja matka uznała, że powinienem go poznać.

- Kiedy nastąpiło wasze spotkanie?

- Byłem wówczas małym chłopcem... miałem sześć lat.

- I właśnie wtedy zaczęto ci wpajać nowe poglądy?

- Nie, to stało się później, kiedy dorosłem i potrafiłem pojąć wszystko jak należy. Ale nie nazwałbym tego wpajaniem nowych poglądów. Było to raczej dziedzictwo ojca przeznaczone dla mnie. Ostatecznie w moich żyłach płynie jego krew! Jestem jego synem!

- Krew ojca ma dla ciebie większe znaczenie niż krew twojej matki? Czy dobrze cię zrozumiałam?

- Wydaje mi się, że jest we mnie więcej z Al Kabila niż z Clifforda, na to wychodzi. Jestem dzieckiem mego ojca.

- Kiedy umarł twój ojciec?

- Został zabity w 1981 roku. W południowym Libanie, kiedy trwały tam walki.

- I wtedy zaangażowałeś się w jego sprawę?

- Nie, jakieś dwa lata wcześniej, w 1979 roku. Poprosił, abym zajął się finansami organizacji. Ojciec utworzył Al Awad w 1958 roku jako - wierz albo nie - działacz umiarkowany. Nie uznawał przemocy, wierzył w układy przy stole konferencyjnym.

Nicky zignorowała ostatnie słowa. - Z tego wynika, że kiedy się poznaliśmy, byłeś już członkiem tej grupy? - zapytała.

- Tak.

- W takim razie dlaczego w ogóle związałeś się ze mną?! - zawołała, przesywając go wzrokiem.

Zawahał się, a potem powiedział nieco ciszej: - Początkowo była to fascynacja erotyczna. Pragnąłem cię... Chciałem przeżyć z tobą romans. Niestety, popełniłem ten sam błąd co mój ojciec.

- Co to znaczy?

- Ojciec zakochał się w pięknej Angielce. Ja zakochałem się w pięknej Amerykance. Nie spodziewałem się, że sprawy między nami zajdą tak daleko, Nicky. Potem, kiedy już poczułem się związany z tobą emocjonalnie, wydało mi się, że jestem w stanie pogodzić wszystko: ciebie, moją działalność w organizacji stworzonej przez ojca oraz nasze małżeństwo.

- Ale zmieniłeś zdanie?

- Nie, niezupełnie.

- W takim razie dlaczego postanowiłeś trzy lata temu rozpląnąć się w powietrzu?

- W każdym razie nie tylko ze względu na ciebie, chociaż zaczęłaś już stanowić pewien problem. Istniało prawdopodobieństwo, że agenci niektórych obcych wywiadów są na moim tropie, że chcą mnie zlikwidować.

- Jakich wywiadów?

- CIA. I Mossadu.

- A dlaczego ja stałam się problemem?

- Jak już wiesz, mój ojciec zginął w 1981 roku. Jego zastępca, który stanął potem na czele organizacji, angażował mnie intensywnie do współpracy... w pewnym sensie jeszcze bardziej niż mój ojciec. Działalność absorbowała mnie w coraz większym stopniu, właściwie wbrew moim intencjom. Bo chociaż wierzyłem w sprawę, o którą walczył ojciec, z drugiej strony...

- Chciałeś również pomieszkać w Londynie, czy tak?

Skinął głową. - Tak. W 1986 roku, tuż po naszych zaręczynach, uzmysłowiłem sobie, że pogodzenie tego wszystkiego nie jest możliwe. Że jednak stałaś się poważnym problemem. Zdałem sobie również sprawę, że nie jestem wobec ciebie w porządku, że mogę ściągnąć na ciebie nieszczęście. I to właśnie, w połączeniu z obawą, że dopadną mnie agenci obcego wywiadu, sprawiło, że podjąłem wreszcie decyzję o upozorowaniu samobójstwa. Tak też zrobiłem.

- A twoja matka nie wiedziała o niczym?

- Nie. Ojciec nie chciał, aby mówić jej o mojej działalności. Ja zresztą też.

- Dlaczego więc mówisz mi o tym?

- Bo nie ma powodu, dla którego nie miałabyś wiedzieć.

- Czy przypadkiem nie planujesz mojego zabójstwa?

- Nicky, nie bądź śmieszna!
- Mogłabym cię przecież wydać.
- Nawet gdybyś tak postąpiła, to nie miałyby znaczenia. Już nie.
- Dlaczego?
- Jeszcze dziś wyjeżdżam na Bliski Wschód. I nigdy nie wrócę do Europy. Pozostanę tam do końca życia.
- Skąd to postanowienie?
- Grozi mi tutaj zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Są też inne powody, o których wolałbym jednak nie mówić.
- Udajesz się do Libanu?
- Nie mogę ci powiedzieć, dokąd jadę. Chyba to rozumiesz.

Ktoś zapukał lekko do drzwi. Charles spojrzął w tamtą stronę i zawołał: - Proszę.

W progu stanął Pierre, ten sam, który przeszukał jej apartament w Madrycie. - Samochód stoi już na dole - oświadczył.

Charles skinął głową i wstał. - Muszę iść - zwrócił się do Nicky. - Na Le Bourget czeka na mnie samolot.

- Nie powiem nic twojej matce, nie wspomnę jej nawet o naszym dzisiejszym spotkaniu - obiecała. - Chyba w to nie wątpisz.

- Nie. Gdybyś powiedziała jej cokolwiek, sprawiłabyś jej olbrzymi ból.

Spojrziała na niego, czując przez ułamek sekundy, jak wzbiera w niej straszliwy gniew. Opanowała się jednak w ostatniej chwili.

- Twoja matka przeląła przez ciebie gorzkie łzy - powiedziała.

- Ja ją kocham, ale... - Nie dokończył.

Podniósł z szafki aktówkę i przeszedł do hallu. Nicky kroczyła za nim.

Pierre otworzył drzwi, pochwycił dwie walizki stojące przy wyjściu i zbiegł po schodach na ulicę.

Nicky i Charles zeszli na dół bez pośpiechu; w przed-sionku odwrócił się do niej i oświadczył: - To nasze osta-teczne pożegnanie, Nicky.

Skinęła głową. - Na wypadek, gdybyś myślał, że szyku-ję na ten temat jakiś reportaż; wiedz, że tak nie jest.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać. Zbyt mocno kochasz moją matkę. Nie zdobyłabyś się na to, aby zranić ją w ten sposób.

Znaleźli się na ulicy. - Jaki ten świat mały, niepraw-daż? - zauważył nagle Charles. - Kto by pomyślał, że spo-tkamy się w Belleville!

- Rzeczywiście.

- Może cię dokąds podwieźć?

- Nie, dziękuję, wolę się przejść.

Na jego twarzy pojawił się mizerny uśmiech. - Do wi-dzenia, Nicky.

- Do widzenia, Charlesie.

Pierre umieścił już walizki w bagażniku, a kiedy Char-les zajął miejsce na tylnym siedzeniu, usiadł obok kie-rowcy. Samochód ruszył płynnie wąską uliczką.

Nicky odwróciła się i pogrążona w zadumie, walcząc z tysiącem myśli, które kłębiły się w jej głowie, poruszyła się, jakby chciała skręcić w stronę bulwaru de Courcelles. Nie zdążyła.

Nagły podmuch eksplozji cisnął ją do przodu, na tro-tuar. Przez ułamek sekundy leżała oszołomiona, jakby skamieniała, a potem z jej ust wydarł się zduszony krzyk. Dźwignęła się na kolana i spojrzała za siebie. Samochód, do którego wsiadł Charles, płonął teraz w odległości oko-ło dwudziestu metrów od niej. Patrzyła na tę scenę prze-rażona, wreszcie zerwała się na równe nogi. Powietrze

było przesycone zapachem dymu i spalenizny, jezdnię pokrywały szczątki metalu, odłamki szkła i strzępy materiału. Od strony parku Monceau nadbiegali pełniący tam służbę policjant oraz paru przechodniów.

Nicky trzęsała się jak galareta. Ostatkiem sił doszła do pobliskiej kamienicy, oparła się plecami o mur i zamknęła oczy. Nie wierzyła, aby Charles zdołał przeżyć. Nie miał szans. Nie w takim piekle. Nie ulegało też wątpliwości, że to jego samochód eksplodował. Ulicą Bergera nie przejeżdżał żaden inny pojazd.

Rozdział 37

Obie kobiety siedziały na kamiennej ławeczce na szczycie Wzgórza Miłości. Było niedzielne popołudnie, słoneczne i ciepłe, lekki wiatr szeleścił w liściach drzew i przesuwiał białe obłoki po błękitnym, czystym niebie. Był piękny, wrześnieowy dzień.

One jednak nie zwracały uwagi na pogodę. Siedziały, obejmując się wzajemnie i stykając się głowami; po długiej, bolesnej rozmowie, która trwała ponad godzinę, delektowały się ciszą i spokojem.

Nicky pierwsza oswobodziła się łagodnie z objęć, spojrzała Annie w oczy i szepnęła: - To byłoby tyle. Powiedziałam ci całą prawdę, nie opuściłam niczego. Teraz wiesz już wszystko.

Anna skinęła głową, uściśniła jej dłoń, a potem sięgnęła do kieszeni zakietu po chusteczkę i wytarła sobie oczy.

- Tak, więc mój syn nie żyje. - Ze smutkiem pokręciła głową. - Wiesz, to zabawne, odnoszę wrażenie, że po dziesięcym dniu nie będę w stanie płakać. Wypłakałam już wszystkie łzy. Przez trzy lata cierpiałam z powodu utraty Charlesa; nie potrafię dłużej.

- I nie powinnaś, Anno. Twoje życie toczy się dalej... życie u boku Filipa.

- Tak, moja droga, masz absolutną rację. - Anna uśmiechnęła się błado i mówiła dalej. - Przed chwilą powiedziałaś, że wiem już wszystko. I tak jest rzeczywiście. Nie znasz tej historii od mojej strony. Myślę, że powinienam opowiedzieć ci o Nayefie Al Kabilu, o tym, co wydarzyło się czterdzieści jeden lat wcześniej.

- Tylko, jeśli naprawdę chcesz mi się zwierzyć, Anno.

- Owszem, chcę. Później opowiem o tym również Filipowi. Ma prawo wiedzieć o mnie wszystko.

Zapatrzyła się w dal, twarz miała spokojną, w jej oczach widniała zaduma. Upłynęło parę minut, zanim zaczęła mówić.

- Pamiętam doskonale każdy moment, tak jakby działo się to wczoraj. Każdy szczegół widzę tak wyraźnie jak wtedy. Mój ojciec, Julian Clifford, był znanym mężem stanu, związanym z wielkim człowiekiem, Winstonem Churchillem. Zwłaszcza podczas drugiej wojny światowej, w jej ostatnim okresie. Obu łączyły podobne poglądy polityczne. Mój ojciec zaangażował się w proces powstania państwa Izrael w 1948 roku. W owym czasie byliśmy oboje bardzo związani ze sobą; moja matka zmarła

jeszcze przed zakończeniem wojny. W każdym razie ojciec zabrał mnie ze sobą do Palestyny. Lubił mieć mnie przy sobie, kiedy podróżował za granicę. W styczniu 1948 roku poznałam Nayefa. Pochodził ze znanej, bardzo dobrej rodziny palestyńskiej, cieszącej się dużym poważaniem. Mieszkali w Gazie, posiadali tam ziemię, pomarańczowe gaje, cieszyli się szacunkiem wszystkich swoich sąsiadów. Nayef był zaledwie o rok starszy ode mnie. Wkrótce zakochaliśmy się w sobie.

Nieoczekiwanie Anna umilkła.

Nicky ścisnęła mocno jej dłoń, spojrzała na nią i zauważyła, że Anna usiłuje zapanować nad sobą.

Po chwili podjęła swą opowieść.

- Kochaliśmy się bardzo gorąco, Nicky. Byliśmy dla siebie pierwszą miłością, a wiesz przecież, co znaczy pierwsza miłość. Nic innego nie miało znaczenia; na wszystko, co nie było nami, byliśmy ślepi. Nayef był taki przystojny, szczupły, może niezbyt wysoki, ale za to jaki szlachetny! Miał najpiękniejsze jasnozielone oczy, takie czyste i niewinne. Był dla mnie niezwykle miły, bardzo czuły i oddany. Staliśmy się nierozłączni. W maju 1948 roku, tuż po moich siedemnastych urodzinach, zorientowałam się, że jestem w ciąży.

Anna umilkła ponownie, spojrzała na Nicky z wymowną miną. - W tamtych czasach sprawy miały się zupełnie inaczej niż dziś. Nie mogłam nic zrobić, nawet gdybym chciała. Ale i tak nie chciałam. Oczywiście byłam przygębiona i wylękniona. Poszliśmy razem z Nayefem do mego ojca i powiedzieliśmy mu o wszystkim, a potem Nayef wyjaśnił mi, że bardzo mnie kocha i chciałby się ze mną ożenić. Ze swojej strony oświadczyłam, że odwzajemniam uczucie Nayefa. Ojciec zareagował okropnie.

Był przerażony tym, co się stało, rozwścieczony. Natychmiast zabrał mnie z powrotem do Anglii, nie bacząc na to, że mnie unieszczęśliwia. Upłynęło siedem lat, zanim ponownie spotkałam się z Nayefem.

- Och, Anno, kochanie, jakie to smutne! Byłaś jeszcze tak młodą dziewczyną, niemal dzieckiem!

- Tak, oboje byliśmy dziećmi. I pod wieloma względami brakowało nam doświadczenia. Tak się złożyło, że najbliższym przyjacielem ojca był Henry Devereaux, brytyjski przemysłowiec. Henry znał mnie od dziecka i bardzo lubił. Ponieważ był wdowcem, a do tego bezdzietnym, spełnił prośbę mego ojca i poślubił mnie. Ślub odbył się we wrześniu 1948 roku. Wyobrażasz sobie chyba, jak się czułam: rozdzielona z Nayefem, nosząca pod sercem jego dziecko i wydana za mężczyznę, o którym wiedziałam właściwie tylko tyle, że przyjaźni się z moim ojcem! Odchodziłam od zmysłów z rozpacz, ale musiałam być posłuszna ojcu, byłam bezsilna. Co się zaś tyczy Henry'ego, wiedział wówczas, że cierpi na chorobę Hodgkina, nowotwór węzłów chłonnych, i że pozostało mu już niewiele życia. Ponieważ nie miał żadnej rodziny, jeśli nie liczyć jakiegoś odległego kuzyna, mnie zaś darzył zawsze olbrzymią sympatią, myśl o naszym małżeństwie uradowała go niesłychanie. Był zachwycony, że teraz ma już o kogo dbać, a ostatnie lata życia spędzi w towarzystwie młodej kobiety. Muszę przyznać, że był dla mnie naprawdę dobry i kochał Charlesa. Ja jednak nie byłam z nim szczęśliwa. Ale czy można się temu dziwić? Nasze małżeństwo było raczej farsą. Kiedy tak sięgam pamięcią wstecz, uświadamiam sobie, że nawet nie starałam się zbytnio, aby choć trochę naprawić sytuację. Henry wydawał mi się po prostu starcem. I chyba nie myliłam się

za bardzo. Ostatecznie był rówieśnikiem mego ojca.

- I oczywiście tęskniłaś za Nayefem - szepnęła Nicky, ponownie ujmując dłoń przyjaciółki.

- Och, tak, tęskniłam całym sercem! Ale nic nie mogłam na to poradzić. No i miałam moje śliczne dziecko... Charlesa. Dziecko Nayefa. Kochałam mego synka do szaleństwa, dzięki niemu życie wydało się bardziej znośne, aż wreszcie pogodziłam się z losem... Wiesz, w końcu zawsze nadchodzi moment, kiedy człowiek zaczyna akceptować to, co jest mu dane. Charles urodził się w lutym 1949 roku, ale dopiero, gdy skończył sześć lat, uznałam, że powinien poznać Nayefa, swego prawdziwego ojca. Ten zamiar był wówczas dość prosty w realizacji, jako że nie żyli już Henry i mój ojciec. I tak w 1955 roku zabrałam Charlesa na południe Francji, do Nicei, na spotkanie z Nayefem.

- I od tego momentu obaj widywali się regularnie przez wiele lat, prawda? Charles opowiedział mi to w Paryżu.

Anna przytaknęła ruchem głowy. - Widywali się nawet bardzo regularnie. Wytłumaczyłam Charlesowi, że ich spotkania muszą przebiegać w tajemnicy, że nikt nie może dowiedzieć się prawdy o Nayefie... Rozumiesz chyba, bałam się ewentualnej reakcji mojego brata Geoffreya. Muszę przyznać, że Charles okazał pełne zrozumienie. Dochował tajemnicy. Pokochał Nayefa, a Nayef jego. Nie przypuszczałam jednak, że zacznie wpajać naszemu synowi swoje poglądy polityczne. - Urwała, zaczerpnęła głęboko tchu i dodała: - Ale i tak nie potrafiłabym tego powstrzymać. Odkąd Charles ukończył osiemnaście lat, stał się samodzielny, robił niemal co chciał. Zawsze był typem niezależnym, o silnej woli. Ale mówiąc prawdę,

Nicky, nie miałam do tej pory zielonego pojęcia, jak silna była więź między nimi dwoma. Nie wiedziałabym nadal, gdybyś mi tego dzisiaj nie wyjaśniła. Charles był w tej jednej sprawie bardzo skryty... Przypuszczam, że musiał taki być.

- Czy kontynuowałaś swoje kontakty z Nayefem?

- Nie. Chociaż... to niezupełnie tak. Przez jakiś czas utrzymywałam z nim kontakt. Od 1955 do 1957 roku. Próbowaliśmy nadrobić to, co zostało nam odebrane, ale nie można cofnąć czasu. To się nigdy nie udaje. I wreszcie doszliśmy oboje do przekonania, że pora zakończyć nasz związek. To i tak nie miało sensu. On mieszkał w Libanie, a ja żyję tu, w Pullenbrook. Poza tym on zajął się polityką, coraz bardziej absorbowały go sprawy związane z jego przekonaniem.

- Charles twierdził, że jego ojciec należał do działaczy umiarkowanych. Czy ty też tak sądzisz?

- Tak, oczywiście. Nayef nie był człowiekiem, który akceptował przemoc. Zawsze powtarzał, że pokój można osiągnąć innymi środkami.

- Czy on założył rodzinę? Miał żonę, dzieci?

- Nie. Nie ożenił się i nie miał innych dzieci poza Charlesem. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Może właśnie dlatego Charles znaczył dla niego tak wiele. Był to jego jedyny syn, w nim upatrzył sobie następcę, czyż nie?

- Owszem - szepnęła Nicky. - Ale Charles godził się na to. A miał przecież alternatywę.

Anna westchnęła ciężko. - To moja wina - odparła powoli. - Gdybym nie związała się z Nayefem jako młoda dziewczyna, wszystko potoczyłoby się inaczej...

- Ale też nie urodziłabyś Charlesa.

- Tak, to prawda. - Anna zmusiła się do uśmiechu, który wypadł blado, po czym szepnęła: - Chodźmy, kochanie, wracajmy już do domu. Ty i Clee musicie wstać jutro z samego rana, żeby zdążyć na lotnisko. Poza tym Filip i ja mamy ci coś do powiedzenia, a ja chciałabym ci coś pokazać.

Wstały z ławeczki. W oddali olbrzymi zamek błyszczał w promieniach zachodzącego słońca; sędziwy, niewzruszony, wieczny. Trzymając się za ręce ruszyły na dół, w jego stronę.

* * *

Kiedy weszły do domu, Filip i Clee siedzieli w bibliotece.

- Nareszcie wróciłyście! - zawołał Filip. - A ja chciałem już wyruszyć na poszukiwanie zaginionych pań. Inez przyniesie zaraz herbatę. Myślę, że chętnie się napijecie.

- O tak, dziękuję - odparła Nicky.

Anna tylko skinęła głową, podeszła do biurka i wyciągnęła z szuflady jakąś kopertę.

Nicky spojrzała na Clee i uśmiechnęła się do niego. Jakie to szczęście mieć go przy sobie, pomyślała. Jego obecność podczas lunchu pomogła wszystkim odprężyć się, dojść do siebie. Okazał się człowiekiem nie tylko serdecznym i życzliwym, ale również rzeczowym i otwartym. Przy nim można było poczuć się pewnie. Nicky cieszyła się także widząc, że Clee przypadł Annie do gustu, że polubiła jego towarzystwo. A przecież była taka spięta, kiedy przyjechali poprzedniego wieczoru z Paryża.

Clee ujął Nicky pod ramię. Razem podeszli do sofy stojącej przed kominkiem i usiedli, Anna zaś podała przyjaciółce kopertę.

- Powinnaś to chyba przeczytać, Nicky. List przyszedł w czwartek rano.

Nicky wzięła list do ręki i drgnęła na widok charakteru pisma Charlesa. List nadszedł do Pullenbrook tego samego dnia, kiedy Charles zginął wskutek eksplozji samochodu. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia, jakie ją nagle opanowało, i zerknęła na kopertę. Stempel pocztowy wskazywał na Paryż, jako miejsce nadania, oraz datę: 5 września, wtorek. Nicky wyjęła list z koperty i powoli zaczęła czytać.

Paryż, poniedziałek wieczorem, 4 września, 1989.

Droga Matko,

Trzy lata temu upozorowałem samobójstwo i zataiłem prawdę przed Tobą. Nie mogłem odkryć przed Tobą swoich zamiarów, gdyż, jeśli mój czyn miał być wiarygodny, Ty przede wszystkim musiałaś wierzyć w jego prawdziwość. Wiem, było to bardzo okrutne wobec Ciebie, ale nie miałem innego wyjścia: moje życie znajdowało się w niebezpieczeństwie. Musiałem zniknąć z pola widzenia, a zamiast mnie miał zjawić się nowy człowiek. Byłem poszukiwany przez agentów wielu obcych wywiadów. Nie wiedziałaś o tym, ale ja już dawno temu przyswoiłem sobie poglądy polityczne mojego ojca, a od 1979 roku działałem w jego organizacji.

Mój ojciec, którego pokochałem z całego serca, był - jak ci wiadomo - człowiekiem umiarkowanym. Ja również. Niestety, w organizacji „Powrót”, którą mój ojciec utworzył, znajdują się także ludzie, którzy wyznają inne

zasady. Wewnątrz organizacji powstała frakcja głosząca przemoc jako środek do osiągnięcia celu. Nie mogę i nie zamierzam tego aprobować. Wielokrotnie już wypowiadałem się otwarcie na ten temat, a efekt tego jest taki, że znowu zaczęło mi zagrażać śmiertelne niebezpieczeństwo. Tym razem ze strony członków mojej organizacji. To oni podłożyli ładunek wybuchowy w samolocie na lotnisku w Madrycie, aby się mnie pozbyć.

W ciągu tych wszystkich lat przelano na Bliskim Wschodzie zbyt wiele krwi. To musi się skończyć. Palestyńczycy i Izraelczycy muszą nauczyć się współżyć ze sobą. W pokoju. Terroryzm jest zjawiskiem plugawym i powinien zostać raz na zawsze zakazany.

Wiem doskonale, że mój czas jest teraz ograniczony, pozostało mi parę tygodni, najwyżej miesięcy. Ale zanim zginę, muszę zrobić coś dla ludzi ginących niewinnie na Bliskim Wschodzie. Zarówno dla Arabów, jak i dla Żydów. Przez dziesięć lat zarządzałem finansami organizacji i mogę dziś powiedzieć, że spisałem się znakomicie. Kapitał organizacji wynosi obecnie trzysta milionów dolarów amerykańskich, a pieniądze zostały zdeponowane na pewnym numerowanym koncie w banku w Zurychu. Chciałbym, aby pieniądze te zostały użyte dla dobra Bliskiego Wschodu, nie zaś po to, by szerzyć śmierć i zniszczenie. Tylko ja znam numer konta i nazwę banku. Jest to International Bank w Zurychu. Jeśli chodzi o numer konta, domyślisz się sama, jak brzmi, jeśli przypomnisz sobie moją ulubioną zabawkę z czasów dzieciństwa. Nazwa tej zabawki pozwoli Ci ustalić numer konta. Chciałbym, abyś tego dnia, kiedy

otrzymasz mój list, udała się razem z Filipem do Zurychu, a tam przelała całą kwotę z tego konta w International Bank do innego banku szwajcarskiego, również na konto numerowane. Wymyśl dowolny numer.

Chciałbym, aby pieniądze te zostały wykorzystane na pomoc dla dzieci z Bliskiego Wschodu, na poprawę ich losu. Ale pomoc musi być skierowana do wszystkich dzieci, niezależnie od ich rasy, wyznania czy koloru skóry.

Wiem, że nigdy mi nie wybaczysz, Mamo, ale mam nadzieję, że któregoś dnia pomyślisz o mnie ciepłej.

*Zawsze kochający Cię
Charles*

Nie odkładając listu, Nicky spojrzała na Annę. - Czy Cleo mógłby go przeczytać?

- Oczywiście, chciałabym nawet, aby znał jego treść.

Cleo przeczytał list i w milczeniu oddał go Nicky, ta zaś zapytała: - Czy pamiętałaś, Anno, jaka była ulubiona zabawka Charlesa?

- Naturalnie, koń na biegunach. Nadal stoi w dawnym pokoju dziecinnym. Charles nazwał tego konia Gniadym. Jeśli wypiszesz liczby, które oznaczają kolejność w alfabecie poszczególnych liter nazwy, otrzymasz numer 71591424.

- I pojechaliście do Zurychu?

- O tak, tego samego dnia, kiedy przyszedł list. Natychmiast pojechaliśmy samochodem do Londynu, dostaliśmy miejsca na popołudniowy lot do Szwajcarii, a w piątek z samego rana byliśmy już w banku.

- Czy numer konta okazał się właściwy? - Z twarzy Anny wyczytała odpowiedź.

- Tak - powiedziała Anna.

- Zlikwidowaliśmy konto - wyjaśnił Filip. - Następnie otrzymaliśmy czek kasjerski na trzysta milionów dolarów amerykańskich, z którym udaliśmy się do drugiego banku. Tam otworzyliśmy nowe konto i zdeponowaliśmy czek. Zamierzamy utworzyć fundusz, z którego finansowana byłaby budowa szpitali, stołówek i szkół dla dzieci z Bliskiego Wschodu, zgodnie z życzeniem Charlesa. Tak, możesz być całkowicie pewna, że zamiary te będą realizowane.

Nicky przeniosła wzrok na Annę. - Ze strony Charlesa był to zapewne akt pokuty, nie sądzisz?

- Tak, masz rację.

- Czy będziesz mu mogła kiedykolwiek wybaczyć?

- Wydaje mi się, że tak... może... za jakiś czas.

* * *

Nieco później, już po wypiciu herbaty, Nicky i Clee udali się na górę, do lawendowo-szarej sypialni, w której spędzili ostatnią noc.

Nicky spakowała nieliczną garderobę, jaką wzięła ze sobą do Anglii, i spojrzała na Clee: - Cieszę się, że przyjechałeś ze mną. Byłeś wspaniały.

- Dobrze, że tu jesteś, prawda, Nick?

Zamknęła torbę, zdjęła ją z łóżka i postawiła obok drzwi. - Owszem, bardzo dobrze - odparła. - I jestem ci wdzięczna, że mnie do tego namówiłeś. Omal nie straciłam odwagi w ostatniej chwili.

Wstał z krzesła i położył dłonie na jej ramionach. - Nicky Wells miałyby stracić odwagę? Nigdy w to nie uwierzę!

Uśmiechnęła się. - A jednak tak było. Tylko dzięki tobie nabrałam śmiałości, zdecydowałam się stanąć twarzą

w twarz z Anną i powiedzieć jej, że Charles nie żyje.

- Byłaś jej to winna, Nicky, choćby z uwagi na łączącą was przyjaźń, na to wszystko, co ona dla ciebie znaczy. I także z uwagi na fakt, że Anna naprawdę jest wspaniałą kobietą.

Umilkł, po czym dodał jakby z żalem: - Bóg raczy wiedzieć, czy w tym układzie uda nam się kiedykolwiek pojechać do Prowansji... Stale wynikają jakieś przeszkody. A to problemy w biurze, a to przyjazd Yoyo... Teraz jeszcze ta sprawa!

- Och, nie przejmuj się tak bardzo Prowansją - szepnęła, patrząc mu w oczy. - Mamy przed sobą jeszcze całe życie, jeśli zapagniemy pojechać na farmę.

Uśmiechnął się szeroko. - Czy to znaczy, że mówisz „tak”?

- Tak. Mówię ci „tak”.

Objął ją i przytulił do serca, po chwili jednak odsunął nieco od siebie. Uśmiech objął teraz całą jego twarz, kiedy zawołał: - Ale jeśli wyjdiesz za mnie, zamieszkamy w Paryżu! Co się wtedy stanie z twoją wielką karierą w telewizji amerykańskiej?

Roześmiała się i lekko wzruszyła ramionami.

- Tym niech się zajmie Arch. Z pewnością znajdzie jakieś wyjście z sytuacji.

Clee nachylił się i pocałował ją. - Przyrzekam, że będę najlepszym mężem pod słońcem.

- W ustach tak zagorzałego kawalera jak ty tego typu słowa znaczą bardzo dużo.

- Już nim nie jestem. A teraz chodźmy, najwyższy czas.

Na dole czekali na nich w niewielkim hallu Anna i Filip.

- Samochód stoi przed domem - powiedziała Anna. - Ale macie jeszcze mnóstwo czasu, nie musicie śpieszyć

się tak bardzo na Heathrow. Samolot nie ucieknie.

- Dziękujemy za wszystko. - Nicky objęła ją i wyszep-tała we włosy: - Wychodzę za mąż za Clee.

Anna oswobodziła się delikatnie z objęć, spojrzała jej głęboko w oczy, walcząc nieudolnie ze łzami, uśmiechnęła się i powiedziała: - Tak się cieszę, kochanie! I to ja po-winnam być ci wdzięczna za to, że okazałaś się tak cu-downą przyjaciółką!

- Mimo woli podsłuchałem to, co mówiłaś, Nicky - odezwał się Filip. - Gratuluję wam obojgu.

- Uścisnął dłoń Clee, po czym wziął w ramiona Nicky. - Dziękuję, że przyjechałaś i powiadomiłaś nas o wszyst-kim.

- Czy mogłabym postąpić inaczej?

Wyszli przed zamek, jeszcze raz wymienili słowa po-żegnania, po czym Nicky i Clee wsiedli do samochodu. Kierowca włączył silnik i auto ruszyło z wolna żwirowaną aleją wiodącą do olbrzymiej bramy frontowej. Kiedy do-jechali do zakrętu, Nicky spojrzała za siebie; Anna i Filip nadal stali na stopniach, machając rękoma. Za nimi błyszczały w gasnących promieniach słońca mury Pul-lenbrook.

Kiedy zjawiłam się tu po raz pierwszy, zakochałam się w fascynującym mężczyźnie, w niezwyklej kobiecie i w imponującym zamczysku, które pewnego dnia mogło stać się moim domem, pomyślała Nicky. Byłam przekonana, że tu właśnie spędzę swoje życie. Los zrzucił jednak ina-czej. Prawdopodobnie nie przyjadę do Pullenbrook nigdy więcej. Ale zostawiam tu częśćkę mego serca. I zapamię-tam to wszystko do końca życia... zachowam w pamięci już na zawsze.